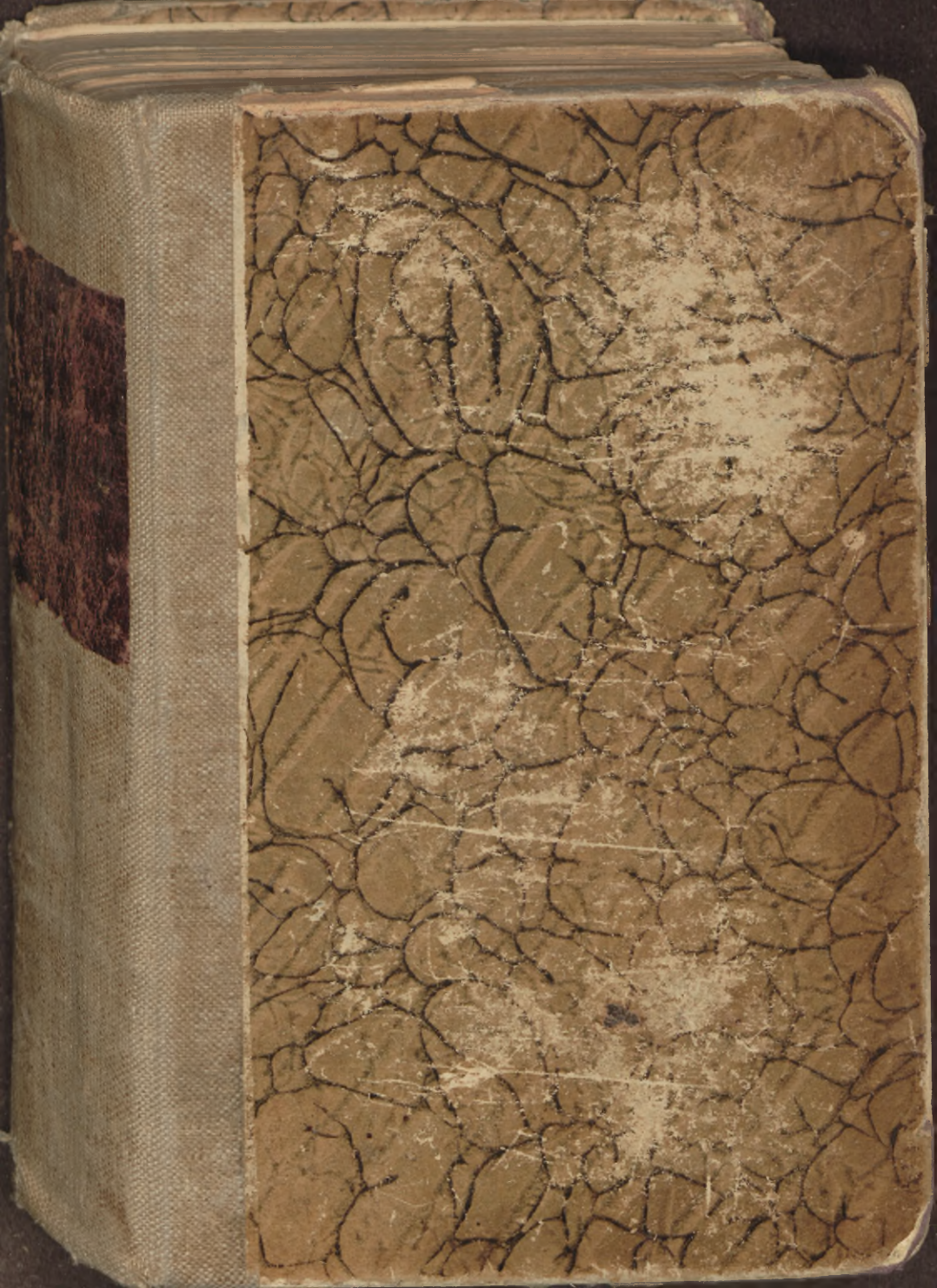


BRANKI W JASSYRZE.

Druk. P. Laskauera i W. Babickiego, w Warszawie.

DEOTYMA.

BRANKI W JASYRZE.

O! bo lepiéj pójść na mary,
Niż w niewolę na Tatary.
(Piosenka ludowa)

WYDANIE DRUGIE.

TOM IV.

WARSZAWA.
NAKŁADEM XIĘGARNI
TEODORA PAPROCKIEGO I S-KI
NOWY-ŚWIAT 41.
1901.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 4 Апрѣля 1901 года.



174103

CZĘŚĆ CZWARTA.

Święte morze.

Poniżéj, pustynia Gobi, największy w świecie step—szklący się nieruchomością słonych jezior—zapisany tajemnemi kréskami rzek bezcelnych, co z piasku wychodzą i w piasku przepadają—porosły w lecie pastwiskiem chudém, płowém, ale dziwnie smakowitém dla zwierza, bo zaostrzoném wieczną domieszką soli.

Powyżéj, Ibir-Sybir — największa pustynia białości na świecie—wieko z lodu nigdy nie rozmarzające — pod którém rzędy mammutów leżą snem nieprzespanym, snem bez marzeń. A może téż im się marzy pierwsza wiosna świata, zwłaszcza w godzinach, kiedy Zorza północna rozwiesza nad niemi swoje kwiaty ze światła, swoje snopy z promieni, cudne, ciche i dziwne jak sen przedpotopowy?

Między temi dwiema pustyniami, węzeł gór poplątanych, sypniętych w kłęby i odnogi, jak-

by upuszczony pęk łańcuchów—a w tym węźle, w samém sercu Mongolji, Bajkał, *święte morze.*

Europejscy uczeni zwą Bajkał prostém «jeziorem». Łatwo to bawić się w lekceważenie, tym co mieszkają tak daleko. Ale dawny Mongoł, i dzisiejszy jego potomek, zbiédniały Burjat, nigdy nie ubliży «świętéj wodzie» taką niegodną nazwą, bo według przyjętego od wieków zabobonu, Bajkał mści się za podobną obrazę — mści się niepogodą, burzą i zatopieniem.

Dziś jeszcze, na parowcach które z podziwem przerzynają te zaklęte wody, mimo postępowéj obecności maszynisty Anglika i kapitana rozmawiającego z damami po francuzku, jeżeli jaki podróżnik ośmieli się — choćby w żarcie — nazwać Bajkał *jeziorem*, cała załoga patrzy na niego krzywo, docina mu wymówkami, i drży o swoje przyszłe losy. A niech téż zerwie się wicher, niech powstanie jeden z owych orkanów co tak często szaleją na tym oceaniku, o! wtedy śmiałek może ciężko przypłacić swoje niebaczne słówko..... Bywały przykłady że go wtrącono w przepaść, dla przebłagania rozgniéwanych wód.

Jak widzimy, niemożna żartować z Bajkałem.

I rzeczywiście, posiada on niejakie prawa do podobnéj dumy. Posiada w każdym razie niektóre właściwości i wybryki prawdziwego morza. Na tamtejszych falach igrają delfiny, i foki zwane tu «nerpami». W bezdeniach — jeszcze niezgłębionych—majaczeją stworzenia osobliwsze, jak «poczwaroryb», istota podobna do puszki pełnéj tłuszczu, która w swojém życiu legendowém, nigdy sama na wiérzch nie wypływa, chyba że ją wir burzy wyrzuci. A jakie to tam burze! Niech Bajkał tylko zmarszczy oblicze, wnet żeglujący dostają «morskiéj choroby». Niech się rozdąsa, wnet bałwany puchną, sinieją, wyją. Nieraz przez całe tygodnie statek tuła się po rozhukanym obszarze, i niemoże dobić do żadnego brzegu. Bo téż to i obszar niezwyczajny, sześćset mil kwadratowych!

Ze wszystkich zbiorowisk wódnych co się zaklęsły w lądzie Azjatyckim, tylko dwa, Kaspijskie i Aralskie, przechodzą Bajkał rozmiarem; a jeśliż tym dwóm zbiornikom przyznajemy królewską nazwę morza, (chociaż są także tylko olbrzymiałemi jeziorami,) czemużby jéj nie przyznać i trzeciemu, zwłaszcza kiedy mściwy duch Bajkału tak uporczywie o nią stoi?

Bo jest w Bajkale «duch».

I to fantastyczny, dziwaczny, obraźliwy, a nad wszystko: strasznie potężny.

Zaprawdę, musi być strasznie potężny, duch co wypiastował Dżyngischana i jego ideę.

Jako Duch prawdziwie Mongolski, odgrodził się od reszty świata pustyniami, i z gór zbudował sobie jurtę, na pozór ubogą, brunatną jak wszystkie jurty, poszytą wojłokiem z modrzewi, sosen i syberyjskich cedrów, ale wewnątrz napchaną stekiem łupów, na których zdobycie obrabował wnętrzności ziemi. Stoją do koła olbrzymie skrzynie z granitu i gnejsu, które Duch zazdrosny szczelnie pozamykał, bo w nich trzyma, tarcze z lapis-lazuli pokryte hieroglifami złotych żyłek, lampy zaklęte w pryzmatach skrysztalonéj siarki, axamity czarnych turmalinów, powłóczyste i elektryczne jak rozkochane oczy, nakoniec klejnot miejscowy: *bajkalit*, najulubieńszy Duchowi jeziora, sino-krwawy sygnet, którym pieczętuje swe nazwisko.

W zimie, Duch inaczéj ubiéra swoje mieszkanie.

Już pod jesień, wichry północy spadają na jezioro, biją fale świszczącemi skrzydliskami, wy-

dzióbują w nich świdrowate wiry,—ogrom wód aż ze dna wyruszony, przewraca się na łożysku jak w gorączce.

Już wszystkie wody północnéj Azji zamarzły, a Bajkał jeszcze niemoże stanąć; za mocno jego serce bije. Co skorupa z lodu się zetnie, to chaos podwodny ją rozkruszy. Olbrzymia szyba, z pod spodu uderzana, pryska w tysiąc rozłamów; bryły lodu krążą ze zgrzytem, jedne drugim wchodzą na grzbiety, przewalają się z bałwanami. Nurt je wyrzuca na pobrzeża, układa z nich równoległe wały, potém wodą je obryzguje, spaja skrzepłemi sklepieniami, i tworzy z nich pół-przejrzyste krużganki, pełne błękitnych zagłębień i tęczowych widziadeł.

W téj porze, wszelkie stosunki między obu brzegami są przerwane. Tłumy podróżnych, karawany kupców, czekają po dwóch stronach niecierpliwie, a jeśli jaki zuchwalec puści się z junactwa, albo goniec rządowy poleci z nakazu, musi lądem okrążać jezioro, i to po jakich drogach! Po steczkach zawieszonych jak nić nad otchłanią, po schodkach wykuwanych w żywéj skale, po dolinach zaprzepaścionych śniegiem, który cicho połyka biegúna i jeźdźca.

Nakoniec około Nowego roku, całe jezioro staje nagle jedném źwierciadłem lodu, i to już takiém gładkiém, że najlżejsza kiść śniegu nieniemoże się na niém utrzymać,—tak przezroczy-

stém, że wzrok ludzki rozeznaje bałwany wierzgające pod kryształowym pomostem.

Podróżni wjeżdżają na źwierciadło, ale wnet przystanąwszy, podsłuchują..... Czy niebo się przewróciło? Pod ich nogami.... grzmi. Patrzą jedni na drugich i szepcą:

— Słyszycie? Bajkał się gniéwa.

Rzeczywiście, Duch niemoże sobie nigdzie znaleźć miejsca; mimo najtęższych mrozów, przez całą zimę prowadzi szturm podwodny. Lód kurczy się, rozpęka w długie szpary, strzela gromowemi hukami,—a podróżni wciąż jadą; jeśli wiozą ciężki ładunek, rzucają na przepękniętą przepaść rodzaj kładki z długich brył lodowych; ale jeśli zaprząg u nich lekki, a szpara niezbyt szeroka, przeskakują tę paszczę śmierci, z końmi i saneczkami, jednym rzutem. Szaleństwo Bajkału ogarnia i ludzi.

A z boku, z po-za śnieżystéj zaspy, mruga wązkie, ospałe oko, i cóś krąży jakby ruchoma kupa śniegu; to biały niedźwiédź kręci głową, dziwuje się latającym koniom, i podgląda gdzieby tu przydybać samotnego wędrowca?

Ale już słońce dogrzéwa z dziwną mocą. Wracaj niedźwiedziu na syberyjskie leże, tu nad jeziorem wybucha wiosna gwałtowna, zawrotna jak namiętność w pustyni. Pod jedném jéj spoj-

rzeniem, lody roztajały na piersiach Bajkału, zewsząd sypią się kwiaty, a wszystkie prawie żółte, jak zasłona Chańskich wybranek. Na wiérzchołkach gór przebłyskuje żółta goryczka, nad wodami kołyszą się żółte lilje, a las wszędzie podszyty różokrzewem daurskim, co przysiadłszy pod ulubioną sobie ciemnicą drzew iglastych, wypuszcza na wiosnę zatrzęsienie żółtego kwiecia, i cały las przeszywa złotemi iskrami.

W zieleni, pełno tajemniczych szmerów. Tu jeleń łamiąc gałązki, gniewnym ruchem wyplątuje rogi,—niżéj dzik mignął w czarnym gąszczu, sam jakby czarna plama, tylko białością kłów zdradzona, — ówdzie przemknął piżmowiec podobny do zgrabnéj antylopy,—za nim ryś cętkowany upadł cicho na pilśniowe łapy;—z jamki nadbrzeżnéj wydra furknęła do wody,—a w wodzie aż tłoczno od rybiego narodu, zwłaszcza od tych sławnych «omuli», których trudno wyliczyć setne odmiany i zalety.

A słońce tymczasem coraz wulkaniczniéj rozparza powietrze. Tysiące żółtych motylów krążą nad falami, tworząc Bajkałowi złocistą kotarę; — po skałach nadbrzeżnych, różnobarwne mchy i porosty rozwieszają kobierce, jakby na

przejazd jakiegoś monarchy, — a Duch jeziora pławi się w płomieniach i promieniach, — syty rozkoszy, śpi.

Jednak od czasu do czasu, nawet i w téj senności, przypomina sobie swoje Mongolskie nawyknienia, chciałby cóś łamać, cóś niszczyć, z głębin ziemi na oślep wyciąga srebrne ręce, i trzęsie posadami jurty. Wtedy skały drżą, cała środkowa Azja drży.

Trzęsienia ziemi stanowią wybitną właściwość okolicy Bajkalskiéj. Rzadki rok, coby ich dwa lub trzy nie naliczył. Moc ich, niezbyt gwałtowna, jak moc razów przez sen zadawanych, budynkom niewiele szkodzi, ale serca ludzkie zawsze napełnia świętym strachem. Krajowcy patrzą po sobie, blednąc i szepcąc:

— Wielki Duch się gniéwa.

Kształt Bajkału wygięty jest na grzbiecie Azji półokrągło, jak łuk na plecach Tatara. Łuk to niezmiernie wielki,—ma sto mil długości—, ale wązki; w samym środku, gdzie najwięcéj nabrzmiał, ledwie piętnaście mil przedstawia od brzegu do brzegu. Po obu końcach zwęża się jak sierp.

Od wschodniéj strony, góry przygłaskane w dość łagodne stoki i doliny, otwiérają przej-

ścia dla tłumu wód nadbiegających z haraczem. Dwieście rzek wpada po téj stronie do Bajkału, tworząc pod źrenicą jeziora niby rzęsę błyszczącą, zagęszczoną jeszcze tysiącem potoków i strumieni.

Ale od zachodniéj strony żadna woda niéma dostępu. Tu jezioro jęst zamurowane. Olbrzymie półkole z granitu, ścięte prostopadle jak ściana warowni, zamyka zewsząd Święte morze. W jedném tylko miejscu, opoki się rozstąpiły — niby jakimś mieczem czarodziejskim rozcięte — i tędy Bajkał wyrzuca nadmiar wód jakie go przepełniają. Z dwustu rzek co po tamtéj stronie wpadły, tu tworzy się tylko jedna, Angara. Ale téż ta Angara kipi, wre i pędzi z takim gwałtem, że nawet na trzydzieści stopni zimna nie może zamarznąć. Miejsce w którém wypływa z jeziora, ludzie zwą *Wrotami Bajkalskiemi.* I są tam rzeczywiście «wrota», które sama przyroda zbudowała. Słup skalisty, cienki jakby filar, występuje samotnie z wody, i przerzuca się aż do brzegu bajeczną arkadą, pod którą przepływają zdumieni żeglarze.

A przepływają tamtędy nietylko dla podróży albo rybołostwa, ale i dla strasznéj próby sądowéj, bo za temi Wrotami, na środku Angary, leży *Święty kamień.*

Z pozoru, kamień to jak wszystkie inne; prosty odłam skały, sterczący z pomiędzy fal wspienionych.

Tak,—ale ma cudowną własność.

W obec niego nie można ani krzywoprzysięgać, ani fałszywie świadczyć, ani nawet na żart oszukiwać. Duch strzegący kamienia, karze najstraszliwiéj, bez miary, wszelkie rozminięcie się z prawdą.

To też nietylko dawniéj, ale i dziś jeszcze, w obec tego urwiska, Burjat za nic w świecie nie skłamie.

Mongołowi nie wierz nigdzie i nigdy, ale jeśli ci przysiągł na «Kamień Angarski», wtedy mu ślepo wierz.

Cudowny zaprawdę kamień, co najkłamliwsze pod słońcem plemię, umié zmusić do prawdomówności!

Jest w około jeziora wiele innych jeszcze miejsc, słynących z tajemniczéj potęgi. Są nadpowietrzne dzióby skał, są podwodne labirynty lochów, gdzie się dzieją dziwy niepojęte dla ludzi. Dzięki to zapewnie tym nadziemskim zjawiskom, Bajkał został nazwany morzem *świętém*.

Ale z tych wszystkich miejscowości cudo-

wnych, najcudowniejszą, najsłynniejszą, jest wyspa Olchon, rzucona w samym środku jeziora.

Sława jéj brzmi nietylko nad Bajkałem; daleko, szeroko, brzmi po całéj północy; od kraju wież porcelanowych aż do morza Lodowatego, nazwa Olchonu wstrząsa każdém sercem, każde czoło schyla ku ziemi.

Bo na Olchonie człowiek spotyka to, do czego zawsze wzdycha, czego wszędzie napróżno szuka, rzeczy *nadprzyrodzone*.

Wyższe Moce obrały sobie wyraźnie Olchon za siedlisko.

Wschodni brzeg wyspy jest piaszczysty; zwolna wznosi się w grube stopnie, aż do dziwnéj opoki zwanéj «Czaszą Dżyngischana». Im daléj, tém krajobraz dzikszy. Nakoniec, u krańca północnego, pojawia się, strzelająca w chmury, «czarna» skała Szamańska, tak zwa-*Achu-czołan*, czyli *Straszna skała*.

W jéj wnętrzu ma być pieczara, ze wszystkich stron zamknięta, gdzie Duchy same sobie wykuły świątynię.

Ta skała jest czczona jako najwyższa świętość.

Tam przeszłość się tłumaczy. Tam przyszłość się odsłania. Tam uzdrowienia najpewniejsze. Tam przepowiednie najprawdziwsze. Tam

człowiek najłatwiéj wchodzi w stosunki z istotami zaświatowemi.

Olchon, to stolica Szamanizmu.

Ale cóż to jest Szamanizm? Jakaż to religja? I jest-że to religja?

Rozdział dla spirytystów i magnetyzerów.

Nic nowego pod słońcem. Osiemnastemu wiekowi zdawało się, że z Mezmeryzmem odkrył świat zupełnie nowy. Ameryce dziewiętnastego wieku, wydaje się że pierwsza stworzyła cudowne «medium'y.» Dzisiejsi Spirytyści, marzą po cichu o wielkiém wszech-światowém stowarzyszeniu, coby zawładnęło umysłami, ludami, państwami, i za pośrednictwem swych «adeptów», oddało zarząd rodu ludzkiego—Duchom.

A marzą nieśmiało, niedowierzająco. Uważają swój zamiar za utopję, możebną chyba w jakiéjś oddalonéj przyszłości.

Tymczasem, niech się obejrzą w przeszłość.

Ta utopja była już próbowana, i — wypróbowana.

Nie mówimy tu o Hierofantach Egipskich, ani o Pitjach i Sybillach, ani o dziwach Średnio-

wiecznéj Magji, bo to wszystko były przejawy dorywcze, lękliwie ukrywane pod zasłoną tajemnic, nie wpływające jawnie ani stale na rządy narodów.

Mówimy, o tém potężném stowarzyszeniu magnetyzerów, czy hypnotyzerów, czy mediumów, słowem tych Arcy-spirytystów, którzy przez długie lata, i to z odkrytém czołem, rządzili całą północną Azją, a któremi byli — Szamanie.

Dziś nawet, pomimo głębokiego swojego upadku, Szamanie jeszcze przechowali mnóstwo sekretów, o jakich się nie śniło Ameryce ani Europie.

I tak,—znają własności pewnych grzybów po których zjedzeniu wyśniwa się przyszłość.

Znają pewien sposób ustawiania zwierciadeł, który sprawia, że osoba siedząca przed niemi, widzi tam rzeczy niebywałe i niewytłumaczone.

Wirujących deszczułek, pukających lasek, używali już od całych wieków, jako najzwyklejszych narzędzi do wróżenia.

I takich «sekretów» posiadają bez końca.

A już w niczém nie są bieglejsi, jak w znajomości magnetyzmu.

Xiążek o nim nie piszą, w teorje się nie bawią, ale badają go praktycznie, na samych sobie, wytrwale, niezmordowanie. To też doszli do skutków, zupełnie dla nas niepojętych.

Szaman umié, kiedy tylko zechce, przechodzić w stan jasnowidztwa.

I nawet nie potrzebuje pomocy magnetyzera. Wprowadza się w ten stan własnowolnie, przez jakiś taniec osobliwszy, po którym zapada nagle w sen.

Tak uśpiony, daje odpowiedzi na czynione sobie zapytania.

I jest to w całém znaczeniu tego słowa, prawdziwe *jasno-widzenie.*

Opisy wszystkich podróżników świadczą jednogłośnie, że przepowiednie Szamanów się spełniają—że środki przez nich doradzane, leczą — że ich opowiadania o rzeczach i osobach oddalonych, okazują się zgodnemi z rzeczywistością.

Wprawdzie, każdy podróżnik przytacza tylko jeden albo dwa przykłady, i niemylność ich przypisuje zazwyczaj szczęśliwemu trafowi, ale tych «szczęśliwych trafów» można zebrać tyle, że w końcu czytelnik pyta ze zdumieniem:

— Cóż to za jakieś dziwne *szczęście*, które tak nieustannie się powtarza?

A przychodzą też czytającemu do myśli, i różne inne zapytania.

— Gdzie Szamanie zdobyli swój skarbiec tajemnic?

— Zkąd przynieśli te szczątki jakiéjś olbrzymiéj, zatraconéj nauki?

Wieść daleka szepce, że z pod gór Himalajskich, z owéj «kolébki narodów», gdzie wszystkie podania umieszczają Eden, gdzie wyrosło «drzewo wiadomości dobrego i złego.»

Rajskie zeń owoce, tak słodkie jak i gorzkie, ludy rozniosły kolejno po wszystkich krańcach ziemi, ale szypułki tych owoców odnajdują się zawsze na pierwotnym gruńcie, w sercu Azji.

Szamanie sami, symbolicznie stwierdzają wieść o téj wędrówce, kiedy od niepamiętnych czasów aż do dni dzisiejszych, odprawia się u nich coroczna ofiara dla *Duchów południa*, jakoby rzewne przypomnienie utraconéj ojczyzny, utraconego raju.

Musiało to się stać bardzo dawno.

Grecy ciągnący z Alexandrem Wielkim, już rozróżniali w Indjach dwa rodzaje mędrców: Gimnosofistów, albo *nicodzianych*, przezwisko nadawane Braminom,—i Samanejczyków, albo *panujących nad sobą*, przydomek zaprawdę najpiękniejszy dla mędrca.

Braminowie, długą pracą, posiedli wiedzę i władzę. Ale wiedzę zostawili wyłącznie dla siebie—a władzą, resztę ludzkości zamurowali w kasty.

Samanejczycy, przechowujący jeszcze wtedy nieskażone pojęcia pierwszych czasów, podnieśli wielki wykrzyk ducha, w obronie skrępowanego społeczeństwa.

Jedna ich część, śmielsza czy szczęśliwsza, pozostała w Indjach, gdzie rozwinąwszy się następnie w Buddyzm, do téj chwili jeszcze walczy z Braminizmem.

Druga część, gnana zapewnie straszném jakiémś prześladowaniem, wyszła za góry, aż na daleką północ, a tam znalazłszy ciemne, ubogie, plemiona Mongołów i wielu innych pokrewnych im ludności, zapanowała nad wszystkiemi, pod niezmienioną prawie nazwą Samanejczyków — Szamanów.

To wychodźtwo z Indji, musiało—powtarzamy — zajść w czasach niezmiernie odległych,

jeszcze przed ukształtowaniem się między niemi jakiejkolwiek hierachji, bo w Szamanizmie niéma jéj ani śladu.

Żadnych tam stopni—żadnych święceń—żadnéj wyłączności.

Kobiéty na równi z mężczyznami pełnią to kapłaństwo.

Kto tylko chce, zostaje Szamanem lub Szamanką.

Poczuwszy bodziec powołania, wybrana istota idzie w najgłębsze lasy, i tam oddaje się jakimś tajemniczym ćwiczeniom, których żaden Europejczyk jeszcze dotąd nie zbadał.

(Wiadomo tylko, że między wielu innemi warunkami, nakazane jest i «schwytanie wydry.» — Czyżby futro tego zwierzątka posiadało jakieś własności magnetyczne?)

Po kilku latach takiego zaprzepaszczenia się w puszczy, samotnicy i samotnice wychodzą z niéj zupełnie inni, jacyś straszni, na wpół zdziczali, ale obdarzeni nadprzyrodzonemi władzami.

Wprawdzie próba ta, nie zawsze doprowadza do celu. Zdarza się—i to bardzo często—że człowiek co chciał zostać Szamanem, nie posiada potrzebnych usposobień ani do somnambulizmu, ani do «podwójnego wzroku», ani do żadnych innych, pożądanych mu zjawisk. Wtedy, z rozpaczy, z gniéwu, niechcąc uchodzić w oczach

rzeszy za upośledzonego, rzuca się na kuglarstwa. I wówczas jednak jeszcze zdobywa sobie często powodzenie, bo rzesza, dawno przekonana, dawno do czci nawykła, wszystko już przyjmuje z dobrą wiarą.

Tak,—są Szamanie fałszywi, sztuczkami zastępujący sztukę,—ale to nie dowód aby wszyscy mieli być takiemi.

Owszem: każda rzecz *podrobiona*, pokazuje najlepiéj, że musiał najprzód istnieć jakiś wzór prawdziwy, i to bardzo cenny, kiedy warto było go podrabiać.

Za wielką starożytnością Szamanizmu, przemawia i niezmierna prostota jego zasad, przypominająca pojęcia czasów patryjarchalnych.

Nakazywał on wiarę w jednego tylko Boga, Stworzyciela wszech-rzeczy, i uznawał istnienie wielu Duchów pośrednich.

Bogu, nie śmiano stawiać świątyń — ani składać ofiar— ani wyobrażać Go pod żadną postacią—ani nawet nadawać Mu imienia, oprócz allegorycznéj nazwy *Tangri*, która dosłownie oznaczała *niebo*.

Duchy, nosiły ogólną nazwę *Ongonów*, a każdy z nich miał jeszcze swoje osobne imię.

Ongonom składano błagalne ofiary, bo te istoty, choć niższe i stworzone, mogły ludziom wielce pomagać lub szkodzić.

Jak widzimy, Szamanizm nie spadł do bałwochwalstwa, nie przeszedł w potworność wielobóstwa, — i on jednak z czasem się przerodził, a nawet i wyrodził, ale to na drodze zupełnie odmiennéj, wyróżniającéj go z pomiędzy wszystkich innych zbłąkań umysłu ludzkiego.

Szamanie głosili, że za pomocą swoich cudownych uśpień, połączonych z tysiącem innych obrzędów i zaklęć, umieją wchodzić w stosunki z Ongonami, a wtedy mogą wyjednywać u nich dla każdego łaskę lub niełaskę.

Takie obietnice były upajające. A gdy jeszcze dłuższy czas okazał, że prawie nigdy nie zawodzą, ludzie rzucili się do Szamanów, jako do pośredników między dwoma światami. Rzucili się tłumnie, namiętnie, bez pamięci. Każdy chciał cóś otrzymać. Każdy chciał wiedzieć swoją przyszłość. Nieśmiano już nic postanawiać ani czynić, bez porady u Duchów podsłuchanéj.

Powoli, wszystko przeszło w ręce Szamanów. Zawładnęli, nietylko rządzonemi ale i rządzącemi. Potrafili wszystkim natchnąć zarówne posłuszeństwo, zwierzęcą niemal odwagę, i bezgraniczną wiarę w swoje szczęście. Aż dźwi-

gnięta nagle tém pchaniem na oślep, Mongolszczyzna dosięgła takich szczytów potęgi, do jakich najoświeceńsze narody nie doszły.

Chwała więc tryumfów Mongolskich, po największéj części należy się Szamanom.

I oto ujrzano, widowisko jedyne w dziejach, usprawiedliwiające poniekąd zachodnią powiastkę o «Tatarskich czarach.»

Większą częścią świata rządzili Mongołowie—Mongołami rządzili Szamanie—Szamanami rządziły Duchy.

Tak została urzeczywistnioną utopja Spirytystów.

Jakież wydała owoce?

Według zeznania całéj ziemi—najopłakańsze.

Jakoś pod rządami Duchów, zaczęło być na świecie jeszcze gorzéj, niż pod rządami najgorszych ludzi.

Mord—rabunek—ciemnota—i pustynia.

Dla czego to?

A! Tu leży wielka nauka, jaką historja wypisała na przestrogę dla wszelkich rodzajów Spirytyzmu.

Szamanie popełnili błąd,—jeden—ale nieobliczony w następstwa.

Zamiast badać wolę wielkiego Tangri, badali wolę Duchów pośrednich.

A zapomnieli, czy też nie chcieli pamiętać, że duchy są rozmaitéj moralnéj wartości.

Narazili się więc na zależność, na duchową niewolę u jakichś istot zagadkowych, których nieznali pochodzenia, zasad ani celów.

Takie niebezpieczeństwo grozi każdemu człowiekowi, co sztucznemi środkami chce wtargnąć w świat nadprzyrodzony.

Wtargnąć można, — ale czy się godzi bez wyraźnego upoważnienia *ztamtąd?*

I nawet..... czy się opłaci?

Jeżeli dobre siły same chcą nas nawiedzić, o! wtedy zawsze znajdą do nas drogę, potrafią nam się objawić na tysiąc sposobów, (i to nieszkodliwych dla rozumu, nie zagrażających spokojności sumienia,) bo przychodzą nie z własnéj fantazji, ale z wyższego nakazu, w jakimś celu poważnym.

A i wtedy jeszcze, jakże dusza powinna ostrożnie je witać! Jakże powinna surowo pró-

bować, czy ci posłańcy są rzeczywiście posłańcami, a nadewszystko, czyjemi?

Ale jeżeli człowiek, przez czczą tylko ciekawość, albo przez chciwość na korzyści ziemskie, wdziera się gwałtem do sfery, która niepróżno jeszcze jest przed nim zamknięta, jeżeli między duchy wchodzi niepowołany, wtedy samochcąc się naraża na różne niespodzianki, których doniosłości nawet przewidzieć nie może.

A najprzód, prawdopodobnie czeka go przyjęcie, jakie zwykle czeka «nieproszonych gości.....» oberwie tam niejeden szwank duchowy.....

Co gorzéj: wszystkie złote bramy, zastanie zamkniętemi. Jeżeli jakie się przed nim uchylą, to chyba jakieś drzwi podrzędne.

Bo między duchami jak i między ludźmi. dobre towarzystwa są wybrédne; ta wybrédność właśnie czyni je wyborowemi. Trudno się do nich dostać.

Do złych, zawsze łatwo. Same ciągną — same werbują każdego co się nawinie—aby wyzyskać, oszukać, i — rzucić.

I tu znów jak między ludźmi: im duch gorszy, tém lepiéj oszukuje.

Niechcemy twierdzić ażeby Szamanie trafiali zawsze na same złe duchy, ale trafiali na *różne*,

a w nierozważnéj pokorze, wszystkim byli równo ulegli.

I znalazła się na świecie religja bez żadnej moralności.

Bo tam, nie to było dobrém, co samo z siebie jest dobrém, ale to co się Duchom podobało.

A Duchy, jak na nieszczęście, różniły się w zdaniach.

Co się podobało Duchowi z Bajkału, mogło się niepodobać Duchowi z Irtyszu, i tym podobnie, bez końca.

Badanie tych różnych «upodobań», stało się nieustannem zajęciem, głównym obowiązkiem Szamanów. Praca zaprawdę olbrzymia, bo Duchów były tysiące, miljony; posiadała je każda woda i góra, każda miejscowość i czynność. Wszystkim się przypodobać, żadnego nie obrazić, to istotnie sztuka nad sztukami, dyplomacja trudniejsza niżeli wszystkie ludzkie.

Można pojąć, jaki chaos wyobrażeń powstał z tylu odmiennych i sprzecznych sobie nakazów. Na miejsce owéj pierwotnéj, prostéj wiary, stanęły tysiące zabobonów, tysiące doświadczeń, przechowywanych starannie, jako recepty *na szczęście*.

Bo teraz, o to już tylko pytano, co może «poszczęścić?»

Granica między złém a dobrém nikła. Zmieniało się nawet zupełnie ich znaczenie; dobre, nie było równoznacznikiem cnoty, alę powo-

dzenia, — złe, nie oznaczało występku, ale niepomyślność.

Do takich to zasad, a raczéj braku zasad, nieznacznie doszli Szamanie. Tak wychowali wierne sobie plemiona.

I zaczęło się dziać w duszach, jak w państwie źle zbudowaném, gdzie rządzi, nie prawo, lecz najwyuzdańsza samowola zwierzchników.

To też Mongołowie przywykli do zapatrywania się na Duchy i na Szamanów jak na przedajnych urzędników, których można sobie ujmować pokłonem i datkiem.

I trzeba przyznać, że Duchy dawały się przekupywać; pełnemi dłońmi sypnęły im szczęście; niéma w dziejach przykładu, równie szalonego a niezasłużonego powodzenia.

Ale takie też to było i szczęście! Prawdziwie «doczesne», to jest ograniczone *do czasu*, i to do krótkiego;—szczęście fałszywe, bo zostawiające po sobie, niesmak, zepsucie i powszechną nienawiść.

Nie uszczęśliwili więc Szamanie swoich wychowańców. Zatracili w nich jasne pojęcie sumienia, i za to już samo, wszystkie prawie grzechy Mongolizmu, przed sądem potomności, spadają na ich własne sumienie.

Przed sądem boskim jednak, może oni okażą się jeszcze mniéj winnemi, niż ci którzy by chcieli dzisiaj, na tenże sam sposób zawładnąć duszami.

Co można wpół wybaczyć poganom, szukającym dopiéro dróg do światła, to byłoby grzechem nigdy niedarowanym, grzechem «przeciwko Duchowi Świętemu», w społeczeństwie Chrześcjańskiém, tam gdzie już przed dziewiętnastu wiekami, padły z ust proroczych te słowa:

«Nolite omni spiritui credere, sed probate spiritus, si ex Deo sint.»

Słowa, które największy z naszych wieszczów przekuł na marmurowy dwuwiersz:

«Nie w każdego wierzaj Ducha,
«Lecz doświadczaj czy jest z Boga.»

Królestwo Xiędza Jana.

Poniżéj Bajkału, na przestrzeniach rozpostartych z obu stron szeroko jakoby dwa skrzydła, zdawien dawna koczowały niezliczone pokolenia pasterzy.

Sam już ten rodzaj zajęcia, przynaglał je do nieustannéj zmiany miejsca. Jak tylko trzody objadły jeden obszar, zaraz pasterze musieli ciągnąć daléj, aby znaléźć pastwisko świéże. a tamtemu zostawić dosyć czasu na pokrycie się nową trawą. Tak ziemia, ciągle przed niemi czerniała, za niemi znów się zieleniła.

Jednak ten żywot nie był wcale słodką sielanką. Powietrze ostre, ziemia uboga w roślinność, czyniły tam ludzi twardemi. A mieli w sobie i cóś tajemniczego; ciągłe przestawanie z trzodami, nadało im znajomość wielu dziwnych skrytości przyrodzenia, i ten rodzaj osobnéj siły magnetycznéj, z jakiéj wszędzie słyną pasterze,

zwłaszcza też owczarze, a która usposabia do rzeczy albo świętych, albo wyklętych, ale zawsze po-za-światowych.

Miłowali jednak ten swój tułacki żywot, i za nic w świecie nie chcieli go zamienić na inny, bo dogadzał swobodzie i lenistwu, a lenistwo — jak niestety każdemu aż nadto wiadomo — jest prawdziwą namiętnością, może ze wszystkich najtrudniejszą do pokonania.

Mieli też poniekąd i słuszne usprawiedliwienie: ziemia ich, rzadko gdzie nadawała się do uprawy, a przy ciągłéj włóczędze, trudno było myśléć o rzemiosłach albo naukach.

Żyli więc z dnia na dzień, małém się obywając, ale w gruńcie duszy czuli swoją biédę, i z zawiścią spoglądali na sąsiadów.

Temi sąsiadami były na północy, zrzadka rozsiane pokolenia, którym Grecy nadawali miano Hyperborejczyków, a które w Azji nosiły nazwę *Ludzi leśnych*. Żyły one wyłącznie z myślistwa, pośród lasów Syberyjskich, naówczas nieprzebytych i nietkniętych. Ludy te, chociaż postawione w ciężkich warunkach życia, tchnęły dziwną filozofją czy dobrodusznością, uważały się za najszczęśliwsze pod słońcem, i patrzyły z litością, a nawet z pogardą, na ludy trudniące się czémkolwiek inném niż łowiectwem, zwłasz-

BIBLIOTEKA SŁAWNA

cza też na ludy pasterskie. Tam największą karą, jaką matka lub ojciec mogli nastraszyć córkę, była groźba że ją wydadzą za pastucha, co każe jéj pilnować owiec; nieraz bywało, że pod takiém zagrożeniem, dziewczyna powiesiła się z rozpaczy.

Zaprawdę, koczownicy niemieli tak bardzo czego zazdrościć «ludziom leśnym»; jednak, było i tam pewne bogactwo, niezmiernie dla nich powabne; przykrzyła im się ich prostacka wełna, kłuły ich w oczy pyszne sobole, lisy i niedźwiedzie, w których ci myśliwi chodzili, sami podobni do niedźwiedzi. Ztąd, nieustanne walki między «kożuchami» a «futrami».

Ale te walki, były to tylko drobne harce, w porównaniu do innéj wojny, jaką pasterze toczyli z sąsiadami południa.

Tam, niby olbrzymie mrowisko, roił się niezrachowany szczep Chiński, najgorętszy miłośnik, i kto wié czy nie pierwszy wynalazca rolnictwa?

— «Tym sposobem,» — odzywa się jeden ze znawców Orjentu — na lądzie Azjatyckim, tak samo jak i w dziejowym porządku cywilizacji, ludy pasterskie stały pomiędzy myśliwskiemi a rolniczemi.

Można było w tym żyjącym obrazie, w téj niejako drabinie jeograficznéj, badać kolejne stopnie rozwoju ludzkiego.

Chiny, wyobrażające niegdyś żywioł najpostępowszy, przedstawiały pasterzom istny raj obfitości, istną krainę cudów. Już co tam, to naprawdę było czego zazdrościć. Ziemia, na tysiące mil uprawna jakby jedna grządka kwiecista — osiatkowana mistrzowską sztuką nawodnienia — ogrody misterne, zatrzęsione owocami, którym sztuka umiała nadać nieznaną gdzieindziéj słodycz i soczystość — domy wygodne, o ścianach połyskliwych i kolorowych, o dachach grających dzwoneczkami — jadło wyszukane aż do najwybredniejszego smakoszostwa — ubiory..... ach, te może najbardziéj kusiły..... to już nie żadne tołuby z baranków ani nawet soboli, ale jedwabie i nankiny, miękkie, lekkie jak listek róży, zręcznie skrojone, cudownie wyszywane.

A w tych prześlicznych domach, w tych prześlicznych strojach, ludzie grzeczni i wykształceni, kobiéty zgrabne, różowiuchne i miłe jak figurki porcelanowe. Wszędzie, cześć domowego ogniska, posunięta do nabożeństwa — poszanowanie prawa, posunięte do zaparcia się własnéj osoby — religja, czysta aż do bezbarwności — filozofja i wszelka wiedza, uważane za najwyższe dobro — rzemiosła i kunszta, dokonywające

dzieł niedoścignionych—rządy, sprawowane nie przez najsilniejszych ani najbogatszych, ale przez najuczeńszych — słowem, cywilizacja wspaniała, najstarsza jak się zdaje na globie, a więc najzasłużeńsza i najbardziéj twórcza, bo niemająca poza sobą żadnych wzorów — niezmordowana pracownica, która jak jedwabnik, musiała wszystko z saméj siebie wysnuwać.

Możnaż się dziwić, że ta ziemia kwitnąca, rozlubowała się w swoich pięknościach, i przyjęła nazwę *Państwa środkowego*, jakby tworzącego żywotny «środek» świata? Nazwa była pyszna, lecz poniekąd i słuszna: w pierwszéj dobie dziejów, tam rzeczywiście biło serce świata.

Ale te wszystkie warunki pomyślności, były popsute i niemal zniweczone przez jedno wielkie nieszczęście. Ziemia Chińska, jak nasz Florjan Szary, cierpiała na pewną bolesną dolegliwość, z któréj żaden monarcha niemógł jéj wyleczyć—miała «złego sąsiada.»

Łatwo sobie wyobrazić, z jaką żądzą, z jakiém łakomstwem, pastuchowie patrzyli na tę krainę szczęśliwości. Nie nęciły ich do niéj piękne prawa ni filozoficzne xięgi, ale nęciły atłasy i kitajki, malowane misy i pozłociste parasole, wszystkie cudne cacka w które dobrobyt powoli porasta. Nie rozumieli, że ten dobrobyt wykwitnął właśnie z owych xiąg i ustaw. Nie

rozumieli, albo nie chcieli rozumieć, że i oni przy równéj pracy, mogliby się dorobić równych plonów. A!..... Po co praca? Oni woleli bez trudu przyjść do gotowego. Więc rojami całemi pchali się, jak szerszenie do ula, aby wyżérać miód cudzym trudem zebrany.

Biadaż wtedy była skrzętnym pszczółkom! Łupiezcy zabiérali wszystko co tylko się dało unieść, a najchciwiéj tłumy niewolnic i niewolników, bo te, zapędzone do koczowisk, pracowały odtąd na zbytki, wygodę i rozkosz swoich panów, podczas kiedy oni, rozparci wśród kobierców, mogli wieść żywot równie gnuśny jak dawniéj, ale już teraz we wszystko obfitujący.

Wprawdzie zdawało się, że sama przyroda chciała Chińską ziemię obronić, oddzielając ją od pasterzy całą pustynią Gobi, prawdziwym oceanem piasku. Ale dla jeźdźców, otrzaskanych ze wszelkiemi gniéwami żywiołów, pustynia stała się owszem otwartym gościńcem. Naprożno ich odpędzano wstępnym bojem, darami, wybiegami przewrotnéj polityki. Zdobycz była zanadto ponętną. Napastnicy, sto razy odpędzani, sto razy powracali, z uporem ćmy cisnącéj się ku światłu.

Chińczycy doprowadzeni do rozpaczy, wpadli na pomysł bajecznie śmiały, najśmielszy może jaki się kiedykolwiek zrodził w ludzkiéj gło-

wie, postanowili, całą swoją północną granicę, obwarować i zamknąć jakby twierdzę. Powstał *Mur Chiński*, niezaprzeczenie jedno z największych dziwów naszéj planety. Dziś nawet, choć już dwa tysiące lat przetrwał, choć po części w gruzy się rozsypał, jeszcze widza wprawia w osłupienie. Wyrachowano, że materjałami na ten Mur zużytemi, możnaby całą kulę ziemską, nie raz ale dwa razy pod równikiem opasać. Ogrom dzieła, dowodzi ogromu niebezpieczeństw i cierpień jakie go wywołały.

Ale i to genjalne szaleństwo, z Chińską cierpliwością wykonane, jeszcze okazało się niedostateczném. Wstęga Muru, chociaż najdłuższa i ciągle przydłużana, zawsze przecie musiała się gdzieś kończyć? Więc najezdnicy zawsze potrafili, czy z tego czy z owego końca ją okrążyć, a czasem nawet i pośrodku przeskoczyć, bo im daléj się rozciągała, tém trudniéj było wszystkich jéj części upilnować.

A przytém, wśród ciągłych napadów i utarczek, pasterze wprawili się w krwawe rzemiosło. Hodowanie trzód zeszło już u nich na podrzędne zajęcie, wojna stała się głównym ich celem i namiętnością. Już to nie były obdarte rabusie, ale straszni wojownicy, wyrastający powoli na wielkich zdobywców.

Ta walka, olbrzymia, bo przedstawiająca walkę nietylko szczepów lecz idei, stanowi jedną z najpierwszych i najtragiczniejszych kart historji, a wyższa ręka co wszystkiém kieruje, umiała i téj walce nadać cel żywotny; owe plemiona koczownicze, na pozór nieużyteczne, wiecznie krążące w niepokoju, wiecznie czyhające na dorobek ludów osiadłych, stały się jakimś niby kwasem burzącym, rodzajem drożdży społecznych, które w ruch wprawiając Azję, a z nią i resztę świata, niedopuściły w dziejach śmiertelnego zastoju.

My którzy nawykliśmy do spoglądania z Ateńskiém lekceważeniem, na wszystko co wychodzi po-za ciasny obręb naszéj Europejskiéj Agory, my ludzie nowocześni, dziwnie pomiatamy zazwyczaj historją Azji, zwłaszcza téż północnéj. Tylko wielcy uczeni, Orjentaliści z powołania, zapuszczają się w ten *Matecznik* narodów. Zwykli dziejopisowie, zbywają czytelnika pobieżną wzmianką, że to a to:

«stało się w skutku wielkich przewrotów zaszłych w Azji.»

Ale jakie były te «wielkie przewroty,» o tém już ani wspomną, jak ci Braminowie co tłumaczą:

«Że świat stoi na wielkim słoniu.»

— A na czém stoi słoń?

«Na wielkim żółwiu.»

Ale jeżeli ktoś tak jest niegrzecznie ciekawy, że jeszcze zapyta:

— Na czém stoi żółw?

Natenczas już nie umieją odpowiedzieć.

Czytelnik też najczęściéj przejmie się obojętnością pisarza, i ruszywszy ramionami, powié:

— E! Co nas tam już dzisiaj obchodzą stare kłótnie hord barbarzyńskich?

O, przepraszam! Obchodzą nas, i bardzo.

One to wypchnęły wszystkich naszych przodków na ląd Europejski—one świat Rzymski zalały potopem nowych żywiołów — one w Średnich wiekach zmieniły kierunek dziejów, i kto wié czy jeszcze w przyszłości nieraz go niezmienią?

Bez dokładnego zbadania owych «starych kłótni», historjozof nigdy nie zrozumié i nowych. Będzie zawsze tłumaczył rozwój ludzkości ze stanowiska wyłącznie dzisiejszego, i stanie się podobny botanikowi co chcę roślinę poznać po samym jéj kwiecie; prawda, kwiat pracy wiekowéj stoi przed nim; ale gdzie łodyga i liście, a zwłaszcza gdzie korzenie? Kto te ostatnie chce odszu-

kać, ten musi zawsze i zawsze wracać myślą do Azji; tam spoczywa świat *przyczyn dziejowych*.

A spoczywa nietylko w Palestynie, w Indjach, Babilonie i Persji, ale i na stepach Mongolji, zkąd jak z pustego rozdroża, narody rozlatywały się na wszystkie wiatry. Tam to właśnie zachodziły owe tajemnicze *przewroty*, w których leży rozwiązanie najciemniejszych zagadek przeszłości.

Nauka, szpérając w odwiecznych xięgach Wschodu, odgrzebuje coraz nowe dziwy, zaklęte w tém cmentarzysku ludów. Przed nasze młode, pełne zdumienia oczy, wychodzi cały szereg państw nierozmierzonych, państw że tak powiem *kopalnych*, istne Mastodonty i Plesiosaury człowieczeństwa. Pamięć ich przez długie wieki leżała zagrzebana, a jednak były to cesarstwa i królestwa ogromne, trzęsły miljonami ludzi, odgłos ich powstawania i upadku odbijał się od bieguna do bieguna. Po niektórych już nic nie zostało tylko nagie imię. Po innych, majacząca legenda. Bo i tamta strona świata ma swoje legendy, swoją poezję, dziką i ponurą, ale potężną i roztęsknioną, jak wycie wiatru na pustyni.

A wszystkie te legendy gromadzą się tam około jednéj, niewielkiéj krainy, która wydaje się osią koczowniczego ruchu.

Każda strona świata ma taki uprzywilejowany zakątek, gdzie składa:

«Swych myśli przędzę, i swych uczuć kwiaty.»

Przysłowie Chińskie mówi: «Idzie woda do rzeki.» — Możnaby tak samo powiedzieć: Idzie sława do sławy. — Wszelkie państwo nowe, lubi się rozsiadać na szczątkach dawniejszego, jakby szukało piedestału dla swojéj wielkości, lub dotykalnych dowodów swojego tryumfu. Tak w Europie, Rzym nowy zasiadł na zwaliskach starego.

W północnéj Azji takim zbiornikiem wspomnień i podań, jest kraj leżący pod stopami jeziora Bajkalskiego. Wody te, rozlane półxiężycem, zamykają go ze strony północnéj; od południa, drugim półxiężycem zamyka go pasmo gór Karakorumskich, a trzy rzeki, Selenga, Orchon i Tuła, przerzynają go nakształt srebrnéj gwiazdy.

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Tam, według opowiadania pisarzy Ottomańskich, najstarszy praojciec Tureckiego szczepu, Kara-Chan,—współczesny Abrahama—czcił wielu bogów na niebie, i władał wielu plemionami na ziemi. Jak ogoniasta kometa, ciągnął za sobą niezliczone trzody baranów, koni, wielbłądów i ludzi. Tyle krain go słuchało, że rok ledwie mu wystarczał na odwiedzenie wszystkich,—

a główne obozowisko, leżące po środku, i gdzie zazwyczaj obiérał zimowe leże, nazywało się «Karakum.»

Ten groźny król pasterzy miał dwóch synów, którzy po zejściu rodzica, poszli do sprawiedliwego podziału. Wtedy zaszła rzecz dziwna: nie poróżnili się o ziemię, ale poróżnili się o niebo. Starszy, obyczajem przodków, składał ofiary wielu bogom, ale młodszy, Oguz-Chan, oświécony jakiémś tajemniczém natchnieniem, zaczął głosić że Bóg jest na niebie tylko jeden, i chciał odwieść brata od fałszywych ołtarzy. Tamten odpowiadał najprzód śmiéchem, potém gniéwem i groźbą, nakoniec dobył miecza na obronę swych bożyszcz. Przyszło między braćmi do strasznéj wojny, która trwała całe lat siedemdziesiąt, bo natenczas i życie ludzkie, i jego uciechy i cierpienia, były nierównie dłuższe niż w naszych «skróconych» czasach. Po latach siedemdziesięciu, gdy krew płynęła napróżno, Oguz-Chan, niechcąc dłużéj mieszkać wespół z bałwochwalcami, wywędrował na Zachód, i uprowadził za sobą wszystkie plemiona co wzięły do serca jego czystą wiarę.

Szli długo przez góry, pustynie i rzeki, aż trafili na ziemię przeznaczoną sobie od wielkiego «Jedynego» Boga, i wnet się w niéj rozlubowali. Były to kraje wielkie i wspaniałe, które z czasem od nich nazwano «Turanem», albo «Turkiestanem.» Tam Oguz-Chan osiadłszy już

samodzielnie, panował w niezakłóconéj pomyślności, tam doczekał się sześciu synów, których nazwał Chanami *Dnia, Xiężyca, Gwiazdy, Nieba, Góry* i *Morza.*

A widząc że są potężniejsi niżeli zwykli ludzie, pomyślał sobie:

— Trzeba ich rozesłać na wszystkie strony, ażeby cały świat podbili.

Ale przed tak wielkiém przedsięwzięciem, chciał się jeszcze poradzić wróżby.

Wyszedł więc ze swego namiotu, a zawoławszy synów, kazał aby dosiedli koni, rozbiegli się na wszystkie strony, i przynieśli mu pierwsze przedmioty jakie znajdą po drodze.

Pierwsi trzéj znaleźli trzy strzały; te, ojciec między nich rozdzielił. Drudzy trzéj znaleźli łuk, ale tylko jeden, a gdy rodzic niewiedział jak ich ma obdzielić, rozłamali go na trzy części.

Wtedy Oguz-Chan powiedział:

— Wy trzéj pierwsi, macie nosić nazwę «Trójstrzałowych», wam oddaję Wschód. A wy, coście łuk zniszczyli, macie nosić nazwę «Niszczycieli», wam oddaję Zachód. I będziecie jako dwa skrzydła jednego, drapieżnego ptaka, który szeroko rozgnieździ się po świecie.

Więc Trójstrzałowi wrócili ku ziemiom dziada Kara-Chana, zagarnęli pastwiska bałwochwalczego stryja, podbijali Tangut, Chiny, Koreję, szli ciągle a ciągle na Wschód — aż ziemi pod ich stopami zabrakło.

A Niszczyciele ruszyli na Zachód, podbijali część Indji, Persję, Rum, ziemie nad-Wołżańskie, i nie stanęli aż w Bizancjum, zkąd może dopiéro za dni naszych zostaną wyparci.

Powieść o wielkim wodzu, co rozsyła synów po znaki wróżebne, i świat między nich rozdziela, wyryła się głęboko w pamięci narodów. Stokrotnie ją przeinaczano, zmieniano imiona i szczegóły, ale tło zawsze pozostawało podobném. Odnajdujemy ją i w Herodocie, w ustępie gdzie Grek wielowiedny, z dziwną znajomością rzeczy, opowiada prastare dzieje koczowniczych Scytów.

Podział na dwa «skrzydła», przetrwał także przez lat całe tysiące. Prawe skrzydło liczyło się zawsze od zachodniéj strony Bajkału, lewe od wschodniéj, a samo «Święte morze,» było niby ciałem olbrzymiego ptaka. Wszystkie państwa co kolejno zawładły w tamtych stronach, przechowały aż do dni naszych podobny podział armji.

Z sześciu następców Oguz-Chana, każdy miał czterech synów. Oni to tworzą szereg owych Dwudziestu czterech Azjackich Patryjarchów, czyli tak zwanych *Ojców*, od których Turcy wywodzą wszystkie swe pokolenia.

Wodzowie tych pokoleń, rozpryśnięci po świecie, powoli tracili się z oczu, i zdobywali sobie niezależność. Ten jednakże co panował około Bajkału, był zawsze uważany za głównego, za następcę Oguza, i kiedy tamtych nazywano krótko «Chanami», ten był zwany «Cha-hanem», czyli «Chanem Chanów.»

Przy obiorze takiego Cha-ana, przechowywał się wiernie obrządek dziwnie piękny, ustanowiony podobno jeszcze przez Oguza. Nowoobranego, sadzano i podnoszono nie na tronie, ale na płachcie z czarnéj pilśni, w jaką tamte ludy zwykle owijają umarłych, ażeby nowy pan przypomniał sobie, że i on kiedyś musi umrzéć, i tą zbawienną myślą bronił się przeciw zawrotowi pychy, prawie nieuchronnéj przy tak niezmiernem wyniesieniu i bezgranicznéj samowładzy.

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Turksko-Scytyjskie panowanie, zabłysnąwszy pamiętnym początkiem, powoli mgłami zachodzi. W téj pomroce przesuwają się różne widma potęg zaginionych, które znamy zaledwie z nazwy, i to tylko wedle Chińskiego sposobu wymawiania; larwy dwakroć niezrozumiałe, bo i wyblakłe, i fałszywém światłem zabarwione.

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Znienacka, widownia rozjaśnia się nowym porankiem, powstaje państwo Ujgurów, nowy niejako wybuch potęgi Kara-Chana, bo i Ujgurowie byli odrośla—i to może najczystszą—Tureckiego szczepu. Kolébka ich sławy, nierównie jest już bliższa naszych czasów, a jednak występuje w obłokach fantastyczności, godnéj zaprawdę dni przedpotopowych.

Oto co pisze Wezyr Alaeddyn, (historjograf Dżyngischana,) w Rozdziale poświęconym dziejom obcych ludów:

«Teraz, przytoczymy kilka ustępów, które znaleźliśmy w starych xięgach Ujgurów, nie dla tego bynajmniéj abyśmy mieli przykładać do nich wiarę, ale dla pokazania ich osobliwości. Ujgurowie twierdzą, że ich naród mieszkał pierwotnie nad brzegami Tuły i Selengi, około gór Karakorumskich. Otóż niegdyś, w miejscu gdzie te rzeki się łączą, rosły dwie bardzo piękne sosny. Między niemi, niespodzianie ujrzano pagórek, z którego wychodziły dźwięki podobne do nadludzkich śpiéwów, a co noc, wielka jasność

biła w okrąg na trzydzieści kroków. Ujgurowie, zaniepokojeni tym dziwem, przystępowali coraz bliżéj, ale z obawą i uszanowaniem. Aż pewnego dnia, w pagórku roztworzyły się drzwi złociste, w głębi ujrzano pięć wydrążeń zaokrąglonych jak namioty, w każdym namiocie wisiała srebrna siatka, a w każdéj siatce kołysało się przecudowne dziecię. Wodzowie pokoleń, porażeni świętą grozą, zbiegali się i bili pokłony przed nadziemskiém zjawiskiem. A kiedy dzieciątka, troskliwie pielęgnowane, zaczęły mówić, wnet się pytały gdzie ich ojciec i matka? Pokazano im owe dwie sosny. Dzieci uczciły je oznakami uczuć, jakie się należą dawcom życia, a drzewa, swoim wymownym szumem, zachęcały je do zdobycia nieśmiertelnéj sławy. Młodziankowie téż rośli w zalety niewidziane dotąd u nikogo. Nadano im różne imiona, z jednym wspólnym przydomkiem «Tekinów.» Ujgurowie poważali ich jakby synów królewskich, i w przekonaniu że to są posłańcy nieba, postanowili wybrać sobie jednego z nich na monarchę. Wybór był niełatwy; każdy z tych braci jaśniał urodą i walecznością. Najmłodszy jednak, Bugu-Tekin, wydał im się najpiękniejszym i najrozumniejszym; posiadał przytém dar cenny u panującego: mówił wszystkiemi językami, których go uczyły trzy kruki, z nieba do niego zlatujące. Wybrali więc Buga na Chaana, i pod jego rządami wszystko w téj krainie zakwitło.»

Ach, i jakże nie miało kwitnąć, kiedy na młodego władcę zwróciła oczy niebianka?

«Pewnéj nocy,» — mówi daléj Alaeddyn — «Chaan ocknąwszy się nagle pod wrażeniem niepojętego postrachu, spostrzegł przed sobą postać świetlanéj dziewicy. Stała u wejścia namiotu, i ręką dawała znak aby szedł za nią, na pole xiężycem oświécone. Chaan ulękł się i nie poszedł. Ale widzenie wróciło na drugą noc, i na trzecią. Wtedy już zebrał całą swoją odwagę, i puścił się za widmem. Niebieska dziewica zaprowadziła go na górę zwaną Kutług-tag, co znaczy *Góra szczęścia.* Tam, tocząc z nim długie, tajemne rozmowy, uczyła go trudnéj, ze wszystkich najtrudniejszéj, sztuki rządzenia ludźmi. Trwało to czas jakiś, aż jedną razą, posmutniała i rzekła: «Musimy się już pożegnać; rządź wedle rad moich, a jeśli spełnisz zadanie co ci jest przeznaczone, cały świat od wschodu do zachodu będzie twoim.» To rzekłszy znikła, i nigdy już nie powróciła. Wtedy Bugu-Tekin dał każdemu ze swoich braci wojsko stutysięczne, i kazał im podbijać Wschód. Sam zaś, wziąwszy trzykroć sto tysięcy jeźdźców, puścił się na Zachód. Zabrał cały Turan. Wojując i podbijając, szedł przez lat dwanaście, aż doszedł do krajów gdzie już niéma ludzi. Wtedy wrócił nad Selen-

gę z niezmierną zdobyczą, ciągnąc za sobą króle wszystkich ziem ujarzmionych. Wrócili też i bracia, z mnóstwem łupów i niewolników, między któremi także było wielu jeńców koronnych. Bugu-Tekin kazał ich stawić przed swojém obliczem, wyjąwszy króla Indyjskiego, którego niechciał widzieć dla jego szpetności. Zresztą, wszystkich przepysznie ugościł, z każdym rozmawiał w jego własnym języku, poczém szczodrze ich obdarzywszy, pozwolił aby wrócili do swoich królestw, a sam, w około świętych sosen zbudował sławne miasto Ordu-Bałyk, i długo jeszcze panował tam szczęśliwie.»

I nietylko sam panował szczęśliwie, ale i swoim następcom wiernie musiał przekazać rady owéj stepowéj Egerji, bo Chanowie Ujgurscy «umieli rządzić ludźmi» przez trzydzieści pokoleń, co wypada na całe tysiące lat pomyślności. Ale wszystko ma koniec. I oni musieli z czasem zapomnieć przestróg niebiańskiéj dziewicy, i oto przychodzi chwila, w któréj—z niedbałym uśmiéchem niedowiarków—dają sobie wydrzéć wskazane przez nią Palladium. Tu, po szczegóły musimy się udać do Latopiśców Chińskich, z których jeden, Czao-ping, opowiada:

«Następcą Bugu-Chana w trzydziestém pokoleniu, był Julun-Tekin. Ten także miał jesz-

cze dużo mocy i męztwa; toczył częste wojny z Thang'ami.» (Była to Dynastja Chińska, panująca od siódmego do dziesiątego wieku naszéj ery.) «Thangowie, lękając się jego nieprzyjaźni, zaczęli przemyśliwać, czyby niemożna go sobie zniewolić małżeńswem? Istotnie, zaręczyli xiężniczkę Kin-lian z synem Juluna, który mieszkał w miejscu zwaném Ko-rin. Poniżéj, była góra Kutli-tag, czyli *Góra szczęścia.* Poseł Thangów, przybywszy na granicę obu krajów, dowiedział się że potęga i powodzenie Korinu były przywiązane do istnienia téj góry, i że gdyby można ją zniszczyć, królestwo by przepadło. Otrzymawszy taką wiadomość, poseł Chiński wystosował te zręczne słowa do króla: «Tyś jest ojcem pana młodego, ja przedstawiam stronę panny młodéj. Według prawa co przysługuje mojéj stronie, ja mogę postawić jakie chcę żądanie, a ty musisz się na nie zgodzić. Otóż, jest u ciebie skała, zwana «Górą szczęścia», która twojemu królestwu nie przynosi żadnego użytku, Chińczycy zaś bardzo pragnęliby ją posiąść, proszą więc abyś im ją oddał, jako cenę za narzeczoną.» Król przystał na żądanie. Ale skały ogromnéj niemożna było ruszyć z miejsca. Rozpalono zatém w około wielkie ognie, które ją rozgrzały aż do czerwoności, a potém polewano ją octem, od czego się niebawem popękała, i tak ją kawałkami, na wozach, do Chin wywieziono. Jak tylko «Góra szczęścia» ztamtąd znikła, za-

raz wszystkie zwierzęta i ptaki stanęły jak wryte, i zaczęły krzyczéć w niebogłosy: «Uchodźcie! Uchodźcie!» Po siedmiu dniach Julun-Tekin umarł, zamieszki wewnętrzne zaczęły trapić mieszkańców, i klęski niesłychane póty na nich spadały, aż po kilku pokoleniach, widząc że wszystko idzie coraz gorzéj, musieli się zupełnie wynieść z kraju.»

Ta powiastka, podobna z dziwactwa do lakowych malunków, przedstawia nam widocznie jakąś wielką przewagę Chińczyków, którzy z pomocą zwykłych sobie podstępów, potrafili wyprzéć niewygodnego sąsiada.

Ujgurowie istotnie wynieśli się na zachód, ku górom Altajskim, gdzie założyli nową stolicę «Biszbałyk» czyli Pięcio-gród, na pamiątkę pięciu wielkich przodków. To drugie państwo rzuciło jeszcze niejakie blaski, ale były to już blaski dogoréwającéj lampy. Naród Ujgurów, targany, rozbijany, coraz bardziéj rozpraszał się i znikał. Jednak i w téj rozsypce, zawsze jeszcze do świątyń swoich unosił odłamki «wieszczych sosen», jako najdroższe świętości, a w sercu unosił wspomnienie pięciu boskich braci, których imię, dalekiém echem, dziś jeszcze brzmi w nazwie «Tekińców.»

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Po zejściu świetności Ujgurskiéj, dramat północnéj Azji zaczyna bić przyspieszoném tętnem. Nowe mocarstwa, coraz szybciéj zrastają się i rozpadają.

W dziewiątym wieku, władanie Kirgizów zaléwa wszystko tysiącami lotnych kibitek; podbite plemiona dziwią się niebieskim oczom, rudym włosom, i ciężkim rządom tych nowych ujarzmicieli, którzy sami chlubią się osobliwszym przydomkiem, Kirgizów «Dziko-kamiennych.»

Ale krótkie ich panowanie.

Mignęli w dziejach jak jeździec na stepie, a tymczasem od najgłębszego Wschodu podnosi się nowa zasłona, i nastaje drugi Akt dramatu.

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Dotąd, pokolenia Tureckie prawie wyłącznie przewodziły, teraz opadają do warstwy podbitych, a na wierzch wypływa szczep Tunguzki.

. . . . . .

Najprzód, jawią się Kitajcy. Twardo stąpający po ciałach zużytych plemion, ściągają po-

żądliwą rękę aż na Chiny. W dziesiątém stuleciu, mroczne cesarstwo Kara-Kitaju roztacza się od Żółtego morza po góry Altajskie, i przez dwa wieki rozkazuje głosem dynastji «Żelaznéj.»

Zwabieni powodzeniem poprzedników, z nad Amuru ciągną ich współbracia Czurczowie. Niewiele krwawych lat minęło, a już i oni oderwali jedno ramię Niebieskiego Państwa, i zakwitli w dynastję «Złotą.»

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Gdy tak mocarstwa jedne po drugich padały pod zawieruchą pędzącą ku południowi, tymczasem na północy, po-za ochronną ścianą gór Karakorumskich, w opuszczoném gnieździe Ujgurów, spokojnie koczował tatarski naród Cheraitów.

Przez długie lata nikt o nim nie słyszał, chyba kilka sąsiednich plemion, toczących z nim zwykłe utarczki o pastwiska.

Aż oto niespodzianie, z początkiem jedenastego wieku, gruchnęła po świecie wieść niezwykła, wieść zdumiéwająca:

Król Cheraitów został Chrześcjaninem.

Opowieść tego wypadku zapisana jest u kilku wschodnich pisarzy, a najszerzéj w dziele Abulfaradżiego, gdzie przedstawia się tém osobliwiéj, że wychodzi z pod pióra Mahometanina. Oto jego słowa:

«W roku 398 Hegiry (1007 od N. Chr.) Patryjarcha Nestorjański Jan, który mieszka w Bagdadzie, odebrał od Ebeda Jeszu, Metropolity Korassanu, list następujący:

— «Król narodu zwanego Cherith, który «przemieszkuje w głębi Turcji, na północnym «wschodzie, polując pewnego dnia w górach swo«jéj ziemi, pokrytych naówczas wielkim śniegiem, «zabłądził. Już był utracił wszelką nadzieję ra«tunku, kiedy jeden ze Świętych objawił mu się, «i powiedział:—Jeżeli uwierzysz w Jezusa Chry«stusa, pokażę ci drogę i wywiodę cię z niebez«pieczeństwa.—Król obiecał że zostanie owieczką «trzody Chrześcjańskiéj; wtedy Święty stał się je«go przewodnikiem, i wyprowadził go na dobrą «drogę. Za powrotem do swego obozu, król ka«zał przywołać kupców Chrześcjańskich bawią«cych w téj krainie, i wypytywał się o zasady ich «wiary. Wytłumaczyli mu, że niemoże być Chrze«ścjaninem dopóki Chrztu nie otrzymał, ale mu «podarowali xięgę z Ewangeljami, któréj on co«dzienie składa pokłon. Obecnie, napisał do mnie, «prosząc ażebym sam przybył, albo przysłał ja«kiego xiędza, któryby mu Chrztu pożądanego

«udzielił. Zapytuje mię też o posty, mówiąc: — «Oprócz mięsa i mléka, niemamy nic do jedzenia, «jakże więc zrobimy z postami?—Dodaje przytém, «że niechaj on tylko się ochrzci, a dwakroć sto «tysięcy ludzi pójdzie za jego przykładem.»—Tedy Patryjarcha dał znać Metropolicie, ażeby posłał królowi dwóch xięży z dwoma djakonami, opatrzonych w święte naczynia, którzyby ochrzcili wszystkich pragnących tego obrządku, i wyuczyli ich zasad wiary Chrześcjańskiéj. Zalecił przytém ażeby nowonawróconym, we dni postne mięsa zabronić, ale na mléko im pozwolić.»

Tyle pisze Abulfaradżi. Co się daléj stało, niewiemy. Zdaje się jednak, że missja Nestorjańska musiała szczęśliwie tam dojechać, i że ów król ubłogosławiony, dla którego sami Święci z nieba schodzili, musiał gorliwie pracować nad utrwaleniem nowéj wiary, bo we dwa wieki późniéj, odnajdujemy w ziemi Chereth, nietylko królów Chrześcjańskich, ale cały naród Chrześcjański.

Odgłos o tym narodzie szerzy się daleko, i nawet w Europie zaczyna słynąć jako pół bajeczne *Królestwo Xiędza Jana*, o którém wszyscy mówią, choć nikt go nie widział, którego wszyscy szukają, a nikt nie może znaléźć.

Jednak w każdéj bajce jest pół prawdy; tu była może nawet więcéj niż połowa. Nad Cheraitami panował naówczas król Ong-Chan, czy też Jongchan, którego imię mogło uszom Europejskim wydać się równoznaczném łacińskiemu Johan. W Persji też używaną była nazwa *Prester*, oznaczająca Namiestnika; że zaś wszystkie wieści z głębszéj Azji, dostawały się do Chrześcjan przez Persję, kiedy zasłyszano że gdzieś panuje «Prester Jong-chan», wyrazy te, według ówczesnéj pisowni, złożyły się prześlicznie na Frankskie: «Prestre Jehan.»

Zresztą, że króla Cheraickiego słusznie zwano «Xiędzem», to nie podlega wątpliwości, bo u Nestorjan, *wszyscy* mężczyźni byli kapłanami. Kto wié nawet, czy nie piastował w swoim kraju najwyższéj godności duchownéj? Samowładca wschodni, mógł sobie niejedno prawo przywłaszczyć wpośród sekty na wpół rozprzężonéj, któréj hierarchja była niepewną, i czyniła—jak wiemy—szerokie ustępstwa, byle nie utracić wpływów mozolnie zdobytych.

Nestorjanie, już w czwartym wieku oderwawszy się od Kościoła, wyszli tłumnie do Azji, aby tam szerzyć naukę o któréj Europa nie chciała już słyszéć. Ludy pogańskie przyjmowały ją w dobréj wierze, ani się domyślając że by-

ła odszczepieńczą. Działanie tych kacerzy rozgałęziło się nietylko w Syrji, Turkestanie i Persji, ale wśród plemion koczowniczych, następnie i w Chinach, i w Indjach, i nawet na Cejlonie, gdzie później odnaleziono liczne po nich ślady. Wszędzie byli widziani z pobłażaniem, dzięki właśnie owéj giętkości, owéj—że tak powiemy—dworszczyźnie sumienia, z którą się stosowali do najdzikszych wymagań.

Ale téż, jeśli łatwo im przychodziło zdobywać wyznawców, od których nic nie żądali prócz kilku zewnętrznych oznak, za to nigdy niemogli dojść do prawdziwéj potęgi, ani do téj żywotnéj spójni, którą nadaje tylko niezachwiana moc przekonania, gotowa na ofiary i męczeństwo. A pragnęli bardzo téj potęgi, choćby dla pokazania reszcie Chrześcjaństwa, że i oni téż cóś potrafią.

To téż kiedy im się udało cały naród Cheraitów ochrzcić, kiedy zwłaszcza Ong-Chan zajaśniał wielkiemi zwycięztwami, uczepili się téj postaci jako bohatera swoich marzeń, chcieli w nim przeciwstawić Europie, rodzaj Azjatyckiego papieża. A że jak mówi francuzkie przysłowie: «łatwo kłamać temu co zdaleka przybywa,» mogli więc śmiało rozpowiadać cuda o swoim koronnym xiędzu, bez obawy aby ktokolwiek wybrał się tak prędko na sprawdzenie ich opowieści.

I uwierzono im nadspodziewanie.

Obraz wielkiéj monarchji Chrześcjańskiéj, świtającéj aż tam zkąd jutrzenka wychodzi, uśmiéchnął się niezmiernie wszystkim duszom.

Chrześcjanie Palestyny, Egiptu i Syrji, srodze uciskani od Saracenów, tęskliwie a częstokroć napróżno wyglądający ratunku od braci zachodnich, obrócili oczy, pełne łez i nadziei, ku wschodowi, zkąd nowy obrońca, z wielkiém wojskiem, z krzyżami na chorągwiach, miał lada dzień się zjawić, i wziąć Mahometa we dwa ognie.

Krzyżowców także radowała obietnica niespodzianéj odsieczy. Przy wysiadaniu na brzeg Azjatycki, pierwszą ich myślą było wypytywanie się o Królestwo Xiędza Jana, a nazbiérawszy wieści, tém ciekawszych że podawanych pod wielką tajemnicą, szerzyli w Europie sławę przyszłego sprzymierzeńca. Nawet plama herezji, w téj wielkiéj dalekości nikła z jego czoła; wiedziano tylko że «Xiądz Jan» wyznaje Chrystusa, że jest jak Melchizedech królem i kapłanem, czyż to niedosyć aby pociągnąć wszystkie serca, i zapalić wszystkie wyobraźnie?

Ong-chan tymczasem ani się domyślał, ile

wrzawy sprawia «pod zachodniém niebem.» Odmienny od swego poprzednika, któremu Święci pokazywali drogę, mało troszczył się o rzeczy wiary, a za to cały był zajęty zdobyczami, rozszerzaniem pastwisk dla swoich wędrownych obozów. A wiodło mu się wszystko z dziwném szczęściem. Jedne po drugich, ujarzmiał coraz bitniejsze plemiona, wybiérał coraz obfitsze daniny, aż doprowadził ziemię Chereth do powagi prawdziwego królestwa.

Najdzielniejszą pomocą w zwycięztwach, rzeczywistym sprawcą tego szczęścia, był jego nieodstępny i przywiązany lennik, wódz biednéj hordy Mongołów, człek już niezbyt młody i niebogaty, ale genjalny w bitwach, mistrzowski do rady, niezachwiany w swojéj wierności dla pana. Król téż mocno go sobie cenił, i okazywał mu wysoką łaskawość.

A miał Ong-chan córkę rzadkiéj urody i mądrości, zwaną Siurkukteni. Lennik, po całych latach wspólnéj pracy, rachując na liczbę i wielkość swoich zasług, ośmielił się zażądać córki królewskiéj dla swojego syna Tułuja. To żądanie wydało się Ong-chanowi zanadto wybujałém. Odmówił—i ostygł w życzliwości.

Może jednak lata byłyby zagładziły tę urazę, może nawet z czasem byłby się stary król rozmyślił, gdyby nie źli ludzie, którzy między

panem a lennikiem póty sieli gniéw i nieufność, aż przyszło między niemi do wojny otwartéj, którą możnaby nazwać «Wojną o piękną królewnę.»

Ach, tragicznie się ona zakończyła dla królewny i dla jéj ojca! Król Cheraitów, po cudach odwagi, położył pod mieczami siwą głowę, a córka jego razem z królestwem przeszła w moc zwycięzcy.

. . . . . .

Czy sądzicie że jeszcze opowiadam legendę? Nie, tu już jesteśmy na stałym gruncie historji. Owemu lennikowi-zwycięzcy, było na imię: Temuczyn.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Od téj to chwili, od śmierci Ong-chana, rozpoczyna się trzeci Akt dramatu. Szczep Turecki razem z Tunguzkim obsuwają się do niższych pokładów, a na wiérzch występuje szczep Mongolski; ten, nie z wiekami lecz od razu, rozszerza się jak błyskawica, i stwarza państwo zawrotne, większe od Macedońskiego, większe od Rzymskiego, większe od Napoleońskiego — największe jakie było kiedykolwiek na globie.

Temuczyn, pozbywszy się zwierzchnictwa co go przez pół życia trzymało w zależności, uczuł nagle ogrom swoich skrzydeł. Zerwał się, jakby urzeczywistnienie bajecznego ptaka o którym Oguz-Chan marzył — już teraz nic go nie zatrzyma. Rozbił stare gniazdo Ujgurów — tysiąc plemion gna przed sobą jak chmurę wędrownego ptastwa — jedną szponą chwyta cesarstwo Kara-Kitaju, gdzie łamie dynastję Żelazną — w drugiéj szponie ściska państwo Czurczów i dusi dynastję Złotą—szerokiém półkolem oblatuje ciemny Turan i słoneczny Iran—siada na minaretach Bagdadu — jedném skrzydłem uderza o szczyty Himalai, drugiém o wiérzchołki Uralu — i okrążywszy trzy czwarte zdruzgotanego świata, wraca do swoich gór Karakorumskich, gdzie ogłasza się już nietylko Cha-chanem ale Dżyngis-chanem.

A wszystko to może nie byłoby zaszło, gdyby król Cheraitów nie był odmówił córki, rozmiłowanemu synowi lennika!

Zaprawdę, historja podobniejszą jest do romansu, niźli się wielu dziejopisom zdaje.

. . . . . .

O zwycięztwach Dżyngischana Europa zasłyszała, ach i aż nadto! Ale wiadomość o roz-

gromie i śmierci Ong-chana, nie doszła do niéj tak łatwo. Xięża Nestorjańscy przeszkadzali pewnie jak najusilniéj szerzeniu się wieści, która burzyła ich przechwałki.

«Xiądz Jan» żył więc sobie daléj w legendzie, tajemniczy i nieśmiertelny, z każdym rokiem cudowniéj upiększany. Gdzieś daleko, za siedemdziesiątą górą i za setną rzeką, rysował się na tle fantastycznego krajobrazu, rozsiadły na dywanie z obłoków, z krzyżem jaspisowym u piersi, ze spiczastą koroną u głowy, z berłem zakrzywioném jakby kij pasterski.

Że jednak umysł ludzki musi zawsze, nawet dla najbłędniejszych swoich rozumowań, poszukiwać jakiéjś logicznéj podstawy, i tu więc zaczęto się zastanawiać, jaki cel mogła miéć Opatrzność, umieszczając to królestwo Chrześcjańskie, tak daleko od reszty współwyznawców, rzucone samotnie w czarny świat pogańszczyzny?

Chcącemu, wszystko łatwe. Dobrze poszukawszy, znaleziono w Apokalipsie i w Biblji, wytłumaczenie dziwnie przekonywające i piękne.

Xięgi święte mówią kilkokrotnie o straszliwych narodach Gog i Magog, które siedzą gdzieś na końcu świata, przytrzymane jak zła bestya w klatce,—ale kiedyś urwą się, wylecą, wszystko zniszczą, aby utorować drogę Anty-

chrystowi,—poczém gwiazdy zaczną spadać i nastanie Sąd Ostateczny.

Ale gdzież one siedzą, te narody?

W czasach, kiedy ziemię sobie wyobrażano jako niezmierną płaszczyznę, każdy z niepokojem zapytywał gdzie się ta płaszczyzna kończy, bo gdzieś przecie kończyć się musi? Świat ówczesny, o nieokréślonych granicach, wyglądał jak las widziany w nocy, nierównie większy i pełniejszy dziwów, niż kiedy go biały dzień oświéci.

Uczeni odpowiadali, że ziemia jest jakby płaska tarcza, którą Ocean otacza nakształt srebrnéj obręczy.

Dobrze, od zachodu, każdy widzi tę obręcz pod kształtem Atlantyku, po-za którym już niéma nic. Tym sposobem, brzegi Francuzkie i Hiszpańskie stanowią jeden koniec świata.

Ale gdzież jest drugi? Karawany idą a idą ku wschodowi, i nigdzie znaléźć go niemogą. Co dziesięć krajów miną, to znów o dziesięciu innych słyszą— ciągle ziemia i ziemia—a wschodniego morza ani na oczy.

Jednak, między wieściami ztamtąd naleciałemi, przesiąknęła i wieść o Murze Chińskim.

Wieść była mętna, bo Chińczyków naówczas nikt w Europie nieznał; mówiono tylko, że ci podróżni, którzy zdołali przejść wszystkie kraje wschodnie, musieli się ostatecznie wrócić, bo trafili, najprzód na okropną pustynię, a potém na *Mur* nieprzebyty, wyższy niż nasze kościoły, najéżony szeregiem wieżyc niebotycznych, świécący bramą nieprzepartą.

Aha! Więc na drugim końcu, świat jest zamknięty «murem.»

Ale po co ten mur?

Ach, jakże można się nawet pytać? Przecie rzecz widna jak na dłoni, że ten mur tam po to zbudowano, aby Goga i Magoga zamknąć, aż do strasznego dnia w którym będą potrzebni.

Ale któż to zbudował?

A któż, jeżeli nie Alexander Wielki? On jeden umiał takie sztuki. On od boskiego Arystotelesa dowiedział się o niebezpieczeństwie jakie światu zagraża, i po to téż jedynie wybrał się do Indji, aby ukrócić tych złośników. No, i zamurował ich porządnie. Siedzą tam teraz jak w pułapce. Dobrze im tak. Poczciwy Alexander.

Dobrze;—ale do każdego więzienia trzeba i dozorcy, bo żebyś tam zbrodniarza otoczył stu murami, to on wszystkie przewierci, albo się podkopie, jeśli żywa straż nie patrzy na niego dniem i nocą.

Wiedział to dobrze Pan Bóg. Dla tego też na warcie postawił «Xiędza Jana», który tam przechadza się wzdłuż i w szerz pustyni, i mówi pacierz, a na mur ciągle z pod oka spogląda. Zacny Xiądz Jan! Niech mu Bóg da zdrowie i życie jak najdłuższe, bo póty naszéj spokojności, póki on pilnuje.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

W tém to królestwie Xiędza Jana, stanęły nakoniec Elżbieta i Ludmiła.

Jakież było ich rozradowanie, jakiż podziw, kiedy się znalazły między ludem Chrześcjańskim, kiedy na wielu namiotach dostrzegły zatknięte krzyżyki, na wielu ustach spotkały imię Pana Jezusa wymówione z pokłonem!

Wprawdzie owi trzéj xięża Nestorjańscy, wiernie za wojskiem wędrujący, już dawno, przez całą drogę, obiecywali im te dziwy; ale branki

już nikomu i niczemu nie dowierzały, a zresztą, choćby to i miało być prawdą, wątpiły czy potrafią dojść do celu, czy nie umrą w drodze?

Bo też ta droga pokazała się jeszcze nierównie dłuższą niż mówiono. Miał być rok podróży, tymczasem było jéj przeszło dwa lata!

Co nasze branki doznały przygód i niewygód, co się napatrzyły nędzy jeńców, co ich widziały padających po drodze, tego już i opisywać trudno, bo sam opis czytałby się ze dwa lata.

Jechały a jechały na skrzypiących wozach, przez niezmierne stepy Kipczaków, Chałchańców, Kankłów. Kopano się przez wichrzyste śniegi gór Altajskich—przez wąwozy Ujgurów i Najmanów—przeprawiano się przez trzydzieści rzek—okrążano pięćdziesiąt jezior—aż nakoniec stanęły u gór Karakorumskich, i w porównaniu do krajów już przebytych, ten kraj wydał im się bardzo pięknym.

Dużo miał wzgórz okrytych bujnemi lasami, dużo wód żywych obrzeżonych kwieciem, a co najmilsze, to że tu już nie było zgliszczy ani trupów. Bo też to już nie żadna ziemia do rabunku ni do wysysania, lecz właśnie ta ziemia co połyka łupy wszystkich innych, wielka niejako jaskinia, gdzie rozbójnicy wszech-narodów, znoszą swoje skarby, i upiększają sobie siedzibę, ażeby tam nakoniec odpoczywać, używać i drwić sobie z całéj reszty świata.

Wszystko też do koła tchnęło barbarzyńskim przepychem. Tutejsze jurty, o! to już nie czarne, nizkie budki, które się zwijają i kładą na dwukolny wózek, to prawdziwe domostwa, niesłychanie ozdobne, i ustawione z dziwną sztuką na wozach o bajecznych rozmiarach. Trudno by uwierzyć w te rozmiary, gdyby ich nie stwierdzali *naoczni* świadkowie.

Oto co pisze jeden z ówczesnych podróżników:

«Te sypialnie Mongołów bywają takie wielkie, że na samą szerokość dochodzą niekiedy stóp trzydziestu. Sam kiedyś wymierzałem jeden z takich wozów, i między kołami wypadło mi dwadzieścia stóp z okładem, a kiedy jeszcze dom stanął na wozie, to z każdéj strony o jakie pięć stóp wystawał po-za koła. Pewnego razu, naliczyłem dwadzieścia i dwa wołów, ciągnących jedno tylko mieszkanie; jedenaście ich szło w pierwszym rzędzie, równolegle do szerokości wozu, jedenaście w drugim. Oś u tego wozu była taka wielka jakby maszt okrętowy. Jeden tylko człowiek stoi we drzwiach domu, i całym zaprzęgiem kieruje. Ściany są plecione z prętów, tworzących w górze rodzaj wysokiego komina, i obłożonych pilśnią, zazwyczaj białą, bo mieszkańcy ją powlekają wapnem, albo proszkiem z utłuczonych kości, ażeby lepiéj błyszczała. Ta pilśń

jest pokryta malunkami, przedstawiającemi winnice (?) i drzewa, ptaki i czworonożne zwierzęta. Wiérzch komina bywa także malowany w pręgi kolorowe. Nawet przede-drzwiami zawieszają skórę mieniącą się w różne barwy. Budują też i skrzynie czworograniaste, z łozy wyplatane, którym nadają kształt ogromnéj arki; w jednym jéj końcu robią małe drzwiczki; całą skrzynię obciągają tak jak i domy, pilśnią, ale czarną, nasyconą łojem albo mlékiem owczém, ażeby deszcz przez nią nie przeciekał; po wiérzchu ją zdobią w różne wzory, haftowane albo malowane. Tam składają wszystkie swoje sprzęty i najkosztowniejsze przedmioty, potém te arki, silnie przymocowane, ustawiają na wozach, ciągnionych przez wielbłądy, a niezmiernie wysokich, ażeby i rzeki można z niemi przejeżdżać. Takie bowiem skrzynie już nigdy się nie zdejmują z wozów. Kiedy Tatarzy chcą się gdzie zatrzymać, obracają zawsze drzwi domu ku stronie południa, a wozy ze skrzyniami szykują do koła we dwie ściany, tak że dom stoi między niemi jakby wśrodku ulicy. Bogaty Mongoł miéwa ze sto albo dwieście takich skrzyniastych wozów. Każda z jego małżonek ma jeden dom ogromny, za którym jedzie wiele domków pomniejszych, gdzie mieszkają jéj służebnice. Na przystanku, piérwsza żona ustawia swój dwór od zachodu, inne coraz daléj w półkole, tak że ostatnia już stoi od wschodu; przestrzeń dzieląca ich dwory, bywa

długą na rzut kamienia. Dwór bogatego Mongoła wygląda więc jak wielkie miasto, chociaż w nim ludzi mało. I to niewiasty same robią sobie te wozy, które są takie piękne, że doprawdy nie umiem ich opisać; powinien bym je chyba wymalować; i malował bym z największą przyjemnością, cóż kiedy nieumiem władać pędzlem!»

Tak naoczny świadek przedstawia zewnętrzną postać owych *miast ruchomych*. Wnętrze mieszkań łatwo sobie wyobrazić, wywoławszy w pamięci wszystkie zdobycze, jakie z całego niemal świata spływały do skrzyń czworogrannych. Teraz szczególniéj, kiedy wyprawa powracająca z Polski i z Węgier, przywiozła nowy nabór łupów, te «arki», (nie przymierza, ale wojny!) pękały od bogactw, rozsypywały się jak rogi obfitości, obwieszając domy i ludzi mieszaniną wyrobów, pstrocizną błyskotek, jakiéj żaden handel zamienny nie mógłby równie szybko dokonać. Świéciły zewsząd, Chińskie wazony, i Paryzkie naszyjniki zrabowane w Belgradzkich sklepach,—tkanki Tybetańskie, i sukna Krakowskie—źwierciadełka Weneckie, i pancerze Perskie—misy z Angielskiéj cyny, i poduszki haftowane w Samarkandzie — szale Indyjskie, i miecze Teutońskie — rubiny Badakszańskie, i bursztyny zdarte z szyi Sandomiérskiego dziéwczę-

cia—Biblje, Korany, i Xięgi Konfucjusza, któremi dzieci Tatarskie zarówno się bawiły, wydziérając z nich niemiłosiernie cudne inicjały i obrazki. Najliczniéj świéciły naczynia stołowe, łatwe do przewozu, i zawsze użyteczne; teraz lada Mongoł jadał na srebrze i pijał we złocie.

Tu więc, po roztasowaniu zdobyczy, branki znalazły dużo więcéj wygód i przypomnień Europejskiego życia, niżeli mogły się spodziéwać. A czekała je, dziwniejsza jeszcze niespodzianka: dojechawszy do brzegów Orchonu, znalazły miasto, już nie na kołach, ale na kamiennych podstawach, prawdziwe, nieruchome *miasto*.

Kara-Korum.

Nic na świecie nie może utrzymać się długo w jednéj mierze. Wszystko musi czy rosnąć czy upadać, w każdym razie ulegać zmianom.

Jeżeli jeden człowiek, przez ciąg całego życia nie zejdzie z raz powziętéj drogi, to już i tak bardzo wiele. Od następców jego, niepodobna żądać równéj wytrwałości.

Dżyngischan, od kolébki do śmierci utrzymał swoje posłannictwo «niszczyciela.» Jedwabne łoże cywilizacji nie skusiło jego żelaznych kości. Tyle stolic, tyle pałaców, owdowiałych po swoich królach, nie zdołało go ściągnąć w mozaikowe ramiona. Spojrzał na nie z pogardą jak na złoconą klatkę, i wracał do swoich czarnych namiotów. Nigdy podobno nie usnął pod stałym dachem, chyba dopiéro w grobie. Tysiące miast zburzył, ani jednego nie zbudował.

Ale jego następca Ogotaj, nie czuł już nad sobą trzaskających biczów posłannictwa, nie wzdychał bynajmniéj do chwały niszczyciela.—Trzeci z rzędu syn Dżyngischana, wyróżniał się on między braćmi czémś podobném do serca. Obok wielkiéj waleczności, któréj za życia ojca jeszcze dał dowody, posiadał — jak na Mongoła — zdumiéwającą łagodność. Nieśmiał iść wręcz przeciwko woli strasznego rodzica, ale z wielu słów jakie historja po nim zachowała, można wnosić że nieraz w duszy zapytywał:

— Po co sobie tyle trudu zadawać, ażeby od wszystkich być znienawidzonym? Po co tyle skarbów zabiérać, ażeby nigdy ich nie użyć?

Wzrosły wpośród samych powodzeń i tryumfów, dał się już olśnić nieco przez oświatę ludów zwyciężonych, zaczął powoli smakować, jeżeli nie w ich naukach, to przynajmniéj w rozkoszach.

Rzecz godna zastanowienia, dlaczego Dżyngischan, właśnie temu a nie innemu synowi oddał przy śmierci władzę? Czy chciał, przez porównanie z następcą, wydać się jeszcze potężniejszym w oczach potomności? Czy téż czuł, że cięciwa zbyt długo naprężona, musi w końcu gwałtownie pęknąć, i że lepiéj zostawić ją w umiarkowańszém ręku?

Objąwszy dziedzictwo stukoronne, obciążone tylu przekleństwami, Ogotaj znalazł się w trudném położeniu. Musiał daléj posuwać zabory ojcowskie, bo żądała ich cała rodzina, chciwa nowych laurów i królestw, żądał ich cały naród, rozłakomiony pomyślnością. Ale nowy Chaan powierzył te wojny braciom i namiestnikom, a sam dał się łatwo namówić do pozostania w Mongolji, gdzie rozpoczął rządy połowiczne.

Niemógł wyjść z koryta krwi, zbyt głęboko już wyżłobionego, ale przynajmniéj własną ręką niewiele téj krwi doléwał; chętnie słuchał doradców roztropnych i litościwych, pozwalał ażeby zaprowadzano jakiś ład w ciemięztwie, jakiś rachunek w grabieży; nad wszystko zaś lubował się w rozdawaniu skarbów ojcowskich; rozsypywał je ze szczodrotą posuniętą prawie do szaleństwa, jakby te złe nabytki paliły go w ręce. A kiedy jego blizcy gorszyli się taką rozrzutnością, odpowiadał pamiętne słowa:

«I po cóż mam to wszystko chować? Bogactwa nie obronią nas od śmierci, z tamtego świata nie wracamy,— więc najlepiéj złożyć skarby w sercu swoich poddanych.»

Nakoniec, jakby niemy protest przeciwko zasadom zniszczenia, postanowił założyć stolicę, raz przecie cóś *zbudować*,—myśl, na którą kości

Dżyngischana pewnie wzdrygnęły się pod ziemią.

Prawdę mówiąc, stolica powinna była stanąć w kraju nieco więcéj na wschód wysuniętym, nad brzegami Kerulanu, gdzie leżało pierwotne siedlisko Mongołów, gdzie Temuczyn się rodził i stwarzał swój naród.

Ale Ogotaj, dorobkowicz chwały, chciał jéj świéżą datę podeprzéć gruzami jakiéjś wielkiéj przeszłości; w téj myśli, wybrał ziemię Cheraicką. I znów téj uprzywilejowanéj krainie przypadło królowanie w dziejach. Mityczne mocarstwo Kara-chanów, cudowne gniazdo Tekinów, legendowe Królestwo Xiędza Jana, rozpłonęło raz jeszcze blaskiem, i to żywszym niż wszystkie poprzednie, stało się sercem państwa Mongolskiego.

Pod górami Karakorumskiemi, w pięknem położeniu nad brzegiem Orchonu, istniały jeszcze ślady starożytnéj stolicy Ujgurów, słynnego przed pół-tysiącem lat Ordu-Bałyku. W trzynastym wieku już zwano to miejsce «Mau-Bałykiem», co znaczy *miasto złe*, *zniszczone*.

Tu Chaan rozkazał aby powstało miasto «dobre», godne jego potęgi.

I jakby dla dogodzenia próżności swego nowego pana, cała wielka przeszłość téj krainy

ocknęła się, i na skinienie Chańskie niespodzianie wyszła z pod ziemi.

Przy zakładaniu podwalin, znaleziono w pośród rozsypisk połamany pomnik marmurowy, z napisami we trzech językach, Kitajskim, Tureckim i Chińskim. Napisy te opiéwały, jako przed trzystu laty, wódz Czarnych Kitajców, założyciel dynastji Żelaznéj, przesławny Apaki, obozując tu z wielkiém wojskiem pomiędzy gruzami jakiéjś zamarłéj stolicy, kazał ze znalezionych marmurów zbudować ten pomnik, i wyrył na nim opisanie swoich «niezapomnianych» zwycięztw, a to trzykrotne, ażeby wszystkie ludy mogły je podziwiać.

Pod tym niejako nagrobkiem Kitajskiéj chwały, dokopano się jeszcze starszéj pamiątki. W głębokim lochu spoczywała ogromna tablica kamienna, ponasiekiwana w tajemnicze znaki. Chaan przyzywał ludzi z różnych części świata, a nikt nie umiał ich odczytać; dopiéro z głębi Chin sprowadzono mistrzów bardzo uczonych, którzy poznali odwieczne, już nieużywane znaki pierwotnéj mowy Ujgurskiéj, i od końca do końca przeczytali wszystko z kamienia jakby z jedwabnéj kartki. Cóż tam stało? Oto właśnie, dzieje owych dwóch królo-rodnych sosen, i pięciorga cudownych dziatek, i xiężycowéj dziewicy, i całéj téj wielkości Ujgurów, która miała niby na wiek wieków pozostać panującą w niespoży-

tości głazu, a teraz oto leżała przytłoczona marmurem Kitajców, który sam już ustępował miejsca nowemu zwycięzcy.

Upajającą to rozkoszą musiało być dla młodego monarchy, gdy zobaczył że te wszystkie warstwy staréj sławy, na to tylko rosły i pod ziemią czekały, ażeby dzisiaj się ułożyć w podnóżek jego tronu. A jednak..... oprócz świadectwa łechcącego dumę, wiało z tych pomników i słowo przestrogi..... Ogotaj, który jak widzieliśmy, zakrawał na barbarzyńskiego filozofa, może się czasem i zadumał nad temi *pokoleniami zwalisk?* Może kiedyś, wpośród samotnéj wieczornéj przechadzki, z pod głazów po których stąpał, ozwały się do niego jakie głosy, szepcące z urąganiem:

— Dobrze — dobrze — depczcie wy po nas, tak jako myśmy po drugich deptali..... Przyjdzie kiedyś i na was koléj!

Musiał Chaan cóś podobnego podsłuchać, musiało deptanie po tych kamieniach stać mu się niemiłém, bo pewnego dnia kazał je wszystkie zebrać, i wmurować w ściany swojego pałacu.

Pałac był olśniéwający.

Na innéj ziemi, bogatéj w miasta i przeróżne gmachy, sprawiałby zapewne mniéj potężne wrażenie. Tu, między czterema pustyniami, wyglądał na dzieło laseczki czarnoxiężkiéj, — zdumiéwał, i nieledwie rozrzewniał.

Ogotaj, dla jego wzniesienia, sprowadził z Chin budowniczych, malarzy i snycerzy. Biedni artyści, wyrwani z kraju gdzie niszczono pomniki ich przeszłości, pocieszali się w niewoli dokonaniem nowego dziwu Chińskiéj sztuki, a nieraz może między sobą i tryumfowali potajemnie, w tém chlubném poczuciu, że gdziekolwiek chodzi o «twórczość», tam zwycięzcy muszą do nich uciekać się po myśl i natchnienie. Dołożyli też starań, aby rzucić w oczy barbarzyńcom cóś godnego swojéj staréj sławy.

Już na wiele mil zdaleka, widniał dach pałacu, zielony i błyszczący; zielony, bo gdzie przyroda skąpi roślinności, tam człowiek lubi sztuką dotwarzać sobie ten kolor, potrzebny dla oczu jako wypoczynek i rozweselenie; a błyszczał niezmiernie, bo składał się z cudnych dachówek, pokrytych szklistą polewą, z pod któréj zielona

farba, przeglądała jak trawnik z pod pierwszego przymrozku.

Kształty Chińskich dachów, chociaż nieprzystające do klassycznych pojęć o piękności, w swoim rodzaju są nadzwyczaj wdzięczne; niby skrzydła z końcami już wywiniętemi do lotu, zdają się położone tak lekko, że lada powiew je uniesie. Tu, wszystko wyglądało tém lżéj, tém ruchomiéj, że brzegi poddasza były do koła obwiedzione rodzajem srebrnéj frędzli, z wisiorów, dzwonów i metalowych trójkątów, które przy najmniejszym wietrzyku, potrącały się z cichutkim świergotem, a kiedy uderzyła pustyniowa zawieja, biły muzyką nadpowietrzną, tęskną jak serce mistrza co je tam zawiesił.

Z narożników dachu, wypełzywały daleko na powietrze cztery złote smoki, rozdziawiające paszcze ku czterem stronom świata. Z przypadku czy z umysłu wybrane dla ozdoby, w każdym razie trafnie wypadły jako symbol.

Na samym szczycie budowli, kilka strzał ogromnych, pozłocistych, powiewało kiściami bańczuków.

Pod tym dachem ciągnęła się sala, mogąca pomieścić do tysiąca osób. Wysoka jakby kościół, podparta była dwoma szeregami słupów, które ją dzieliły na trzy nawy. Główna z tych naw, dużo wyższa od bocznych, zakończała się

jak bazyliki muszlowém półkolem, gdzie zbudowano bardzo wyniosłą estradę dla Chaana.

Tam Ogotaj siadywał po wschodniemu, na poduszce okrągłéj, złotogłownéj, stérczącéj do koła puszystemi chwastami z jedwabiów i pereł. Przed sobą miał nizki, hebanowy stoliczek, wyłożony gorejącą gwiazdą z podłużnych topazów. Obok, na nieco niższéj poduszce, królowała pierwsza jego małżonka.

Do tego wyniesienia prowadziły dwa zakręty schodów, pysznie wysłanych kobiercami, gdzie w nieustannych pokłonach pełzali Krajczowie i Podczaszowie, podający na klęczkach misy i puhary; a naczynia te były tak zatrzęsione klejnotami, że kto śmiał spojrzéć na monarchę, nic nie widział, tylko jedno tęczowe olśnienie.

Po dwóch stronach estrady, piętrzyły się, amfiteatralnie stopniowane ławy, na których siedziała rodzina cesarska; po prawicy Chaana, jego synowie i bracia, po lewicy, żony i córki. Samych żon było do dziewięćdziesięciu.

W bocznych nawach mieściła się publiczność, i to najwyborowsza. Tu także po prawéj stronie mężczyźni; sami dygnitarze — doradcy, wodzowie, Behadyry, Nojany, Terchany. W lewéj nawie niewiasty, małżonki cesarzewiczów, panie

ministrowe i jenerałowe, każda z orszakiem córek i krewniaczek.

Nawa środkowa pozostawała zwykle pustą; wśród najuroczystszych tylko przyjęć, wpuszczano tamtędy poselstwa z darami.

Ściany sali były gorąco czerwone, Chińskim pokostem powleczone; rzekłbyś, krwią malowane i łzami polane.

Malarz, jakby dla złagodzenia téj grozy, porozrzucał na tłach koralowych, złote wązkie jaskółki, motyle i płazy. Słupy i górne wiązania, także aż kapały od złota.

W drugim końcu sali, naprzeciw tronu, było troje drzwi, zamykanych na błyszczące kraty. Boczne, dla zwykłych śmiertelników. Środkowe, ogromne jakby brama, dla samego władcy.

Wyjścia te otwiérały się na ogród, urządzony także w smaku Chińskim. Źródła, z pobliskich gór bijące, rozprowadzono tu siecią kanałów; na nich gdzie-nie-gdzie gięły się mostki o misternych poręczach, majaczyły wysepki o sztucznych skałach, i grotach wykładanych kafelkami,—a po brzegach, w gładziutkiéj wodzie, przeglądały się drzewa dziwne, wycinane w kształ-

ty zwierząt i ludzi, co niezmiernie cieszyło Ogotaja.

W około ogrodu, stały budowle długie jak stodoły, zawiérające ogromne zapasy żywności dla Dworu, i nieprzebrane, po brzegi napakowane Skarbce.

Nakoniec, mur z szaréj cegły, blankami najéżony, zamykał wszystko pierścieniem, obiegającym pół mili obwodu.

Cała ta przestrzeń obmurowana, stanowiła to co w Europie zwano «Grodem», «Zamkiem»,— a siedząc na ostatnich podnóżach góry Utekian, z niejakiéj wyniosłości panowała krajobrazowi.

Poniżéj dopiéro, na pochyłéj płaszczyźnie zbiegającéj aż do Orchonu, rozlegało się właściwe «miasto», otoczone murem już nie ceglanym, ale ubitym z ziemi; ten rodzaj wału miał dwie mile obwodu, i cztery bramy, które mandaryńscy astronomowie skierowali wybornie ku czterem stronom nieba.

W obrębie wałów były dwie dzielnice, z tych jedna zwała się *Muzułmańską*, druga *Chińską*.

Pierwsza, przeważnie zaludniona wyznawcami Koranu, stanowiła część miasta kupiecką. Tu

rozkładały się ogromne Bazary;—tu Indje, Persja i Armenja, tu ziemie Ruskie, a nawet niektóre miasta Włoskie, miały swoich przedstawicieli. W téj téż dzielnicy, jako bliższéj Grodu cesarskiego, stały, jaskrawo upstrzone, dworzyszcza różnych Mongolskich potentatów. Były i ogromne budynki dla kanclerzy, sekretarzy i niezliczonych pismaków, bo mimo barbarzyństwa zwycięzców, zarządzanie tylu narodami, wywołało w stolicy potrzebę tysiącznych stosunków i ułatwień piśmiennych, które przy coraz czynniejszym współudziale Chińczyków, przerodziły się szybko w istną biurokrację. Trudno sobie wyobrazić, ile pisaniny wychodziło na samo rozsyłanie Jarlików cesarskich, patentów i przywilejów nadawanych lennikom, rozkazów do wojsk ciągle krążących po wszystkich stronach globu,—a dopiéroż na ściąganie haraczów i podatków, tych głównych celów zaboru!

Wszystko musiało być wypisane pięknie, z figlasami, z orjentalnym blaskiem, i to w alfabecie Ujgurskim, tylko co przystosowanym do mowy Mongolskiéj. Co się ci biédni skrybenci musieli namordować nad referatami, których styl, składnia, i pisownia, jeszcze nie miały ani stałych prawideł, ani wzorów!

A tu nie żarty! Rób jak chcesz, zawsze grozi jakieś niebezpieczeństwo.

I tak przed ćwierć wiekiem, jeszcze za Dżyngischana, pewien sekretarz Perski wysilił się na list przepyszny, jeden z tych listów jakie pisywano zwykle w imieniu Szacha, który tam się nazywał «synem słońca», «bratem xiężyca», i t. d. i t. d. — Pers ani wątpił że nowy jego władca będzie zachwycony. Tymczasem Dżyngischan, wysłuchawszy, zaczerwienił się, krzyknął:

— Cóż to? Czy chcesz aby ludzie wzięli mię za głupca, że sam sobie sypię przechwałki?

I z gniéwem cisnął list o ziemię.

Dotąd bardzo pięknie,—szkoda tylko że nie tu koniec.

Na ostateczny morał swéj nauki, kazał sekretarzowi uciąć głowę.

Taka to bywała służba w nad-Bajkalskich biórach.

Potrzebowano tam także mnóstwa malarzy, złotników i mincerzy. Na krocie i na tysiące odchodziły pieczęciowe *Tamgi,* tabliczkowe *Paiże,* i pełno innych odznak urzędu albo łaski, które co tchu musiano wymyślać, rysować i odléwać z rozmaitych kruszców. Większa téż część złupionych monet i kosztowności, przetapianą była na grube Tatarskie *bałysze.*

W dalszych przestrzeniach potwornego państwa, ruch administracyjny, potargany ręką zdzier-

stwa i samowoli, rozluźniał się i prawie ginął; ale w stolicy, gdzie wszystkie jego nitki miały swój początek, występował rojnie, zabiegliwie, z rodzajem służalczego zadyszenia, i choć po Tatarsku prowadzony, wyglądał już prawie na robotę państwową.

Druga dzielnica, mniéj świetna ale niemniéj gwarna, przyparta do saméj rzeki, była przeważnie siedliskiem rzemieślników z Chin posprowadzanych. Każde rzemiosło miało tam swoje ulice i rody, bo w Państwie Niebieskiém—jak wiadomo—wszelka ręczna praca najczęściéj z ojca na syna przechodzi. Obyczaj to stary, płodny w korzyści, lecz jeszcze płodniejszy w szkody. Prawda, że przekazując tajemnice kunsztu z pokolenia na pokolenie, nadaje wyrobom doskonałość nieledwie przesadzoną, ale cóż po cudach jego cierpliwości, kiedy za to związuje samodzielny polot, i często gwałci prawdziwe powołanie? To téż jeżeli całe Chiny są przeraźliwie poważne, to już Chiński rzemieślnik jest najsmutniejszą pod słońcem istotą; wyschły, zabiédzony, ledwie parę godzin sypiający, jedną łyżką ryżu na dzień żyjący, haruje się jak nieboskie stworzenie, w swoich miastach olbrzymich, a zawsze za ciasnych.

Nadrzeczna dzielnica Karakorumu, dawała— chociaż w zmniejszeniu—dość jasne pojęcie czém są te miasta Chińskie; domki i przystawki, lepianki i przykomórki — sklepiki z chorągiewkami, z latarkami—a wszędzie osóbki szyjące, strugające, gładzące — kolorowe mrowisko. — Nieustannie warczało tam zgrzytanie heblów, nożyc, tysiącznych narzędzi — nieustannie brzmiały rozkazy i razy, — szemrania i wzdychania — tylko szczerego śmiéchu nigdy nie można było tam dosłyszéć.

Ach, bo i cała stolica tchnęła niewymowną posępnością, przynajmniéj przez większą część roku. Wprawdzie, arystokracja Mongolska, naśladując monarchę, pobudowała tam sobie siedziby, ale do stałego w nich zamieszkania, żadna władza, nawet Chańska, niemogła jéj przymusić. Sam Ogotaj także nie umiał jeszcze pozbyć się nawyknień koczowniczych, i przez trzy ćwierci roku wędrował z całym swoim dworskim taborem, od Bajkału do Tangutu, od gór Altajskich do Manczurji. Dopiéro z końcem Kwietnia zazwyczaj zjawiał się w Karakorumie, gdzie przepędzał najpiękniejsze miesiące, Maj, Czerwiec i Lipiec. W Sierpniu znowu już wyruszał na olbrzymie łowy. — Przez ten jeden kwartał zjeżdżali się do niego panowie Tatarscy, a wte-

dy miasto brzmiało biesiadami, muzyką i uciechą; co prawda, była to uciecha dzika, okrutna, pijacka, jednak zdaleka mogła wyglądać na wesołość. Ale kiedy ostatnia z tych biesiad ucichła, kiedy cała ruchoma ludność, ze sforami i sokołami, wyruszyła na dalekie stepy,—wtedy Karakorum znów zapadało w przerażający letarg, — podobne do tych miast zaklętych, gdzie wszystko w jednéj chwili kamienieje; tu ludzie wprawdzie ruszali się jeszcze, ale jak automaty, z okiem szklistém, ze słowem nigdy nie domówioném, zastygłém na ściśniętych ustach.

Ach, któżby im się dziwił? Wszyscy ci ludzie mieszkali tu poniewolnie, byli tu sprowadzeni przemocą.

Głębsza starożytność znała już dobrze takie przepędzanie ludności; królowie Babilońscy i Assyryjscy przenosili całe narody; ale tam przynajmniéj pozwalano ażeby wszyscy szli razem; człowiek tracił swoją ziemię, ale zachowywał rodzinę, i pod obcém niebem odtwarzał sobie jakiś cień ogniska domowego.

Tu, prawie wszyscy mieszkańcy byli pojedynczo wyrwani, okropne społeczeństwo samych sierot.

Wyszukańsi od innych w ciemięztwie Tatarzy, po zdobyciu jakiegoś większego miasta, (zwłaszcza w piérwszych Dżyngischanowych cza-

sach,) wybrakowywali ludność, ze staraniem kopacza, co wybiéra złote ziarna z piasku. Artystów, lekarzy, biegłych rękodzielników i piękne kobiéty, odstawiano w osobnéj kupce. Resztę, czyli dziewięć dziesiątych tłumu, wybijano do nogi. Nieszczęsna gromada ocalonych, szła ku Bajkałowi, płacząc po wszystkich drogach, zazdroszcząc pozabijanym, i przeklinając zdolność lub urodę, co przedłużała ich mękę.

Przy takich mieszkańcach, Karakorum nie mogło być wesołém.

Jednak nasza planeta, choć bardzo nieraz do piekła podobna, nie jest jeszcze piekłem; niéma na niéj ani jednego miejsca, gdzieby z pod skały lub z pod lodów, nie kiełkował listek jakiéjśkolwiek pociechy. I tu, nieszczęsni mieli jedną pociechę: każdemu pozwalano modlić się do kogo chciał, i jak umiał.

W oczach Szamanów, każda religja była dobra, byle uznawała istność Boga. Każdy mógł Go chwalić wedle swego serca i natchnień swego wybranego «Ducha», byle chwalił. Wielki Tangri, wyższy nad niesnaski ludzkie, a nawet nad niesnaski Duchów, uśmiéchał się do każdéj modlitwy, byle szczeréj.

I Szamanowie, nietylko sami tchnęli tą zdumiéwającą «tolerancją», ale przez wpływ swój,

prawdziwie na ten raz cudowny, potrafili ją natchnąć najdzikszym pokoleniom Azjackim.

To też w zaborach Mongolskich widzimy wszystkie prześladowania, *oprócz* religijnego.

I to nie była obojętność, ale istotna cześć dla «wiary», we wszelkich jéj możebnych postaciach.

Cześć ta, objawiała się nawet środkami politycznemi: wszystkie kościoły miały zapewnioną sobie opiekę najwyższéj władzy,—kapłanie wszystkich wyznań, byli uwolnieni od podatków.

Prawda, że dla ludzi głębokich przekonań, to zrównanie ich religji z każdą inną, było może jeszcze boleśniejszém, a w każdym razie, bardziéj ubliżającém niżeli prześladowanie.

Widziana ze stanowiska bezwzględnéj wieczności, ta uprzejmość dla fałszów i pół-fałszów, stawała się policzkiem danym prawdzie,—ale we względnych stosunkach i biédach doczesnego życia, przynosiła ona podbitym, a zwłaszcza jeńcom, nieocenione dobrodziejstwo: zabiérano wszystko, majątek, prawa, ojczyznę, swobodę, ale przynajmniéj sumienie zostawiano w spokoju.

To też stolica napełniała się wszelkiemi rodzajami domów bożych. Świątyń pogańskich było tam aż dziesięć, jedne dla czcicieli Szamanizmu, drugie dla Buddystów, inne dla wyznawców Konfucjusza, wszystkie bardzo bogate i licznie obsłużone. Były też i dwa meczety, wcale zdobne, już zdaleka ściągające oczy strzelistością

swoich minaretów. Był nakoniec i kościół niby-Chrześcjański, dzieło Nestorjanów, nie uboższy od innych, a zwłaszcza bardzo zręcznie umieszczony, tuż pod samym «grodem» cesarskim, tak że Chaan, ze swego mieszkania mógł słyszéć odgłos tablic metalowych, jakich na głębokim Wschodzie używali Chrześcjanie, dla odróżnienia się od Bonzów, u których przyjęte były dzwony.

Ożywienie stołeczne rozciągało się jeszcze i po-za murami; u czterech bram, założone zostały cztery wielkie, zamiejskie targowiska. Od wschodniéj strony, Targ na zboże, głównie na proso, najwięcéj tu poszukiwane; ale kraje okoliczne dostarczały go skąpo, i mieszkańcy nieraz czuli dolegliwy brak wszelkiego ziarna. Za to inne targi jaśniały obfitością. Od południa sprzedawano woły, oraz ruchome domostwa. Od zachodu owce i kozy. Nakoniec od północy, najmilsze Tatarom, konie.

Ruch dowozowy musiał być bardzo znaczny, kiedy dla samego Dworu dostawiano *codzień* pięćset wozów z żywnością i rozmaitemi potrzebami. Wozy te ciągnęły ze wszystkich stron świata. Nawet przez okropną pustynię Gobi, szła od Chin droga stała, po któréj oddziały konnicy, na trzydziestu siedmiu przestankach rozsta-

wione, dostarczały przejeżdżającym, koni, przewodników, i wszelkiéj pomocy.

Pod względem wielu wygód, i cech prawdziwéj wytworności, Karakorum niezaprzeczenie stało niżéj od ówczesnych miast Europejskich. Jednak posiadało kilka przedmiotów, nieznanych u nas jeszcze wcale, albo mało. I tak, *szklanne szyby*, na Zachodzie paradujące tylko po kościołach i xiążęcych zamkach, tu świéciły nietylko w oknach, ale i we drzwiach wielu domów. — Po Chańskich arsenałach, stały *armaty* Chińskie, tak zwane «ogniste wozy». Przy nich, ogromne banie, pełne pocisków i nafty, pękające w rzucie, zupełnie jak *bomby*.—Po sklepach i targach, krążyła bardzo gęsto *moneta papierowa*, — podczas gdy w wielu mieszkaniach leżały xiążki *drukowane*, po Chińsku, wedle tablic stereotypowych.

Przy całym tym blasku, stolica Mongolska nosiła już w sobie zarody wczesnego upadku. I nie dziw. Za szybko wyrosła. Stworzono ją magicznie, w lat kilka, na rozkaz. To téż nietylko zwykłe domy zostały sklecone byle jak, po koczowniczemu, ale i dwory panów świéciły

tylko na oko, jakby malowne dekoracje. Nawet pałac Chański był raczéj olśniewającą ułudą, niżeli pomnikiem. Jego budowniczowie martwili się tym pośpiechem, co im nie pozwalał wykończyć, wypieścić roboty po Chińsku. Cóż robić? Pan chciał mieć miasto gotowe na ten a ten, rok i godzinę,—i miał.

Takie gwałtowne budowanie pochłonęło summy bajeczne. Ale Ogotaj niczego nie żałował; i zaprawdę, mógł nie żałować. Chociaż sypał a sypał, rozdawał i roztrwaniał, nie mógł wypróżnić owych stodół ze złotem i drogocennościami.

Kiedy stolicę ukończono, wszedł do swoich Skarbców, a widząc że jeszcze w nich pełno wziął się za głowę i zawołał:

— A cóż ja z tém wszystkiém zrobię? Tylko kłopot pilnować!

Kazał więc otworzyć bramy, i ogłosić po placach, ulicach i drogach, że:

— «Każdemu wolno wejść do Skarbców cesarskich, i brać z nich tyle, ile mu się tylko podoba.»

— Teraz, niech czytelnik sobie wyobrazi, co się tam dziać musiało!

Podobno nigdy i nigdzie, historja nie mogłaby pokazać podobnego zdarzenia.

Oj! Musianoż się tam dusić i tratować! Lecieli pewno i bogaci, bo któryż człowiek umié powiedzieć: «Już mam dosyć?» — Ale głównie, tłoczyło się ubóstwo. A jakie to było ubóstwo! Europa niemiała pojęcia o podobném. Niewolnicy, patrzący wciąż na zbytki swoich panów, a dosłownie umiérający z głodu, ludzie, co mieli niegdyś w swoim kraju znaczenie i dostatki, a dziś bici, w pół-nadzy, dzień i noc pędzeni do nadludzkiéj pracy. A! Przecie im się raz trafiał dzień jakiéjś wypłaty!

Może nawet Ogotaj, wydając ten swój warjacki rozkaz, miał na myśli takie cząstkowe zadość-uczynienie? Całkowitego, niestety, niemógł już dopełnić. Jakżeż tu obliczyć wszystkie szkody, wszystkie długi zaciągnięte przez Mongołów, u stu narodów złupionych? Jak wynaleźć każdego wierzyciela z osobna, i zwrócić mu wydartą własność? Jedni już pod ziemią—drudzy na krańcach świata. Ale przynajmniej hurtownie, oddać nieszczęściu co się wzięło nieszczęściu, to i tak ulga dla duszy nagabanéj przez krwawe widma. Podobne wybryki, które gdzieindziéj byłyby oburzające, tu stawały się rodzajem cnoty.

Wśród szału téj powszechnéj radości, na «inaugurację» swojéj stolicy, Ogotaj wyprawił ucztę, któréj sława zabrzmiała od Kaspijskiego do Żółtego morza.

Istotnie, była to uczta godna zapisania na kartach dziejowych, bo upamiętnił ją nietylko rzadki przepych, ale wypadek jeszcze rzadszy, tém dziwniejszy że się przytrafił w Azji: oddanie hołdu prawdziwéj zasłudze.

Głównym doradcą i ulubieńcem Ogotaja, mówiąc po dzisiejszemu: «pierwszym jego ministrem», był człowiek osobliwszy..... po prostu wielki człowiek. Zwał się Jeliu-Czusaj.

Tunguz rodem, ale Chińczyk wychowaniem, nauką i sercem, spokrewniony był z dynastją Żelazną, panującą w Kara-Kitaju. Przy rozbiciu tego państwa, Dżyngischan wziął go w niewolę razem z całą rodziną cesarską. Uderzony jego szlachetną postawą, przepyszną brodą, a szczególniéj godnością jego spokojnych odpowiedzi, zatrzymał go przy swoim boku.

Jeliu-Czusaj włóczony za wojskami, ciągle jednak i w tém obozowém życiu, poświęcał się jeszcze ukochanym naukom. Był to wielki na swoje czasy, matematyk, astronom, jeograf i lekarz. Kiedy inni wyławiali samo złoto i kosztowne sprzęty, on gdzie mógł, ratował pamiątki, zgromadzał mappy i xiążki, zbiérał roślinę dziko rosnącą na stepach Mongolji, «Rumbarbarum», w którém pierwszy odkrył szacowne własności

Ułożył też, nieznane dotąd ludom Tatarskim, tablice astronomiczne, gdzie zaćmienia xiężyca okazały się nieomylnie naprzód oznaczone, dziwo, którego inni wróżbici niemogli dokazać. A był i potężnym astrologiem, i nawet miał w sobie jakiś promyk nadziemskiego ducha; pod wpływem tajemniczych natchnień, przepowiedział, nietylko na niebie ale i na ziemi, kilka wypadków które się dosłownie spełniły.

Dżyngischan, zdumiony taką pełnią darów ludzkich i nadludzkich, zaczął coraz częściéj szukać u niego rady, a nawet nieraz jéj posłuchał. O! Jakżeż mędrzec użył téj swojéj władzy budująco! Jakżeż—jeżeli się rzec godzi—ewangelicznie! Tysiące ofiar ocalił—całe miasta wyprosił od rabunku—podczas wielkiéj zarazy rzucił się do służenia chorym, i za pomocą swojego Rumbarbarum, dziesięć tysięcy ich uzdrowił.

On to powiedział Temuczynowi owe słynne słowa: «Państwo dało się zdobyć konno, ale nie da się rządzić z konia.» — I powoli, zaczął te słowa w czyn wprowadzać; wytargowywał od strasznego zdobywcy różne łaski, które dzisiaj dla nas wydają się niepojętemi, naprzykład założenie *więzień*. A jednak, była to niesłychana łaska Dotąd, zarządcy Mongolscy nieznali innéj kary dla podbitych, tylko skazanie na śmierć. Czy wina była wielka czy mała, wszystko jedno—zawsze winowajca ginął, i to z całą rodziną, bez badania,

bez sądu, tak sobie,—jak mówiono: «dla przykładu».—W podobnym porządku rzeczy, więzienie, sądy, stopniowanie kary, stawały się już istném szczęściem, odchylały w sercu niewolników jakąś furteczkę dla nadziei; z najgłębszych lochów można uciec—rządcy kraju mogą się zmienić—ach, tysiąc dróg zbawienia otwiéra się przed więźniem, byle tylko jeszcze oddychał!

Dzień najcięższéj próby dla ministra, stał się dla niego i dniem największéj wygranéj. Północne Chiny, wyniszczone bezmyślnym zaborem, pozbawione rąk pracujących, doszły do tak okropnéj nędzy, że pomimo wszelkich wyciskań, pewnéj wiosny, nie zdołały już dostarczyć zwycięzcom ani jednego ziarnka ryżu, ani jednéj sztuki jedwabiu. Wtedy, między Mongołami zebranemi na Kuryłtaju, postawiono wniosek, — tak! spokojnie postawiono przerażający wniosek—aby całą tę ludność, jako *na nic nieprzydatną*, w pień wyciąć, i wszystkie ziemie Chińskie obrócić na pastwiska. Pamiętajmy, że tych skazanych było kilka *miljonów*..... Jeliu-Czusaj struchlał do głębi wnętrzności; ale wiedział z kim ma do czynienia; zachował więc postawę chłodną, nie oburzył się na wnioskodawców, nie starał się przemówić do ich serca, tylko powolutku, dowiódł im wyraźnie, prostemi rachunkami, że przy lepszém gospodarstwie, ta ludność potrafi ogromny haracz opłacać, i przynieść więcéj korzyści niżeli pastwiska. Zdo-

bywcy, posiadający loikę chciwości, dali się przekonać, a Kronika Chińska czyni tutaj uwagę, dziwnie majestatyczną w swoim lakonizmie, i zupełnie sprawiedliwą, mimo swojéj pozornéj hyperboliczności:

— «Gdyby kto chciał liczebnie oszacować przysługi oddane rodowi ludzkiemu, znalazłby zapewnie, że człowiekiem, co największą liczbę ludzi ocalił od śmierci, był Jeliu-Czusaj.»

O tak! Jeżeli w huraganie Dżyngischanowym trafiały się chwilki wytchnienia, oazy ochronione od zagłady, jemu tylko świat je zawdzięczał. Do nas nawet, pośrednio, wpływ jego się rozciągnął, bo kiedy w naradach obozowych rzucono zamiar, aby ludami zachodniemi podbijać Chiny, a Chińczyków posyłać na podbój zachodu, on wodzom wybił tę myśl z głowy, a uczynił to dziwnie mądrze, dowodząc im po lekarsku, że działanie tak przeciwnych klimatów, zgubiłoby wkrótce oba wojska.

Któż wié jakby dzisiaj świat wyglądał, jakie mielibyśmy obecnie kolonje, ustawy i wyobrażenia, gdyby się były na ląd Europejski rozwarły, bezdenne upusty Niebieskiego Państwa?

Ale prawdziwa potęga ministra, jego że tak powiemy *panowanie*, zaczęło się dopiéro pod berłem Ogotaja. Młody Chaan powierzył mu najpierwéj zarządzanie Skarbem; a kiedy zobaczył po upłynionym roku, że dochody i wydatki nie różnią się ani o jeden bałysz od budżetu naprzód ułożonego, zdumiał się niewymownie, i prawie wszystkie inne władze oddał w jego ręce. Jeliu-Czusaj dokazał cudów; on to zaprowadził poczty,—naznaczył stałe granice daninom, które pierwéj wybiérano samowolnie,—ukrócił tysiące nadużyć,—aż doszedł do takiéj niewidzianéj odwagi, że ustanowił kary na urzędników i wojskowych Tatarskich, którzy by przekroczyli dane sobie rozkazy. Kiedy nakoniec uczuł swoją potęgę dostatecznie już ugruntowaną, przystąpił do przedsięwzięcia które mu najbardziéj leżało na sercu. Wszyscy prawie Mandarynowie Chińscy byli obróceni w niewolników. Minister pokazał Chaanowi przestraszające stosy zaległości, z których niemógł wybrnąć bez pomocy ludzi biegłych w naukach i administracji. Chaan się zatroskał, jak i gdzie tych biegłych wyszukać?

— A cóż łatwiejszego? Dość jest ogłosić Examina i Konkursa, jakich odwiecznie używano w Chinach.

— Dobrze, ogłoś.

Wyszła więc uchwała, przyzywająca wszystkich, tak wolnych jak niewolnych, do zdawania Examinów, naznaczająca nawet «karę śmierci» na pana coby niewolnikowi nie pozwolił stanąć do Konkursu.

Ma się rozumiéć, że na podobném polu, przy współzawodnictwie samych barbarzyńców, Chińczycy odnieśli wszystkie palmy. Przeszło tysiąc Uczonych wróciło do swobody, a co więcéj, osiadło na wysokich urzędach.

— «I tak,» — powiada jeden z Orjentalistów — «dzięki mądremu ministrowi, został przeprowa«dzony środek, co miał nietylko podbitych przy«puścić do rządów, ale przez nieuchronną prze«wagę rozumu i światła, miał zniweczyć powoli «wszystkie skutki podboju.»

Oddajmy jednakże każdemu, co mu się należy.

I Ogotaj niemałą ma zasługę, że — choć władca Azjacki — i, co dziwniejsze, choć syn Dżyngischanowy — dał się powodować najcnotliwszemu z doradców, i przed całym światem okazywał mu wdzięczność.

A nigdy nie okazał jéj z większą solennością, jak podczas owéj uczty, co upamiętniła otwarcie stolicy.

Przywołał wtedy Jeliu-Czusaja na swoją estradę, i pełną czarę podając mu *własną ręką*, (zaszczyt, nigdy pierwéj niewidziany,) wyrzekł do niego wielkim głosem:

— Jeśli spokojnie rządzę tylu krajami, tobie tylko tę spokojność zawdzięczam. Jeśli w nocy mogę oczy zamknąć, to tylko dzięki troskliwości z jaką ty niezmordowanie czuwasz.

Potém zwrócił się do mnogich posłów Zachodu i Południa, którzy przybyli na tę uroczystość, i każdemu z kolei zadawał pytanie, czy jego kraj posiada podobnego człowieka?

Ta piękna «inauguracja» odbyła się w roku 1236-stym. W epoce więc kiedy nasze branki tam zjechały, t. j. w 1244-tym, stolica była jeszcze bardzo młodą; już jednak mogła się nazywać skończoną, i przyszłe lata mało co jéj dodały. Bo jeśli wybujała gwałtownie, jakby kwiat sztucznie wyhodowany w duszącéj cieplarni despotyzmu, równie téż gwałtownie miała zwiędnąć. To miasto dziwne, jedyne, zjawiskowe, zapaliło się i zgasło w dziejach jak meteor. Tylko trzydzieści lat świetności było mu przeznaczonych, a z tych trzydziestu, osiem już upłynęło.

Ale w chwili gdy patrzymy na nie, jest ono właśnie w swoim największym blasku. Tam je-

dnoczą się losy całéj Azji — tam ważą się losy Europy.

Można powiedzieć, że oś ówczesnego świata miała dwa bieguny, z których jeden był w Rzymie, w Karakorum drugi. Tu biegun światła—tam biegun ciemności.

Roczniki niewoli.

Lata przynosiły z sobą, nieznaczne, jednak ważne zmiany. Już w drodze zaszedł wypadek, co wywarł mocny i zbawienny wpływ na przyszłość branek.

Jeszcze w piérwszym roku podróży, musiano zatrzymać się na długo przy północnych stokach Kaukazu; droga była tam zatamowana przez wielkie powstanie Kipczaków, którzy korzystając z odpływu sił Mongolskich do Węgier, podnieśli sztandar wyswobodzenia, i mocno poturbowali brata Batowego, Sankora, zwierzchnika tych krain. Teraz, powracający zwycięzcy, musieli długo uganiać się i ubijać, zanim uprzątnęli tę zaporę; i ona jednak upadła w końcu przed szczęśliwą gwiazdą Tatarów.

Po trupach Kipczackich znów się rozwarła wolna droga; nie same tam jednak były zwłoki

zwyciężonych; wśród zaciętéj walki, padło i wielu wojowników Mongolskich.

W ich liczbie poległ i Toktysz, a wtedy, owdowiała Arguna, razem z dzieckiem przeszła w dom Ajdara, bo Tatarski obyczaj nakazywał ażeby brat pozostały, wziął pod swoją opiekę wszystkie żony po bracie zmarłym. Wolno mu téż było je zaślubić.

Ajdar nie zaślubił Arguny. Od czasu jak został podbity urokiem Ludmiły, rzadko już kiedy chciał patrzéć na piérwsze swoje żony, gdzież mu było myśléć o nowych! A jeszcze téż o bratowéj, twardéj, nieurodziwéj niewieście, któréj— prawdę mówiąc—nigdy bardzo nie lubił. Przyjął jednak jéj wozy do swego taboru, opatrywał wszystkie jéj potrzeby, i czuwał nad Kałgą, którego stał się odtąd prawnym opiekunem. A czuwał surowo, bo dużo będąc lepszym od innych, więcéj niż inni oburzał się na złe skłonności synowca.

Dzieciak, piérwszy raz w życiu poznał, co to jest zadrżéć przed kim. Teraz już ciągle uciekał do matki, napełniając jéj namiot rykiem i skargami.

Arguna, tylko synem zajęta, dobrze czująca brak swoich powabów, nie czyniła nawet żadnych usiłowań ażeby rozkochać w sobie obojętnego szwagra, ale chciała z nim zachować jak najlepsze stosunki, w nadziei że nakoniec może potrafi zdobyć u niego większą względność dla

Kałgi. A celu tego niemogła dopiąć inaczéj, tylko ujmując sobie Ludmiłę, jedyną istotę posiadającą wpływ na umysł Ajdara.

Ludmiła bystrém okiem objęła ten zbieg okoliczności, i użyła go na polepszenie losu Elżbiety. Niewiadomo jak się brała do rzeczy, to tylko było niezawodném, że ile razy dokuczono piastunce, zaraz Ajdar ofukiwał Argunę, odmawiał wszelkich jéj żądań; ile razy Kałga uderzył Elżbietę, zawsze mógł być pewien że nazajutrz, stryj niewiedzieć czemu przyjmie go z nachmurzeniem, i przy piérwszéj sposobności każe mu dać rózgi. Arguna, macierzyńskim instynktem odgadła przebiegłą grę Ludmiły, zmiarkowała o kogo jéj chodzi, i nagle zmiękła dla Elżbiety.

Niańka, dotąd ledwie że odziana, źle żywiona, ujrzała naraz w koło siebie twarze wdzięczące się sztucznym uśmiéchem; zaczęto jéj dogadzać, nieledwie nadskakiwać; wszystko to niezgrabnie, z widocznym przymusem, ale zysk był czysty.

Wszyscy odetchnęli swobodniéj. Kałga tylko zżymał się pokryjomu, i w czarném serduszku zbiérał zasoby złości do téj osobliwszéj niewolnicy, która zdaniem wszystkich była jego niezaprzeczoną własnością, a któréj przecież niepozwalano mu dręczyć według upodobania. I cóż mi to za «własność?»

Jadąc teraz jednym taborem, obie niewiasty nie odstępowały się już ani na chwilę. O! Jakże ta druga część podróży wydała im się słodką w porównaniu do pierwszéj, kiedy oddzielone całemi szeregami wozów, nie mogły się spotykać tylko czasem, na dłuższych przystankach, albo za pomocą trudnych i zawsze niebezpiecznych wybiegów. Jakże zwłaszcza ich dola wydawała im się szacowną, w porównaniu z losem tylu innych jeńców, którzy nieumieli lub niemogli wyjednać sobie żadnéj ulgi!

Przez drogę, pozawiérały wiele nowych stosunków, bardzo smutnych i bardzo serdecznych.

Najbliższa zażyłość łączyła je z pewną damą Frankską, zwaną Pascha; imię to, w pieszczotliwém zdrobnieniu, brzmiało jakby nazwa kwiatka: «Pâquette.» — Osoba ta, młoda, ładna, niegdyś wesoła jak wiewiórka, rodziła się w Lotaryngji, w mieście Metzu, z rodziców majętnych, u których odebrała staranne, jak naówczas, wychowanie. Wyszła za pewnego Węgra junaka, co szukał sławy i Fortuny wojennéj, giermkując u obcych baronów, aż sam się dał zawojować przez piękne oczy i wabny posag «Pâquet-

ty.» Z pomocą tego posagu, postanowił wrócić między swoich, i rozpocząć spokojne, pracowite życie. Młoda para zjechała do Belgradu, gdzie napad Tatarski zaskoczył ją w upojeniu miodowych miesięcy. Męża zabito w oczach Paschy, ją samą powleczono w jassyr. Los jéj był dotąd okropnym; nie należała jeszcze do nikogo; razem z trzodą innych niewiast, pędził ją chciwy handlarz niewolników, który sobie obiecywał, że na miejscu odżywi i wystroi swoje ofiary, ale tymczasem przez drogę, robił okrutne oszczędności na ich pożywieniu i odzieży.

Wielką pomyślnością dla Paschy było zapoznanie się z naszemi niewiastami. Ludmiła, będąca już nie prostą niewolnicą, ale małżonką Tatarskiego pana, posiadająca własny tabór i zapasy, mogła zgłodniałych nakarmiać, upadających od znużenia, brać na swoje wozy. Ogromne to pole otwarte dla miłosierdzia, przynosiło jéj wiele rozkoszy, ale i wiele utrapień, bo łaknących i nagich było tyle! O Boże mój! Żaden tabór, żaden zapas nie wystarczał; na kilkunastu obdarzonych, kilkudziesięciu codzień odchodziło z niczém..... A tu niemożna zbyt hojnie szafować dostatkami, bo te dostatki płyną tylko z łaski męża i pana, a gdyby się téż zniecierpliwił i rozgniéwał? Gdyby nadal zabronił podobnego szafunku? I tak, wielkie to szczęście że dotąd jakoś nie widzi co się to z jego bogactwami dzieje? A może tylko udaje że nie widzi?

Trudno pojąć, czy ten człowiek dobry czy obojętny?

Gdyby Elżbieta mogła była czegokolwiek Ludmile zazdrościć, to chyba tych jednych rozkoszy miłosierdzia. Ona niemiała czém się dzielić! Niegdyś pani zamku, słynna z dobroczynności,—teraz biédna sługa, niemogła nawet kożucha ściągnąć z siebie i dać nieszczęśliwszym, bo i ten kożuch nie był jéj własnością. Potrafiła jednak i tu jeszcze rozdawać jałmużnę,—ze słów pokrzepiających, wartych złota — z łez współbolejących, wartych pereł—a podobna jałmużna ma tę wielką zaletę, że nigdy się nie wyczerpuje.

«Pâquetta» sprowadziła im jednego ze swoich Belgradzkich znajomych, przybylca z jeszcze głębszych stron zachodu; był to czysty Paryżanin, «Maître Guillaume Buchier», pochodzący ze słynnéj rodziny złotników. Ojciec jego, Laurenty Buchier, wyrabiał dla Filipa Augusta cudne relikwiarze i turniejowe nagrody. Starszy syn Laurentego, Rogier, objął po nim zakład złotniczy, i miał świetny «ouvroir avec fenestre», na moście zwanym «le Pont-au Change», gdzie stały wówczas najpiękniejsze sklepy jubilerskie.

Młodszy syn, ów dzisiejszy jeniec, Wilhelm Buchier, przyćmiony w Paryżu sławą brata, a może i pędzony duchem awanturniczym, postanowił szukać szczęścia za granicami Francji,

zawędrował aż do Belgradu, i tam znalazł od razu wszystko co mógł zamarzyć. «Gust» Paryzki już i wtedy zawracał głowę mieszkańcom północniejszych krain, to też rok jeden nie przeminął, a już dworzanie króla Andrzeja niechcieli kłaść innych łańcuchów, ani pić z innych puharów, tylko z tych które wyrobił mistrz Wilhelm. Ale jakże ciężko przyszło mu pożałować swojego do nich przybycia! Po kilku latach pomyślności, widnokrąg nagle się zachmurzył—nastał zalew Tatarski—błyszczące składy złotnika, piérwsze wpadły w oko łupiezcom — wzięli własność i właściciela—i oto wykwintny Paryżanin znalazł się w tym Babelu jeńców, zdumiony i wykolejony, jakgdyby tam spadł z xiężyca.

Mistrz Wilhelm zapoznał znów nasze niewiasty z innym złotnikiem, starym Kuźmą. Ten pochodził prawie z drugiego krańca świata, bo z Kijowa, gdzie suty jego kram na Padole, przyćmiéwał wszystkie inne «krasności» Gościnnego Dworu. Przy okropném plądrowaniu miasta, i on ze swoim kramem został policzony między najcelniejsze zdobycze. Odtąd, nieustannie ciągano go za wojskiem. Jemu przecież darzyło się lepiéj niżeli Francuzowi, bo dawniéj zabrany, umiał już sobie radzić z Azjatami. Chociaż to w podróży, jednak pełno miał zawsze robót, zwłaszcza też naprawek około zagrabionych klej-

notów i naczyń; wszystkie te rzeczy, w rabunku, w bezładném pakowaniu, podlegały ciągłym uszkodzeniom, którym Tatarzy sami nie umieli zaradzić; Kuźma, na każdym dłuższym wypoczynku, zczepiał je, nitował, oczyszczał, wygładzał, i — przez wszystkich wyrywany — zbijał do pasa drobne datki.

Z powodu tych jego robót, branki uczyniły, ważne, choć niestety już zapóźne odkrycie, wyjaśniła się dla nich tajemnica kanaku.

Kiedyś, na dłuższym popasie, Arguna wyjęła ze swojéj arki ów nieszczęsny kanak, i zawiesiwszy go na piersiach, paradowała po całym obozie. Kuźma spostrzegłszy przechodzącą, mrugnął na Wilhelma i mówił:

— Znam ja się z tém cackiem. Jeszcze tam, gdyśmy to stali nad Limanem, ta niewiasta przywołuje mię kiedyś, i każe mi robić, na gwałt, oprawę kubek w kubek taką samą, tylko nie szczerozłotą, ale z miedzi lekko pozłacanéj. — «Słuchaj,—powiada—niech ona będzie nawet źle pozłacana, tak aby miedź zewsząd przeglądała.» — Kamienie każe mi wyjąć ze złota i w tę miedź oprawić.—Zdziwiło mię takowe osobliwsze żądanie, ale cóż mi do tego? Zrobiłem, i odnoszę. Dobrze.—Po kilku dniach, znowu mię woła i powiada: «Przełóż kamienie do pierwszéj oprawy.» —Dobrze.—Zapłaciła—wprawdzie nie tę-

go—no, ale cóż? z Tatarką dla nas niéma targu.— Chciałbym ja tylko jeszcze kiedy wiedzieć, co się to w téj babskiéj głowie naówczas roiło?

— I będziecie wiedzieli, ojcze Kuźmo.— Wtrąciły nasze branki, które siedząc w tejże saméj gromadzie, słuchały go z biciem serca. Gdy się dowiedział od nich, że kanak był niegdyś własnością Ludmiły, że ten to właśnie podstęp Arguny, pozbawił Elżbietę wolności, a Beppa pokłócił z całym światem, zacny złotnik aż się rozpłakał.

— Biadaż mojéj duszy! Ale czy ja wiedział że to pogańskie zdrady? Że temi Chrześcjańskiemi rękami kuję na was wszystkich nieszczęście? Niewiedział! Już Bóg chyba odpuści. Nieświadom to i bezgrzeszen—nieprawdaż? I wy odpuścicie..... czy tak?

— Ach tak, z całego serca.—Pocieszały niewiasty.

Ale Kuźmę teraz chwyciła inna trwoga.

— Biadaż mojéj głowie!—Powtarzał.—Jeśli ta Mongołka zmiarkuje kiedy że ja się głupio wygadałem, niéma zemsty której by nie wymyśliła na biédnego jeńca!

— A któżby was przed nią wydawał, ojczulku? Czy to my nie powinni bronić jedni drugich? Zresztą, nie martwcie się zbytecznie, bo czy tak czy owak, z kanakiem czy bez kanaku, Arguna nie byłaby nigdy oddała niewolnicy, nigdy! My to już teraz wiemy dobrze.

I popłakali się wszyscy—jak zawsze.

Kuźma odbywał całą drogę na jednym wózku z Wilhelmem. Tak, na wózku; jako «rzadkości» przeznaczone dla Wielkiego Chaana, byli nie pędzeni, lecz wieźieni. Ba! Nietylko wieźieni, ale i do syta nakarmiani, i od zimna gwałtem otulani, zupełnie jakby piękne kobiéty, może nawet jeszcze troskliwiéj; pięknych kobiét zwycięzcy mieli tyle, a biegłych kunsztmistrzów tak niewielu! I to jeszcze w sztuce złotniczéj, która dla Tatarów była sztuką jedyną, niezrównaną, bardzo już bliską sztuki czarnoxięzkiéj.

Dziwnie ci dwaj ludzie przy sobie wyglądali. Francuz, cienki, sprężysty, suchy, wszędzie się jak wąż prześlizgiwał w swojéj sukni długiéj, o barwach brunatnych, których ludzie średniego stanu wtedy zażywali; czapkę tylko miał jasną, niebieską, z wywiniętym brzeżkiem, ze dnem wiszącém jak szlafmyca, lecz pokarbowaném w jakieś dziwne wachlarze, których błękit ślicznie odbijał od jego ciemnych, sprytnych oczów, i smagłéj, po mieszczańsku wygolonéj twarzy. Na suknię, nakładał czasem lekki, czarny «mantel», i choć zadymka się srożyła, choć wózek skrzypiał po śniegach, on — jak wszyscy południowcy, rozpoczynający dopiéro wędrówkę

na północ—ze śmiéchem pełnym pogardy odrzucał wszelkie futra.

Za to Kuźma wyglądał jakby niedźwiédź. Gruby, szpakowaty, rubaszny, twarz miał dużą i miękką, z filuterném spojrzeniem; twarz poczciwca podszytego mądralem.—Dawno już zdarłszy swoje piękne ubiory, teraz po Tatarsku kładł kożuch, na kożuch, czapkę z barankiem nasuwał na uszy, i ciągle gładził ruse, okrutnie długie wąsy, które mróz mu przemieniał na kryształowe sople.

Obaj byli podobni do dzieł jakie stwarzali. Piérwszy, wyrabiał nalewki o łabędzich szyjkach, monstrancje gotyckie przezroczyste, naszyjniki filigranowe. Drugi, mieszkając na «greckiéj drodze», którędy od wieków szły Bizanckie tradycje, kował ogromne szczerozłote blachy, wprawiał w nie klejnoty grube jak orzechy, ciemnolice Obrazy Świętych przyoblekał w srebrne sukienki.

Pomimo tych różnic, podczas długiéj wędrówki zaprzyjaźnili się niezmiernie; wiązała ich nietylko wspólność niedoli, ale i wspólność zawodu. Przez dwa lata z okładem siedząc na jednéj teledze, mieli dosyć czasu aby sobie całą swoją przeszłość dokładnie rozpowiedzieć. Kuźma codzień gadał o tym «pasie Trackim», co to go jeszcze przed ćwierć-wiekiem zrobił, a który był taki przepyszny, że Xiążę niewiedząc już czém tę rzecz nagrodzić, zaprosił go na biesiadę, i pozwolił mu siedzieć przy stole Pasynków. Codzień

się też troskał o swoją beczkę srebra, którą sobie zamurował w lochu, a o któréj dotąd niewiedział, czy Tatarzy znaleźli ją, czy nie znaleźli? — Mistrz Wilhelm jeszcze ciężéj wzdychał. Ach, i jak tu nie wzdychać za tym grzecznym Paryżem, gdzie złotnikom jest jakby w raju? Nie, nigdzie indziéj na świecie, ów Cech nad Cechy nie posiada równych przywilejów; przy każdéj uroczystszéj Processji, oni to, złotnicy, «uwieńczeni różami», noszą po mieście relikwie Świętéj Genowefy;—przy każdéj Koronacji, oni trzymają baldachin purpurowy nad królem, podczas gdy ten objeżdża «sa bonne ville de Paris».— I nie byłoż to mędrzéj tam siedzieć, choćby tylko bratu pomagać, niż tu jęczyć u barbarzyńców.....—Ale co to? Niech mi Pan Bóg wybaczy, ja podobno się skarżę? A! To nie przystoi na dobrego Chrześcjanina. Przez «Monseigneur'a» Świętego Eligjusza! Gadajmy lepiéj o naszéj zacnéj sztuce.

I gadali o swojéj zacnéj sztuce, i wtedy już jechali nie na twardéj teledze, ale na rydwanie słonecznym, ciągnionym przez dziwo-kształtne Gryfy i Chimery. Oj, błogoż im było, z téj okropnéj rzeczywistości, uciekać w niezakłócony świat myśli i fantazji! Powierzać sobie wzajem najskrytsze tajniki swego kunsztu! Wprawdzie tam, ich pojęcia bywały zazwyczaj wręcz przeciwne, ale mistrzowi z mistrzem i posprzeczać się miło.

Nie zaraz oni jednak mogli tak żywo sprzeczać się ani godzić; przez długi czas jechali ramię przy ramieniu, rozprawiając tylko na migi. Francuz nawet nigdy nie wyłamał sobie dobrze języka do północnych wyrażeń; za to Słowianin, gadający już po Tatarsku i nieco po Ujgursku, z łatwością właściwą swojemu plemieniu, chwytał od towarzysza jego: «Pardieu!» — «Beau sire» — et-coetera — i już w drugiém półroczu podróży, wcale nieźle paplał tą nadobną francuzczyzną trzynastego wieku, co jeszcze mocno zatrącała Włoską pieszczotą i Prowansalskiém rozśpiéwaniem.

Nasze branki także musiały — rade nie rade — chwytać choć po łepkach znajomość rozmaitych języków, dla porozumienia się z towarzyszami podróży, zwłaszcza z ulubioną sobie Paschą. Elżbieta, poduczona już nieco na xięgach, posiadająca w wysokim stopniu dar skupiania myśli, łatwo sobie przyswajała cudzoziemskie słowa i zwroty. Ruchliwéj Ludmile trudniéj szła nauka; z Paschą długo niemogła rozmawiać inaczéj, tylko przez pośrednictwo przyjaciołki; za to w język Mongolski — choć tak sobie wstrętny — wprawiała się coraz usilniéj, bo nawrócenie Ajdara było już teraz nieustannym celem jéj myśli i za-

biegów, a dobrze czuła że kto chce nawrócić, ten musi najprzód wymową przekonać.

Było między brańcami i wielu Niemców, pobranych w Morawji, na Szlązku i Węgrzech; ci, mocno tutaj pokornieli, nie darli kotów ani ze Słowianami ani z Francuzami; pod batem poganina, ludy Chrześcjańskie uczyły się Chrześcjańskiego braterstwa. O! Bo nic tak ludzi nie łączy, jak twarde koleżeństwo podobnéj wędrówki. Z drobnych ono składa się ogniwek, ale rośnie w potężny łańcuch. Tu, zdrowy choremu odstąpi kawałeczek mięsa, tam niewiasta zaceruje starcowi rozdarty przyodziéwek, ówdzie młodzieniec, służąc jakiéj strudzonéj matce, przeniesie jéj dziecinę przez wpół-zamarzłą wodę, i te maleńkie przysługi, więcéj zaważą na stepie albo w lochu, niż największe dobrodziejstwa na wolności.

Ale wszystkie owe stosunki, mniéj lub więcéj serdeczne, pękły za przybyciem do stolicy. Zbliżenie wywołane podróżą, ustało. Brańcy i branki, rozpędzeni na wszystkie strony, rozsypani między tysiącznych panów, nagle poschodzili sobie z oczu. Każdy zaczął ze drżeniem

rozpatrywać się w swojém nowém, i już nieodwołalném położeniu.

«Zachodnią» bramą wjechawszy do Karakorumu, cały ogromny orszak Ajdara ciągnął przed wrota pałacowe, bo i Ajdar miał swój pałac, i to jeden z najbliższych Grodu cesarskiego. Ajdar był — jak wiemy — ulubieńcem nieboszczyka Ogotaja; w jednéj z wypraw Chińskich, jeszcze jako młodzianek, oddał mu wysoką przysługę, nadstawiając własne piersi na strzałę, która leciała prosto w pierś monarchy; ciężką chorobą przypłacił swoje poświęcenie, ale téż Ogotaj mianował go Terchanem, co nietylko dawało «bezkarność aż do dziewiątego przestępstwa», ale uwalniało od podatków, od przymusowéj służby, od tysiącznych ciężarów, i czyniło posiadacza nieledwie udzielnym panem.

Miejskie siedlisko Ajdara, szumnie zapowiadane pod nazwą *pałacu*, nie odpowiedziało wcale oczekiwaniu branek. Z wierzchu jeszcze świéciło nieźle mnóstwem Chińskich wyrzezań, przystawek i ganeczków; ale wewnątrz, komory obdarte, pusciuteńkie, stęchlizną wiejące, zdradzały długoletnie opuszczenie, i przejęły je więziennym smutkiem, témbardziéj że zmrok już zapadał. Nie było na czém usiąść, ani gdzie co zawiesić. Jednakże, kiedy na prędce zniesiono rogoże i kobierce, kiedy piérwszy raz po trzydziestu miesiącach, zam-

knęły oczy pod jakimś dachem na prawdę zasklepionym, pomiędzy ścianami zbitemi z mocnych desek, wydało im się w tym cudownym spokoju, że na obłokach płyną prosto w niebo.

Przez całe dwie doby, nikt ich się niemógł dobudzić, leżały jak martwe, podczas kiedy Mongołki ocknęły się owszem nierównie wcześniej niż zazwyczaj, niemogąc dospać w takim dziwnym domu, co się ani kołysał, ani nocnym przewiewem nie chłodził im twarzy.

Kiedy nakoniec Kałga, tysiącem psot potrafił przerwać letargiczny sen podróżniczek, już krzątano się w najlepsze około zagospodarowania nowéj siedziby, chociaż nie na długo miała ona służyć, bo niecierpiący pobytu w mieście Ajdar, zaraz u wstępu zapowiedział, — na wielką żałość obu Polek — że jak tylko Dworowi zda sprawę ze swoich wojennych czynności, wnet wyruszy w drogę na nowo, dla koczowania po własnych pastwiskach.

Tymczasem, trzy jego żony dawniejsze, a zatém z prawa piérwsze, zajęły główne izby dworca; Ludmile, ostatniéj z daty i z prawa, dostało się kilka izdebek w bocznéj przybudówce. Nie utyskiwała jednak wcale na swoje umieszczenie, bo to skrzydło stykało się przez rodzaj siatkowéj werendy, z wielkim podniszczonym kioskiem, gdzie Ajdar pozwolił ażeby Arguna umieściła się z Kałgą. Nasza branka miała więc o próg tylko najdroższą Elżbietę. Co chwila przez krużga-

nek zabiegały do siebie, a że lato w najlepsze wybuchło upałami, mogły siedzieć i gawędzić pod Chińską werendą, podczas gdy chłopiec bawił się w rozpalonym piasku.

Codzień, na dziedziniec wpędzano wielbłądy z jakąś nową «arką». Pan domu, siadłszy na progu, — podczas gdy wszyscy w koło stali, — kazał sobie przynosić materje, sukna, kosztowności; wszystko to przed nim układano w stosy; on je zwolna oglądał i dzielił między żony, a zawsze z krzyczącą stronnością dla Ludmiły. Ta stronność wcale jej nie radowała; starsze małżonki patrzyły na jej stos większy i świetniejszy, oczami nietylko gniewnemi ale załzawionemi; zlękła się téj zazdrości, co z małego robaczka nieraz wyrasta na potworę, przytém — i żal jej się zrobiło tych niewiast łakomych jak dzieci, którym łaskę pańską mimowolnie wydarła. Zwróciwszy się więc do męża z niewymownym wdziękiem, zaczęła od uprzejmych podziękowań za siebie, a skończyła zręcznem wstawiennictwem za pokrzywdzonemi.

Ajdar zdumiał się niewymownie. Pochwalił głośno jej dobroć, ale wstawiennictwa bynajmniej nie uwzględnił, owszem, jeszcze dwakroć suciéj obsypał ją darami.

Kiedy wszystko do niéj wniesiono, izdebki ledwie zdołały pomieścić tę mięszaninę rzeczy najsprzeczniejszych, potrzebnych i niepotrzebnych. Z początku, chodziła między niemi jak błędna, odtrącała je gniewnie nogą, niemogła dotknąć się niczego, w obawie, aby krew nie wytrysła z tych owoców grabieży, aby widma właścicieli nie przyszły, i nie upomniały się u niéj o kradziony dostatek.

Elżbieta zeszła ją w tych czarnych myślach. Jak zawsze, powolutku, zaczęła pocieszać, przedstawiała że Bóg nic napróżno nie czyni, że nawet złe nabytki powierza czasem dobrym ludziom, ażeby się w ich rękach obróciły na dobre. A kończyła swoją wieczną zwrotką:

— Moja najdroższa, pamiętaj przecie, że musisz się przypodobać małżonkowi, bo tu chodzi o jego duszę; a powiadam ci, srodze go obrazisz, jeśli pogardzisz jego upominkami.

Więc Ludmiła, otrząsnąwszy się ze zgrozy, nazajutrz rano zwołała gromadkę swoich niewolnic. (Tak! Sama niewolnica, miała pod sobą niewolnice. Ajdar przeznaczył ich kilka na jéj wyłączne usługi). Z ich pomocą, zaczęła gatunkować swoje bogactwa; wiele drobnostek zaraz im rozdała, inne przedmioty nieużyteczne zsypano w ciemne schowanko, a najpiękniejszemi ubrano jéj mieszkanie. Kobierce i makaty zakraśniały na ścianach; jakaś lampa złocista (ach, może kościelna!) zawisła u czarnych stropów; sprzęty, na-

czynia, bawidełka, stanęły z bezładem pełnym wdzięku. Wszystko to tworzyło zbieraninę prześliczną, pochwytaną z różnych krain, różnych stylów i cywilizacji, któraby dzisiaj zachwyciła oczy antykwarjusza.

Kiedy wieczorem Ajdar przyszedł do Ludmiły, osłupiał — ledwie mógł uwierzyć że w jego własnym domu dzieją się takie dziwy — i rzekł zamyślony:

— Jednak ty zawsze jesteś inna niż wszystkie!

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Tu, jakbym widziała moją czytelniczkę przymykającą xiążkę..... jakbym ją słyszała szepcącą:

— «Ależ i ten Ajdar był inny niżeli zwykli mężowie Mongolscy? Nic, tylko ciągłe dary i uprzejme słówka. Już na brak miłości Ludmiła chyba niemogła się skarżyć?»

. . . . . .

Nie, — jeśli na co skarżyła się skrycie, to właśnie na zbytek téj miłości, a zwłaszcza..... na jéj gatunek.

Ajdar lubił ją przepaściście, więcéj niż wszystkie inne swoje żony, więcéj niż swego konia, więcéj może nawet niż kumys, co na ówczesne-

go Tatara było istném zjawiskiem; kochał ją nawet, jeżeli namiętność można zwać kochaniem. Ale to porozumienie się w myślach, ta wspólność uczuć, z których powoli narasta prawdziwa tkanka przywiązania, ach te, między niemi niemogły nigdy się zadzierzgnąć. Byli sobie blizcy a obcy, jakby za każdém spotkaniem piérwszy raz się widzieli. Między ich duszami drgała jakaś głucha, niewyznana walka, w któréj skrzydła gołąbki ciągle się wymykały z pod skrzydeł sokoła.

Dla sokoła, ta walka miała drażniący urok, nadawała miłosnéj biesiadzie niewyczerpany smak nowości; Ajdar nigdy nie był pewien czy już na prawdę zawojował brankę, i po całych pięciu latach, jeszcze musiał ciągle ją zdobywać.

To téż niejednokrotnie łamał sobie głowę, nad nowemi sposobami przypodobania się swojéj niepochwytnéj czarodziejce. Sposoby te nieraz tchnęły prostactwem barbarzyńcy, nieraz okazywały jak Ajdar mało dotąd rozumiał Ludmiłę, jak nic w niéj niewidział tylko istotę płochą, którą trzeba samemi błyskotkami zabawiać i olśniéwać.

I tak, — jeszcze w ciągu podróży — pewnego dnia, wszedł do jéj namiotu weselszy niż zazwyczaj, ale razem i jakiś niespokojny. Rozmowę

prowadził z roztargnieniem, co chwila spoglądał na Ludmiłę z pod oka, jak dziecko troszkę urażone, że obecni zamało na nie zwracają uwagi.

Nakoniec, zniecierpliwiony zapytał:

— No cóż? Już dziś, to ci się chyba zupełnie podobam?

Ludmiła podniosła na niego wzrok pełen zdziwienia.

— Dla czegóż dziś więcéj niż kiedy? Mój małżonek zawsze mi się podoba.

— No tak..... ale dzisiaj, czyż nie widzisz we mnie żadnéj zmiany?

Coraz więcéj zdumiona, Ludmiła napróżno wpatrywała się w jego rysy, niemogła dostrzedz owéj zmiany. Wtedy uśmiéchnął się chełpliwie, i pokazał jéj, świéżo przekłute swoje uszy, a w nich złote kolce z drogiemi kamieniami.

Zausznice nie były rzadkością u mężczyzn Tatarskich; nosili je bogacze, nosili strojnisiowie. Ajdar długo niechciał uledz téj modzie; zaufany w moc swojéj urody, ze śmiéchem odpychał wszelkie sztuczne środki upiększenia. Dopiéro z chwilą, gdy zaczął sobie łamać głowę nad owemi sposobami przypodobania się «gołąbce», zmienił myśl, i teraz już nie gardził żadném przyozdobieniem.

— To tylko dla ciebie dałem sobie włożyć. — Mówił. — Ach, czegóżbym ja dla ciebie nie zrobił?

Ludmiła nie mogła się powstrzymać od uśmiéchu.

— Pięknie ci — rzekła — z temi świécidłami, ale jeszcze piękniéj, kiedy spojrzysz łagodnie, lub kiedy powiész komu dobre słowo.

Ajdar zwrócił ku niéj oczy pełne niedowierzania, poczém, zadumał się jak człowiek co chce rozwikłać bardzo dziwną zagadkę.

Po kilku takich próbach i zadumach, zaczął się okazywać jakimś innym. W rozmowie z Ludmiłą coraz częściéj dotykał przedmiotów poważnych, czasem nawet zdawało się, jakby ubocznemi drogami szukał u niéj rady. Nagana jéj — choć zawsze ostrożnie osłodzona — wprawiała go w niepokój, a słowo pochwały z jéj ust otrzymane, takiéj nabrało dla niego ceny, jakby pochodziło z ust Mongolskich.

To też i teraz, niezmiernie był ciekawy jéj zdania o stolicy Chaanów, która dla jego stepowych oczu, wydawała się istnym cudem świata. Lecz niewiele pociechy przyniosła mu ta ciekawość. Mieszkanka Zachodu innemi oczyma patrzyła na «Czarne miasto.» Nie znalazł u niéj ani tego zdumienia ani tego zapału jakich się spodziéwał, a jeśli w końcu otrzymał kilka słów dwuznacznych, to i na te słowa musiał długo czekać, bo Ludmile niespieszno było ze zwiedzaniem Karakorumu.

Ów brak pośpiechu miał swoje źródło w pewnéj obawie, która dawno już trapiła nasze branki; pomimo różnych pocieszających pozorów, przekonane były że prędzéj czy późniéj, ulegną ścisłemu, haremowemu zamknięciu, jak te wszystkie nieszczęśliwe kobiéty wschodnie, o których takie straszne rzeczy opowiadał każdy rycerz powracający z Krucjaty.

Dotąd, co prawda, były mało skrępowane w swoich żądaniach i ruchach, — «ale» — mówiły sobie — «to nie potrwa! To tylko w podróży tak wiele nam uchodzi. Niech raz wojska staną w Mongolji, a zaraz nasi panowie wsadzą nas za kraty, zamkną na siedem kluczów, i otoczą temi czarnemi strażami, których samo wspomnienie już przyśniwa się w nocy jakby zmora!»

To téż niezmiernie się zdziwiły, kiedy im powiedziano że Mongolskiém państwem rządzi od kilku lat kobiéta. Niemniejszy był ich podziw, kiedy wjeżdżając do Karakorumu, spostrzegły mnóstwo kobiét z niezasłonioną twarzą.

Po kilku dniach nowe zdumienie:

Arguna przywoławszy Elżbietę, nietylko że jéj pozwoliła, ale wyraźnie kazała iść na miasto, dla towarzyszenia Kałdze, który był okrutnie ciekawy jak to wyglądają prawdziwe «ulice»?

Chwalić Pana Boga, że choć jedna z nich będzie mogła wychodzić! Ale jaki los przypadnie drugiéj, to jeszcze pytanie. Co wolno słudze, może niewolno pani? W téj niepewności, Ludmiła, nadto przezorna aby się narażać na niepotrzebną burzę, nadto dumna aby prosić o wątpliwe pozwolenie, przez długi czas jeszcze, nie śmiała się ruszyć z domu.

Dopiéro, kiedy inne żony Ajdara zaczęły zapytywać z podziwieniem, dla czego nie jedzie do Bazarów, — kiedy sam Ajdar ją zagadnął o wrażenia uniesione z miasta, branki zrozumiały że tu muszą panować jakieś inne prawa.

Dla Muzułmanek wysokiego rodu, podobne odkrycie bywało zazwyczaj wysoce oburzającém. Wychowane w pojęciu, że kobiéta co się szanuje, powinna być niewidzialną i niedostępną dla obcych, patrzyły ze zgrozą na swobodę, godną według nich tylko podłego gminu, i najczęściéj niechciały z niéj korzystać.

Dla branek Europejskich owszem, ta swoboda była nieocenionym skarbem. Nasze niewiasty nie wiedziały jak się nią nacieszyć. Ile niewola może pozostawić wolności, tyle jéj tu znalazły, dużo więcéj nawet niż w drodze, bo tu już nikt ich nie pilnował; Tatarzy dobrze wiedzieli że ztąd ucieczka jest już niemożebna.

Jeżeli dziś nawet, przy dokładném zbadaniu Azji, przy ogromném rozpowszechnieniu wiadomości jeograficznych, tak trudno jest więźniowi

uchodzić z tamtych krain, jakżeż dopiéro podobny zamiar musiał się przedstawiać w owych czasach, kiedy świat był pokryty grubemi ciemnościami? I to jeszcze dwóm kobiétom, niewiedzącym wcale gdzie zaszły, wątpiącym niekiedy czy są jeszcze na tym samym świecie co dawniéj?

Dorozumiéwały się tylko, że są «w Królestwie Xiędza Jana.»

Zaczęły pytać nieśmiało, czy daleko jest ów *Mur* ogromny? Odpowiedziano im najspokojniéj, że o czterdzieści pięć dni drogi.

Wtedy potruchlały. Więc są już prawie na samym końcu świata?

Ale cóż się stało z Xiędzem Janem?

Wszyscy im odpowiadają:

— Umarł!

A! Więc już niemożna się dziwić że wojny i nieszczęścia całą ziemię zalały. Gog i Magog już widocznie przełamali zaporę. Tylko patrzéć Antychrysta..... Niedługo zabrzmią trąby Archaniołów.

Ta myśl była straszną, ale i dodawała nabożnéj odwagi. Czy warto się tak bardzo troskać o tę ziemię, co wkrótce zostanie zwinięta jak wędrowna jurta? Jeszcze trochę pocierpiéć, a lada dzień wszystko się skończy, i wszyscy brańcy i branki, wrócą już nie do ziemskiéj, ale do niebieskiéj ojczyzny.

Dla wzmocnienia w sobie tych myśli, za piérwszym wyjazdem wybrały się do kościoła. Tam przecie będą mogły wyspowiadać się, wymodlić, wypłakać do woli. Chciały téż, na intencję Jasia, zamówić solenną Wotywę, którąby się odprawiła przed wizerunkiem Najświętszéj Panny, szczególnej opiekunki matek.

Ludmiła jechała konno, strojno, z orszakiem, Ajdar niepozwalał inaczéj. Elżbieta szła przy niéj w swoim kożuszku i barankowéj czapce. Oko Ludmiły zachodziło gniéwem i łzami na widok téj różnicy; ona czuła się tyle niższą od swojéj świątobliwéj przyjaciółki, a musiała patrzéć na jéj poniżenie!

Gniéw ten, w Elżbiecie tylko śmiéch obudzał.

— To jeszcze lepiéj, — mówiła wesoło — ja nigdy nie lubiłam jeździć konno. Moja Ludko, nie marnuj łez na podobne dzieciństwa. Oto lepiéj przypatrz się jakie to cudaki tu chodzą.

Istotnie, publiczność Karakorumska była ciekawa do widzenia. Oprócz najróżniejszych Azjatyckich narodowości, których typy i ubiory były już znane niewiastom z wojska i z podróży, snuły się i postacie zupełnie dla nich nowe. Tu,

z bałabajką przewieszoną przez ramię, szedł zamyślony *Tolholos*, poeta Mongolski. Ówdzie, z błyszczącą gałką na czapce, z jedwabnym rękopismem wsuniętym w rękawy, drobno i smutno kroczył stary Mandaryn. Daléj, gołą czaszką błysnął Lama, w żółtym habicie z karmazynową szarfą, z oczami łagodnie spuszczonemi. Już to wszelkiego duchowieństwa roiło się bez miary; licząc na znaną wyrozumiałość Mongołów, każda wiara szeroko tu gospodarowała. Krążyły poważne Imamy, z głowami kwitnącemi od zawojów. Gdzie-nie-gdzie, posztukując laską, przesunął się duchowny Grecki, w swoim kołpaku rozłożystym jakby czarne wiaderko. Snuli się kapłanie Alanów, przedstawiający osobny odcień Wschodniego Chrystjanizmu, brodacze z twarzą dobroduszną a zafrasowaną, bo zwykle prowadzący małżonkę lub dziatwę. Najgęściéj zaś i najgłośniéj kręcili się xięża Nestorjańscy, za któremi także zazwyczaj szła żona, ale tu już, o zgrozo..... czasem i nie jedna!

Gałąź nie odrywa się od pnia bezkarnie. Kacerze ci, od tysiąca lat osiedli wpośród pogan, to téż i przesiąkli na wskróś pogańszczyzną. Czyż zresztą mogli rozumiéć wielkość powołania kapłańskiego, kiedy między niemi — jak wiemy — *wszyscy* byli xiężmi, nieraz wyświęconemi już w kolébce? Data tego obrządku zależała zwykle od chwili jaką Biskup Nestorjański, mieszkający w Chambałyku (Pekinie) wybrał dla

objazdu swojéj djecezji, a że objeżdżał ją ledwei raz na lat piędziesiąt, więc hurtownie wyświęcał mężów, chłopców, niemowlęta, słowem całą ludność męzką jaka przez pół wieku przybyła. Tacy też to byli i kapłanie! Lichwa, pijaństwo, wielożeństwo, stały się zwolna ich cechami, poniżającemi — niestety — imię Chrześciańskie w obec innych Azjatów. Jeden z ówczesnych Missjonarzy mówi z oburzeniem i boleścią:

«Nestorjanie są gorsi od bałwochwalców.»

Ach, gdyby nasze niewiasty wiedziały to wszystko, nie spieszyłyby się tak radośnie. Tymczasem nieświadomość dodaje im skrzydeł. Ujrzawszy nakoniec krzyż zatknięty na przysiadłéj szopie, ucieszyły się jakby do wrót raju.

Przed kościołkiem, pomiędzy dwoma słupami, wisiała wielka tablica miedziana. Właśnie jeden z xięży uderzał w nią czémś podobném do mosiężnej pałki, nawołując wiernych, dość licznie nadciągających.

Niewiasty wszedłszy z innemi, zaczęły najpierwéj szukać Konfessjonału. Niemogły go znaleźć. Trochę zmieszane, powiedziały sobie:

— Może xięża gdzieindziéj słuchają spowiedzi?

Więc znów zaczęły upatrywać, gdzie tu jes-

ołtarz z obrazem Najświętszéj Panny, przed którym to ma się ich Wotywa odprawić?

Ale nie było nigdzie obrazów, ani bocznych ołtarzy. Na ścianach wisiały tylko zapony jedwabne, bardzo suto przetykane złotem, a w głębi stał ołtarz jedyny, jakiś osobliwszy, pokryty nie obrusem, ale skórą błyszczącą, żółtawą jak stary pargamin, ponabijaną w różnobarwne wzory i napisy. Na ołtarzu, w pośród dziwno-kształtnych świéczników, srebrzył się kielich ogromny jak roztruchan, ze swoją paténą także ogromną, podobną do misy, a nad wszystkiém, na tle ze złotogłowiu i szkarłatu, jaśniał Krzyż wspaniały, blachami świetnemi powleczony, ale gładki, bez Figury Pana Jezusa, co zresztą branki już zauważyły na wszystkich krzyżach téj krainy.

Rozpoczęło się nabożeństwo bardzo długie, śpiéwane w języku Syryjskim, według Liturgji przywiezionéj niegdyś z Bagdadu, a z któréj śpiéwający dziś już nierozumieli ani marnego słówka. Śpiéwali jednak z całych piersi, wiéwali złocistemi szatami, niewiasty modliły się gorąco, nieśmiejąc jeszcze nic podejrzéwać. Po skończeniu przedwiecznych śpiéwów, kiedy wszyscy wyszli, wzięły się na odwagę, i uchyliły drzwiczki boczne, prowadzące -- jak sądziły — do Zakrystji. Znalazły izbę zamączoną, a w niéj szabaśnik buchający żarem; do koła, xięża się kręcili, i piekli jakiéś bardzo ładne bułeczki.

Na zapytanie czy zechcą wysłuchać Spowiedzi, zaczęli ruszać ramionami, kręcić głową, i zamieniać wpół szeptane drwinki. Najstarszy jednak zmierzywszy wzrokiem bogaty strój Ludmiły, przystąpił do niéj dość uprzejmie.

— Na co wam to rozpowiadanie grzeszków, moja pani? U nas to rzecz nieużywana. My mamy lepsze pomoce duchowne, oto naprzykład patrzcie, te święte Chlébki, one są takie sławne, że sam Wielki Chaan czasem je od nas bierze i spożywa.

— Cóż w nich tak świętego? — Zapytała z przekąsem, już zrażona Ludmiła.

— A, co? My je robimy z resztek téj mąki, téjże saméj mąki, z któréj był wypieczony bochenek, jakim Zbawiciel łamał się przy ostatniéj Wieczerzy.

Teraz na Ludmiłę przyszła koléj pokręcenia głową.

— Ho! ho! — Rzekła. — Wszak to już tysiąc lat minęło jak Zbawiciel opuścił ziemię, a wy ciągle pieczecie i pieczecie chleby z owych resztek, i zawsze wam wystarcza? No!

— A bo widzicie, Duch Święty podał i na to radę: ile ujmujemy dawnéj mąki, tyle dosypujemy nowéj. Tym sposobem nigdy jéj nie zabraknie, a pierwiastek świętości zawsze w niéj pozostaje. Tak samo robimy i z Wonnościami Świętéj Magdaleny.

— Z jakiemi wonnościami? Ja o tém nic niewiem.

— Święta Magdalena nie wszystko wylała na nogi Zbawiciela, nie wszystko. W owéj amforze alabastrowéj, na samém dnie, zostało się jeszcze troszeczkę olejku. Chrześcjanie Azjatyccy przechowali go wiernie, i oto my dzisiaj posiadamy tę świętość. Można jéj u nas dostać, i to nie drogo, dalibóg nie drogo. A nie uwierzycie moja pani, jaka to cudowna maść na rozmaite choroby, czy na rany, czy na inne bóle, na wszelkie.....

Tu niedokończywszy, uśmiéchnął się i figlarném spojrzeniem strzelił ku Ludmile.

Ale téj śmiać się niechciało.

— Ach Boże! — Mówiła zatroskana. — To wszystko są rzeczy bardzo szacowne i cudowne, ale to nie daje rozgrzeszenia. Co my zrobimy nieszczęśliwe? Ile to my już lat bez Sakramentów Świętych! Ile to my już Piątków jadałyśmy z mięsem!

— A cóż to za grzéch? — Odparł opryskliwie. — Piątek nie żaden post. Jest na wiosnę Post Proroka Jonasza, trzydniowy, ten obowiązuje, — ale żeby w Piątki niemożna jeść z mięsem, to stary Europejski przesąd. Chyba wy nie tutejsze?

Mówiąc to, patrzył na niewiasty podejrzliwie, a gdy się dowiedział zkąd są i jakiego wyznania, oświadczył im stanowczo, że jeśli chcą nadal

bywać w domu bożym, jeśli chcą korzystać z pomocy duchownych, muszą najprzód wyrzec się «błędów Europejskich», i przystąpić uroczyście do kościoła Nestorjańskiego, na co jest osobny obrządek, nowy Chrzest, kosztujący od trzech Bałyszów aż do ćwierć Jaskotta, wedle zamożności.

Niewiasty spojrzały po sobie, i przerażone uciekły, opłakując utratę pociech religijnych, téj gwiazdy siedmio-promiennéj, co miała im ozłocić widnokrąg wygnania.

Powrót był smutny. Po drodze, niewolnice starały się rozrywać Ludmiłę wskazywaniem znaczniejszych budowli, chociaż i ten widok rzadko mógł rozerwać; najczęściéj nasuwał jakąś pamiątkę niedoli.

— W téj drewnianéj grubéj wieży, którą pani widzi na lewo, mieszkała nie tak dawno Turkana, matka Mohammeda Sułtana Korassanu, wzięta w niewolę jeszcze przez wielkiego Temuczyna. Była to niewiasta bardzo dumna, w swoim kraju kazała się nazywać..... Czy zgadniecie jak? Ha, ha, ha..... «Królową świata!» A potém..... Widzi pani te kraty w okienkach? Musiano je tam wprawić, bo chciała się rzucić na dół, na te sterczące kamienie.

— A tu, — mówiła inna niewolnica - w głębi tego placu, czy pani uważa ten długi, szary budynek, otoczony parkanem? Tam przemieszkują Cesarzowe i Cesarzówny Chińskie. Jest ich z kilkadziesiąt, ale same tylko stare albo małe, bo wszystkie młode powydawano za różnych urzędników i wojskowych tutejszych, i z tych małych, jak tylko która dorośnie, zaraz Dwór jéj wyszukuje męża, zwykle z miernego stanu, ażeby powoli zapominała o swojéj wielkości.

Ludmiła zwróciwszy się ku Elżbiecie, rzekła gorzko:

— Nie piérwsze my tu, — i pewno nie ostatnie. — Ach, jak to znać we wszystkiém, że Ewa ciężéj od męża zgrzeszyła! Los jéj zawsze cięższy. Mąż idzie przynajmniéj na wojnę, może chwalebnie zginąć. Kobiéta idzie w niewolę. Nikt nawet zabić jéj niechce!

Elżbieta namyślała się, jakąby pocieszającą odpowiedzią zbudować Ludmiłę, kiedy jéj uwaga i oczy zostały ściągnięte w inną stronę.

— Co to za zbiegowisko na placu, o tam..... przy téj małéj uliczce? Jedni przez drugich zaglądają. Co oni tam takiego widzą? Ty Ludmiłko, z konia może dojrzysz.

— Widzę, ale nierozumiem powodu ciekawości. Jakiś człowiek wyszedł z uliczki, i spokojniusieńko sobie idzie, a ludzie do niego się cisną. O..... biją mu pokłony, całują go po sukniach. Co to za jeden? Nic w nim nadzwyczajnego. A..... prawda, jest jedna rzecz nadzwyczajna: wąsy i broda po pas długie. A bieluteńkie, jak srebro. Jeszcze też w życiu mojém takiéj przepysznéj brody niewidziałam.

— A jak on ubrany?

— Tak jakoś, trochę z Chińska, trochę z Tatarska.

Już też niewiasty i dojeżdżały do kupki wciąż narastającéj. Na ich zapytania, jakiś biédak podniósł oczy rozrzewnione, i odpowiedział głosem pełnym wzruszenia:

— Jakto? Niewiécie? To Jeliu-Czusaj.

W téjże chwili, od przeciwnéj strony placu, z innéj ulicy wyjechał orszak, świetny jakby jakiego monarchy. Na przecudnym karym koniu, jechał mąż w złocistym kaftanie i pąsowym zawoju. Araby o białych płaszczach prowadziły rumaka, Czausze biegły przed nim spędzając tłum z drogi, trębacze jechały po stronach, głosząc miastu że ktoś wielki, raczył się w niém ukazać.

Na widok tego pochodu, szmer powstał między zbiegowiskiem:

— To Abdurraman!

I wszyscy rozbiegli się w mgnieniu oka. W koło Jeliu-Czusaja pozostała pustka..... jakby wymiótł.

Biało-brody starzec szedł sobie daléj spokojniutko. W połowie placu spotkał się z Abdurramanem, podniósł głowę, i rzucił na niego spojrzenie, jedno, ale takie pełne bolesnych wyrzutów, że jeździec spuścił oczy i popędził konia.

Kim był ten jakiś tryumfator w zawoju?

Dla czego piérwszy minister szedł pieszo, samotny?

Ach, Jeliu-Czusaj nie był już piérwszym ministrem! Ze śmiercią Ogotaja, rozwiał się jego wpływ zbawienny.

Jemu to Chaan głównie był polecił spełnienie najmilszéj swojéj myśli, przelanie władzy na głowę ukochanego Szyramuna. To téż po zejściu monarchy, kiedy Rejentka zwróciła się do ministra, szukając u niego poparcia dla Kujuka, Jeliu-Czusaj odpowiedział ze zwykłą sobie odwagą, że pierwszym obowiązkiem, tak jego jak i całéj rodziny cesarskiéj, powinno być zastosowanie się do woli nieboszczyka.

— I gdzież dowód téj woli?—Pytała z ironją Turakina.

— Gdzie dowód? Istnieje testament. Widziałem go.

Cesarzowa mignęła ku niemu spojrzeniem jaszczurki, — zamilkła — i poprzysięgła sobie w duszy:

— Ten człowiek musi przepaść.

Testament nigdy się nie odnalazł, a minister przy piérwszéj sposobności przepadł.

Niedługo przyszło czekać na tę sposobność. Za rządów Ogotaja, prowincje Chińskie zostały oszacowane przez Jeliu-Czusaja na miljon uncji srebrnych podatku, i dochód ten bywał z każdym rokiem wiernie dostarczany przez ministra. Ale obecnie, znalazł się na Dworze finansista innego pokroju, Muzułmanin Abdurraman, który przybywszy do Karakorumu jako wędrowny kupiec, dzięki potężnéj obrotności, już po kilku latach posiadł wysokie stanowisko. Ten, ciągle powtarzał Rejentce, że ma niedołężnego ministra.

— Ho, ho! — mówił. — Gdybym ja rządził Chinami, potrafił-bym z nich płacić, nie jeden ale dwa miljony uncji srebrnych.

— Wiem ja dobrze, — odpowiedział Jeliu-Czusaj, — że można taką summę, a nawet i większą wyciągnąć, ale to będzie z ostatecznem wyniszczeniem narodu.

— Ha, zobaczymy! Trzeba spróbować. — Rzekła Turakina, i tegoż dnia jeszcze, władza przeszła w ręce Abdurramanowe, a stary minister utracił urząd i popadł w najgłębszą niełaskę.

Jego zastępca stał się wszechwładnym ulubieńcem Rejentki, którą zjednywał sobie, pochlebiając wszelkim jéj zachceniom, i dostarczając dochodów ile tylko żądała; a żądała ich bez miary, tak na swoje Azjatyckie zbytki, jak na skarbienie stronników dla siebie i syna.

Jakim kosztem cierpień, nadużyć i gwałtów, jakiém upiorowém wysysaniem ludności, dochodzono do takich potwornych poborów, straszno czytać o tém w Kronikach współczesnych. Abdurraman rzucał się na wszystko, byle w ręku przytrzymać władzę, którą dzielił z niewolnicą Fatmą, także Muzułmanką, niegdyś zabraną z Farsistanu, dziś rządzącą zupełnie umysłem Cesarzowéj.

Panowanie téj przebiegłéj pary, miljonom ludzi dokuczyło; byli jednak i tacy, którym się uśmiéchnęło; Mahometanie odetchnęli. A trzeba przyznać, że im się należała chwila ulgi. Oni dotąd byli najnieszczęśliwsi między podbitemi. Wprawdzie, nie podlegali żadnéj wyłącznéj nienawiści zwycięzców, ale cierpieli niesłychanie z powodu niektórych ustaw Dżyngischana, które wręcz sprzeciwiały się prawom Proroka. I tak, Tatarski sposób zarzynania bydła, pozbawiał ich

od razu wszelkiego mięsiwa, zakaz maczania rąk w bieżącéj wodzie, uniemożliwiał codzienne Ablucje. Z jednéj strony kara śmierci, z drugiéj głębokie przywiązanie do przepisów religji, stawiały nieszczęsnych wyznawców Koranu, w każdochwilowém, bezwyjściowém rozdarciu. Teraz nakoniec trochę podnieśli głowę, a nawet zaczęli doskwiérać, jeżeli nie Mongołom, to Buddystom, Nestorjanom, i ludziom wszelkich innych wyznań, od których jednomyślnie byli nienawidzeni. Tak podbici, nietylko drżeli pod batogiem pańskim, ale i między sobą szamotali się w bójkach, na które pan spoglądał z pogardliwém zadowoleniem, jak Rzymianin patrzył na bitwę gladjatorów.

Tymczasem, Jeliu-Czusaj dogoréwał. Niemiał jeszcze lat sześćdziesięciu, a już włos mu zbielał; siły, stargane nieustanną walką i niewyznanemi wzruszeniami, nikły bezpowrotnie. Przechadzka, podczas któréj został spotkany przez nasze niewiasty, a jaką przedsięwziął jedynie dla odwiedzenia chorych, była dlań ostatnią. W kilka dni późniéj, sam się położył, i wedle wyraźnego świadectwa dziejopisów, umarł «ze zgryzoty.» A zagryzł się, nie jak dworacki Colbert utratą łask pańskich, ale zniweczeniem swojéj zacnéj, wieloletniéj pracy, widokiem cierpień i nędzy w jakie zapadali jego ukochani. O, bo on

kochał lud biédny! Jeszcze Ogotaj, znudzony jego wiecznemi skargami, wiecznemi błaganiami, widząc jak mu oczy mgłą zachodzą, mawiał:

— No cóż? Znów będziesz płakał za ludem?

Turakina tak się mocno ucieszyła tą śmiercią, że nawet nie przeszkadzała uniesieniom żalu i cześci, z jakiemi tłum ogromny odprowadził zwłoki na miejsce spoczynku. Jednak w kilka dni późniéj, przypomniano Rejentce, że człowiek co przez tak długie lata zawiadywał Skarbem państwa, musiał i sam zostawić skarby. Wnet gromada siepaczy otoczyła ubogi domek w którym spędził ostatnie lata; szukano, przetrząsano, ale nie znaleziono nic więcéj, tylko starożytne medale, xięgi, mappy, narzędzia muzyczne, i ogromne zbiory ziół lekarskich.

Tak skończył nieskazitelną śmiercią ten mąż nieskazitelny, prawdziwy ideał urzędnika, co życie całe spędził na bronieniu uciśnionych, na szerzeniu oświaty i porządku, a choć postawiony w okolicznościach najtrudniejszych, najbardziéj ślizkich, jakie może kiedykolwiek usłały podobną drogę, potrafił przecież nigdy się nie sprzeniewierzyć głosowi sumienia.

Życiorys jego powinien by się znajdować w każdym «Plutarchu dla młodzieży». Praktyczniéj by on tam wyglądał, niżeli Żywoty Katonów i Regulusów, których zawsze można uwiel-

biać, ale trudno już dzisiaj naśladować. — Zdałby się też i w podręcznéj bibljotece niejednego ministra.

Azja uczciła go, nietylko łzami wdzięczności, ale i pomnikami chwały. W kilkadziesiąt lat po jego śmierci, jeden z cesarzy Chińskich, według wzruszającego zwyczaju tamtych ludów, nadał Jeliu-Czusajowi pośmiertny tytuł *Króla,* i nad grobem jego wzniósł kaplicę z posągiem, gdzie minister jest wyobrażony w postawie siedzącéj, ze swoją sławną brodą po kolana.

Ta kaplica jeszcze dziś istnieje.

Nasze branki patrzyły z progów Ajdarowego dworca na pogrzeb Jeliu-Czusaja; słyszały szlochania i błogosławieństwa rzeszy. Było to piérwsze wrażenie szlachetne, jakie los im nastręczał na ziemi ciemięztwa.

— Szkoda! — Rzekła gorzko Ludmiła. — Między Mongołami był jeden człowiek prawdziwie cnotliwy, i ten właśnie musi umiérać, kiedy my tutaj przybywamy!

— Ha cóż, Boska wola! — Odparła Elżbieta. — Cieszmy się przynajmniéj, moja Ludko, żeśmy choć raz jeden w życiu mogły mu się przypatrzéć. To będzie na zawsze takie słodkie wspomnienie!

I popłakały się, jakby po starym przyjacielu.

A jednak, tenże sam Jeliu-Czusaj, mimowolnie i mimowiednie stał się dla nich powodem długiéj, ciężkiéj zgryzoty.

Jeszcze przed kilkunastu laty, założył on był na granicy Chińskiéj dwie szkoły, przeznaczone wyłącznie dla paniczów Tatarskich. Były to piérwsze próby kształcenia Mongołów, piérwsze i stosunkowo dość już śmiałe; wykładano tam jeografję, rachunki, astronomję. Niedaleko już było tym uczelniom do prawdziwych Szkół Mandaryńskich.

Otóż, Argunie zachciało się koniecznie, aby i Kałga został umieszczony w liczbie owych wybranych paniąt. Sama była ciemna, i rada swojéj ciemnocie, ale gdy o dziecko jéj chodzito, czuła wszystkie dobrodziejstwa światła. Dołąd, uczono go tylko na pamięć genealogji rodzinnéj; w téj nauce, Tatarzy od dzieciństwa są niezmiernie biegli, i ona to sprawia, że naród przez długie wieki niepiśmienny, zachował przecież jasną i szczegółową znajomość swojéj przeszłości. Umiał téż Kałga i niektóre inne rzeczy; jeździł już cudownie na kucyku, strzelał wcale nieźle z niewielkiego łuku, ślicznie wywijał zgrabniuchną czeczugą. Czyż to nie dosyć na Tatara? Nie! Nie dosyć. Matka chciała

w nim widzieć wszelkie doskonałości. Mimo wykrzywiań się dziecka, mówiła codzień:

— Jak podrośniesz, nic nie pomoże, pojedziesz do Szkoły Chińskiéj.

Zamiar był chwalebny, Ajdar go téż pochwalał, ale cóż? Arguna chciała z synem wysłać i Elżbietę, bo Szamanie powiedzieli «że niesie dziecku szczęście.»

Napróżno Ajdar się wyśmiéwał:

— Do czego to podobne, aby za dużym chłopakiem niańka ciągle chodziła? A jakżeż to będzie potém, kiedy mu przyjdzie jechać na wszystkie strony świata? Czy i na wojnę będzie ją wlókł za sobą?

— Czemu nie? — Odpowiadała matka. — Ty Ajdarze, kupiłeś sobie niedawno u Arabów turkusowy talizman, i nie rozstajesz się z nim ani na chwilę. Ta niewolnica jest dla mojego syna żywym talizmanem, niechże go nie odstępuje.

Branki bladły słuchając tych rozmów, które im znowu groziły rozłączeniem. Co za niewyczerpane pasmo trwóg i cierpień! Im się wydawało, że już przynajmniéj ta jedna, ta największa trwoga została na zawsze odwrócona, były już takie pewne, że do śmierci pozostaną razem! Ach, czegóż w tém życiu człowiek może być pewien?

Wprawdzie, niebezpieczeństwo przedstawiało

się dopiéro w oddaleniu; Kałga był jeszcze za mały do ciężkiéj nauki, jeszcze ze dwa lata miał pozostać w domu. Tak, ale i te dwa lata już naprzód są zatrute okropném przewidywaniem! Każdy dzień zbliża do rozłąki, a z każdym dniem trudniéj się rozłączyć. Gdyby to jeszcze dawniéj, dużo dawniéj, póki dusze ich nie były tak zupełnie spojone twardym kitem boleści, może wtedy łatwiéj przyszło by je rozłamać? Ale teraz..... oh, teraz, to już być nie może!

Dla czego «nie może?» Czyż nie widziały na własne oczy, rodzin rozdartych między różnych panów? Przyjaciół od siebie odrywanych gwałtownie? Czyżby jedna, jedyna ich przyjaźń, miała posiadać u losu przywiléj nietykalności?

Kiedy się tak martwią chmurném jutrem, tymczasem z innéj strony widnokręgu, nadciąga burza bliska, natychmiastowa.

W piękny, letni poranek, Ludmiła powracając z Bazaru, spotkała w ciasnéj uliczce jakiegoś wielkiego dygnitarza. Podczas kiedy ich orszaki usuwały się wzajem, ażeby państwu szerszą drogę roztworzyć, spojrzeli sobie oko w oko. Jeździec miał ubranie olśniéwające, ale rysy szka-

radne; przypominał buldoga. Ludmiła wzdrygnęła się, i popchnęła konia co prędzéj.....

Ona zna tę twarz niezapomnianą..... to Kajkuł,—ten Kajkuł któremu ją miano sprzedać.

A może to nie on? Raz go tylko widziała, kiedy to położył rękę na jéj głowie i na głowie Jasia. Może nie on? Między Mongołami tyle twarzy podobnych! Prawda, — jednak równie okropnéj nie spotkała nigdy.

Minąwszy go, mimowolnym ruchem jeszcze się odwróciła. Cóż dostrzegła? Przystanął, skinął na pachołka, i wskazywał mu Ludmiłę, bełkocąc jakiś rozkaz. Może kazał mu ją szpiegować?

Kiedy wjeżdżała na dziedziniec domu, twarz tegoż samego pachołka błysła jéj z po-za parkanu, zaglądająca wężowemi oczami.

Nieopisane uczucie niepokoju, dręczyło ją przez dzień cały.

Nazajutrz, Ajdar został zawołany do Wielkiego Sędziego Mangussara, przed którym drżeli nietylko zwyciężeni, ale i sami Mongołowie.

Ajdar, zdziwiony niezmiernie tém wezwaniem, uśmiéchnął się kiedy sobie przypomniał, że jako Terchan niemoże podlegać żadnéj karze, i pojechał z czołem podniesioném.

Ale stanąwszy przed Sądem, i ujrzawszy po po drugiéj stronie trybunału Kajkuła, zadrżał

nieco na myśl, że tu pewnie chodzi o Ludmiłę. Kajkuł, wysłany przez Abdurramana do Chin, dla poboru podatków, dopiéro przed kilku dniami wrócił; długa jego nieobecność uśpiła obawy, jakie z początku trapiły Ajdara. Teraz, obaj nieprzyjaciele spojrzeli sobie w oczy, a wzrok szyderszy Kajkuła mówił wyraźnie:

— Aha! Mam cię nakoniec! Zemsta moja odłożona, ale tém pewniejsza.

Mangussar, człek ogromny, o płaskiéj, prawdziwie Mongolskiéj twarzy, i małych okrutnych oczkach, zauważył z przyjemnością tę zamianę spojrzeń, która mu wróżyła jakąś walkę śmiertelną.

Zwrócił się do Ajdara:

— Behadyrze, jesteś oskarżony o zbrodnię straszną. Kajkuł twierdzi że odwróciłeś część zdobyczy przeznaczonéj dla Wielkiego Chaana. Sam wybiérał dla niego niewolnice, a wczoraj widział jak jedna z nich, — i to najpiękniejsza — jechała przez miasto bez żółtej zasłony, i wchodziła do twojego domu. Powiedziano mu, że jest jedną z twoich żon. Cóż ty na to odpowiész?

— Odpowiem prawdę. Ta niewolnica jest rzeczywiście moją żoną, ale oskarżenie Kajkuła spada na jego własną głowę. To on odwrócił część zdobyczy przeznaczonéj dla Wielkiego Chaana! On odkradł tę niewolnicę, i trzymając ją w ukryciu, przechowywał dla siebie! Przera-

żona losem co ją czeka, uciekła do mego namiotu, pod moją opiekę. Cóż miałem zrobić? Oddać jéj Dworowi już niemogłem. Raz wyrwana z pod żółtéj zasłony, już nie była godną pańskich oczu. Zatrzymałem ją prawem zdobyczy i obrony. A teraz, ja oskarżam Kajkuła! On, zbrodniarz, niech zginie haniebnie!

Kajkuł otwiérał oczy osłupiałe. On, co tyle razy niewinnych oskarżał, i bawił się ich rozpaczną niezaradnością, poznał teraz toż samo uczucie. Bo na ten raz, i on rzeczywiście był niewinien. Ani wiedział, ani przypuszczał, aby Kargan kiedykolwiek chciał mu sprzedać brankę. Obaj wrogowie niewiedzieli nic o jéj ucieczce, ani o jéj nieszczęsnym powrocie, nieznali całéj prawdy, a byli pewni że ją znają. To téż obaj w najlepszéj wierze zarzucali sobie fałsze, obaj myląc się, mówili z najgłębszém uniesieniem przekonania.

— Kłamiesz! — Wykrzyknął Kajkuł. — Ja? Ja wykradałem ją dla siebie? O Wielki Sędzio, bezczelność tego człowieka przechodzi wszelkie granice... Nakaż-że mu milczenie.

— Ciszéj..... ciszéj..... — Odparł Mangussar.— Behadyr mówi owszem rzeczy bardzo ciekawe. Sprawa się wikła, nie taka ona prosta jak ją przedstawiałeś.

— Ale gdzież dowód? Gdzież ja kryłem tę niewolnicę? Kto to widział?

— Kto widział? Kargan, twój ulubieniec Kargan, on ją trzymał w swoim namiocie.

— Chciałbym słyszéć ja to z własnych ust Kargana. Ciekawy jestem czyby Kargan ośmielił się przedemną to powtórzyć? Wielki Sędzio, każ tu stawić Kargana.

— Kargana próżno wołać. — Rzecze Ajdar. — Ja go zabiłem.

— A! Tyś go zabił? I dla czego? — Podchwycił Sędzia.

— Dla czego? Dla czego? Bo mi ją wydzierał, bo chciał ją gwałtem zabrać. Teraz żałuję, miałbym świadka. Ale o cóż wam chodzi? Ona sama opowié, przysięgnie jeśli trzeba. .

Wielki Sędzia ruszył ramionami.

— Cóż znaczy — rzekł — przysięga niewolnicy? Znamy się na tém. Co ty będziesz chciał, to ona powié.

Mangussar nie okazywał niepokoju, ale w gruncie duszy był mocno zakłopotany. Żadna ze stron niemogła postawić prawdziwego dowodu.

Nagle, przeszła mu przez głowę myśl genjalna.

— Dobrze! — Zawołał. — Niech przysięgnie, ale na «Kamień Angary». W téj ciemnéj sprawie, tylko Duchy mogą rozsądzić.

Ajdar zbladł. Niemógł odmówić, a lękał się strasznego Kamienia.

Kajkuł owszem, z najwyższą radością zawołał:

— Tak! Tak! Na Kamień Angary! Teraz już jestem pewny wygranéj. Duchy nie mogą się omylić.

— Nie ciesz się tak bardzo. — Mówił przez zęby Ajdar. — Pamiętaj że tu chodzi o gardło.

— I dla ciebie tak samo.

— Nie! Ja jestem Terchanem. Choćbym przegrał, nikt się mojéj głowy nie dotknie.

— Prawda. — Odparł zasmucony Kajkuł.— Zapomniałem o tém Terchaństwie. Nasza sprawa nierówna — to źle..... No, ale jak przegrasz, to przynajmniéj stracisz tę niewolnicę. Oj, że stracisz, to stracisz.

— Dość przegróżek. — Przerwał powstając Wielki Sędzia. — Jutro stawcie się wszyscy. Jedziemy na Bajkał.

Strony rozeszły się w odmiennych usposobieniach.

Kajkuł, wesoły, wynosił pod niebiosa mądrość Mangussara.

Ajdar, dopadł konia z bijącém sercem — wleciał do Ludmiły z twarzą pomieszaną — chwycił ją za ręce i pytał:

— Kobiéto, — powiédz mi, raz jeszcze..... ale szczerze — z ręką na sercu: wszak ty przed Kajkułem uciekłaś do mnie? Przed nikim innym, tylko przed Kajkułem?

— A no, tak. Przed Kajkułem?

— Przypomnij sobie tylko..... Może się pomyliłaś? Tam, nad Limanem, — kiedy to wbiegłaś do mego namiotu — kiedy Kargan cię gonił — komuż on cię miał oddać? Kajkułowi? Czy pewną jesteś? Może to było jakie inne imię? Poszukaj dobrze w pamięci..... może inne?

— Nie. To imię i ta straszna postać nadto mi się w pamięć wraziły, abym kiedy mogła ich zapomnieć.

— I przysięgłabyś na to?

— Jak najśmieléj. Przysięgnę ci na Ewangelję, na xięgę mojéj wiary.

— Tu nie chodzi o twoją wiarę, tu chodzi o cóś większego, straszniejszego..... trzeba przysiądz na «Kamień Angary». A wiédz, że kto na kamieniu tym krzywoprzysięgnie, tego Duchy w téjże chwili skarzą, spuszczą nań żywy ogień z nieba, albo go wciągną w Bajkał, w otchłanie bezdenne. O! Gdybym cię miał stracić.....

Powiédz..... jeżeli nie jesteś pewna, nie narażaj się na tę próbę, ja cię gdzie ukryję, uniosę na krańce świata..... oh! ja teraz dopiéro widzę czém ty jesteś dla mnie, teraz, kiedy mi cię chcą wydrzéć i ludzie i Duchy!

— Ajdarze, — jestem pewna, — przysięgnę.

Na Bajkale.

Po zielonawych falach *Świętego morza*, płynie uroczyście milcząca flotylla.

Na czele, w długiém, wązkiém czółnie, u którego przy rudlu sterczy cesarski buńczuk, Mangussar siedzi i z rozkoszą pokręca wąsa. Przy nim stoi kilku oprawców, czekających na jego skinienie.

Tuż za czółnem, płynie łódź wielka, pokryta czarnym pilśniowym namiotem; pod nim jedzie Ludmiła, pilnowana przez dwie Szamanki, rosłe, śniade niewiasty, z czerwonemi przepaskami na roztarganych włosach; przysiadły się przy jéj ramionach, i nieustannie w nią patrzą świdrującemi oczami, jakby chciały już naprzód prawdę z jéj duszy wyciągnąć.

Po dwóch stronach łodzi namiotowéj, płyną dwie łodzie otwarte, na których umieszczono Kajkuła i Ajdara. Obaj, otoczeni strażą.

Kajkuł, pewny siebie, siedzi spokojnie, i uśmiécha się na myśl że piękna branka, żona wroga, wpadnie za chwilę w moc złych Duchów.

Ajdar za to niepokoi się i miota. Ach, musi bardzo kochać Ludmiłę, kiedy nawet świadków się nie wstydzi. Oto padł na twarz, bije czołem o twarde dno łódki, i jęczy:

— Duchu Bajkalski! Nie zabiéraj mi mojéj gołąbki!

Potém w sercu czyni różne śluby; jeśli zostanie wysłuchanym, pojedzie na wyspę Olchon, i to a to da Szamanom.

Niepróżno Ajdar się troska. Duch Bajkału wygląda jakoś gniewnie. Ranek jest chmurny i wietrzny; od chwili jak ze świtem wypłynęli, bałwany coraz ostrzéj się piętrzą. Czyżby Ludmiła kłamała?

— Ach, — myśli sobie Ajdar, — jeśli nawet skłamała, to tylko w tym celu aby się dostać do mojego namiotu! Ona mnie przeniosła nad wszystkich, nawet nad Wielkiego Chaana..... I miałażby za to ginąć! O! Nieszczęście!.....

I rozpaczał,—i coraz ją gwałtowniéj kochał.

Przed południem, otucha zaczęła w niego wstępować; chmury się darły podłużnie, błękit

nieba w kilku miejscach błysnął, wody coraz łagodniéj falowały.

Ajdar podniósł do nieba oczy pełne błagania i nadziei.

Wiele innych głów podniosło się także, bo w ślad za czterema pierwszemi łodziami płynęło mnóstwo innych. Jechał cały dwór Ajdara, jechały inne jego żony, uśmiéchnięte złośliwie, życzące pewnie zguby zawadnéj towarzyszce.

Obok nich siedziała Arguna, obojętnie na wszystko patrząca. Kałga stał przy niéj, a białe zęby świéciły mu radością; nie rozumiał sam z czego się cieszy, ale widział że wszyscy potrwożeni, że cóś komuś grozi, i było mu przyjemnie.

Za nim stała Elżbieta, drżąca, ledwie mogąca na nogach się utrzymać. Dziwaczne trwogi ją dręczyły: wprawdzie Ludmiła szczerą prawdę ma zaprzysięgnąć, ale któż wié? Może w tém jeziorze istotnie są czary? Może tam siedzą djabły, które właśnie pomszczą się za wypowiedzenie prawdy?

Mnóstwo było innych jeszcze statków, batów, nawet prostych tratew, zapełnionych ciekawemi, co chcieli widziéć rozstrzygnięcie procesu, poruszającego cały Dwór i stolicę.

W południe, kiedy flotylla przepływała pod skalną arkadą zwaną «Wrotami Angarskiemi», fale już ledwo się marszczyły. Wicher opadł— woń świeżéj zieloności biła od drzew i trawisk, bujnie zwieszających się z opok.

Wpływają w łożysko Angary. Bezładna gromada ściska się i przedłuża we wstęgę.

Przewoźnicy pierwszych czółen, krzyczą:

— Stój!

Wszyscy inni zatrzymali wiosła.

Szykują łodzie w około wyrocznego kamienia.

Szamanki wstają, biorą Ludmiłę pod ręce, wyprowadzają z namiotu, i mówią ponuro:

— Wejdź na kamień.

Łódka tańcująca, to zbliża się to oddala od kamienia. Ludmiła czeka — sama niewié na co— serce jéj mocno bije. — Pewna jest swojéj przysięgi, a jednak, uroczystość przygotowań, czarne spojrzenia Szamanek, tajemniczość tych wód groźnie rozbryzgujących się o kamień, wprowadziły ją w stan niezwykły. Gniéwa się na samą siebie, a niemoże przemódz dziwnéj ociężałości która ją ubezwładnia; ile razy stopę podniesie aby

wstąpić na kamień, zaraz i kamień, i rzeka, i wszystko w oczach jéj wiruje.

Szczęściem, przypomina sobie radę podaną przez Elżbietę.

Przeżegnała się, — i wszystko złe odeszło.

W oczach stanął dzień biały — świat przestał kołować — wbiegła lekko na kamień — spojrzała w koło siebie.

Przed nią, kołysało się czółenko, z którego Mangussar i oprawcy rzucali spojrzenia palące ciekawością.

Po dwóch stronach, miała dwie inne łodzie. Z jednéj Kajkuł patrzył szyderczo, — w drugiéj stał Ajdar jak przykuty; na twarzy mienił się tak mocno, że Ludmiła wzruszona, rzuciła ku niemu zachęcające, serdeczne spojrzenie.

Potém, złożywszy ręce jakby do modlitwy, mocno i wyraźnie wyrzekła po Mongolsku:

— Przysięgam na ten kamień Angary, na którym tu oto stoję, że Kargan chciał mię wydać w ręce tu obecnego Kajkuła, i dla téj to właśnie groźby, udałam się o pomoc do obecnego tu Behadyra Ajdara, mojego małżonka.

Umilkła. — O! Już teraz nie jéj, ale wszystkim obecnym serce biło. Wszyscy czekali co się stanie?.....

Tymczasem nic się nie stawało.

Patrzyli, to w głębiny, czy się nie otworzą pod nią, i nie schłoną jéj żywcem? To w niebo, czy nie uderzy piorunem?

Ale zamiast piorunów, niebo odpowiedziało innym znakiem.

Obłoki się rozdarły, i słońce wybłysnęło wązkim, złotym promieniem, który padłszy jakby umyślnie na kamień, otoczył Ludmiłę snopem światła.

Szamanki tymczasem rachowały «do stu».

Była to miara czasu pozostawiona Duchom.

Kiedy już doszły miary, wykrzyknęły:

— Sto! Przysięga prawdziwa.

Wtedy wybuchnął wielki okrzyk. Wszyscy zwrócili się do Ajdara.

Kajkuł osłupiał nad niesprawiedliwością Duchów.

Przetarł oczy—oglądał się z niedowierzaniem.

Nagle — spotkał wzrok Mangussara — i zzieleniał.

Mangussar dawał znak oprawcom.

Ci skoczyli w łódź przegrywającego, i pędem skierowali ją do brzegu.

Ajdar łzy miał w oczach. Tak, chociaż Tatar, spojrzał przeze-łzy na Ludmiłę. Ze swego czółna przeskoczył do jéj łodzi, drżące ręce wyciągnął ku niéj miłośnie kiedy zstępowała z kamienia, a Ludmiła piérwszy raz oparła się o jego ramię pieściwie i miękko, piérwszy raz w niego spojrzała z rozczuleniem.

Porwał ją — wniósł do mrocznego namiotu, i okrywał ją pocałunkami płomiennemi, nieledwie gryzącemi. Ludmiła drżała, ale się uśmiéchała.

Nagle, wystrzelił z niedaleka krzyk okropny, wielokrotnie powtarzany, podobny do ryku niedźwiedzia oskoczonego przez obławę.

Ludmiła zerwawszy się wpół, pytała z przestrachem:

— Co to jest? O Boże! Co to jest?

Ajdar uśmiéchnął się. Oczy mu błysły krwawém rozradowaniem.

— To Kajkuła zabijają. Dobrze mu tak. Niech się męczy. Zasłużył na tysiąc śmierci.

W téj chwili łódź ruszyła.

Podniósł głowę gniewnie, krzycząc na wioślarzy:

— Czekajcież! Stójcie jeszcze. Ja chcę słyszéć do końca.

I znów uśmiéchał się, i mówił w upojeniu:

— O! Jakaż to rozkosz ciebie miéć w objęciu, kiedy tamten kona. A! On się nie pokłonił Duchowi Bajkału, on dumnie milczał. Ja się modliłem, to téż Duch mię wysłuchał. O..... jak go mordują, słyszysz? Już cicho. Szkoda! Już zdechł potwór. — A! Teraz mi dobrze. — Tak skończy każden co będzie chciał mi cię wydrzéć.

Ludmiła oniemiała. Prawda, Kajkuł był potworem — całą swoją przeszłością zasłużył na swój koniec — ależ ta dzika radość? Ta rozkosz prawdziwie Mongolska, czerpana w męczarniach wroga? Oh, to okropne!

Już serce jéj miało się otworzyć dla Ajdara — i znów się zamknęło.

Behadyr tymczasem powstał, rozsunął zapony od namiotu, i patrzył w dal z rozlubowaniem. Właśnie oprawcy zrzucali ciało zabitego do nurtów Angary, — Mangussar odpływał, — tłum ciekawych za nim.

Ajdar kazał swoim łodziom skierować się w inną stronę.

— Płyńcie do Olchonu, muszę mój ślub wypełnić.

Już słońce zachodziło, kiedy statki przybiły do tajemniczéj wyspy. Wysiadającą na brzeg Ludmiłę, przyjęto chórem powinszowań. Elżbieta rzuciła się ku niéj ze szlochaniem radosném, jakby ją ujrzała wskrzeszoną.

Żony Ajdara cedziły słodkie słówka, zaprawne fałszywemi uśmiéchami. Za to gromada niewolnic i niewolników, ze szczerém weselem do nóg jéj się garnęła. Nawet Arguna, porwana ogólną radością, niewiedząc jak się do téj radości dostroić, zaczęła całować syna. Ale Kałga wyrwał się, i siadł z boku na skale, zły czemu Ludmiła nie przepadła, czemu niańka nie płacze? To już *jego* takie szczęście — jemu wszystko zawsze na przekór się dzieje.

Ajdar tryumfujący, rozpromieniony, ręką objął kibić Ludmiły, i prowadził ją po skałach ostrożnie. Za sobą kazał nieść wory ze skarbami, które wziął jeszcze z domu na ofiarę Duchom.

Szli wszyscy po urwiskach coraz dziwaczniejszych, w ciemnościach coraz głębszych, aż xiężyc wypłynął z po-za mgły blado fjoletowéj, a gdy stanęli na szczycie *Achu-Czołanu* czyli «Strasznéj Skały», wysuniętéj nakształt nadpowietrznego przylądka, cała wyspa w pomroce znikła im pod stopami, Bajkał roztoczył się w do-

le jakby wklęsłe niebo, niebo roztoczyło się w górze jak sklepione morze, światło xiężycowe ztopiło dwie półkule, — podróżnych przejął postrach, jakby się znaleźli w nicości.

Milczeli, niepewni gdzie są, i do kogo mają się udać?

Nagle, postać wązka, w długiém odzieniu, odczepiła się od skał, i spytała głosem podziemnym:

— Czego chcecie w Złotéj Ordzie Duchów?

Ajdar, nigdy nie zachwiany w odwadze, tam gdzie go czekała walka ze zwierzem lub z człowiekiem, tu, na gruncie sił nadprzyrodzonych, tracił wszelką śmiałość. Głosem, w którym widoczne było drżenie, odpowiedział:

— Chcę podziękować Duchowi «Świętego morza», za to że litościwie mię wysłuchał. Oto przyniosłem dary.

Wązka postać mignęła, i znikła w kupce drzew czerniejących pomiędzy głazami.

Po chwili, usłyszano kilkokrotne, drgające uderzenie, jakby młota bijącego w tarczę. Dźwięk nizki, posępny, rozległ się echami po wodach i jaskiniach.

Na to hasło, szereg innych postaci wązkich a wysokich, zaczął jakby wyrastać z pod ziemi. To Szamanie, występując ze wszystkich stron ścieżkami i rozpadlinami, wydobywali się na szczyt

Strasznéj Skały. Stu ich przyszło. Wszyscy w czapkach stożkowatych, obwiązanych czerwoną wstęgą, w odzieżach długich, ciasno przykrojonych; u pięćdziesięciu, odzież ta była szyta ze skóry białego rena, u drugich pięćdziesięciu, ze skór czarnych. Twarze ich niełatwo dawały się rozeznać, tylko przy blasku xiężyca, z pod włochatych czapek i włochatego zarostu, lśniły oczy, zimno świécące jak bezdenie Bajkału.

Rozstąpiwszy się na dwa półkola, wzięli między siebie Ajdara, i długo śpiéwali a raczéj gadali wpół szeptaną psalmodję.

Nastała chwila ciszy.

Nagle, wszyscy razem wykrzyknęli, jak mogli najpotężniéj, z całych piersi:

— Dziękujemy — dziękujemy — dziękujemy — żeś poszczęścił temu oto człowiekowi!

— A teraz, — rzekli do Ajdara — złóż twoje ofiary. Jedną rzuć przed siebie, dla Ducha téj wody, — a drugą rzuć za siebie, dla Duchów téj skały.

Ajdar wziął z rąk niewolników dwa trzosy; postąpił na sam brzeg opoki, ścięty prostopadle w jezioro, i cisnął jeden trzos do wody; lekki plusk oznajmił, że ręka Bajkału pochwyciła ofiarę. Były pewnie w tym worze monety i kosztowności złupione w Krakowie lub w Kijowie; czyż spodziéwał się mincerz co je wybijał, zło-

tnik co je wyrabiał, że pójdą kiedyś na dno Azyjskiego jeziora? Ileż tam podobnych zdobyczy musi dotąd leżeć!

Ajdar wydał krzyk pół-radosny, pół-dziki, podobny do krzyku drapieżnego ptaka, — przyklęknął, — dziewięć razy czołem uderzył o kamienie, — potém, nie oglądając się wcale, cisnął po-za siebie drugi wór z darami; te, padły między Szamanów, którzy tłoczyli się za nim w coraz ciaśniejsze półkole.

Jeszcze Ajdarowi niedosyć; w przystępie niewymownéj wdzięczności, radby się wyzuł ze wszystkiego. Łańcuchy, klamry, z piersi zdziéra, i kolejno ciska, to w wodę, to na skałę; nawet owe cudne kolczyki wyrwał z uszu, jeden rzucił w toń, drugi przez ramię, a za każdym razem wydaje krzyk drapieżny.

Ludmiła, patrząca na wszystko z Europejskim przekąsem, zapytała blizko stojącéj Arguny:

— Co w wodę padło, to przepadło, — rozumiem, — ale co na ziemi leży, któż to weźmie?

— Duchy Olchonu. — Odrzekła tajemniczo tamta. — O! Bo trzeba ci wiedzieć, że Duchy między sobą są bardzo zazdrosne. Gdyby Ajdar obdarzył Duchy wód, a zapomniał o Duchach téj Skały, gotowa by się rozstąpić pod nami. Czy słyszysz? — Tu nogą trącała grunt kamienny. — Czy słyszysz jak tam pusto dzwoni? Tu,

pod nami, jest ogromna świątynia, którą Duchy same sobie wykuły.

— I któż tam był? — Spytała Ludmiła ze źle ukrytym uśmiéchem.

— Ze zwykłych ludzi, nikt, bo świątynia zewsząd zamknięta opokami. Ale wielcy Szamanie tam wchodzą. Oni tak rozsuwają skały, jak my wojłoki namiotu.

Ludmiła widząc jéj oczy roziskrzone, nie śmiała dłużéj przeczyć, tylko zwróciła się do stojącéj za sobą Elżbiety, i szepnęła po Polsku:

— Tak, — ci czarownicy nie w ciemię bici; ręczę, że wszystko co na ziemi, niby dla Duchów leży, to oni sami zabiorą.

Ale Elżbiecie wcale się nie chciało żartować z duchów ani z czarów. Podniosła twarz, na któréj widne było prawdziwe zmatwienie, i westchnęła:

— Ach, jakie to nieszczęście że my, Chrześcjanki, musimy patrzéć na te pogańskie gusła! Już samo patrzenie jest może grzéchem? A co tu robić? Gdzie tu uciec?

Uderzona boleścią przyjaciółki, Ludmiła zastanowiła się, — i także posmutniała.

Tymczasem Szamanie zwolna nikli — dary z ziemi także zniknęły.

Ajdar powstawszy w milczeniu, chciał już wyprowadzać Ludmiłę, kiedy nadbiegła ku niemu Arguna, i z nizkiemi pokłonami prosiła:

— Zrób mi łaskę..... Jabym chciała poradzić się o przyszłość mego syna..... Ja zawsze tak pragnęłam tu być na Olchonie, tu odpowiedzi najprawdziwsze.....

— Ach! — Wtrąciła błagalnie Zutta, jedna z żon Ajdara. — Jabym chciała wiedzieć co się dzieje z moją siostrą, któréj dziesięć lat już nie widziałam.....

— I ja chcę się o cóś zapytać.....

— I ja także..... — Wołały wszystkie po kolei.

Ajdar, obstąpiony przez niewiasty, uległ prośbom, i zaszedłszy drogę jednemu z czarowników, przełożył pokornie ich życzenia.

— A jakich-że Szamanów chcecie się radzić? — Spytał zagadniony. — Czarnych czy Białych? Biali rozmawiają z Duchami życzliwemi dla człowieka, Czarni z nieprzyjaznemi.

Ajdar się zawahał.

— Czy ja wiem — pytał — którzy potrzebniejsi?

— I ci i ci potrzebni. Dobrze wiedzieć co się uda, ale i dobrze wiedzieć co zagraża.

— Ach! — Zawołała Arguna. — Byłoby

najlepiéj, gdyby można wybrać takiego co wié wszystko.

— Oho! — Rzekł Szaman kręcąc głową. — Małéj wam się rzeczy zachciało! Musiałby chyba przyjść sam Chan Szamanów. On jeden zna się ze wszystkiemi Duchami.

— Ach, proście! Wyproście aby przyszedł!— Błagały niewiasty.

— Ja z mojéj stadniny, — dodawała Argunа — przyszlę trzy białe konie, Duchom na ofiarę.

— A ja, — wtrąciła inna — jak tylko wrócę do siebie, przyszlę tu sztukę jedwabiu czerwonego. Może biały lepszy? Jak myślicie?

— Wszystko jedno. — Kapłan odpowiedział niedbale. — Duchom wszystko miłe. To tylko pytanie, czy Chan zechce dzisiaj przepowiadać?

I skręciwszy na stronę, zginął w czeluściach pieczary, która między głazami wązką szparą czerniała.

Po długiéj chwili oczekiwania, wybiegł z rozognioném okiem, wołając:

— Przyjdzie! Wzdragał się — ale przyjdzie.

Wtedy padł na wszystkich jakiś postrach, którego branki jeszcze niemogły zrozumiéć. Te same niewiasty Mongolskie, co przed chwilą tak żąda-

ły wróżby, teraz cisnęły się jedna za drugą, mówiąc:

— Ty piérwsza radź się.....

— Nie, ty lepiéj bądź piérwsza..... mnie jeszcze cóś za piersi chwyta.

Szamanie tymczasem znosili pęki paliwa, i na środku skały rozniecali ognisko.

Płomień wybuchnął. Krajobraz, dotąd oświécony tylko mdłą niebieskawością xiężyca, zmienił się jak twarz co zmienia wyraz, w jednéj chwili opłynął groźną łuną, która latała po urwiskach, wodach i powietrzu, jak rozczerwienienie po zagniéwanych licach.

Usłyszano niezwykłe podzwaniania i brzęki. Z pieczarowéj szczeliny wystąpił *Chan Szamanów*, najmędrszy z mądrych.

Na tę chwilę zdjął czapkę i długą szatę, i ukazał się w pełném ubraniu wróżbiarskiém. Ubiór był ze skór białych i czarnych, w symboliczne wzory pozszywanych, i zupełnie obcisło przylegał do ciała; ale kształty jego ginęły pod mnóstwem dodatków, które tworzyły na nim rodzaj grającego płaszcza; były tam żelazne kajdany, srebrne dzwonki, złote trzęsidła, różne jakby frędzle, jedne z miedzianych kolców, inne z klekocących drewienek. Strój taki, na pozór

dziwaczny, był przecież wynikiem wielowiekowych doświadczeń, zawiérał różne pierwiastki, tak organiczne jak martwe, skóry zwierzęce, kory, drzażdżki przepojone żywicą, i wszystkie główniejsze kruszce, których mądre zestawienie, działając na ciało, ułatwia człowiekowi wejście w stan magnetyczny.

Twarz miał piękną, ściągłą, ale prawie bez koloru, na wskróś wyniszczoną i jakby wyssaną przez ascetyzm. Włosy krucze, bujnie roztrzęsione, otaczały głowę rodzajem smutnéj, czarnéj aureoli.

Kiedy przystąpił do ogniska, podano mu łuk sprężysty, i magiczny płytki bębenek, a raczéj tamburyno, zrobione z trzech gatunków drzewa, obciągnięte skórą mieniącą się jak u węża, obite brzękadłami z rozmaitych metali.

Szamanie i podróżni rozstąpili się wielkim kręgiem.

Chan zaczyna chodzić w koło ognia — powoli — powoli — wymawiając półgłosem zaklęcia czy modły, pobrząkując bębenkiem w różnych odstępach czasu. Niekiedy staje, podnosi łuk jakby różczkę, i kréśli nim gzygzakowe znaki na powietrzu.

Takie krążenie trwa całą godzinę.

Ognisko przygasa.

Chan pada na ziemię nieruchomy.

Dwóch Szamanów podbiegło. Dokładają szyszek cedrowych i ciernia, dosypują dzikiego rumianku.

Żar syknął — pełgnął w górę nowym słupem czerwieni. Aromat roztacza po ziemi odurzające kłęby.

Chan jęknął jak człowiek mordowany.

Zerwał się, — o! teraz już zupełnie inny! Bieży w koło ogniska, prędko, coraz prędzéj — gwałtownie — szalenie. Rzuca wykrzyki wspaniałe, jakgdyby zwycięzkie — łańcuchy biczują go z łoskotem — dzwony drgają na nim kaskadami dźwięków — on kręci nad głową tamburynem, kręci z szybkością niepojętą w człowieczém ręku — czasem nagle na miejscu staje — łuk jednym końcem wbija w ziemię, na drugim jego końcu skroń opiéra, i tak wiruje w okrąg łuku jakby puszczona w bieg sprężyna. Znów stanął — nie znać po nim najmniejszego zawrotu głowy, nawet się nie zachwiał — znów łuk podnosi, tamburynem potrząsa, i puszcza się w taniec około ogniska — wykrzykujący — grzmiący — tryumfujący.

Ten szał, który w opisie wygląda dziwacznie, w rzeczywistości nie przedstawia nic śmiésznego ani kuglarskiego. Wiemy od naocznych świadków, jak owszem przeraża, i najobojętniejszych porywa.

Tu, widzowie prości i wierzący, zostali od razu porwani. Jedni padli twarzą o ziemię, i cza-

sem tylko nieco głowę unosząc, spoglądali ukradkiem na zjawisko, — inni z rękami złożonemi, wodzili za niém wzrokiem osłupiałym.

Ten drugi taniec trwał półtory godziny, i jeszcze to było niewiele; Szaman czasem potrzebuje czterech do pięciu godzin, ażeby się wprowadzić w stosunek z Duchami.

Już widzowie byli pomęczeni, zbici trudem i trwogą, a czarodziéj nie okazywał żadnego znużenia; owszem, zdawał się coraz potężniejszym — coraz lżejsze kręgi zakréślał — coraz bardziéj nadludzkie rzuty wykonywał.

Nagle — zbielał, zamknął oczy, i runął na ziemię, wyciągnięty — sztywny — stężały.

Dwóch Szamanów skoczyło z nożami w ręku. Przyklękli po dwóch stronach, i nóż jeden o drugi ostrzyli na głowie leżącego.

Pod tym żelaznym zgrzytem ocknął się, wstał na równe nogi, — i raz jeszcze podniósłszy tamburyno, cisnął je po-za siebie nieopisanym zamachem.

Ten ruch jest znakiem, że magiczne zachwycenie doszło już do szczytu.

Szamanie podbiegli ku niewiastom, szepcąc:

— Teraz już możecie się pytać..... prędko, prędko.

Arguna miała najpiérwsza przystąpić, ale zaszła nieprzewidziana przeszkoda: Kałga przerażony, niechciał żadnym sposobem przybliżyć się do czarownika; wyobraźnia jego dziecinna upadała pod tą straszną wizją; nieśmiał nawet głośno płakać, tylko łkał po cichu i przyczepiał się do sukien Elżbiety, na ten raz u niéj szukając ratunku, z instynktem prawdziwéj trwogi.

Na próżnych namowach i pogróżkach czas płynął, a chwile były szacowne, Szamanie się niecierpliwili. Więc żony Ajdara piérwsze przystąpiły do wyroczni. Ma się rozumiéć, tylko trzy starsze; Ludmiła, wsparta na ramieniu wytężonego z ciekawości męża, przypatrywała się zdaleka, przejęta nabożnym wstrętem.

Chan Szamanów jak stanął, tak stał nieruchomy. Oczy miał otwarte, ale niémi nie patrzył. Twarz miał przepyszną, ale bez żadnego wyrazu. Zdawało się że także i nie słucha, jednak słyszał wybornie, lepiéj niżeli wszyscy, bo jeszcze nie zdążono dokończyć pytania, a on już zaczynał wygłaszać odpowiedź. Mówił płynnie, wyraźnie, dobitnie, jakimś głosem odrębnym, jakby powtarzanym po drugiéj osobie; a podczas téj mowy, twarz jego nie okazywała żadnych wzruszeń, żadnego nawet śladu życia. Wygląd-

dał jak słup kamienny, z którego ktoś ukryty mówi.

Zutta piérwsza zapytała ze drżeniem:

— Co robi moja siostra?

— Leży w jurcie nad jeziorem Kulun-noor. Ona chora, mocno chora. O..... poprawia sobie wojłok pod głową, bo głowa ją boli. Przy niéj kręci się stara kobiéta z niebieską płachtą na plecach. Co ona robi? Aha! Gotuje ziele, które przepisał Szaman z Czarnego Jaru.

— Czy ona wyjdzie z téj choroby? Czy ja kiedy jeszcze ją zobaczę?

— Wyjdzie z téj choroby, ale dopiéro po dwóch obrotach xiężyca. A ty ją zobaczysz po dziesięciu obrotach xiężyca. Wtedy sama przyjedzie do ciebie, i nawet niespodzianie zgubę ci przywróci: razem ze swemi końmi przypędzi i dwa źrebaki, które z twojego stada zginą.

Szaman przestał mówić. Zutta namyślała się co prędzéj, o co by tu jeszcze zapytać, ale tymczasem Biga zajęła jéj miejsce.

U téj, usta się trzęsły; jakaś tajna zgryzota musiała ją trawić. Rzuciła okiem pełném nienawiści na Ludmiłę, okiem pełném żalu na Ajdara, i zapytała, ostrożnie ważąc słowa:

— Czy odzyskam jeszcze kiedy, to co utraciłam?

— Odzyskasz, — ale już nie takie jak straciłaś, — i odzyskanie więcéj ci przyniesie goryczy niż rozkoszy.

Ludmiła odgadła, że Biga chciałaby odzyskać pierwszeństwo w sercu małżonka. Złe przeczucie ją zatrwożyło.

Biga usłyszawszy odpowiedź, brwi ściągnęła chmurnie, i odchodząc z podniesioną głową, przez zęby wycedziła:

— Choćby najwięcéj goryczy miało mię kosztować, niech się stanie!

Ałuta, najstarsza z żon Ajdara, chorowita, kaszląca niewiasta, ostatnia przystąpiła nieśmiało, i wyjąknęła:

— Czy ja jeszcze długo będę żyła?

Szaman, tak szybko dotąd odpowiadający, tu piérwszy raz się zawahał.

Po chwili rzekł:

— Po co pytać się o takie rzeczy? Lepiéj nie wiedzieć.

— Ale kiedy ja chcę wiedzieć..... Człowiek choruje i choruje, — niech-że już raz wiem jak się to skończy?

— Dwóch jeszcze Chaanów zobaczysz.

Ałuta uśmiéchnęła się ze szczerém zdziwieniem. Panowanie aż dwóch monarchów może

trwać bardzo długo, témbardziéj że nawet jeszcze piérwszy z nich nie został obranym!

Teraz, Arguna już niemogła zwlekać. Znalazła energję któréj nikt się nie spodziéwał po téj słabéj matce, gwałtem porwała Kałgę na ręce, uniosła go i postawiła przed wróżbitą.

Chłopiec struchlał, i stał jak wryty.

Druga biéda nastała z Elżbietą. Ona już nie z obawy dziecinnéj, ale z obawy zgrzeszenia, także niemogła się ruszyć; aż ją Szamanie porwali pod ręce, i przemocą pchnęli do Kałgi.

Wtedy Arguna zapytała:

— Wszak ta kobiéta niesie szczęście mojemu synowi?

— Niesie, — i wielkie.

— Cóż ja mam zrobić? Póki mały, niańka może ciągle za nim chodzić, ale jak wyrośnie, cóż to będzie? Czy ją ma wszędzie za sobą prowadzić? Na uczty, na wojny, w bitwach, wszędzie?

— Po co? Niech on tylko chodzi w sukniach zrobionych jéj rękami, to dosyć. Póki w nich będzie chodził, póty będzie jadł, pił, i zabijał nieprzyjaciół. Jak ostatnią z tych sukien włoży, wszystko się dla niego skończy.

Odpowiedź uradowała Argunę, a nadewszystko obie branki.

Tymczasem, niższe niewolnice widząc już miejsce wolne, cisnęły się do Szamana, aby także uzyskać jakieś słówko wróżby.

Owa Ujgurka, ochmistrzyni dworu Arguny, którą widzieliśmy już dawniéj litującą się nad losem Elżbiety, przystąpiwszy do niéj, szepnęła:

— Spytaj się i ty o twego synka. Już ci się drugi raz taka sposobność nie nadarzy.

Elżbiecie serce uderzyło.....

Ach tak! Istotnie, może-by zapytać o Jasia?.....

Ale nie..... Jakto? Jéj, Chrześcjance, uciekać się do bezbożnych guseł?

— Nie..... nie..... — Wyjąknęła. — Boję się.....

Ujgurka inaczéj zrozumiała jéj obawę.

— E, dziecko z ciebie.

I porwawszy ją za rękę, pociągnęła przed czarownika. Tam spytała:

— A co porabia dziecko téj kobiéty?

— Czekajcie..... Gdzie jest dziecko téj kobiéty? A! Widzę je..... Bardzo daleko ztąd, ale widzę: siedzi na tratwie. Tratwa jest na rzece dosyć dużéj. Na brzegu leżą stosy drzewa, ułożone równiutko, równiutko. Trochę daléj widać pagórek i miasto. O! Jakie tam spiczaste wieże! Dziecko bawi się z braćmi, z trzema braćmi. Ale smutne, o! smutne..... i obdarte. Na tratwie jest

buda i ognisko. Przy ogniu siedzi ojciec tego dziecka. Co on robi? Aha! Wiąże sieci.

Przy piérwszych słowach wróżby, Ludmiła nadbiegła z niewymowną ciekawością; ale na taki obraz, i ona i Elżbieta spojrzały po sobie z wyrazem znaczącym:

— Więc to wszystko jest czyste oszustwo?

Istotnie, wszystko było fałszem; Jaś niemiał braci — ojciec jego już nie żył. — I cóżby miał robić na tratwie, i jeszcze: «obdarty»?

Wyraźnie Szaman, widząc tutaj Elżbietę na nizkiém stanowisku niańki, sądził że i w swoim kraju należała do najbiédniejszego pospólstwa, i według tego domysłu, na prędce ułożył swój obraz. Ale wtedy, cóż mi za czarodziéj?

Bojąc się czartów i Tatarów, branki nie śmiały mu w oczy przeczyć. Jednak Ludmiła, zawsze harda, spytała szydząco:

— Czyś ty pewien, że to jego ojciec, jego bracia?

— Słyszę jak do nich mówi: «Ojcze». — Słyszę wyraźnie: «Bracie».

— A jakim-że on mówi językiem? — Podchwyciła Elżbieta.

— Swoim.

— Więc jakże ty go rozumiész?

— Ja wszystko rozumiem.

Niewiasty podziwiały bezczelność z jaką wróżbita brnął po mylnéj drodze. Oburzone kłamstwem, którego niepodobna mu było dowieść, zamilkły.

Nastała chwila ciszy.

Nagle, Szaman — choć niezapytany — zaczął sam z siebie przemawiać.

Na ten objaw, bardzo rzadki, wszyscy zbiegli się i natłoczyli.

On mówił:

— Po co wy się mnie radzicie? Jest między nami istota która wié daleko więcéj odemnie. Ta niewiasta co szczęście niesie dziecku, ta niewolnica pogardzona, o! to wielka Szamanka, większa niż my wszyscy. Dziwna rzecz! Ona Duchów nie szuka, a Duchy same jéj szukają, stoją koło niéj całemi gromadami. I niéma tam wcale ciemnych, tylko same jasne..... jasne..... jasne.....

Tu ucichł, a wszystkie oczy zwróciły się na Elżbietę z najwyższém podziwieniem i cześcią.

Po chwili, czarodziéj krzyknął niewyraźnie, upadł i zaczął się wić w konwulsjach.

Był to znak, że magiczna extaza dobiega już kresu.

Szamanie porwali go i unieśli do pieczary, zkąd jeszcze długo dochodziły jego ciężkie jęki.

Świt szarzał kiedy podróżni powrócili do łódek, wszyscy spiorunowani wrażeniem, unoszący się nad mądrością Szamańską.

Wszyscy, oprócz naszych dwóch branek. Te zamilkły przezornie; czasem tylko przygryzły wargi, albo ruszyły ramionami.

Dopiéro wróciwszy do stolicy, mogły dać folgę długo tłumionemu oburzeniu, i zamknięte w izdebce, naśmiały się do woli z fałszywego proroka.

Jednak, ta noc tak wyśmiana, przyniosła dla nich błogosławione skutki.

Osobliwszy hołd, oddany Elżbiecie przez wróżbitę, otoczył ją urokiem «szamanizmu», jedynym co miał wpływ na Tatarów. Teraz już nikt nieśmiał jéj się sprzeciwiać ani dokuczać, w obawie Duchów z któremi przestawała. Ajdar zaczął jéj okazywać osobny rodzaj szachunku. Arguna była rozdarta pomiędzy dwoma uczuciami: chlubiła się, cieszyła z posiadania takiéj istoty, ale

niemogła patrzéć na nią bez lęku, i nieustannie syna zaklinała, aby ostrożnie postępował z niebezpieczną piastunką. Chłopiec nastraszony, trochę się ugłaskał.

Co ważniejsze, uspokojona odpowiedzią Szamana, mówiła że syna wyszle po naukę bez niańki, już go nawet nieraz powierzała innym niewolnicom, Elżbietę zapędziła tylko co prędzéj do szycia. Branka z prawdziwą przyjemnością jęła się nowéj roboty; już w Żegnańcu słynna była z rzadkiéj biegłości w igle; wprawdzie tam, używała jéj na ozdobę ołtarzy, na dzieła cudne jakby malowidła, a tu przyszło szyć jakieś kożuszki, czapczyska i obuwia, do których nie była wprawną, i to jeszcze dla kogo! Praca nieporęczna i niemiła. Ale za to, ileż ulg przy niéj! Oswobodzona od ciągłego czuwania nad nieznośnym dzieciakiem, całe dnie mogła spędzać z Ludmiłą. Już najczęściéj od rana przenosiła się do niéj, z Chińskim koszyczkiem pełnym igieł i nici, z pękami kitajek i futerek. O błogie dnie, chociaż łzawe! O nieskończone rozmowy i zwierzenia, jakże słodkiemi wydawałyście się, po tych piérwszych, najcięższych latach!

Szkoda tylko że pobyt w Karakorumie potrwał krótko. Wyruszono znowu, — tą razą już nie w podróż, ale na koczowanie. I wyjazd je-

dnak, niewiele przyniósł odmian w życiu naszych niewiast, które zwolna przywykały do zachowywania codziennych zajęć i zwyczajów, nawet pośród włóczęgi z pastwiska na pastwisko. Elżbieta i teraz większą część dnia trawiła w «kołowym domu» Ludmiły, gdzie Arguna pozwalała jéj przesiadywać, byle robota szła wartko. To téż igła ani na dzień jeden nie spoczęła w ręku niewolnicy; Kałga już nawet nie nosił innych sukienek, tylko przez nią szyte; a niemożna było nadążyć z ich robieniem; ledwie które włożył, już niemiłosiernie je zdzierał, i jak na drożdżach z nich wyrastał. Przytém, Argunie zawsze było za mało; cały zapas przyodziéwków zbytecznych, nigdy nie noszonych, leżał u niéj po skrzyniach; ona wolała je marnować, niż doczekać się chwili w któréj by syn musiał włożyć *ostatnie* z tych ubrań, bo dzień i noc stały jéj na myśli wyrazy Szamana:

«Kiedy włoży ostatnie, wszystko się dla niego skończy.»

W dziesięć miesięcy po niezapomnianym pobycie na Olchonie, zaszła przygoda która mocno zastanowiła branki.

Podczas obozowania nad rzeką Honanem, spotkano wielki szereg wozów; była to siostra Zutty, jadąca do męża z całym swoim orszakiem.

Zapytana o zdrowie —

— Teraz — odrzekła — jestem dobrze, ale przed niecałym rokiem, stojąc nad jeziorem Kulun-noor, ciężko chorowałam.

A potém sama zapytała Zuttę, czy kto z nich nie stracił dwojga źrebiąt które po drodze przybłąkały się do jéj taboru, i sprawdzono że istotnie zginęły z Ajdarowych stadnin.

Takie dosłowne spełnienie się przepowiedni Szamańskiéj, przejęło wszystkich cześcią i weselem. Branki tylko były temu nierade. Niemogły przeczyć oczywistości wypadku. Opowiadano im téż do koła tysiące wydarzeń, gdzie Szaman zawsze odgadywał prawdę. Czemuż więc tylko dla nich się omylił?

Długo łamały sobie głowę. Aż znalazły wytłumaczenie.

— Jasna rzecz. — Mówiła Elżbieta. — Szaman jest-to człowiek *opętany;* czart który gada przez jego usta, może zgadywać wszystko co się tyczé pogan, ale kiedy stanął w obec dusz Chrześcjańskich, zmieszał się i stracił całą swoją władzę.

— A może téż, — dodała Ludmiła, — może i wiedział prawdę, tylko niechciał nam jéj powiedzieć? Bo poganom to czart schlebia i dogadza, ale Chrześcjanek to niechciałby pocieszyć,

a on dobrze wiedział jakim by skarbem dla nas była wiadomość o naszém biédactwie.

— Tak, masz słuszność Ludko, najprędzéj to tak było. O! Jeśli wiedział prawdę a niechciał nam jéj powiedzieć, to już niewątpliwie czart..... Trzeba miéć szatańskie serce, aby sobie żarty stroić z takiego nieszczęścia jak nasze.

I obie się rozpłakały.

A był to płacz ołowiany, nie przynoszący żadnéj ulgi.

O! Bo wspomnienie o Jasiu, zamiast pocieszać, dręczyło i nurtowało je coraz wgryźliwiéj.

Gdyby wiedziały *na pewno* że ocalał, że dostał się do wuja, który go wychowuje na prawego Chrześcjanina i dobrego Polaka, ta jedna myśl opromieniła by im resztę życia.

Mogłyby sobie wystawiać każdego dnia i każdéj godziny, co on tam porabia? Jak się uczy i bawi? Jak wyrasta na obrońcę swojéj wiary i swojéj ziemi?

Ale one nie były *pewne*.

A nuż Tatarzy w Węgrzech dopadli Rafała? Nuż Jasia powtórnie zabrali, i srodze zabili? Lub..... co stokroć gorzéj, wychowują go na poganina? Ach, może on tu jest gdzie niedaleko? Może dopiéro po długich latach spotkają go zdziczałym, ztatarzonym, pędzącym po łupy do Polski?

Ta niepewność była zabijająca.

Ilekroć z jakiego namiotu lub wozu doleciał je głos dziecinny, wsłuchiwały się i wywiadywały. Wszystkich jeńców spotykanych, zwłaszcza Węgrów, obsypywały pytaniami. Nikt nie widział Jasia, nikt o nim nie słyszał.

Już kończył się piąty rok niewoli.

Pięć lat oczekiwania, to wiek wieków, po którym i najsilniejszéj duszy skrzydła muszą opaść.

Z początku, dodawały sobie wzajemnie nadziei, mówiły nieustannie o Jasiu. Potém, coraz rzadziéj--coraz trwożniéj — aż zupełnie zamilkły. Nie śmiały tém imieniem poruszać roju straszliwych przypuszczeń..... Milczały — ale dobrze czuły że obie o tém tylko myślą — dzień i noc o tém jedném.

Niebo niezaprzeczenie zesłało im już wiele osłodzeń w niewoli; jednak one niemogły ich dotąd ani odczuć ani ocenić dostatecznie; ta strzała tkwiąca na wskróś serca, jątrzyła wszystkie inne bóle, i niedopuszczała zabliźnienia się rany.

Ach, gdyby tylko tę jedną strzałę wyrwać, a wszystko by się łatwiéj zniosło!

Nieraz westchnęły:

— O Boże! Zeszlij nam raz jeden wieść o Jasiu—tylko raz jeden—a już o nic więcéj nie będziem Cię prosiły—ani o wyswobodzenie—ani o żadną na ziemi pociechę—wszystko do śmierci zniesiemy bez szemrania — tylko nam cudem jakim zeszlij wieść o Jasiu!

Kuryłtaj.

Nakoniec na wiosnę roku 1246-go, stanowczo został obwołany Kuryłtaj, wielki sejm elekcyjny, którego praw odwiecznych Tatarzy twardo strzegli, bo wielką to dla nich było chlubą, że jak daleko pamięć ludzka sięgała, zawsze wolnemi głosami obiérali sobie przywódców.

Od czasu Dżyngischana wprawdzie, wybór ten—związany wdzięcznością i xięgą nowych ustaw — trzymał się już tylko między jego potomstwem, jednak jeszcze i teraz było w czém wybiérać.

Jeżeli żaden z synów Temuczyna już nie żył, za to żyli jego starzy bracia, żyli nawet niektórzy z jego prastarych stryjów, a już co wnuków i prawnuków, to roiło się jakby jakiego wojska.

Po niecałém stuleciu, ten ród uprzywilejowany, rozbogaciał, rozpotężniał i rozmnożył się,

jak żaden może w dziejach. Wedle słów jednego ze Wschodnich pisarzy: «był on tém do reszty Mongołów, czém jest perła do tęczowéj massy wyściełającéj muszlę.» I to kosztowność, ale tamto klejnot.

Jednak właśnie owa mnogość kandydatów, rozliczność ich zalet i zasług, czyniła wybór trudnym. Przed laty dwudziestu kilku, elekcja Ogotaja poszła gładko i jednomyślnie; właściwie nawet mówiąc, nie była to elekcja, ale ślepe wykonanie woli Dżyngischana. Tatarzy, nagle pozbawieni ręki co ich wyniosła, co ich niejako stworzyła, w pierwszéj chwili uniesienia i żałości, bez namysłu okrzyknęli następcę jakiego im ta ręka wskazała.

Ale teraz inne były czasy. Już nad wyborcami nie unosił się porywający wpływ genjuszu; przypomnieli sobie swoje odwieczne prawa, a przedśmiertne życzenie Ogotaja, nie miało już dla nich takiéj wagi jak pół-boskie słowo Temuczyna.

Nawet i o tych przedśmiertnych życzeniach, zdania były bardzo podzielone; wdowy i synowe Ogotaja podniosły kilka przeciwnych sztandarów.

Xiężna Ananda, matka Szyramuna, powoływała się na testament, w którym nieboszczyk miał ukochanemu wnukowi przekazywać rządy.

Nieszczęście chciało, że tego testamentu nikt nie widział, tylko jeden Jeliu-Czusaj, który znów także jakby na przekorę, już nie żył. Przyjaciele Xiężny Anandy, choć szczerzy, byli potrwożeni; czuli swoją słabość, i nie ufali w powodzenie.

Tymczasem, Rejentka Turakina, oraz jéj synowa, Xiężna Ogul-Gajmisz, główna żona Kujuka, twierdziły stanowczo że testament ów nigdy nie istniał, dowodziły jaką byłoby śmiésznością przerzucać berło w ręce wnuka, i to pacholęcia' kiedy się zostawia synów dorosłych i dzielnych, zwłaszcza téż Xięcia Kujuka, który był najstarszym, i—według nich—najzasłużeńszym.

Dzięki zabiegliwości tych dwóch niewiast, dzięki zwłaszcza niezmiernym skarbom jakiemi Rejentka rozrządzała, stronnictwo Kujuka stało się potężne, dużo silniejsze niżeli stronnictwo Szyramuna.

Jeszcze jednak było zagrożone przez ogromną większość wyborców, zapytujących z niechęcią, dla czego trzymać się upornie w jednym i jedynym rodzie Ogotaja, kiedy przecież wolno wybiérać między wszystkiemi xiążętami?

Tą większością, która jeszcze żadnego nazwiska nie położyła na swoim sztandarze, kierował zdaleka Xiążę Batu, najstarszy i najsławniejszy z Dżyngischanowych wnuków.

Pozornie, ta większość wydawała się pewną zwycięztwa, od stóp do głów uzbrojoną w nietykalność wolnego głosu; a jednak, ten jéj ryn-

sztunek miał jedno miejsce słabe, którędy nieprzyjaciele mogli ją niebezpiecznie zaczepiać.

Ogotaj, przewidując zmienność fortuny i ludzi, jeszcze niegdyś, przed objęciem władzy, zastrzegł sobie u narodu, ważną, niewygodną jak na dziś, obietnicę. W czasie swojéj elekcji, drożył się więcéj niż przystało, niechciał i niechciał *usiąść na całunie*, i rzeczywiście nie usiadł, aż wytargował od swoich wyborców przysięgę, która brzmiała bardzo dziwnie, bo w następnych wyrazach:

«Dopóki z twego potomstwa zostanie jeden «kawałeczek ciała, choćby tylko taki, coby wrzu«cony między trawę, uczynił ją wstrętną dla wo«łu,—coby wrzucony w tłustość, uczynił ją niemi«łą psu, — dopóty nie oddamy najwyższéj władzy «nikomu innemu, jak tylko twoim następcom.»

Zaprzysiężono uroczyście, to prawda. Ale z tych co przysięgali, wielu już nie żyło, wielu innych tymczasem dorosło; czyż i ci mieli być związani płochém przyrzeczeniem ojców?

Takie różnice zdań, takie niepewności, zatrzymywały bieg wypadków; one to, aż do lat pięciu przedłużyły Rejencję; każde stronnictwo czuło się jeszcze niedość mocném, każde wolało czekać i przeczekiwać, a tymczasem porastać w siły, werbować sobie głosy, odbijać je przeciwnikom, prze-

konywać i przekupywać. Miljony sypały się cichaczem, przechodząc ciepłą ręką z obozu do obozu; niemniéj gęsto sypano złote słówka, obietnice urzędów i zaszczytów. Był to czas nieustannego żniwa dla ludzi obrotnych, pięcioletnia wiosna marzeń i nadziei dla wszystkich współzawodników.

Trzeba zaprawdę podziwiać, i z pewnego stanowiska uczcić, budującą zgodliwość z jaką przebywano ten czas trudnéj próby. Tatarzy, dla innych ludów tchnący samą wojną, wybornie umiejący gdzieindziéj siać niesnaski, u siebie jeszcze wyborniéj umieli się ich wystrzegać, gotowi nawet byli na wszelkie ustępstwa, byle utrzymać świętą jedność. Coby się to już działo w ówczesnéj kłótliwéj Europie, gdyby los otworzył podobną spuściznę! Ile królów i xiążątek zagryzających się na szmatach monarchji! Ile miast oblężonych! Ile kopji strzaskanych! Ile gminu wybitego zarazą i głodem!

Nad Orchonem inaczéj. Umarł Chaan? Cicho, sza! Jeśli co płynie, to nie krew ale złoto, jeśli są jakie walki, to ciche, podziemne, a machina państwa tymczasem idzie daléj, trochę skrzypiąc, trochę się zacinając, ale idzie. Widz patrzący zdaleka, nie domyśliłby się nawet, że olbrzymie mocarstwo jest od lat całych pozbawione wodza.

Niejeden myśliciel już stanął zdumiony przed tym nauczającym widokiem. Napoleon Wielki,

rozpamiętując na swojéj skale, nieusłuchalność tych których używał, i niewdzięczność tych których wynosił, w *Pamiętniku Ś-téj Heleny* woła gorzko:

«Ja nie miałem tego szczęścia jakie miał «Dżyngischan ze swemi czterema synami, którzy «w niczém nie współzawodniczyli, tylko w myśli «jakby tu ojcu najlepiéj usłużyć?»

A co dziwniejsze, to że duch synów odnajdywał się jeszcze i we wnukach; nie zapomnieli dotąd przypowiastki «*o związanych strzałach.*»

Po pięciu latach jednak, intrygi już podojrzéwały, stronnictwa zaczęły się lękać aby dłuższa zwłoka nie popsuła ich pracy.

Kujuk już kończył czterdziesty piąty rok życia, wielki czas na rozpoczęcie rządów; pragnął ich namiętnie; przytém, niecierpliwił go widok marnotrawstwa z jakiém Rejentka rozpraszała Skarbiec, oburzał go wpływ Muzułmanów na jéj Dworze.

Xiężna Ogul-Gajmisz, równie jak mąż spragniona władzy, radziła się ciągle Szamanów; ci jakoś wróżyli na dwoje, mówili że nie widzą jasno, ale Kujuk jakby gracz rozgorączkowany, chciał już raz, tak czy owak rzucić kości, wypraszał u matki zwołanie Kuryłtaju.

Zwoływała go już ona kilka razy, cóż kiedy nigdy niemógł i niemógł dojść do skutku, a to głównie z przyczyny Xięcia Batego; ten od lat całych wymawiał się ciężkim bólem nogi, który mu niepozwalał puszczać się w podróż tak daleką, od Wołgi do Bajkału, a że był wielce szanowany w rodzinie, Dżyngischanidzi niechcieli nic bez niego stanowić.

Teraz jednak cierpliwość już się zaczynała wyczerpywać. Powiedziano sobie:

— Trudno, przyjedzie czy nie przyjedzie, trzeba radzić.

I gońcy ogłaszający sejm wyborczy, rozbiegli się nietylko po Mongolji, ale i po wszystkich ziemiach zawojowanych, co stanowiło więcéj niż pół świata.

Cała Azja zaroiła się tłumami podróżnych. Ciągnęli królowie pragnący uzyskać patent na swoje korony. Ciągnęły poselstwa i od innych królów, jeszcze niepodbitych, ale na gwałt szukających zgody z potwornym sąsiadem. Jechali różni Xiążęta powaśnieni, między któremi przyszły Chaan miał sądzić i wybiérać. Szli Posłowie, jedni z prośbami, drudzy z przeprosinami, jeszcze inni z prostą czołobitnością, a wszyscy bez wyjątku z darami, pod któremi uginały się konie i wielbłądy. Lennicy i sojusznicy przesadzali się w ich bogactwie, bo wiedziano, że jeżeli dary wszę-

dzie przyczyniają łaski, to u Tatarów są jedynym do niéj kluczem.

Kiedy wszyscy stanęli u celu, samych ambassadorów naliczono 4000, wyraźnie *cztery tysiące.*

Oprócz tych urzędowych orszaków, ciągnęły téż i nieścignione okiem karawany kupców, zlatujących się na sejm, jak ptastwo zlatuje się na pole bitwy, przyciągniętych nadzieją że w takiém zbiegowisku narodów, łatwo będzie rozprzedać najdroższe i najrzadsze towary. Szły bez końca muły i osły, objuczone skrzyniami i pakami kraciasto powiązanemi, te z Korazmu, te z Armenji, tamte aż z nad-Azowskiéj Tany. Inni, od Arabji pędzili żywe strusie; inni jeszcze z dalekiego południa, w klatkach lub na łańcuchach wiedli lwy i tygrysy. Najdziwniéj wyglądał pochód kupców Chińskich; ci sobie dowcipnie ułatwiali ciężkość przeprawy; przez pustynię Gobi, podobną do suchego morza, wózki ich płynęły z szumem, podobne do statków, bo na każdym zatknięty żagielek, wydymał się, popychał zaprząg, i umniejszał ciężaru.

Nakoniec, z właściwéj Mongolji, ściągały wszystkie *ruchome miasta;* cesarzewicze, xiążęta, panowie Tatarscy, jechali z domami i żonami, z nawałą trzód i niewolników.

Kuryłtaj odbywał się nie w Karakorumie, któreby nie zdołało pomieścić takiego napływu ludności, ale w miejscu oddaloném o pół dnia od stolicy, a zwaném *Dalan-daba* czyli *Siedemdziesiąt pagórków*.

Na ogromnéj równinie, zbudowano piękne, koliste ogrodzenie, z wiązań wprawdzie drewnianych, ale w Chińskie wzory plecionych; po tych kratach, biegły wisiorami, kobierce Perskie i szale Indyjskie, kraśniejące od cudnie wrabianych ptaków, kwiatów, palm i arabesków. Krąg ogrodzenia był tak ogromny, że pięć do sześciu tysięcy sejmujących obracało się w nim swobodnie. Na środku stał olbrzymi namiot, mogący pomieścić dwa tysiące osób, cały—o cudo!—z *białego axamitu*, który tam «białą purpurą» nazywano. Jakież musiały być bogactwa zdobywców, kiedy saméj téj purpury białéj znalazła się ilość, wystarczająca na wzniesienie podobnego gmachu! Bo namiot nie był prostym stogiem, ale gmachem spiętrzonym w falujące podpięcia i zwoje, dźwigniętym w kopułę, która się zakończała rodzajem świecistego wianka czy korony. Zdaleka, wyglądał jak pałac z obłoków.

— Ej autorko, autorko..... Co téż ty chcesz wmówić w publiczność dziewiętnastego wieku? A toż najczystsza bajka wschodnia?

Tak sobie duma, trochę urażony czytelnik.

A jednak, z przeproszeniem czytelnika, to nie żadna bajka, ale najszczersza prawda, podsłuchana u współczesnych, i to świadków naocznych, wypisana z *Dziennika podróży*, i to kréślonego Europejską ręką.

Zaprawdę, dziwne widowisko, połączające prostotę czasów Abrahamowych, z przepychami złupionemi na stu cywilizacjach, z handlem, ruchem i różnojęzycznością, przypominającą już dzisiejsze «Wystawy powszechne».

W około ogrodzenia, na siedemdziesięciu pagórkach, rozkładały się poselstwa, przenośne targowiska, i bez końca, bez końca bielejące obozy; mówimy *bielejące*, bo na czas Kuryłtaju, znikała żałobna barwa jurt Mongolskich; w téj epoce świątecznéj, używano przeważnie namiotów z białéj pilśni.

Jak od kamienia rzuconego w wodę, coraz to szersze roztaczają się koła, tak tu, co dzień przyrastał nowy pierścień taborów, — co dzień przybywali nowi goście, — im późniejsi, tém znakomitsi.

— Cóż, Xiążę Batu, jest? — Pytano nieustannie.

— Jeszcze nie, ale obiecał że przyjedzie, — pisał że niezawodnie przyjedzie. Już tylko go patrzéć.

Tymczasem ściągali rozliczni bracia Batego, niemniéj liczni synowie Czagataja, niezrachowane potomstwo Chaana nieboszczyka, ściągnął nawet sędziwy Uczukien, jeden z owych Dżyngischanowych stryjów, patryjarcha otoczony osiemdziesięciu synami, z których każdy wiódł także grono synów i wnuków. Po jednym tym przykładzie można sądzić, do jakich już nie kroci ale tysięcy rozrodził się dom cesarski.

Przybycie każdego z potentatów budziło nowy ruch i ciekawość. Nigdy jednak ruch nie zawrzał tak mocno, nie objawił się tak radośnie, jak za przybyciem Xiężny Siurkukteni. Ludzie lecieli hurmem na jéj spotkanie, opowiadali sobie cuda o wspaniałości jéj orszaku, witali jakby nową królowę Saby. Wszędzie mówiono:

— O już teraz wszystko dobrze pójdzie, kiedy jest mądra xiężna.

I mówili tak nietylko prostacy, ale ministrowie i wodzowie, którym nagle ducha przyrosło, chociaż nowy gość był tylko niewiastą.

Zadziwiającém zjawiskiem w historji Mongołów, jest potęga jaką między niemi dzierżyły kobiéty. Zdawałoby się że wielożeństwo powinno było je tam skazać na tęż samą niewolę co w krajach Muzułmańskich; ale tu zachodziła przeważna różnica: tu Koran ich nie obwiał swojém zabójczém tchnieniem, tu wiodły życie czynne, tak czynne, że prócz jednéj wojny, prawie wszystko w ich rękach się skupiało. Zachowując téż w ogóle piękne obyczaje, zdobyły sobie wpływ trudny do wiary; nie haremowy, nie pokątny, ale idący z czołem odkrytém, wpływ który dosięgał nawet życia politycznego. W Kuryłtajach, oprócz mężczyzn, zasiadały i białogłowy, tak zwane *Chatuny* czyli *damy*, po większéj części matki, żony, albo wdowy xiążąt. Należały one urzędownie do narad, i żaden obiór Chaana nie mógł przejść bez ich przyzwolenia.

A jednak, dziwne było społeczeństwo tamtejszych niewiast; po większéj części składało się z *branek*.

Oto i ta naprzykład Rejentka Turakina, choć Tatarskiego pochodzenia, wszak to także branka?

Przed laty czterdziestu była żoną Dair-Ussuna, wodza panującego nad pokoleniem Uhuzkich Merkitów. Kiedy Dżyngischan podbijał kolejno wszystkie sąsiednie plemiona, wiele miał do czynienia z dzielnym Dair-Ussunem, który jak lew bronił swojéj niepodległości; powoli utraci-

wszy dużo sił i ziemi, z resztą wojsk i z żoną zamknął się w warownym taborze zwanym Kuru-Kapczal, nad rzeką Selengą, i ztamtąd długo jeszcze walczył rozpaczliwie; ale gwiazda Mongoła jak zawsze przemogła, wódz Merkitów zginął, wojska jego poszły w rozsypkę, a młodą Turakinę Temuczyn wziął w niewolę, i dał swemu synowi Ogotajowi, który ją wyniósł na piérwszą małżonkę.

A teraz oto, biédna owa ofiara, trzęsła państwem swoich ciemiężców. Była téż to jedyna pociecha pozostająca tam niewiastom; słodycze serca nie musiały miéć dla nich wielkiego powabu; miłość przedstawiała im się najczęściéj pod postacią wojennych gwałtów, poniewolnych ślubów. Gwałt wyziębiał ich duszę. To téż w ogóle nie były co się zwie *romansowemi;* w całych dziejach Mongolji, nie spotykamy ani jednéj przygody, gdzieby kobiéta działała pod natchnieniem pałającego rozkochania. A że serce ludzkie zawsze potrzebuje pastwy, u nich cała czynność ducha, cały zasób namiętności, skierował się w inną stronę, przeobraził się w żądzę władzy. Rządzić temi co im niegdyś wydarli rodziców, mężów i ojczyznę, pod mnóstwem omylnych pozorów przeprowadzać strategję zemsty, przy każdéj sposobności ukłuć albo dżgnąć którego z dawnych prześladowców, o! taki odwet zjadliwie im się uśmiéchał. Jeżeli jeszcze z owych poniewolnych ślubów odchowały potomstwo, chęć wyniesienia

dzieci, zwłaszcza synów, podwajała dążność do władzy; miłość macierzyńską widzimy w nich rozwiniętą wysoko, nieraz aż do zawziętości; wszystkie inne uczucia, obrażone albo przytłumione, tu tylko znajdowały ujście.

Ale dla zdobycia owéj rozkoszy odwetu, wiele było potrzeba cierpliwości, zręczności i rozumu; to téż niewiasty północnéj Azji kierowały się przeważnie rozumem, nie xiążkowym, ale praktycznym, dyplomatycznym, częstokroć Tatarsko-Machjawelskim. Nie były one jak niewiasty Greckie, owe Chryzeidy i Andromaki, co popadłszy w niewolę zapadały i w martwą bierność, przerywaną tylko nieskończoném szlochaniem i skargą. Były raczéj podobne do hardych Sabinek, co potrafiły ujarzmić swoich ujarzmicieli, i z fałszywego położenia wyzyskać sobie prawa Rzymskich *matron*, nieznane dawnéj niewieście. Tu nawet uzyskały więcéj, bo i rząd w domu, i po części w państwie.

Ma się rozumiéć, że tak szerokie wpływy przypadały w udziale tylko brankom Tatarskiego, i to wysokiego pochodzenia, poślubionym przez xiążąt lub wielkich dygnitarzy. Ale przykład z góry działał rozbudzająco i na niższe warstwy; nieraz Muzułmańska lub Chrześcjańska niewolnica, zapatrując się na Mongołki, próbowała także swojéj potęgi, chociażby pośrednio użytéj. Wszak i dziś, branką Turakiną, rządziła inna branka, Perska Fatma?

Wszystkie one jednakże gasły, obok téj, któréj przybycie na Kuryłtaj sprawiło tyle wrażenia, téj którą Chrześcjanie i Muzułmanie przyrównywali do królowéj Saby.

Kim-że była Xiężna Siurkukteni?

A! Wszak to nasza dawniejsza znajomość? Imię jéj zabrzmiało już raz w téj opowieści. Była to córka Cheraickiego króla Ong-Chana, legendowego Xiędza Jana, owa «piękna królewna», o którą Temuczyn wypowiedział swoją piérwszą samodzielną wojnę.

Postać to ze wszech miar ciekawa; brakło jéj tylko drugiego Homera, coby ją unieśmiertelnił jak Helenę Trojańską. Według podań, dorównywała tamtéj urodą, a stokrotnie przechodziła ją rozumem. Postać wysoce poetyczna, chociaż to poezja zaprawna ostrym smakiem pół-barbarzyństwa, które przebija się wszędzie, nawet w jéj dziko-brzmiącém imieniu.

Twardym Parysem téj północnéj Heleny, był Tułuj, najmłodszy i najukochańszy syn Temuczyna. On to, w namiotach swego *suzerena* Ong-Chana spostrzegłszy uroczą królewnę, rozlewającą w złote czary kumys dla «bohatérów», rozmiłował się bez pamięci, i popchnął ojca do zuchwałego zażądania jéj ręki.

Odmówienie téj ręki, stało się—jak wiemy —

powodem niezrachowanych nieszczęść i przewrotów.

Ogromną być musiała radość Temuczyna, upajającym tryumf pogardzonego Tułuja, kiedy po zwycięztwie nad Ong-Chanem, dumna dziewica dostała się w ich ręce. Nie poszukiwali jednak innéj zemsty, jak tylko przymusowe spełnienie ślubów niedoszłych na drodze pokojowéj; piękność i majestat królewny widocznie rozbroiły zwycięzców, a może też i polityczny powód przyczynił się do jéj poszanowania? Małżeństwo z dziedziczką króla Cheraitów, nadawało niejakie prawa do jego korony, a któż niewié że zaborcy, nawet najniesumienniejsi, jeszcze radzi są, kiedy dla oczu ludzkich mogą się uczepić jakiegoś pozoru prawności?

Krwawe były to zaślubiny, do których oblubienicę wiedziono po zwaliskach rodzinnego państwa i po zwłokach poległego króla! Ale Tułuj mógł jéj powiedzieć:

— Któż tu winien, jeżeli nie ty sama? Czemuż mię niechciałaś przed tém całém zniszczeniem, i czemu jesteś taką, że trzeba albo cię posiąść, albo świat zapalić?

Niewiemy co młoda małżonka odpowiadała iw pierwszéj chwili. Z czasem, z latami, może się łagodniéj uśmiéchnęła? Jakaż kobiéta nie uwzględni, jakaż nawet na wpół i nie wybaczy, gwałtów a choćby i zbrodni, popełnionych przez miłość dla niéj?

W każdym razie, po latach wielu, Siurkukteni ukazuje się w dziejach uśmiéchnięta, szczerze czy pozornie pogodzona ze swoim losem, i choć na prawach wojennych zdobyta, przecież zawsze i wszędzie panująca, urokiem swego rodu, urokiem rzadkiéj mądrości, i rzadszym jeszcze u Tatarek: urokiem czysto niewieścim.

Dzięki tylu połączonym władzom, niedługo stała się najulubieńszą synową Dżyngischana. Późniéj, Chaan Ogotaj okazywał jéj wyjątkowe poważanie; jak dziejopisowie zaświadczają: «w każdéj «ważnéj sprawie zasięgał jéj rady, i posłów od «niéj wyróżniał największém odznaczeniem.»

Siurkukteni jednak w duszy musiała gorzko nielubić Ogotaja, musiała zwłaszcza miéć srogi żal do Dżyngischana, czemu *przedostatniemu* z synów oddał najwyższą władzę? Jeżeli już pominął najstarszych, Dżuczego i Czagataja, czemuż nie wybrał najmłodszego, jéj męża Tułuja? Gdybyż przynajmniéj być żoną Wielkiego Chaana! Z królewny zostać cesarzową, i choć tym sposobem odzyskać utracone prawa, raz jeszcze panować w ziemi Chereth! A tak, trzeba mieszkać gdzieś w górach Altajskich, na pastwiskach sobie wyznaczonych jakby na wygnaniu, podczas kiedy Ogotaj rozkłada się w królestwie jéj ojców, i tam właśnie jakby na urągowisko, buduje stolicę kradzionego państwa!

Marzenia Xiężnéj tylko co się nie spełniły, i to bardzo niedawno, chociaż w sposób nieco

zmieniony: po śmierci jéj męża, (Tułuj od kilku lat już nieżył,) Ogotaj wyprawił poselstwo do wdowy, prosząc o jéj rękę dla swego syna Kujuka. W naszych oczach podobne żądanie wyglądałoby dziwnie, bo Siurkukteni była stryjenką cesarzewicza którego jéj rajono, ale u Tatarów prawo obyczajowe uświęcało przekazywanie sobie wdów z pokolenia na pokolenie; przytém Ogotaj tak mocno miłował bratowę, że chciał ją mieć i za córkę, a może téż w tym związku szukał i głębszych, politycznych celów? Może znowu pragnął przez dziedziczkę Ong-Chana, utwierdzić w ręku swego syna berło jeszcze chwiejne, i ciągle zagrożone roszczeniami wszystkich innych współzawodników?

Gdyby Xiężnie chodziło jedynie o własne wyniesienie, byłaby zapewne poślubiła Kujuka, który, choć synowiec, w latach był jéj równym, i najprawdopodobniéj mógł jéj skroniom zapewnić koronę cesarską. Ale już minęły czasy gdzie Siurkukteni myślała wyłącznie o sobie; ze związku z Tułujem, zostało jéj czterech synów. Na nich patrząc, odważyła się po raz drugi któremuś z Dżyngischanidów odmówić swojéj ręki.

Tą razą jednak, odmowa jéj brzmiała uprzejmie, budująco, i na pozór pokornie.

— Bardzo mi przykro, — rzekła do swatów — że nie mogę być posłuszną Wielkiemu Chaanowi, ale wychowanie moich dzieci zabiéra wszystek mój czas i troskliwość.

I tak jakoś «mądra xiężna» umiała dobrze osłodzić odprawę, a zarazem wydać się niebezpieczną, że Ogotaj pozostał i nadal w najprzyjaźniejszych z nią stosunkach, a Kujuk, mimo piérwszego odkosza, ciągle jeszcze żywił nadzieję, że z wytrwałością na swojém postawi.

Xiężna tymczasem istotnie zajęła się troskliwém i rozumném wychowaniem synów, których też wykierowała, w Azjatyckiém znaczeniu tego słowa, na ludzi znakomitych; prawie wszyscy późniéj szeroko zasłynęli; któż nie słyszał imion Mangu i Kubilaja? A i dwaj drudzy, Aryk-Buga i Mogaj, nie przeszli też bez śladu w dziejach.

Te dzieci związały serce dawnéj branki z fortuną państwa Mongolskiego; teraz już mu życzyła trwania i świetności, w nadziei że ta świetność spadnie kiedyś na nie. Czemużby nie? Wszak tron jest elekcyjny? O! Jakże namiętnie musiała pragnąć spełnienia téj nadziei, bo jeżeli jéj synowie byli z jednéj strony wnukami Dżyngischana, przedstawicielami zaboru, z drugiéj strony byli przecież wnukami Xiędza Jana, dziedzicami Cheraickiéj pomsty?

Mówiono też po cichu, że to właśnie Xiężna Siurkukteni jest główną sprężyną, prawdziwą duszą stronnictwa, co chce potomków Ogotaja odsądzić od berła; mówiono, że Xiąże Batu niecierpi Turakiny i Kujuka, a przepada za «mądrą xiężną», i umyślnie przez całe lata nieprzyjeżdża, aby jéj zostawić czas do powolnego działania. Ale wszy-

stko to były tylko wieści; z własnych jéj wyrażeń, z widzialnych jéj postępków, nikt niemógł odgadnąć zamiarów czarodziejki, która dla wszystkich stronnictw miała równe uśmiéchy, i razem z piękną czwórką swoich młodzianków, zdawała się zupełnie obcą wyborczemu ruchowi.

Na spotkanie słynnéj Chatuny, wyjechał świetny orszak pań i panów, między któremi był i Ajdar i jego żony, wszyscy dawno już rozgoszczeni na polu elekcyjném.

Ludmiła żywo pragnęła poznać przybywającą, bo Siurkukteni, jako córka Ong-Chana, była Chrześcjanką. Prawdę mówiąc, ten Chrześcjanizm, Nestorjańskiego pokroju, słabo się rysował, zostawił jéj nawet całą swobodę Mongolskiéj tolerancji. Xiężna, idąc za wrodzonym pociągiem do cywilizacji, bardzo lubiła Muzułmanów, oświeceńszych niż północni Azjaci; obsypywała ich dobrodziejstwami, a dobrodziejstwa te wyglądały nawet wcale nie po Tatarsku; przeciwnie, celem jéj łask było najczęściéj, choć cząstkowe naprawianie krzywd wyrządzonych przez Dżyngischana i jego następców; i tak, w niedawno zniszczonéj Bucharze, założyła wspaniałe Mahometańskie Kollegium, czyli tak zwane *Medreze*, na którego budowę, dała z własnego skarbca ogromną summę tysiąca bałyszów złotych, a na dalsze jego utrzymanie, za-

pis obszernych włości. To też po kilku latach, przeszło tysiąc uczniów już tam uczęszczało.

Lubiła także bardzo Europejczyków, zwłaszcza wykształceńszych; takich jednak rzadko mogła spotykać; rozsiani po niezmiernem państwie, zapędzeni do prac niewolniczych, niełatwo dawali się odszukać. Ale w razie spotkania, chętnie ich przy sobie zatrzymywała, a wtedy nie było końca jéj pytaniom o te krainy tajemnicze, z któremi wiązało ją podobieństwo wiary, i o których dochodziło ją tyle cudownych wieści, bo xięża Nestorjańscy opowiadali takie same dziwy o naszéj Europie, jakie Europa opowiadała o ich Xiędzu Janie i wszystkich osobliwościach Azji. Dla mieszkańców nad-Bajkalskich, państwo Cezarów, królestwo Franków, a zwłaszcza Stolica Apostolska, były zaklętemi gdzieś za morzem, krainami czarów i poezji, mglistą stroną *Bajek zachodnich.*

To też kiedy Ajdar przedstawił Xiężnie swoje żony, Ludmiła podobała jéj się niesłychanie z wykwintności wzięcia, wyrażeń i pojęć. Ledwie spojrzawszy na jéj towarzyszki, wyszczególniła ją przydłuższą rozmową i względami, od których Ajdarowi aż serce rosło.

Bo też Ludmiła prześlicznie wyglądała między paniami Tatarskiemi. Wielkie to dla niéj szczęście, że Bóg jéj dał wrodzoną hardość, jak dał kolce róży; dzięki téj hardości, mimo tylu przejść okru-

tnych, nie straciła fantazji, nie dała się zahukać w tym świecie osobliwszym gdzie los ją przerzucał, nie dała się uwikłać w nizkie niesnaski, zwykle towarzyszące wielożeństwu. Szła na przebój z głową podniesioną, z duszą zawsze zżymającą się nieco, jak lew na uwięzi, co właśnie ją czyniło dziwnie powabną dla małżonka, i zajmującą dla osób wyższego umysłu, jak wdowa po Xięciu Tułuju.

Nie samą jednak Ludmiłą zajmowała się Xiężna. Ogrom ważnych myśli ciężył na jéj głowie, tysiąc intryg powikłanych, zsypłanych, zbiegało się w jéj ręku. Starzy i młodzi dyplomaci siedzieli w jéj namiotach, podczas kiedy inni sejmikowali u Rejentki. Oczekiwano już tylko Xięcia Kapczackiego, a Xięcia jak niéma tak niéma.

Ranki schodziły na tymczasowych naradach; po południu, cały obóz oddawał się uciechom, zakończonym — jak zawsze u Tatarów — olbrzymią pijatyką, długo w noc przeciągniętą, a nawet i w drugiéj połowie nocy, kiedy sen i trunek zmorzyły biesiadników, jeszcze jakieś dziwne ruchy, szepty i bieganiny snuły się między namiotami; to Szamanie krążyli, wzywani przez różne stronnictwa, przepowiadający na różne sposoby, z rozpalonych kości, z przewróconéj miski, z pukających deszczułek.

Dziwna rzecz! Na ten raz, dla wszystkich stronnictw, mieli same niewesołe wróżby.

W namiocie Xiężny Anandy, matki Szyramuna, ostrzegali:

— Lepiéj nie próbować, bo kiedyś..... to wszystko źle się skończy.

Ananda zasmucona odpowiadała:

— Ach, czyż ja mogę nie próbować? Pozwolić, aby nawet bez walki wydarto memu synowi jego prawa? A przecież on późniéj, do lat doszedłszy, nigdy by mi nie darował podobnego stchórzenia?

W namiotach Turakiny i Ogul-Gajmiszy, powiedzieli:

— Uda się, ale na krótko.

A Kujuk z gorzkim uśmiéchem odrzekł:

— Choćby jeden dzień, byle panować!

W namiocie Xiężny Siurkukteni.....

Jakto? Czy i ta Chrześcjanka radziła się Szamanów?

Oh, i jak jeszcze! Nie radziła ich się jako duchownych, ale jako czarnoxiężników i wróżbiarzy. Wszak w naszéj Europie, dziś jeszcze, niejedna Chrześcjanka radzi się Owczarzy i Kabalarek?

Otóż w namiocie Xiężny Siurkukteni, rze

— Uda się, ale nie zaraz..... o, nie zaraz! Trzeba cierpliwości.

Synowie Xiężny spojrzeli po sobie z nachmurzeniem. Ona, tylko zacisnęła usta, i odpowiedziała z tajemniczym uśmiéchem:

— Potrafimy poczekać.

Tymczasem noce po nocach i dnie po dniach mijały. Już Lipiec się przepołowił, — Batego ciągle niéma. Wyborców zaczęła na dobre porywać niecierpliwość.

— Cóż to, — mówili — czy do zimy każe nam tu czekać?

Zagroziła téż trudność, ważna dla Tatarów: z ogromnym napływem ludności, napłynęła i niesłychana ilość koni; zaczęto pytać z niepokojem, czy okoliczne pastwiska na długo jeszcze dla nich starczą?

Postanowiono otworzyć sejm bez Xięcia. Może téż jeszcze nadjedzie w ciągu narad?

Dzień dwudziestego drugiego Lipca został wyznaczony ostatecznie na rozpoczęcie Kuryłtaju.

W tym dniu, Rejentka wystąpiła z niesłychaną szczodrotą. Rozsyłanie kaftanów honorowych, było zwyczajem od wieków przyjętym na Wschodzie; rozdawano je przy każdéj ważniejszéj uroczy-

stości, ale tylko najwyższym dostojnikom. Turakina poszła daléj: o świcie, rozesłała chałaty z białéj purpury dla *wszystkich* wyborców bez wyjątku, tak, że kiedy się zeszli w około namiotu, zobaczono kilka tysięcy mężów odzianych białym axamitem. Widok był pyszny, tém świetniejszy że odbijał od tęczowości strojów damskich, bo Chatuny zachowały rozmaitość kolorów, ich smak niewieści niemógł się zgodzić na jednostajne umundurowanie, tylko dla uczczenia téj świątecznéj barwy, każda dziś na głowie zatknęła choć jedno białe pióro.

Kiedy wszyscy już się zgromadzili, zamknięto bramy ogrodzenia.

Do południa trwały przemowy, przeglądanie Ustaw Dżyngischanowych, narady dziwnie ciche.

Po południu, bramy znów rozwarto, wybuchnął gwar biesiady.

Co przez ten dzień uradzono, to pozostało tajemnicą dla tłumów. Rzadcy tylko wybrańcy jéj dociekli, a w liczbie tych wybrańców znalazła się i Ludmiła, dla któréj Ajdar coraz mniéj miał tajemnic.

Tego dnia wrócił wcześniéj niż zazwyczaj, wszedł do Ludmiły jakiś wzruszony, i patrząc w nią z rozlubowaniem, wyrzekł:

— Ani wiész jaki cię zaszczyt spotyka. Rozmawiałem z Chatunami, a tu Xiężna Siurkukteni mówi do mnie: «Co się téż dzieje, Behadyrze, z tą

twoją piękną żoną, z tą Chrześcjanką, z którą tak lubię rozmawiać? Szkoda że jéj tu niéma.» Xiężna Turakina słysząc to, zawołała: «Tak, tak, Terchanie, cuda słyszę o téj twojéj żonie; i jabym téż chciała ją widzieć, i to jak najprędzéj. Naprzykład jutro, przyprowadź nam ją tu do stołu.» Jutro więc, jak tylko narady się skończą, przyszlę po ciebie. Ubierz się, i wcześnie bądź gotowa, tylkoż mi się ubierz pięknie, bo to nie żarty, jeszcze jak żyjesz, nie byłaś w takiém zgromadzeniu.

Ludmiła uśmiéchnęła się z lekkim przekąsem, i rzekła:

— Ba! Przecież ja i u naszych królów bywałam na ucztach.

Ajdar nieznacznie ruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć:

— Cóż to tam wasze króliki, obok Dworu Chaanów?

Jednak nie wymówił tych wyrazów, bo nie lubił ranić serca swojéj gołąbki. Zmienił rozmowę. Zaczął opowiadać narady poranne.

W tym piérwszym dniu sejmowym, zaszedł już ważny wypadek: wykréślono małego Szyramuna z liczby kandydatów. Nie pomógł unoszący się nad nim cień Jeliu-Czusaja, nie pomogły gorzkie łzy matki, ani rzewne przemowy jego wylęknionych przyjaciół. Uznano jednogłośnie, że ster wielkiego państwa potrzebuje koniecznie już dojrzałéj ręki.

— Teraz więc, — mówił daléj Ajdar — jeszcze tylko pytanie, czy Xiąże Kujuk się utrzyma? Ja muszę głosować za nim, bo przysiągłem Ogotajowi, ale gdyby nie ta przysięga, wolałbym którego z synów Xiężny Siurkukteni, która w małym swoim paluszku więcéj ma rozumu, niż ta gęś Turakina w stu głowach Perskich i Tureckich.

— Może Xiężna Siurkukteni dlatego taka mądra, że Chrześcjanka? — Zagadnęła pieszczotliwie Ludmiła.

Ajdar się zastanowił.

— Ha! Gdybym przypuszczał, że ta wiara daje rozum i szczęście, to może.....

— Ale nie! — Dodał wstając. — No i cóż, Chrześcjanie? Ani mędrsi ani szczęśliwsi od nas, kiedy się dali przez nas pobić. Już nie gadaj próżno, to najlepszy dowód. Oto lepiéj myśl o twoim stroju; proszę cię raz jeszcze, wyglądaj mi suto, chciałbym abyś wszystkie Chatuny zaćmiła.

Inne żony Ajdara pozieleniały z zadrości, kiedy im doniesiono o szczęściu jakie spotkało Ludmiłę.

Arguna także westchnęła; może piérwszy raz szczérze westchnęła nad swojém wdowieństwem; gdyby żył jéj Toktysz, może by i ją tam wezwano?

Bo to istotnie był zaszczyt niemały i rzadki. Czyż Rejentka mogła sadzać za swoim stołem

wszystkie żony wszystkich wyborców? Żaden w świecie namiot nie zdołał-by objąć takiéj armji niewiast.

Czasem więc tylko, wyjątkowo, zapraszała *najukochańszą* małżonkę jakiegoś męża, którego pragnęła ostatecznie przeciągnąć na stronę Kujuka. Do liczby takich mężów należał i Ajdar, trzęsący głosami wielu młodych wojskowych, a dobrze wiedziano, że do serca Terchana niczém nie można było lepiéj trafić, jak pochwałą lub uczczeniem pięknéj Polki.

Gołębie z domu.

Nazajutrz więc od rana, Ludmiła kazała sobie przynosić wszystkie szaty i kosztowności, aby je przeglądać, przymierzać, i utworzyć jakieś arcydzieło stroju.

Siedziała w największym ze swoich ruchomych domów, tak dużym że go nigdy z kół nie zdejmowano. Podobne podwyższenie miało swoje korzyści: podłogę, wiszącą w powietrzu na masztowych osiach, broniło nieźle od wilgoci, wyziewów i wiosennych roztopów.

Dom tworzył jedną sporą salkę i malutką sionkę, do któréj wchodziło się od strony zaprzęgu; w téj sionce stał woźnica kiedy wóz był w ruchu. Dziś, na miejscu wyjętego dyszla, wisiały tymczasowo przyczepione schodki; te, prowadziły do drzwi lekkich, upiecionych z różdżek jak całe domostwo, i obciągniętych różnobarwną pilśnią. Podczas jazdy, drzwi te były na roścież otwarte;

i wtedy jednak, oko nie mogło jeszcze dojrzéć wnętrza domu, bo głąb' sionki zasuwała się na ciężkie firanki. One to dopiéro tworzyły wejście do właściwego pokoju.

Pokój ten bywał piękności rozmaitéj, zależnie od bogactwa i smaku mieszkańców. U Ludmiły przedstawiał prawdziwe pieścidełko. A najprzód, był jasny, gdyż oprócz otworu w górze, posiadał i dwa okienka wycięte po bokach. Wprawdzie służyły one tylko przez parę miesięcy w roku; za nadejściem słot jesiennych i śniegów zimowych, a nawet i podczas wichrzystéj wiosny, okienka musiały być zaplecione, zatarasowane jak reszta budowy. Ale teraz w Lipcu, Ludmiła z radością rozwarła te wyglądy, któremi wpadał wesoły dzień i powietrze buchające ciepłem.

Cała komnatka była wysłana dywanem Bagdadzkim o szafirowych wzorach, o włosie tak wysokim że się uginał pod stopą. Ścianki — na zewnątrz okryte malowaną pilśnią—na wewnątrz zostały właśnie przed kilku dniami wyłożone gorąco-żółtym atłasem; jakiś biegły Chiński tapicer ururkował go w misterne fałdy, a pod dachem pościągał w koliste wachlarze. Teraz, cudnie wyglądał ten promienisty namiot, ale żal było pomyśléć, jak to on prędko i łatwo się zniszczy! Jedna mocna ulewa,—jeden tydzień podróży i kurzawy,— a wszystko to w pasy pozamaka, od pyłu zszarzeje.

— No, i cóż to szkodzi?—Mawiał Ajdar, nieczuły na roztropne przedstawienia Ludmiły. — Zedrą się te jedwabie, to ci dam piękniejsze.

I rzeczywiście, co kilka miesięcy kazał odnawiać domek, czasem kazał zdzierać ozdoby jeszcze świéże, znajdując barbarzyńską przyjemność w tym zbytku bezcelnym, w téj rozrzutności świadczącéj o jego bogactwach.

Ma się rozumiéć że w zimie warunki się zmieniały, nie było nawet mowy o żadnych jedwabiach. Dym od ognia — wiecznie palącego się w środku pokoju, na wklęsłym kamieniu — śnieg zacinający przez otwór dachu, czyniły niemożebną wytworność mieszkania; wtedy wszystko zatykano tylko futrami i wojłokami.

Ale przy piérwszym dniu pogody, albo przy jakiéjś uroczystości, Terchan co prędzéj zapędzał kunsztmistrzów, aby wystrajali śliczne gniazdko dla jego ptaszyny, i teraz oto z powodu Kuryłtaju, kazał je wypieścić piękniéj niż kiedykolwiek.

Przy ścianie tworzącéj głąb' salki, stała nizka sofa, obłożona Perskim kobiercem i wałkami, raz na zawsze przybita do podłogi, stanowiąca wieczny i jedyny sprzęt mieszkań Tatarskich. Nad so-

fą, branka zawiesiła sobie Obrazek Matki Boskiéj, Bizatyńskiéj roboty, śliczny, wyzłacany; znalazł się on między łupami Ajdara; jedyna to rzecz któréj się naparła, i któréj nikt jéj nie wydziérał.

Na takiéj sofie, panie Tatarskie spędzały zazwyczaj nietylko noce ale i dnie całe. I Ludmiła, w czasie podróżowania musiała zadowalniać się tym jednym sprzętem, bo wtedy przy nieznośnych kołysaniach i podrygach domu, wszelkie przedmioty luźne, tańcowały i przewracały się jakby na okręcie. Ale niech tylko wozy gdzie na dłużéj stanęły, wnet ze skrzyń kazała wydobywać rozmaite rzeczy, i zastawiała niemi pokój niby z Europejska.

Oto i teraz już stoją. Pstry lakowy stoliczek, parę Chińskich pułeczek, wazony z kwiatami, figurki z porcelany, i pełno tych nieużytecznych a miłych oku fraszek, w których kobiéty zachodnie się kochają. Stoi téż i jakaś ławka dziwna, zapewne Afrykańska, bo złocistą skórą z Oranu obita. Stoi nawet krzesło Gotyckie, może gdzie z kościoła zabrane, a które tutaj zwie się *krzesłem Elżbiety;* Ludmiła zawsze go ustępuje przyjaciołce, bo siedzenie to nieco jest podobne do krzeseł Żegnanieckich, i patrząc na jego spiczaste wyrzezania, branki przypominają sobie godziny spędzane we framudze zamkowéj.

Oto i teraz właśnie, Elżbieta ukazuje się we drzwiach jak codzień, z robotą w ręku. Zeszła Ludmiłę rozsiadłą na dywanie, otoczoną zwojami adamaszków i złotogłowów, przebiérającą w szkatułkach, z których wysypują się pęki zausznic, łańcuchów, i tępo dzwoniące sznury pereł.

— Ach, dobrze Elżuniu że jesteś. Mam dziś wyglądać «jak Chatuna». Tak chce mój małżonek. A że ty zawsze każesz mi spełniać wszystkie jego życzenia, więc—nic nie nada — musisz mi pomagać w ułożeniu jakiegoś ubioru przepysznego, — chociaż to wstyd doprawdy dla Chrześcjanki stroić się po Tatarsku.

— Trudno, moja Ludko. I królowa Dąbrówka stosowała się przez jakiś czas do najdzikszych żądań swego pogańskiego małżonka, ażeby on kiedyś zastosował się do jéj świątobliwych zamiarów. Ona przez dwa Posty jadła z mięsem, to gorsze niż Tatarskie stroje, a przecież nasz Kapelan mi ręczył, że Bóg się na nią nie pogniéwał.

I stąpając ostrożnie między nawalonemi szatami, dobiérała je, ze swoją znaną niegdyś, wykwintnością smaku.

Powoli, rozmowa ich przeszła od strojów do ważniejszych przedmiotów, a głównie do pewnéj,

niepochwytnéj wieści, która już przez dni kilka napróżno je zaciekawiała: opowiadano sobie w obozie, że pomiędzy ambassadorami, przybyli téż i jacyś «posłowie od Franków.» Musieli to być ludzie z Europy,—ale z jakiego kraju? W jakim celu przysłani? Tego wszystkiego, dotąd jeszcze niewiasty niemogły się dowiedzieć. Pewien Tatar opowiadał im ze drwinkami, że «to posły z jakiegoś kraju którego i niewarto podbijać, bo wychudli, obdarci, powrozem przepasani, i w drewnianém obuwiu.»

— Może to zakonnicy? –Mówiła Elżbieta. — Może Franciszkanie? Oni właśnie opasują się sznurem, i sandały noszą. Ale zkądże by się tu wzięli?

Kiedy tak łamią sobie głowę, za drzwiami głos niewieści zapytał po Francuzku:

— Czy można wejść?

I wbiegła «Pâquette'a» z węzełkiem pod pachą, jak zawsze wesoła, nawet weselsza niż zawsze.

— Dzień dobry kochanym paniom! Zdaje mi się że na prawdę będzie to *dzień dobry*. Przynoszę nowinę co was może ucieszy, — widziałam waszą dawną znajomość.

— Kogo? Kogo?..... — Zapytały z iskrzącemi oczami

— Rzecz tak się miała: moi państwo posłali mię po sprawunki do tych kupców co przybyl

z Tany. Ich Bazar jest daleko, aż tam za strumieniem, ale warto pójść, co za towary! A co za ludzie! Są między niemi i Włosi, ach co za ludzie! Grzeczni--weseli a piękni, jak dzień! A jak oni mówią! To jakby śpiéwali. A ten ich język taki podobniusieńki do mojego, że i niepotrzeba tłumacza. Niemogliśmy się dość nagadać — naśmiać—naradować.—Jeden tylko, długo stał jak zaklęty; mizerne, ponure chłopczysko. Ale i tego moją gadaniną rozruszałam. Zaczął się dopytywać czy znam dużo niewolnic, i z jakich stron świata? Więc ja wpadam z historji w historję; a on zawija moje paczki, ale coraz powolniéj, ażeby przedłużyć rozmowę. Nagle mi się pyta, czy nie znam czasem branki z kraju Polskiego, signory Elisabetty, co była kupiona przez pewną Tatarkę, Argunę? Aż w ręce klasnęłam, i wołam: «A mój dobry Boże, a toć ja ją codzień widuję!» —Musiał znać was dobrze, bo ucieszył się niesłychanie; tak nawet, że kiedy chciał daléj mówić, to cały się mienił i słów niemógł dobrać; nakoniec znowu pyta: «A ta druga co z nią razem była, signora Ludomilla, czy żyje? Czy bardzo nieszczęśliwa?» — Tu mu się w nos roześmiałam, i doniosłam że signora Ludomilla żyje w najlepsze, i że bardzo szczęśliwa. Wtedy zaczął składać ręce—dziękować Bogu i wszystkim Jego Świętym — a potém do mnie w prośby: «Moja droga pani, moja najmilsza pani, zapytajcie się téj signory, czy pozwoli ażeby da wny

znajomy, co się nazywa Beppo, przyszedł do niéj na chwilę, na jedną chwileczkę? Chciałbym choć raz jeszcze w życiu ją zobaczyć — ach, mam tyle, tyle do powiedzenia!» — Ja mu na to mówię że niewiem — że signora Ludomilla teraz wielka pani — dostęp do niéj trudny — mąż wysoki dygnitarz i tylko dygnitarzy do niéj wpuszcza — jednak, — mówię — spytam się jéj saméj — może dawna znajomość znajdzie łatwiejsze przyjęcie? Nieprawdaż?

Ludmiła tymczasem poczerwieniała silnie, i spuściwszy oczy, odrzekła:

— Ach, pani Pascho, jakże wyście mogli powiedzieć że ja jestem szczęśliwa?

— A cóż miałam powiedzieć? Najprzód, niemało w tém prawdy; macie męża co was kocha, co wam we wszystkiém dogadza, możecie dużo dobrego czynić, czegóż więcéj żądać w niewoli? Przytém, chciałam téż trochę i pocieszyć tego biédnego chłopca, który się tak okropnie o was troskał. No, a teraz cóż mam odpowiedzieć? Może sobie każecie przez niego przynieść jakie towary? Obiecałam że dziś jeszcze dostanie odpowiedź. Niewiem nawet czy będzie na nią czekał, czy lada chwila go tu nie zobaczymy, bo strasznie się jakoś wypytywał gdzie wasze wozy stoją?

Pascha sądziła że ucieszy branki wieściami od znajomego. Zdumiała się mocno, kiedy spo-

strzegła widoczne niezadowolenie Ludmiły. Ta, po dosyć długiém milczeniu, odrzekła niechętnie:

— Moja kochana pani «Paquêtte'o», pozwólcie..... niech się namyślę. Ja dziś idę na tę wielką ucztę, doprawdy niémam głowy do niczego. Poczekajmy—choćby do jutra.

Pascha spojrzała na nią z podziwieniem, poczém — już chwilkę tylko zabawiwszy — wyszła, bo téż i pilno jéj było wracać do państwa z poczynionemi sprawunkami.

Wtedy Elżbieta, równie zdziwiona, zapytała:

— Co ci jest moja droga? Czy niechcesz widzieć Beppa? Dla czego?

— Dla wielu powodów..... Najprzód..... wiész jak Arguna się na niego zawzinała; gdyby jéj tu wpadł w oczy, gotowa by mu znowu jakiego figla wypłatać.

— To prawda,—ale mogłybyśmy gdzieindziéj go zobaczyć. Gdybyś naprzykład sama pojechała tam po zakupno towarów? Ten poczciwy chłopiec tyle dla nas wycierpiał, czyż można go tak odpychać?

— Elżuniu..... po wszystkiém co zaszło między mną a Beppem, jabym wolała go nie widzieć..... Gdybym jeszcze mogła oddać mu jaką przysługę, wynagrodzić mu krzywdy które poniósł przezemnie? Ale ja nic nie mogę! A tak,

spotykać się byle spotykać, czy to warto? Aby mię widział żoną poganina? I to czwartą żoną! Zagrzebaną w upokorzeniach..... on, co był ze mną taki pokorny,—o nie! Może ty to nazwiesz dumą—ale cóż robić? Każdy ma swoją dumę.— A przytém..... gdyby też Ajdar dostrzegł że on tu często krąży? Gdyby z jego głosu albo wzroku zmiarkował, że ten człowiek śmiał kiedyś na mnie podnieść oczy? Ja się boję Ajdara..... z mężem Tatarskim nie żarty. A i Beppa znam także..... to Włoch gwałtowny.....

— Masz słuszność. — Rzekła Elżbieta wstając. — Lepiéj, ażeby cię nie widział. Ale jakże mu tę odpowiedź osłodzić? Wiész co, ja tam się wybiorę. Ja prosta sługa, wszędzie mogę chodzić. Wszystko mu zgrabnie wytłumaczę, powiem że jesteś bardzo pilnie strzeżona..... bo téż to i prawda.

— Ach tak Elżuniu, ułóż to po twojemu. Ale dajże mu także do poznania, że mię niesłusznie nazwano «szczęśliwą». Zrób to, proszę cię, bo i cóż by on sobie o mnie pomyślał?

— Dobrze, dobrze, powiem wszystko co trzeba, tylko ty moja złota, zacznij mi się zaraz ubiérać, bo jak mąż przyszle, no, to i co będzie?

Po tych słowach Elżbieta wybiegła, i chciała zaraz szukać Włoskiéj karawany. Wszelako, zważywszy że te poszukiwania zabiorą pewnie

dużo czasu, wolała (ze zwykłą sobie sumiennością,) opowiedzieć się piérw Argunie, i wynaleźć dla swojéj wycieczki, jakąś inną a jednak prawdziwą przyczynę.

— Proszę pani, – rzekła – nasz panicz ma już sporo sukienek, ale wszystkie strasznie zwyczajne i proste; chciałabym téż zrobić cóś ładniejszego, jak przystoi na dziecko pańskie. Umiem ja haftować złotem i jedwabiami. Teraz, kiedy już na długo będzie miał w czém chodzić, mogłabym popracować staranniéj, bez pośpiechu. Jeśli pani pozwoli, przejdę się po Bazarach, poszukam złotych i kolorowych nici, takich zwłaszcza jakiemi dawniéj szyłam. Są tu różni kupcy z krajów Chrześcjańskich, zajrzę do nich, tam najprędzéj znajdę to czego mi trzeba.

Wielce ucieszyło Argunę dobrowolne ofiarowanie się pracowitéj niewolnicy.

— A i owszem. — Odrzekła. — Idź gdzie chcesz, kupuj, szukaj,— a jak zrobisz co ładnego, to dostaniesz nowy kożuszek.

Elżbieta, ucieszona niewymownie nadzieją, nie kożuszka, lecz kilku godzin zupełnéj swobody, wybiegła jakby na skrzydłach.

Wkrótce jednak zwolniła kroku, i zaczęła głowę niespokojnie obracać; bo jak się tu pokierować? Namioty i wozy tworzą mnóstwo niby uliczek, ale wszystkie te uliczki do siebie podo-

bne. A tłok, a wrzawa, jak przy szturmie. Tu skoczki pokazują sztuki, — tam jakaś wielka pani jedzie konno, a niewolnicy w koło niéj rozpędzają pospólstwo. Może-by pójść za nią? Ona pewnie jedzie po sprawunki. Oto właśnie stanęła przed Bucharskim Bazarem. W budach naprędce skleconych, kupcy porozwieszali najróżniejsze cudności. Tak, ale to nie kupcy Tanaidzcy. Jakże tu do nich trafić?

Szczęściem, nawinął jéj się wyborny przewodnik: był nim Filipek, syn złotnika Wilhelma, czupurny dwanastoletni chłopak. Od lat pięciu chowając się między pogaństwem, wyrastało to dziwnie, wpół na Tatarzątko, a wpół na «gamin'a» Paryzkiego. Między tysiącami ludzi tutaj zgromadzonych, nikt się pewnie tak nie cieszył i tak nie bawił Kuryłtajem, jak ten widz o latających oczkach. Wszędzie musiał się wścibić, wszystko sprawdzić, przenicować, z każdego cóś wydrwić, a przytém oddawał tysiąc usług.

W najlepsze sobie gwizdał przed Perskim straganem, kiedy go zaczepiła Elżbieta. Filipek lubił ją niezmiernie; — któż nie lubił Elżbiety? — Nazywał ją: «Mère Lisbette.»

Skoczył na wezwanie.

— Oho, mateczko! Jeżeli szukacie Tanajczyków, toście porządnie zbłądzili. Trzeba wam było pójść drugą stroną, w około zagrodzenia.

— A tą stroną przejść nie można?

— Można, ale dużo daléj. Trzeba iść przez całe obozowisko Posłów.

— A puszczą nas tędy?

— Ba! Mnie wszędzie puszczą. Niech tylko powiem że idę od złotnika Wilhelma, to zaraz się rozstąpią jakby przed jakim Nojanem. I rzeczywiście, powinienbym pójść tędy, aby się tam sprawić z pewnego zlecenia, które mi ojciec dał jeszcze wczoraj wieczór. Jak mi Święty Djonizy miły, zapomniałem! Tyle tu jest rzeczy dobrych do widzenia, że człowiek i o rodzonym ojcu zapomina. Ale, chcecie? To pójdziemy teraz, i to prościuteńko, wracać się już nie warto.

— Dobrze. Niechże téż i ja zobaczę tych sławnych Posłów. A słyszałeś Filipku, są podobno i z Francji?

— Bajka,—nie z Francji, ale z Rzymu. Ja jeszcze ich nie widziałem, ale jeden Węgrzyn mi mówił, że to są xięża, przysłani od samego Apostoła.

(Trzeba wiedzieć że w ówczesnym języku Francuzkim, nie używano jeszcze wyrazu «Pape», tylko prześlicznéj nazwy: «l'Apostoille.»

— Ach!—Zawołała Elżbieta.—Cóż-by to było za szczęście, gdyby się ta wiadomość sprawdziła! Gdyby można raz przecie, wyspowiadać się, poradzić w tylu trudnych rzeczach! Myśmy już pięć lat nie widziały prawdziwego xiędza!

Tymczasem doszli do zagranicznych taborów. Bacząc na samą liczbę Posłów, z których każdy miał świtę, mnóstwo służby, zwierząt i pakunków, łatwo sobie wyobrazić, jakie obszary zajmował ten obóz w obozie. Nad całym jego zakresem był przełożony wysoki urzędnik zwany *Jamem*, który Posłów przyjmował, myślał o ich rozmieszczeniu, wyżywieniu i wygodzie, z uprzejmością rozmaicie stopniowaną, wedle sutości darów jakiemi Poselstwa mogły rozporządzać.

Pod jego rozkazami kręciło się dużo strażników; tu więc—jak wszędzie u Tatarów, — panował srogi porządek.—«Stój!» — Każdego co wchodził, pytano po co i do kogo? Ale magiczne słowo Filipka: «Idę od złotnika Wilhelma.....» rozbrajało i rozmarszczało wszystkie warty, jakby sama ta nazwa już olśniéwała jakimś odbłyskiem złota.

Szła więc sobie nasza para spokojnie, między dwoma szeregami taborów, które przedstawiały galerję kostiumów i postaci niesłychanie ciekawych.

Filipek był wybornym *cicerone;* czegóż ten chłopak nie wiedział?

— Tu,—mówił—stoją Xiążęta Farsu i Ker-

manu. Nie szpetne u nich konie, co? Tam naprzeciwko, to Xiąże Mossulu. Czy uważacie mateczko, jakie mają cudne zawoje, bielusieńkie, leciuteńkie, jakby ze mgły? Oni tam w Mossulu umieją z nitek robić takie obłoki.

— Tutaj musi być niewesoło, — mówił daléj — tu mieszka Sułtan Roknuddyn, to jest, prawdę mówiąc, dziś jeszcze nie zupełny Sułtan, ale chciałby nim zostać. W jego kraju różni krewniacy go wygryzają, a on biédak aż tu się przywlókł, w nadziei że u Wielkiego Chaana wyprosi sobie całe królestwo Rumu.

— Gdzież to jest, ów Rum?

— O, gdzieś na końcu świata, podobno już blizko Romy; dla tego téż tutejsi nazywają tę krainę Rumem. A jak blizko Romy, to i blizko Francji, blizko nas. Głupi Sułtan! Już jadąc ztamtąd, mógł był przynajmniéj przywieźć listy od naszych, naprzykład od mego stryjaszka z Paryża? Niech leniuch żałuje, — teraz ja się nie wstawię za nim do żadnego Chaana.

Mówiąc to, Filipek pokazywał figę, i już dalsze drwinki miał na ustach, kiedy nowy widok nadał inny kierunek jego myślom.

— Ach, patrzcie! — Zawołał. — I tu, i tam, jacy śliczni ludzie się kręcą! Niewiedzieć w którą

stronę patrzéć? Co za oczy jak u wołu! A miękkie, jakby kto głaskał. To Gruzińcy,—we dwóch obozach, i na lewo i na prawo. A wiécie czemu we dwóch? To zabawna historja. Przyjechało dwóch Xiążąt Gruzińskich; obaj noszą jedno imię Dawida, obaj reszczą prawa do jednéj-że korony; Chaan ma osądzić który Dawid lepszy. Ale na to potrzeba pierwéj ażeby jakiś Chaan istniał, a tymczasem Jam wypłatał im Tatarskiego figla: wiedząc jak się nienawidzą, naumyślnie umieścił ich jak najbliżéj siebie, o tak, naprzeciwko. Muszą sobie ciągle patrzéć oko w oko, i żuć swoją złość, a palcem nieśmieją kiwnąć. Doskonały jest nasz Jam.

— A tu, dla czego tak pusto? — Zapytała Elżbieta.

— O..... bo tu siedzą Izmalijczycy..... — Szepnął Filip głosem przytłumionym. — Przyjechali z Ałamutu. Niewiécie co to Ałamut? A to przecież ta straszliwa góra z ogrodem zaczarowanym, stolica królestwa «Assasynów», gdzie mieszka ten stary czarownik, *Le vieux de la Montagne*, co po całym świecie rozsyła morderców. Patrzcie, wszystkie tabory od nich się poodsuwały, nawet nasi Tatarzy niechętnie z niemi gadają, — bo téż nic tylko patrzéć na nich, to już strach.....

Tu Filipek zamilkł. Oboje utkwili oczy w ziemię, i podwoili kroku, ażeby jak najprędzéj minąć wyklęte obozowisko.

W tym cichym pochodzie Elżbieta przemyśliwała, kto to i kiedy już jéj raz opowiadał o tych straszliwych Assasynach, na których teraz patrzy własnemi oczami? Po chwili, błysło przypomnienie: ach, to Pielgrzym z Jerychońską różą! Jeszcze go słyszy, jak mówi o tym czarodzieju «ze szczerozłotą brodą, co mieszka na górze sto razy wyższéj niżeli Świętokrzyzka.....» Ona wtedy słuchała jak się słucha niańczynéj baśni,— a teraz?

Teraz, Boże mój! ona sama jest niańką, a ta baśń..... to prawda.

A może i nieprawda? Może ona przy opowiadaniu Pielgrzyma usnęła, i całe te pięć lat niewoli wyśniło się w jéj głowie, jako dalszy ciąg jego powieści? Może gdy napowrót otworzy powieki, ujrzy znów ogień na kominie, Jasia bawiącego się z kapeluszem Pielgrzyma, i wszystkich..... i wszystko..... po dawnemu?

Nieśmié podnieść powiek, ażeby nie stracić złotego pół-złudzenia..... Idzie na oślep, jakby senna.....

Znienacka, głos Filipka zabrzmiał:

— O..... Teraz warto spojrzéć.

Elżbieta, nagle wepchnięta napowrót w rzeczywistość, podniosła oczy, i stanęła — olśniona.

Niestety, nie płomieniem Żegnanieckiego komina..... Olśnił ją przepych widowiska, które po prawéj stronie drogi roztaczało się w pełnym blasku słońca.

Namioty pąsowe o złotych kiściach i sejwanach—pod namiotami kobierce jakby kosze kwiatów—na koniach czapraki szkarłatne, kapiące od pereł—na ludziach szaty długie, tęczowzore, obrzeżone miękkością najwspanialszych futer — szable krzywe, rozmajaczone w rubinach i szafirach—turbany o tulipanowych zwojach, o bajecznych kitkach i spinkach — a z pod turbanów strzelające oczy, ciche i świeciste jak czarne djamenty.

— A toż co znowu? — Zapytała. — Ci chyba jadą z najbogatszego królestwa na świecie?

— Ba! Nie dziwota, mateczko. To Poselstwo od Kalifa Bagdadu. Jest na co patrzéć, hę? Ach, ta szabla, tam, widzicie? Niby tylko stal w złote figlasiki, a jakież to cudne! Albo ta spinka ze szmaragdów, co za kamienie, co za oprawa! Mój ojciec musi koniecznie tu przyjść i zobaczyć tę spinkę.....

I stał gapiąc się z otwartemi ustami, w zachwycie pół dziecinnym a pół artystycznym, aż Elżbieta musiała go kilka razy pociągnąć za połę od rękawa.

— No, idźmy już—idźmy—bo chyba i na wieczór nie dojdziemy do naszych kupców.

Po cudach Bagdadzkich, przedstawił się zupełnie inny obraz: jakieś wozy na zielono malowane, zamiast namiotów budy wojłokowe, ludzie krzepcy, rumiani, z blado-niebieskiemi oczami, z konopiastemi brodami. Suknie ich długawe, były obciśle zrobione z ciemnowzorych Carogrodzkich tkanin, u dołu objęte pasmem odmiennego koloru. Niektórzy mieli na piersiach graniaste łańcuchy, inni przy rękach i szyi mieli naszyte perły. Ozdoby te jednak nie zawsze można było dostrzedz, bo po wierzchu nosili płaszcze, wązko przykrojone Bizantyńską modą, spinające się u prawego ramienia na kosztowny guz. Nakrycie głowy także wyglądało niezwykle: z futrzanych obłóżek wydymały się czapki, złote, niebieskie, zielone, okrągłe jakby kopułki cerkiewne, w górze zakończone strzelistém pąkowiem.

Służba, zamiast czapek, miała stojące, spiczaste kaptury.

Elżbieta łamała sobie głowę, kogo jéj ci ludzie przypominają?

— Aha! — Zawołała. — Oni z twarzy i z ruchów bardzo podobni do Wasylka, tylko bogaciéj ubrani.

— A ma się rozumieć że podobni. — Odpowiedział przewodnik. — To drużyna Jeroslausa, Xięcia na Suzdalu.

— Co to jest Suzdal?

— Bóg jeden wié. To gdzieś za Kapczakiem, ale jeszcze daléj, het na północ. O tym Xięciu dużo tu gadania. To mocny pan, dużo ma ziemi, ryb, futer. Ale i słaby pan, bo ma nad sobą pana; to lennik wielkiego Batu. A mądry, — umiał wślizgnąć się bardzo w jego łaski, to téż nasi tu go cenią więcéj niż innych Posłów, trochę jakby swego. Mówią ludzie że on tu niepróżno przyjechał, że Batu mu dał różne tajemne zlecenia. Podobno ten Jeroslaus często chodzi do Xiężny Siurkukteni, i gdzie może skarbi dla niéj stronników; nie dziwić się, chciałby na tronie widzieć synów téj Chrześcjanki, a przytém Batu kazał, niéma gadania; ale jeśli Xiężna Turakina postawi na swojém, no, to mu będzie ciepło. O, patrzcie! Oto właśnie on tam wychodzi, i wsiada na tego ogromnego konia. A i sam nie chudziutki; czysta wieża.

— Który to? Czy ten co ma takie śliczne perły u kołnierza?

— A właśnie. Prawda że perliska jakby śliwki. A niechże go nie znam! Dziwię się że mu dotąd Batu nie zabrał tych pereł?

Daléj, ciągnęły się jeszcze bez końca obozy innych Poselstw. Ale tuż za taborami Suzdalskiemi, w niejakiém odosobnieniu, stało kilka wózków Tatarskich, trochę wychudłych koni i mała kupka ludzi. Filip, który miał sokole oczy, przyłożywszy rękę do powiek, zawołał:

— Jeżeli się nie mylę, to chyba ci Posłowie z Rzymu?

— Gdzie? Gdzie? — Pytała Elżbieta, i wzrokiem wodziła do koła, szukając Europejskich strojów.

Dopiéro kiedy chłopiec pokazał jéj ową kupkę ludzi, dostrzegła dwie postacie wysokie, podobne do szkieletów; czaszki ich, kolisto podstrzyżone, świéciły pod słońcem; nogi bose świéciły z nad sandałów; suknie brunatne ze spuszczonym kapturem, wisiały na nich jak na drewnie. Obaj, odwróceni od nadchodzących, rozmawiali z kilku Azjatami.

Elżbieta poznawszy habity Frańciszkańskie, podbiegła z wykrzykiem.

Na ten krzyk, jeden z nich się obrócił, i pokazał twarz wywiędłą, jak wosk żółtą, ale tchnącą niewymownym wyrazem dobroci i błogości.

Spojrzawszy w tę twarz, branka stanęła jak wryta. Radość zawrotna, podobna do przestrachu, zastygła w jéj oczach osłupiałych.

Rozwarła usta — chciała krzyczéć — głos uwiązł w jéj piersiach.

Złożyła tylko ręce jakby do modlitwy, i trzęsła się ze wzruszenia.

Filip chwycił ją za suknię, wołając:

— Matko Lizbetto, co tobie? Co tobie?

Zakonnik także przyglądał jéj się — przyglądał—miotany niepewnością, niedowierzał oczom — nakoniec z podziwienia rozkrzyżował ręce, i wykrzyknął po Polsku:

— Pani Elżbieta! Tu? Boże wielki! Bądź-że pochwalony!.....

Gotowalnia Tatarska.

Tymczasem w żółtym atłasowym pokoiku, strojenie Ludmiły szło w najlepsze. Postawiono przed nią blachę srebrzystą, wybornie wygładzoną, z miedzianém kunsztownem obrzeżeniem; był to wyrób Syryjski, zapewnie wyszły z Damasceńskich fabryk, chciwie wyławiany przez ręce zdobywców, bo Tatarzy niezmiernie kochali się w żwierciadłach; mieścili je gdzie tylko mogli; nawet — jak widzieliśmy — na zbroi musiał świecić *tułuj;* tak po Mongolsku zwało się żwierciadło.

Tak przynajmniéj zwano je niegdyś. Teraz jednakże, od lat kilku, nikt już nie używał téj nazwy, a to z powodu niedawno zaszłéj śmierci Dżyngischanowego syna, męża Xiężny Siurkukteni, który także — jak wiemy — nazywał się Tułuj.

Dżyngischanidzi bowiem, oprócz wielu innych przywilejów, posiadali jeszcze i ten—zaprawdę dziwny—że po ich śmierci, czy to z uszanowania, czy

z jakiéjś zabobonnéj przyczyny, *imienia ich nie wolno było wymawiać aż do trzeciego pokolenia.*

Łatwo sobie wyobrazić, ile kłopotów, szpiegowań i oskarżań, musiał wyradzać taki dziki zakaz, którego nieusłuchanie, choćby pochodzące z prostego zapomnienia, pociągało za sobą nieskończone śledztwa i kary.

Jeżeli jeszcze imię nieboszczyka miało przypadkiem jakie inne znaczenie, wtedy kłopot stawał się podwójnym; i tak właśnie, po śmierci xięcia Tułuja, nikt w całém państwie Mongolskiém nieśmiał już wspominać o *źwierciadłach.* Co tu robić? Zatroskane ludy poszukały sobie w innym języku nazwy odpowiedniéj; wybrano *gözguz,* który po Turecku oznacza źwierciadło, i nowy ten wyraz tak wszystkim przypadł do smaku, że nietylko teraz lecz i późniéj, choć lata zakazu przeminęły, został już niezmiennie w użyciu, a *tułuj* poszedł w zapomnienie.

Ludmiła więc siedziała przed «gözguzem».

Był on zanadto ciężki, aby lakowe stoliczki albo wiotkie ścianki mogły go utrzymać; postawiono więc blachę na samym dywanie, trochę skośnie, a śliczna pani chcąc się w niéj przeglądać, przysiadła nizko wśród poduszek.

Miała już na sobie dwie szaty; pod spodem tunikę puszczaną, długą aż do ziemi, z materji Chiń-

skiéj, przerabianéj w tyle kolorów i wzorów, że tła niemożna było nigdzie dojrzéć; wikłały się tam najfantastyczniéj, czarne smoki o zielonych skrzydliskach, srebrne rybki, pstre motyle, kwiaty, ptaki, nawet ludziki i domeczki. Na wiérzch wdziała Wschodni *chylat*, czyli — z Mongolska wymawiając — *chałat*. Krojem podobny do dzisiejszych męzkich szlafroków, prawie wszędzie zarówno wązki, ubiór ten miał rozcięte rękawy, z których wyglądały owe drugie Chińskie, z tyłu wcinał się niezmiernie długim stanem, a na piersiach był skośnie założony. (Plemiona Tureckie zakładały go na lewy bok, Tatarskie na prawy.) Kształt chałata nie wypadał korzystnie dla kobiécéj piękności; niewiasta musiała chyba miéć postawę bogini, ażeby w nim wyglądać po ludzku. Na szczęście, kibić Ludmiły mogła wytrzymać nawet podobną próbę. Zresztą, jeżeli krój przedstawiał się niezbyt wdzięcznie, za to rzecz sama zachwycała oko i dotknięcie: chałat był uszyty z *Tarkułu*, pysznéj, mięsistéj tkaniny, którą tylko na głębokim Wschodzie umiano wyrabiać; Tarkuł słynął po całym świecie, i to nietylko wówczas, ale i w następne długie wieki; bogacze Azjatyccy dobijali się o niego więcéj niż o bisior, w Europie płacono go prawie na równi ze złotogłowem. Wyglądał on niby skromnie, najczęściéj był jednostajnie biały, ale tak rozkosznie przylegał do kształtów, i tworzył tak cudne fałdy, że osoba weń przybrana, stawała się od razu posągiem. To téż chałat Ludmiły, sam przez siebie już

dosyć piękny, nie posiadał żadnych przyozdobień ani wyszywań, brzegi tylko miał objęte wązką taśmą złotą, a że sięgał ledwie po kostki, że na bokach był rozcięty, i na łonie rozchylony niby we dwa liście, więc suknia spodnia przeglądała zewsząd, rozweselając swojemi barwami surową jednostajność bieli. Ludmiła ścisnęła się w stanie wstęgą niebieską, naszywaną berylami i chalcedonami, na piersiach zawiesiła siedem naszyjników, różnokształtnych, różnoklejnotnych, powiązanych z sobą jakby siatka, co za każdym ruchem dzwoniła i migotała.

Niewolnice już tylko dokończają szczegółów ubrania. Jedna wzuwa jéj buciki ze skóry jasnożółtéj, o bardzo wysokich, czerwonych podeszwach,—druga układa jéj przepyszne włosy, zaczesane po Tatarsku we dwa grube warkocze, uplecione przy skroniach, spadające na piersi, ale niewidzialne, bo wsunięte we dwie wązkie, bardzo długie pochewki. U kobiét ubogich, te pochwy bywały ze tkanki ladajakiéj, byle jaskrawéj, upstrzone mnóstwem szkiełek i pieniążków. Bogate panie kazały je robić z najśliczniejszych jedwabiów, i zdobiły w różne drogocenności, najczęściéj w korale. U Ludmiły są dziś one purpurowe, okręcone sznurami pereł.

Jednak jéj uczesanie, dla oczów Tatarskich, nie było jeszcze wolne od zarzutu; według ohydnego zwyczaju tamtych krajów, młodéj mężatce, naza-

jutrz po ślubie, golono przód głowy, od czoła w półkole. Wprawdzie, zwyczaj zobowiązywał tylko rodowite Mongołki; Ajdar przepadający za włosami branki, nie wymagał po niéj tak wielkiéj ofiary; jednak za złe brano niewieście, jeżeli widocznie uchybiała przyjętym zwyczajom; Ludmiła więc tylko w obrębie swoich namiotów mogła chodzić z odkrytą głową, po-za domem nigdy nie zdejmowała *Botty*.

Co to jest Botta?

Byłoby niezmiernie trudno dzisiaj opowiedzieć, a nawet wyobrazić sobie tę Azjatycką modę, gdyby—na szczęście—pewien Missjonarz, który w trzynastym wieku jeździł do Karakorumu, nie był zostawił nam przewybornego jéj opisu.

«Tamtejsze kobiéty»—mówi ten podróżnik—«noszą na głowie ozdobę co się nazywa *botta*. Fo«remkę do niéj robią z kory, albo jakiéjśkolwiek «innéj rzeczy, byle jak najlżejszéj. Ten stroik jest «okrągły nakształt pieńka; grubości, którą można «objąć we dwie ręce, wysoki na łokieć albo więcéj, «a z wiérzchu zakończony kwadratowo jakby kapi«tel od kolumny. Wewnątrz bywa pusty; na ze«wnątrz niewiasty obciągają go kitajką z najko«sztowniejszych bławatów; na owym zaś niby ka«pitelu, zatykają rurki od piór, albo trzcinki leciu«chne, mające także więcéj niż łokieć wysokości. «W owe rurki kładą pióra pawie, a do koła ogonki

«dzikich kaczek, i różne drogie kamienie. Wielkie «panie noszą ten stroik na samym wiérzchu głowy, «i obciskają go jeszcze rodzajem obręczy z futerka. «Pod brodą Botta jest silnie przytrzymana podpa- «ską. Gdy zdaleka przedstawi się towarzystwo «takich pań jadących konno, rzekłbyś że to ryce- «rze w hełmach i z kopjami, bo sama Botta przypo- «mina szyszak, a rurki nad nią sterczą jakby włó- «cznie.»

Wczytawszy się w ten opis łatwo dostrzedz, że Botta mimo swojéj potwornéj olbrzymiości, nie jest nam tak zupełnie obcą jak z początku może się wydawać. Ów «pieniek okrągły, kwadratowo ścięty», czyż to nie pierwowzór ułańskiego kaszkietu? Przypuszczenie tém prawdopodobniejsze, że nazwa i ubiór «ułanów« przyszły do nas prosto od Tatarów.

Taki właśnie «kaszkiet», wyfjokowany piórami, zatrzęsiony klejnotami, leży na krześle Gotyckiém; niech tylko służebnice skończą, a pani ustawi go na pysznéj głowie. Ale zdaje się że nieprędko skończą; strasznie mało robią a dużo gadają, i to ze śmiałością, z poufałością, dziwnie odbijającą od nazwy *niewolnic*.

Bo też dobrze się działo niewolnicom Ludmiły. Pani, tak mocno czująca swoją własną niewolę, odczuwała ją i u niższych, a odczuwała tém głębiéj, że najdroższa jéj przyjaciółka była także zepchnięta pomiędzy owe *niższe*. Pani tak nabożna, znajdowała tu szerokie pole dla nakarmiania wszelkich głodów i ciała i duszy, była w gronie swoich służebnych raczéj matką niżeli panią.

Zwykłym biegiem rzeczy ludzkich, dobroć ta nie zawsze wychodziła jéj na dobre; często zamiast wdzięczności, spotykała nadużycie i rozzuchwalenie; ale były też w liczbie niewolnic i poczciwe, umiejące ocenić łaski pani, dwie zwłaszcza, najulubieńsze Ludmile, te właśnie co ją ubiérają. Ich postacie także ciekawe, może nawet warte sylwetki.

Ta co przykląkłszy u nóg pani, okręca jéj bucik czerwonemi sznurami, to Ira, Afganka. Kiedy wychodzi między ludzi, owija się zawsze nieodstępném białém prześcieradłem, ale teraz je odrzuciła, i ma na sobie jedną tylko suknię, a raczéj koszulę wełnianą, w pasy ukośne, czarne i granatowe; koszula bez rękawów, przy szyi mocno wycięta, w pasie przewiązana wiśniowym szalem. Nogi bose, nie dla braku obuwia, ale z narodowego nawyknienia. Jeśli jednak niéma trzewików, za to ma u kostek złociste koła; takież pierścieńce wiszą w uszach, świécą przy ramionach. Na żółtém tle komnatki,

smagłe jéj piersi i ręce ciemnieją połyskami śpiżu; pod włosem czarnym jak smoła, bujnie roztrzęsionym, płoną oczy wycięte w migdał, zagina się nos orli, podkréślony ustami czerwonemi jakby świéża krew.

Druga niewolnica, ta co układa warkocze Ludmiły, nic a nic nie podobna do pierwszéj. Pulchna, potoczysta, ma na sobie sześć czy siedem kaftaników i przyodziéwków, blado-zielonych, blado-niebieskich, blado-różowych. Idąc, puka papuciami o noskach zakrzywionych. Twarz jéj okrągła, drobna, oczka skośne, buzia cukrowo uśmiéchnięta. Głowa zaczesana jak mydłek, zagwieżdżona gałkami długich szpilek. Po tych cechach każdy pozna że to Chinka. Na imię jéj Te-a, i wygląda téż jakby różyczka herbaciana.

Z temi dwiema, Ludmiła często i chętnie rozmawia, a to dla kilku powodów: najpierwéj, dla porównywania ich przeszłości z własną, w czém znajduje nieraz pobudki do dziękowania Bogu, — przytém dla ulżenia ich sercu, przepełnionemu niechrześcjańską goryczą, — a nakoniec i dla wprawiania się w język Mongolski, którym te kobiéty —

nierównie już dawniéj wzięte w jassyr — dzielniéj niżeli ona władają.

Dziś jednak słucha z roztargnieniem. Wieść o przybyciu Beppa, mocno dla niéj niemiła, — niespokojność jak to tam będzie na téj uczcie, także niemiłéj sercu Polki,—rozrywają i chmurzą jéj myśli. Trzeba téż przyznać, że już sto razy słyszała te żałosne przygody. A przecie, wartoby posłuchać raz i setny piérwszy, bo wszystko w świecie prędzéj się wyczerpie, niżeli zgłębianie ludzkich nieszczęść.

— Choćby mi przyszło żyć Matuzalowe lata,— mówiła z ogniem Ira — (a mogła wiedzieć o tym Patryjarsze, kiedy Afganie—jak wiadomo—wywodzą się od dziesięciu oderwanych pokoleń Izraela)— choćbym żyła Matuzulowe lata, niezapomnę tego dnia i téj godziny..... Ach, myśmy jeszcze myśleli że ocalejemy, bo przecież poddawaliśmy slę dobrowolnie, i czasem podobno taki cud się trafiał? Wiem naprzykład, że mieszkańcom Heratu przebaczono. To prawda, ale téż oni poddali się odrazu, na piérwsze skinienie, a myśmy się bronili, cały tydzień! Z miasta od nas kilka razy robiono wycieczki, swary i niezgody ustały,—żołnierze, Imamy, kobiéty,

wszyściutcy mieszkańcy Merwu bili się jakby jeden człowiek. Ach, nic nie pomogło, na siódmą noc już ci przeklęci Mongołowie nawet nie zeszli z wałów, darli się przy pochodniach i po ciemku. Rano, Medżi Mulk nasz Wielkorządca, wysłał do nich najstarszego Imama. Wszyscy mieli nadzieję że ten świątobliwy starzec potrafi przebłagać choćby i samego Eblisa. Rzeczywiście, wrócił bardzo prędko, i przyniósł takie złote obietnice, że Medżi Mulk wziąwszy przepyszne dary, sam wybrał się do Tułuja.....

Tutaj Te-a przerwała jéj poważnie:

— Kobiéto, przekraczasz prawo. Wszak ci wiadomo, że imienia tego nie wolno wymawiać aż do.....

— Wiem! wiem! — Odkrzyknęła Ira. — Ale także wiem że nasza pani mię nie wyda..... i ty mię nie wydasz..... a ja chciałam choć raz jeden wyrzucić całą gorycz z serca, choć raz jeden imiennie, na głos go nawyklinać! O, ten Tułuj zdrajca! Chyba już ziemia, od czasu jak ją Allach stworzył, nie wydała podobnego potworu!

— Jakto?—Zagadnęła Ludmiła.—I to był ten sam Tułuj o którym ciągle słyszę tyle pochwał, mąż Xiężny Siurkukteni?

— Ten sam! Ten sam! — Odrzekła z dzikim śmiéchem niewolnica, któréj białe zęby od owego śmiéchu aż zgrzytnęły.

Potém, podniosła ręce i wołała:

— O biada niewieście co ma takiego małżonka! Biada miastu co ma takiego nieprzyjaciela! Biada narodom, które Bóg oddał na pastwę niewiernych! Ten Tułuj..... wystawcie sobie moja pani: przyjmuje naszego Medżi Mulka z najsłodszym uśmiéchem, nie może mu się niby dość napatrzéć, potém każe go przybrać w najbogatszą suknię, sadza go przy sobie i mówi: «Tak, ja umiem cenić odwagę. Merwianie warci są mojéj łaski. Chciałbym widzieć tych twoich przyjacioł, tych wszystkich waleczników co się tak przykładnie bronili, chcę ich widzieć, ażeby im porozdawać urzęda i włości.» Uradowany Wielkorządca posyła co prędzéj po znaczniejszych obywateli miasta. Ale zaledwie przybyli..... cóż? Tułuj każe ich wiązać, równie jak i naszego Medżi Mulka. Potém, pod ciężkiém zagrożeniem każe im wymieniać najbogatszych mieszkańców Merwu, szczególniéj kupców i biegłych rzemieślników. Spisano kilkaset imion. Znów tedy do miasta przyszli po nich gońcy, a zawsze jak najuprzejmiéj. Myśmy jeszcze nic nie wiedzieli co się dzieje w obozie, i ci więc pojechali wesoło. A tam..... o pani! wzięto ich na męki, ażeby powiedzieli gdzie mają pochowane skarby. Wonczas dopiéro żołnierze weszli do nas, ale jeszcze spokojnie, bez żadnéj napaści. Kazano tylko wszystkim a wszystkim wyjść z miasta na pole, zalecając nawet aby każdy wziął z sobą co ma najlepszego. Szliśmy, niosąc nasze rupiecie, drżąc bardzo, ale zawsze jeszcze z nadzieją że nam

pozwolą pójść wolno. To przeciąganie narodu trwało..... czy pani uwierzy? Całe cztery dni. A ten Tułuj tymczasem siedział na pagórku, na złocistém krześle, i patrzył na nas, patrzył, — aż kiedyśmy wszyscy wyszli, kiedy miasto zostało puściuteńkie, dał znak,—i zaczęła się rzeź.—Niewiem ile mogło tam zginąć..... słyszałam później że podobno tysiąc tysięcy..... Jaki Allah łaskaw że naszych rodziców zabrał wcześniéj do siebie, że niedoczekali téj godziny! Zostało nas tylko troje: brat, siostra i ja. Ach ta siostra! Ona mi była jakby matką, — i w moich oczach..... Już dwadzieścia lat z górą minęło, a ja dziś jeszcze słyszę jéj ostatni krzyk.....

Tu Ira zamilkła.

— A brat?—Spytała Ludmiła.

— Brata szczęściem nie było z nami. On wtedy walczył przy Dżelaleddynie, synu Sułtańskim. Pani pewno słyszała o naszym sławnym Dżelaleddynie? Ach, to nie człowiek, ale orzeł! Nie człowiek, ale słońce Korassanu! Z małą kupką wiernych bił się dzień i noc—dzień i noc — przedarł się przez wszystkie ćmy Tatarów — aż kiedy go przyparli już do samych Indji, skoczył w huczące wody Sindu, i z chorągwią w ręku przepłynął tę straszną rzekę. Jego wierni płynęli za nim. To miało być takie pyszne, że sam ten okropny Dżyngischan, stojąc na brzegu, w ręce przyklasnął

z uwielbienia, wstrzymał swoich ludzi którzy chcieli rzucić się do rzeki w pogoń, i zwołał co prędzéj swoich synów, ażeby im pokazać jakim to można być bohatérem!

— I cóż się stało z tym Dżelaleddynem?

— Jak ludzie mówią, miał sobie w Indjach podbić całe nowe królestwo, a teraz niedawno słyszałam, że podobno już do nas wrócił i wypędza Tatarów. Ale co się stało z moim bratem, ach tego niewiem. Czy zginął w Sindzie, czy w któréj potyczce? A może w najlepsze żyje? Może przy Sułtanie ma jaki wysoki urząd? Podczas kiedy ja..... Ach, niepojęte są wyroki Pana.....

— Ale jakżeś ty ocalała, moja biédna Iro?

— Oto w taki sposób: wyrznęli wszystkich a wszystkich, oprócz rzemieślników i dzieci. Mnie zostawiono między dziećmi. Pamiętam jak siedziałam na polu i myślałam sobie..... czy wié Pani co ja sobie myślałam? Że Bóg już chyba musiał umrzéć, kiedy takie rzeczy się dzieją.

— A!..... Jakżeż można tak mówić.

— Cóż pani chce? Ja wtedy byłam jeszcze dosyć mała i głupia, a czego się to już niewidziało! Bardzo długo nas tam na tém polu trzymali, bo Tułuj kazał burzyć miasto. Ach! Takiego drugiego miasta już niebędzie na świecie! Co to była za warownia, wisząca w górze jakby chmura! A w koło co za ogrody, pełne róż, jaśminów, strumyków, zupełnie jak ten raj o którym święty Koran mówi! I widziałam jak to wszystko nikło. Mury padały.

Dzewa padały. Jedną razą przeciéram oczy, myślę sobie: «Czy mi się śniło że tu był Merw, bo tu przecie pustynia?» — Wtedy nam kazano iść za wojskiem. Przez góry, przez rzeki, daleko jakby jaka wieczność. — Przy każdéj rzece mówiłam sobie «Rzucę się do wody» — bo widziałam że wielu z naszych rzemieślników tak czyniło. Ale zawsze nad wodą brał mię strach. Codzień powtarzałam sobie. «Skoczę do téj rzeki którą znajdziemy jutro.» — I z tém *jutro*, doszłam aż tu. — Ach, i tu jeszcze, nieraz brała mię ochota żeby tak uciec do Orchonu przed kańczugiem złych państwa..... jednak nie uciekłam, — i może lepiéj się stało, bo teraz, odkąd jestem u pani, to jakbym się na nowo narodziła. Widzę że są jeszcze dobrzy ludzie na świecie, i że Allah patrzy z nieba na wszystkich, nawet na siéroty!

— Ach, moja Iro, — zawołała z żywością Ludmiła — jakież to szczęście że nie usłuchałaś téj złéj myśli! Już nie mówię o pociechach jakie cię spotkały, i jeszcze mogą spotkać, ależ wspomnij co to za okropny grzéch odebrać sobie życie! To największy ze wszystkich grzéchów, bo wszystkie inne można jeszcze odpokutować, można jeszcze jakoś ponaprawiać, ale ten jakże naprawić kiedy się już nie żyje?

Ira patrzyła na nią wielkiemi, przestraszonemi oczami, nic nie mówiąc, tylko przytakując głową.

Te-a przestała nagle czesać Ludmiłę, i rzekła:

— Przepraszam panią że ośmielę się cóś powiedzieć, ale mnie to dziwi. U nas inaczéj ludzie mówią. Najcnotliwszy człowiek jakiego znałam, zacny mój piérwszy pan, dobrowolnie zakończył życie, i wszyscy go za to wielbili. Wszak opowiadałam pani?

— A jakże, opowiadałaś, i nieraz.

— Tak, ale może niedość jasno, może nie wytłumaczyłam dostatecznie, że mój pan nie mógł zrobić inaczéj. To już pani wié, że zacny Czen-in był dowódcą w naszém śliczném mieście Si-ho-czu. Ja od maleńkości służyłam u jego cnotliwéj małżonki Lu-szy. Niémam sobie nic do wymówienia, zawsze im niosłam uszanowanie jakie od sługi należy się państwu. Niebo nam okazywało życzliwość, aż do dnia kiedy wódz Tatarski Tukułku podstąpił pod miasto. Mój pan bronił się długo, załoga i mieszkańcy pomagali mu jak dzieci ojcu. Jednego wieczora, — właśnie kończyłam układanie włosów na głowie mojéj pani — kiedy wchodzi zacny Czen-in, z twarzą jakiéj u niego nigdy nie widziałam, staje przed moją panią i mówi: «Żono, teraz już musisz sama pomyśléć o twoim losie.» — Ja nie rozumiałam co te słowa znaczą, ale cnotliwa Lu-szy zrozumiała, podniosła oczy na swego małżonka — co bardzo rzadko czyniła — i rzekła: «Używaliśmy razem dobrodziejstw naszego monarchy,

słusznie jesł abyśmy razem umarli za tron.» —Wtedy poszła do skrzynki, którą zawsze trzymała pod zamknięciem. Widziałam jak z niéj wyjęła zielonawą gałeczkę, włożyła ją w usta, potém siadła na matach, pobielała, zsiniała, wytężyła się i umarła. Właśnie w téj chwili weszli dwaj synowie moich państwa, ze swemi żonami. Jak tylko się dowiedzieli o wszystkiém, podeszli do skrzynki co jeszcze była otwarta, nabrali sobie trucizny, potém siedli w około matki, posinieli i poumiérali. Ja także wielką miałam ochotę wziąć taką jedną kulkę, ale nie śmiałam, bo to byłaby kradzież, skrzynka należała do państwa. I tylko dlatego żyję.

— Czy być może? — Przerwała jéj Ludmiła, wzruszona i mimowolnie podbita opowiadaniem Te-i, któréj głos miarowy i spokojny, tworzył przerażającą sprzeczność z trajedją zawartą w słowach.

— Czy być może? I ty dla tego tylko nie wzięłaś téj kulki? Boże mój! Cóż to za dziwna uczciwość..... No, a ten twój pan, cóż on tymczasem robił?

— Zacny Czen-in całą noc przesiedział przy pięciu trupach. Kilka razy tam zaglądałam, zawsze miał głowę, o tak — opartą na ręku, i nic a nic nie mówił. Dopiéro kiedy zaświtało, kazał na głównym placu miasta — co był przed naszym domem — ułożyć bardzo duży stos drzewa, i zanieść tam zwłoki żony, synów i synowych. Wielka ilość ludu się zebrała. On stanął otoczony przy-

jaciołmi, przemówił do wszystkich kilka słów których nie potrafiłam dosłyszéć, a kiedy płomień przybliżono do stosu, wyjął z pod sukni cienki sztylet, i wbił go sobie w piersi. Widząc to, przyjaciele jego rzekli: «Oto przykład który powinniśmy naśladować.» —I zaraz dwudziestu ośmiu dobyło sztyletów, i zabiło się w koło stosu.—A proszę pani, tam nikt nie mówił że źle robią, wszyscy owszem ich czcili. Ci co nie mieli dość odwagi aby odebrać sobie życie, gniéwali się na samych siebie, i utyskiwali nad sobą, i słusznie utyskiwali, bo jeszcze stos nie zagasł, a już Mongołowie byli w mieście. Co się potém działo, o tém już i lepiéj nie mówić.....

— Ale cóż się tutaj dzieje?—Przerwała nagle przestraszona Ludmiła.

Rzeczywiście, przed namiotem działo się cóś niezwykłego.

Jakiś krzyk coraz bliżéj się rozlegał, ktoś gwałtownie wbiegł na schodki — rzucił drzwiczkami — szarpnął zasłony..... i Elżbieta wpadła jak huragan.

Z łonem bijącém, z twarzą purpurową, rzuciła się na piersi Ludmile, i przytulając ją bez wy-

tchnienia, okrywając szalonemi uściskami, krzyczała głosem dziwnym, jakgdyby nie swoim:

— Jaś! Jaś! O Boże! On go widział!

— Kto go widział? Beppo?—Wyjąknęła tamta ze zdumieniem.

— Nie! Nie! Braciszek Benedykt!

Ludmiła struchlała na myśl, czy przedłużone zgryzoty nie pomieszały zmysłów jéj biédnéj Elżbiecie? Bo zkądże to imię tu się wzięło? I ten wzrok, i te krzyki, cóż to wszystko znaczy?

Elżbieta widząc jéj przestrach i nieruchomość, wybuchnęła śmiéchem radosnym.

— Ty nie wierzysz? A ja go widziałam—tylko co — przed chwilą. Tak! Naszego Braciszka Benedykta!—No, widziałam,—i ty go zobaczysz.

— Jakto? Więc i on już w niewoli?

— Ale gdzież tam! On tu przyjechał z dobréj woli, Papież go przysłał, on jest jednym z tych Posłów.

Teraz Ludmiła zrozumiała. I jéj krew do głowy uderzyła,—i jéj się w oczach zaćmiło.

— I ty mówisz że on widział Jasia? Kiedyż?

— Nie tak dawno, przed swoim wyjazdem, a wyjechał..... czekaj..... kiedyż to on wyjechał? Mówił że w Kwietniu,—a teraz mamy co? Lipiec. No, to ledwo cztery miesiące jak go widział.

— I gdzie? Gdzie?

— A we Wrocławiu, u mojego brata!

— Więc dostał się tam nasz Jasiek? I żyje? I zdrów?

— Zdrów! Cudownie wygląda! Ciągle o nas mówi.

— O Boże! — Krzyknęła Ludmiła wznosząc ręce.—Jakiżeś Ty dobry! Ocaliłeś Jasia! Przynajmniéj nie napróżno.....

Tu przerwała, — ale Elżbieta za nią dokończyła:

— Tak, przynajmniéj nie napróżno ty się poświęcałaś. Tak, tyś go zbawiła, oto żyje — chowa się u wuja—po Chrześcjańsku — a my - ach Ludko! czyż to nie cud prawdziwy, że my tutaj możemy o tém wiedzieć? Bóg wysłuchał téj naszéj prośby co zdawała się czystém szaleństwem. Oh! On ma na wszystko sposoby!

Tu obie niewiasty, pod jedném natchnieniem przeżegnawszy się, schyliły twarz na dłonie, i przez chwilę szeptały słowa które tylko Niebo słyszało,— potém, znów podniosły na siebie wzrok pałający upojeniem, rzuciły się wzajem w objęcia, i nagle wybuchnęły płaczem.

Ale to był płacz złoty, płacz szczęścia. Widok rzadki na tym ludzkim świecie, jeszcze rzadszy w kraju niewoli.

Ira i Te-a, dla których Polska rozmowa była niezrozumiałą, strwożone jéj gwałtownością, co-

fnęły się pokornie. Teraz jednak, widząc łzy dobréj pani, podbiegły, i całując ją po rękach, uspakajały:

— Pociesz się pani — każde zmartwienie mija.....

— Co wy mówicie? Ja z radości płaczę! Moja przyjaciołka w téj chwili odebrała wiadomość od syna, od tego synka, wiécie? o którym to ja wiecznie gadam, którego kocham jakgdyby własne dziecko. On żyje! W naszym kraju, szczęśliwie! Oh doprawdy, strach tylko aby nie oszaléć ze szczęścia!

Obie niewolnice wybuchnęły poczciwą radością; każda po swojemu.

Ira ze Wschodnią przesadą, tarzała się po dywanie, klaskała w ręce, krzycząc:

— Wielki jest Allah! O niechże błogosławi temu kochanemu dzieciątku! Niech Prorok nakryje go zielonym płaszczem! Niech Aisza go piastuje na xiężycowém łonie!

A wśród wykrzyków, ukradkiem łzę otarła i szepnęła:

— O, gdybym to ja tak mogła dowiedzieć się o bracie!.....

Te-a za to stała nieruchomie, w zachwyceniu tylko złożyła żółtawe rączki, poczém zaczęła głosem równym, powinszowalną przemowę:

— Tak, wielka to przyjemność dla rodziców, kiedy im kto powié że dziecku się dobrze dzieje, bo ludzi wiążą wzajemne obowiązki: zwierzchników i podwładnych — męża i żonę — rodziców i dzieci—i we wszystkich.....

Na nieszczęście, w ciągu tak pięknéj przemowy, Ludmiła zerwała się wołając:

— Ale niechże i ja go zobaczę! Elżuniu, idźmyż tam..... albo jego tutaj sprowadźmy.....

W téj chwili zasłona się odchyliła, i trzecia niewolnica wbiegła, wołając:

— Pani! Pani! Behadyr przysyła! Kazał powiedzieć że już czeka. Już przed namiotem są konie i ludzie.

Ludmiła schwytała się za głowę.

— A to nieszczęście z tą ich ucztą! Że téż to właśnie na dziś musiała mi wypaść? Tyle dni siedzę po próżniacku, niewiem co robić z godzinami,—a dziś, kiedy chciałabym lecić do Braciszka Benedykta.....

— Ach, prawda że to istna przekora.....—Mówiła niemniéj zmartwiona Elżbieta. — Mój Boże! W takiéj chwili nawet, nie dadzą nam się naga-

dać, nacieszyć! Ale cóż robić, moja Ludko? Powiem ci przynajmniéj na twoją pociechę, że Braciszka Benedykta i tak niemogłabyś teraz widzieć, bo właśnie wychodził do jakiegoś Xięcia Jarosława, razem ze swoim towarzyszem.

— Więc jest z nim i drugi?—Pytała Ludmiła, któréj tymczasem służebnice z pośpiechem przypinały bottę.

— Jest, jakiś Włoch; wygląda jak święty. Otóż ten Xiąże Jarosław, Chrześcjanin, zaprosił ich dziś do swego stołu. Mówili, że pewno tam długo zabawią. Dopiéro po zachodzie słońca mamy się spotkać.....

— Gdzie? U kogo?

— U naszego Kuźmy. On także prosił jak o największe szczęście, aby słudzy boży wstąpili do niego, chociażby późno, wieczorem. Ja przyrzekłam że tam przylecę — i ciebie obiecałam..... wyszła mi z głowy zupełnie ta nieszczęsna uczta..... No a teraz, jakże to będzie?

— Wiész co Elżuniu? Może ja potrafię wcześniéj się ztamtąd wyrwać? Może jeszcze choć na chwilę wpadnę do Kozmusia?

— Oh, jakże by to było cudownie! Ja bez ciebie nic a nic nie mogę szczęścia używać. Ale zastanów się Ludko, może to źle..... a jak mąż się pogniéwa?

— E! Czego by się miał gniéwać? Przecież niemogę tam całą noc siedzieć i patrzéć na ich

pijatykę? On wié że ja tego nie znoszę..... puści mię.

Tymczasem, coraz więcéj niewolnic tłoczyło się do pokoiku, nalegając:

— O pani! Tam ciągle wołają że już czas....

— Dobrze, dobrze. Ach ta nieznośna botta, jakżeż to trudno ją przywiązać.

I gorączkowym ruchem zaczepiwszy nakoniec podpaskę, Ludmiła znów ściskała Elżbietę.

— Żegnam cię! Zazdroszczę ci że zostajesz. Ja tam chyba uschnę..... Ale poradzę sobie. Do widzenia!

— Oh, bądź ostrożna! —Wołała, wyprowadzając ją, zatroskana Elżbieta. — Żal mi cię okropnie, ale bądź ostrożna..... Braciszek nam nie ucieknie. Ci Xięża mają listy od Papieża, muszą przecie dostać na nie odpowiedź, a nie prędzéj dostaną aż nowy Chaan zostanie obrany, aż załatwi się ze wszystkiemi Posłami. Więc niéma obawy, nie tak zaraz odjadą.

Przed namiotami Ludmiły stał orszak jakiego jeszcze nigdy nie miéwała. Ajdar wysadził się na ten dzień uroczysty.

Wiotką nóżką niecierpliwie kopie ziemię wierzchowiec zachwycającéj piękności, Argamak sprowadzony z Kokandu. Niby on biały, ale koszulkę ma tak przezroczystą, że za najmniejszém znużeniem, granie krwi przez nią przegląda; wtedy koń staje się różowy, i w pędzie płonie, jak jeden z tych rumaków Jutrzenki, które starożytni wprzęgali do rydwanu Słońca.

Trzyma go mały Indyjczyk, biédne dziecię uniesione z okolic Lahory, bose, ubrane tylko w białą tunikę ze złotém przepasaniem; ta białość odbija rażąco przy jego cerze orzechowéj, przy włosach czarnych jak heban, okalających rysy niewymownie łagodne i smętne.

Do koła stoi świta, złożona z wojskowych błyszczących przepychem; Kirgizy, Kabardyńcy, Czerkiesy, Chałchańcy,—Ajdar ze swego Tumanu wybrał najdzielniejszych, na straż honorową dla najmilszej małżonki.

Wsiadła—rzuciła Elżbiecie jeszcze jedno: «Do widzenia!» — Indjanin wziął cugle — wojownicy ruszyli przed nią i za nią — z chrzęstem, brzękiem i blaskiem.

Kiedy wjechali pomiędzy niezmierzone obozy, na majdany i targowiska nabite tłumami, rozkotłowane zgiełkiem, Ludmile wydało się że morze na nią idzie. Ale bałwany tego morza rozstę-

powały się przed niemi; wspaniałość orszaku i piękność jadącéj, rozwarły drogę, ściągnęły wszystkie oczy. Z obu stron tłoczono się, pytano ciekawie:

— Co to za Chatuna?

— Czy małżonka którego z Chanów?

— Nie. — Mówili świadomsi. — To żona tego sławnego Behadyra, tego bogacza, Terchana Ajdara.

— Szczęśliwy człowiek!

— Nie zazdroszczę mu ani jego Terchańskwa, ani jego skarbów, ale takiéj żony! Takiéj żony!

I tysiąc podobnych szeptów krążyło między tłumem. Ludmiła je słyszała i rozumiała; jakaż kobiéta nie rozumié słów uwielbienia, choćby po Chińsku wyrzeczonych?

Dziwnym jéj się wydał ten tryumf; dziwnym i nie bez pewnéj szyderczéj rozkoszy; jechała z czołem dumnie podniesioném, z góry spoglądała na tych korzących się Azjatów.

Nagle, wzrok jéj spotkał się ze wzrokiem który jéj coś przypomniał..... Para oczów czarnych a jednak nie Wschodnich, ognisto-axamitnych, zgubionych w natłoku a jednak przyciągających, patrzyła w nią z uporném natężeniem.

Poznała oczy Beppa,—i zmieszana, co prędzéj w inną stronę odwróciła głowę.

Czy on ją poznał? Niewiadomo. Zdaje się że nie,—wzrok jego wyrażał niepewność.

— O! To lepiéj.

Czemu lepiéj? Czemu się Ludmiła odwraca?

Wyznajmy prawdę: ona się wstydzi przed Beppem, — wstydzi się tych zaszczytów i dogadzań, jakiemi ją wróg otacza.

Gdyby ją Beppo zastawał w kajdanach, w głodzie i ucisku, o! sama by go przywołała, aby mu powiedzieć:

— Patrz, co ja znoszę!

Ale jeśli ją ma widzieć w tryumfalnych pochodach, w atłasowych namiotach, w ciżbie nadskakujących niewolników..... o! lepiéj niech nie widzi!

Ludmiła nie zna dosyć dobrze Beppa, aby mogła liczyć na jego sprawiedliwość. A jeżeli téż on ją posądzi o nikczemne pogodzenie się z losem? Jeśli uwierzy w tę maskę, jaką musiała włożyć dla swoich nabożnych zamiarów? Czyż można rozedrzéć przed nim piersi? Pokazać, ile tu w duszy leży oburzenia, ile pogardy dla darów i uśmiéchów ciemiężcy? Może dawna «ofiara» straciłaby

w jego oczach na wartości? A szkoda! Ona niechce stracić.....

Zaprawdę, gdyby Ludmile Beppo choć cokolwiek był drogi, nie rozmyślała by tak bardzo *jak się przed nim wyda*, — wybiegłaby po prostu i z radością na spotkanie szczerego przyjaciela.

Ale ona nie lubiła Beppa.

Nie lubiła, — a przecież chciała być przezeń ubóstwianą, — bo tak się zazwyczaj dziwnie splatają chęci ludzkie; choć nasze własne serce milczy, miło nam pomyśléć że jest na szerokim świecie jakieś serce, które dla nas bezrachubnie, beznadziejnie bije; błogo sobie wystawić, że w czyjéjś myśli nasz obraz świéci jak na ołtarzu.

O! Niechże nic go nie strąci, niech nic nawet nie dotknie, — bo póty święty, dopóki nietknięty.

Chmurne te myśli przeleciały tylko przez duszę Ludmiły, przepędził je szybko wicher nowych wrażeń.

Na skręcie ogromnego Bazaru, przy Greckim straganie, dostrzegła baranią czapkę i zawiesiste wąsy Kuźmy, który targował jakieś wązkie gliniane flaszki, zapewnie trunek na przyjęcie spodziéwanych gości.

Myśl o tych gościach przerzuciła ją napowrót w światło i wesele. Beppo, tłumy Azjackie, cały

Kuryłtaj, wszystko znikło jéj z oczu..... Widziała tylko Jasia z twarzyczką rumianą, radosną, — kłaniał jéj się zdaleka, z Polski, — wyciągał rączki do matuni i do niéj, — cóż, kiedy nie mógł dosięgnąć? Ramiona miłości są długie, ale droga wygnania jeszcze dłuższa.

Ach, trzeba wrócić do rzeczywistości.....

Oto już coraz bliżéj piętrzy się namiot axamitny, biały i chwiejący jak skała lodowa. Już tłumy coraz gęstsze i gwarniejsze.

Dojechali do ogrodzenia.

Dwór cesarzowéj Turakiny.

W ogrodzeniu były dwie bramy. Obie na roścież otwarte. Przy jednéj stały dwoma rzędami straże, uzbrojone w łuki, kołczany i miecze, surowo utrzymujące porządek; tędy wchodzili wyborcy i zaproszeni. Druga brama, przeznaczona wyłącznie dla przyszłego Wielkiego Chaana, nie miała żadnéj warty; nie przypuszczano aby ktokolwiek odważył się ją przestąpić. To téż wyglądała jak zaklęta; kiedy o dwa kroki daléj duszono się i prawie zabijano, tu na rzut kamienia przestrzeń stała pustkami. Biada niebacznemu, co-by przez nieświadomość albo zapomnienie przekroczył święte progi! Krocie strzał puszczonych z wewnątrz, ubiły-by go na miejscu.

Za to przy piérwszéj bramie panował ścisk wchodzących, wychodzących i ciekawych, z któremi strażnicy ledwo mogli dać sobie radę.

W tymże czasie co i Ludmiła, przyjechało kilka innych niewiast; żadna przecież nie miała orszaku równie wspaniałego jak małżonka Terchana.

Ajdar był już zdaleka widzialny; stał za ogrodzeniem, ale tuż przy bramie, widocznie chciał się nacieszyć widokiem świetności z jaką Ludmiła wjeżdża.

Kiedy z konia, już zaróżowionego jazdą, zsiadła, sama zaróżowiona od bystrych spojrzeń do koła na nią kierowanych, szmer pochlebny po sercu pogłaskał małżonka. Przystąpił uśmiéchnięty, i kibić jéj otoczywszy ręką, wprowadził ją między olśnione zgromadzenie. Ale i Ludmiła została olśniona; cały obraz wydał jéj się objęty jakiemiś płomieniami, bo wszyscy przed nią i w koło niéj byli przybrani w szkarłat, rzekłbyś, tysiące królów. Turakina dnia tego rano, rozesłała znowu honorowe chałaty z *purpury czerwonéj*, które wszyscy przywdzieli jednostajnie, różniąc się tylko rozmaitém bogactwem szabel, łańcuchów, zausznic, i niezmiernie gęsto rozsianych drogocennych guzów.

Ajdar wyglądał pysznie. Było i wielu innych niezaprzeczenie pięknych; szczep Turecki zwłaszcza jaśniał swoją poważną urodą; ale i między rodowitemi Mongołami trafiały się postacie zajmujące; u młodych, sławnie cienkie wcięcie

w pasie, wyglądało bardzo wykwintnie. A przytém, wszyscy posiadali tę straszliwą piękność jaką nadaje poczucie wielkiéj siły,—pogańską piękność zwycięztwa.

Wszystkich tylko szpecił niesmaczny układ włosów; mężczyźni podlegali tejże modzie co i niewiasty, przód głowy mieli zgolony, a przy skroniach nosili seledce wijące się w koło ucha, lub warkocze w tył odrzucone i kosztownemi wstęgami zaplatane. Prawda że obnażonéj czaszki nigdy prawie nie pokazywano; Wschodnim obyczajem, czy w namiocie, czy w gościnie, czy nawet przy stole, zawsze mieli głowę nakrytą. Nakrycia te, przez pisarzy Chrześcjańskich zwane *mitrami Tatarskiemi*, nieraz już nam się przedstawiły; piramidalnie wysokie, czasem do przodu zakrzywione jak dzióby naw Greckich, dziś jeszcze porosły zatrzęsieniem drogich kamieni i złotych obręczy, które je czyniły podobnemi do koron Assyryjskich. Damy także, swemi *bottami* i pióropuszami dorastały do mężkich kołpaków. Dzięki tym niebotycznym nagłówkom, wszyscy mieli wzrost jakby nadludzki, wyglądali rzeczywiście na *wyższą* część społeczeństwa.

Tu jednak, między ogrodzeniem a namiotem, byli po większéj części sami tylko mężczyźni. Panie, już pewnie znużone długiemi naradami, zbiérały się w axamitnym budynku; młodzież ciągnę-

ła za niemi. Tu jeszcze starzy ministrowie i wodzowie, ponagromadzani kupkami, kończyli zaczęte rozprawy. Po stronach ciągnęły się wązkie stoły, przy których sekretarze pisali, nakładali pieczęcie; przed niemi świeciły porcelanowe kałamarzyki z Chińskim atramentem, leżały pędzelki i trzcinki.

Przed namiotem, na rodzaju ołtarzyka przykrytego szkarłatem, leżała puszka złota, wysadzana tęczą klejnotów; z niéj wywijały się jakieś wstęgi skórzane, lśniące, zagryzmolone paskami złotych gzygzaków.

— Co to jest?—Zapytała Ludmiła.

— O! Tu trzeba przechodzić z uszanowaniem.— Odpowiedział Ajdar.—To *Jassa*, xięga Ustaw jakie nam Dżyngischan zostawił. Przy każdym Kuryłtaju bywa uroczyście przywożona ze Skarbca, i otwiérana ręką najstarszych Xiążąt, którzy ją głośno odczytują, ażeby potomkowie, w każdém przedsięwzięciu kierowali się wolą największego z ludzi.

Weszli do namiotu. Widok był niezrównany. Wnętrze całe, także obwieszone draperjami z białéj purpury, na ziemi wysłane białą pilśnią,

pływało w mleczném oświéceniu. Wprawdzie budowniczy nigdzie nie zostawił okien, dzień jednak wchodził dostatecznie przez wielkie drzwi, dające przystęp ze dwóch stron, od wschodu i zachodu, a zwłaszcza przez ogromny otwór w górze wycięty okrągło; tamtędy promienie słońca rozchodziły się w koło sali łagodném świtaniem, a w sam środek spadały wielkim kręgiem żółtym, który tworzył niby sadzawkę ze światła.

W tym kręgu, piętrzyło się na siedmiu stopniach wyniesienie, na niém stół najwyższy, mogący pomieścić zaledwie kilkanaście osób. W koło tego niby tronu biesiadnego, na estradach już tylko trzema stopniami podwyższonych, biegł pierścień stołów drugorzędnych. Nakoniec najniżéj, bo już na samym pilśniowym kobiercu, ciągnęły się stoły olbrzymie, trzema kręgami wypełniające salę.

Na stołach wisiały obrusy z białéj kitajki jedwabnéj, na obrusach lśniły szeregi naczyń, między któremi nie było widać żadnéj misy, tylko same czary do picia; a dziwaczyły te czary największą przeróżnością kształtów i wyrobu: na wyższych stołach, kielichy agatowe, onixowe, złote sadzone kamieniami,—na niższych, kubki srebrne z Europy, szklanne z Chin pstro majaczące, i prawdziwe Tatarskie, drewniane, oplecione świecistą siatką.

Niemniejsza mieszanina panowała w sprzętach zastawionych w około stołów, bo goście siadali na rozmaity sposób. Turcy, Tunguzy i Mon-

gołowie staréj daty, najlepiéj lubili siedzieć w kuczki; dla nich rozrzucono mnóstwo poduszek i grubych wałków. Między Chińczykami owszem, ta postawa uchodziła wówczas jeszcze za nieprzyzwoitą, za grzéch przeciw obyczajności, a młodsi Tatarzy starali się ich we wszystkiém naśladować; dla Chińczyków zatém, dla Tatarskich postępowców i dla Chrześcjan, stały gdzieniegdzie ławki, krzesełka bambusowe i taborety gliniane w kształcie beczułeczek.

Przy wejściach i pod ścianami, ciągnęła się kolumnada z żywych słupów; młodzieńcy, w Perskich strojach o długich atłasowych wylotach, trzymali las buńczuków; nie były te buńczuki z ogonów bawolich, ale z wełny pięknie farbowanéj na szkarłat, i rozczesanéj powiewnie jakby pióra.

Za młodzieńcami stali muzykanci, uzbrojeni w długie surmy, w brzuchate miedziane kotły, w talerze i trójkąty Chińskie.

Dotychczas, nikt nie siedział. Wiele osób spoglądało ku drzwiom zachodnim; wyraźnie jeszcze na kogóś czekano. Goście stali gromadami, rozmawiając, śmiejąc się i żartując, ze swobodą ludzi co nie czują nad sobą panującéj głowy. Po kątach tylko, Mandarynowie, ludzie o twarzach cytrynowych, szeptali cierpko i posępnie. Za to Mu-

zułmanie wysoko nosili turban, i głos mieli donośny. Cóż dopiéro powiedzieć o głosach Tatarów? Ci śmieli się i bawili z *desinvolturą* ludzi, którzy wierzą iż niebiosa oddały im całą ziemię do zabawy.

Największe ożywienie panowało w kółkach gdzie się jaki Tolholos pokazał, a było ich mnóstwo, łatwych do rozpoznania po żółtéj bałabajce, przewieszonéj przez ramię na wstędze zazwyczaj błękitnéj. Tatarzy przepadający za swemi pieśniarzami, nie mogli się ich nasłuchać, nawet mówiących prozą, a niewiasty, jak wszędzie tak i tu, garnęły się najtłumniéj do poetów.

Stroje niewiast oślepiały patrzącego. Ludmiła jak żyje nigdy nie widziała tylu cudownych materji, tylu bajecznych klejnotów, zwłaszcza korali, w których się tam najbardziéj kochano. Wiewanie piór pawich, strusich i z rajskiego ptaka, napełniało powietrze nieustanną kaskadą kolorów. Brząkanie trzęsideł, naramienników i łańcuchów, sprawiało muzyczkę złotą, dosłyszalną nawet w tym ogromnym gwarze.

A przepych strojów gasł jeszcze przy urodzie tych co je nosiły; była to jakby wystawa piękności zebranych z całego świata, wystawa arcy-wyborowa, bo zaprawdę Tatarzy mogli i mieli w czém wybiérać. Jaśniały Gruzinki o dziecięcych twarzyczkach i ogromnych zadziwionych oczach, — kobiéty z Azji Mniejszéj, o kameowym profilu i miękkich Iońskich kształtach, — córy Iranu, o wężowych ruchach i powłóczystém spojrze-

niu,—Turczynki, białe, wspaniałe, nieruchawe, jak motyl co się upił wonią kwiatów, — było i kilkadziesiąt Madżiarek, śmigających w tłumie jak iskra elektryczna,—i mnóstwo Rusinek o długich rzęsach, o toczonych rękach, —były nakoniec niezliczone Chinki, uchodzące w owym wieku, nawet u pisarzy Europejskich, za kobiéty najprześliczniejsze w świecie.

Pomimo niebezpiecznego porównania z tyloma cudzoziemkami, dobrze wydawały się i północne Azjatki, dziwném jest bowiem ale niezaprzeczoném zjawiskiem, uznaném przez wszystkich podróżników, że typ Mongolski taki brzydki w mężczyznach, u kobiét przedstawia dużo wdzięków; są w ogóle rosłe i kształtnie zbudowane, mają cerę świéżą, spojrzenie ukośnych oczu dziwnie przeszywające i figlarne, a nad wszystko powabne usta, malinowe, zarysowane w serduszko.

W tém zgromadzeniu, jak łatwo się domyśléć, one przemagały liczbą, przepychem i dostojeństwem. Zrachowawszy same żony Chanów i Chaników, panujących nieraz nad obszarami równemi połowie Europy, znaleźlibyśmy tu krocie monarchiń; a przecież to tylko małżonki lenników, one tworzą tylko dwór tych arcy-władczyń, co się tam oto zebrały pod najwyższą estradą.

Do téj korony głów koronnych, zmierza ciągle Ajdar. Nakoniec, docisnął się do małéj pu-

stéj przestrzeni jaką tam uszanowanie zostawiło, i z wielkiemi oznakami wdzięczności, przedstawił Rejentce Ludmiłę, a ta, już nauczona przez męża, pokłoniła się bardzo głęboko, ach! więcéj nawet niż głęboko, bo musiała przyklęknąć. Przyszło jéj to z ciężkością, pocieszała się tylko myślą, że przynajmniéj żaden Europejczyk w téj chwili na nią nie patrzy.

Rejentka Turakina była to białogłowa gruba i zamaszysta. Z czego miała szaty, niewiadomo, bo tak je opięła, okuła, blachami, pętlicami, sieciami ze złota i kamieni, że jak rycerz w rynsztunku ledwie mogła się ruszać. Za młodu musiała być ładna i powabna, kiedy Ogotaj wyniósł ją na piérwszą małżonkę, ale dziś już nie było ani śladu piękności w téj twarzy zbyt czerwonéj, w tych rękach zawiędłych i szponiastych, co tak dobrze umiały zgarniać skarby i korony.

Te uwagi czyniła sobie w duchu nasza branka, powstając i przyglądając się zdaleka Rejentce, która lekko skinęła jéj głową, rzekła do Ajdara: «A! Prawda że śliczna, winszuję zdobyczy.» I wnet zwróciła głowę w inną stronę, aby się zająć znaczniejszemi gośćmi.

Ludmiła przeniosła oczy na inną postać, jaśniejącą tuż obok Turakiny, wspanialszą i wyższą prawie o całą głowę. To postać jéj znajoma, to Xiężna Siurkukteni. O, jakżeż miło oczy na niéj

zatrzymać! Ona tu wygląda na prawdziwą, jedyną cesarzowę. Nawet ubiór jéj smakowniejszy niżeli wszystkie inne, mniéj przeładowany bogactwami, skrojony mniéj wązko, niby trochę z Europejska. Chałat czarny, wyszyty Badakszańskiemi rubinami, roztwiéra się na przodzie, pokazując tunikę ze złotogłowu, a z tyłu przedłuża się powłóczyście nakształt monarszego płaszcza. Botta u niéj nie tak przesadzenie wysoka jak u innych; na jéj tle, także czarném, wśród kilku wyborowych klejnotów, błyszczy i święty jakiś medalik, tylko co wybrany u mistrza Wilhelma, którego roboty niesłychanie się Xiężnie podobały.

Ludmiła za ten medalik byłaby chciała uściskać Onghanową córę. Wpatrywała się w nią z zachwyceniem, a razem i z podziwieniem, bo niedawno jéj powiedziano że Siurkukteni ma już wnuki, tymczasem patrząc na nią ani sposób uwierzyć. Włos czarny, oczy gwiaździste, owal twarzy nienaruszony. Jaśniała spokojnie jak te wróżki, co czarami zakląwszy piękność, nie lękają się ani lat ani troski. Może to był już ostatni wybłysk téj piękności, ale za to wspaniały, podobny do ostatniego rozkwitu jesieni, co bywa gorętszy i bogatszy niżeli samo lato.

Xiężna musiała nakoniec dostrzedz serdeczne wpatrywanie się Ludmiły, bo skierowawszy oczy w jéj stronę, uśmiéchnęła się i ręką od ust rzuciła jéj poufałe przywitanie.

Oprócz tych dwóch monarchiń, Ludmiła nie znała żadnéj innéj. Zwróciła się po objaśnienia do męża.

— Co to za jedna, ta osóbka taka niesłychanie wystrojona, co się kręci i śmieje koło Xiężny Turakiny?

— Która? Ta z koralowemi dzyndzelkami na czole?

— Tak, właśnie.

— A! To Xiężna Ogul-Gajmisz, najpierwsza żona Xięcia Kujuka. O! Ta dziś wesoła.....

I chciał jeszcze cóś powiedzieć, ale się powstrzymał.

— A któż to znowu tamta druga, taka okropnie smutna, o ta, w sukniach obszytych puszkiem łabędzim? Widocznie płakała, oczy ma czerwone.

— O któréj ty mówisz?

— O téj co tam w głębi, nizko, siedzi na poduszkach i bawi się z włosami jakiegoś chłopczyka.

— A, teraz widzę. To Xiężna Ananda, matka tego biédnego Szyramuna. Rzeczywiście, okropnie zmartwiona. Widać że na nogach nie mogła się utrzymać, kiedy siadła chociaż starsze stoją. Ha, cóż robić? Tam gdzie jednego tylko można wybrać, wielu musi odchodzić z niczém.

Branka niemogła oderwać oczu od Anandy. W owym natłoku postaci dumnych i tryumfatorskich, ta jedna postać bolejąca przyciągała ją magnesem łez. Twarzyczka małego Szyramuna, smutna i znudzona, choć wcale niepodobna do twarzyczki Jasia, przecież ją rozrzewniła dalekiém przypomnieniem.

W téj chwili Turakina, przechodząc koło niego, twardą dłonią poklepała mu policzek, i rzekła do matki:

— A nie becz-że tak nad nim ciągle, bo rozmazgaisz chłopaka.

I poszła daléj pośpiéwując.

Ananda na widok Rejentki nieco się podniosła, na jéj słowa tylko przygryzła wargi, ale gdy ją zobaczyła odwróconą, zaczęła połami chałata obciérać twarz dziecka, jakby chciała zetrzéć dotknięcie téj ręki, potém puściła za Turakiną spojrzenie długie, jadowite, pełne przydławionéj srogości.

W tém spojrzeniu odnalazła się Mongołka.

I mimo swoich puszków łabędzich, mimo uroków swojéj boleści, w téj chwili wydała się Ludmile tak brzydką jak i Turakina.

Ale oto Ananda znowu złagodniała, nawet nieco się uśmiéchnęła; przystąpił do niéj młodzie-

niec nadzwyczaj piękny; twarz miał taką rozumną, spojrzenie tak imperatorskie, że Ludmiła zapytała męża:

— Któż to rozmawia z Xiężną Anandą, taki niepodobny do nikogo?

— To syn Xiężny Siurkukteni, Kubilaj. Prada że niepodobny do innych. Wszyscy nasi Xiążęta mają głowy płowe i oczy zielone, on jeden ma włos czarny i czarne oko. Powiadają że kiedy na świat przyszedł, wielki Dżyngischan niemógł się wydziwić, zkąd mu ten wnuk jakby kruczątko? Pewnie po matce odziedziczył włosy, a trzeba przyznać że i urodę wziął po niéj.

Prawdę mówił Ajdar, Kubilaj miał urodę niezwykłą w tych stronach. Marko-Polo, który go widział o pół wieku późniéj, pisze jeszcze:

«Kublaj-Chan jest pięknéj postawy, ani mały ani duży, ale średniego wzrostu, dosyć pełny i doskonale zbudowany; ma nos bardzo kształtny, oczy piękne, czarne, twarz białą i kwitnącą rumieńcami jak róża.....»

Jeżeli-ż Chan w starości jeszcze był podobny «do róży», jakim-że musiał być teraz, kiedy liczył ledwie lat trzydzieści kilka?

— A! To syn Xiężny Siurkukteni? Więc może Chrześcjanin?—Zapytała Ludmiła.

Małżonek ruszył ramionami i odparł:
— Któż to może wiedzieć?

Tymczasem Kubilaj rozmawiając z Anandą złożył głośny całus na czole Szyramuna, wziął go za rękę i mówił:

— Zaprowadzę go między młodzież, rozweselimy chłopca. Wszak pozwalasz Chatuno?

Matka skinęła głową, młodzian i pacholę znikli między tłumem, a w tymże czasie Ajdar już gdzieindziéj zwracał uwagę żony.

— Patrz, teraz koło Xiężny Siurkukteni stanęli inni jéj synowie. Ten barczysty, z cerą zapaloną, to najstarszy, Mangu; to porządny człowiek, już bił się kilka razy wybornie. Ten drugi, ryżawy, kędzierzawy, taki szczupluchny, to Aryk-Buga. Jeszcze strasznie młody, niewiadomo co z niego będzie, ale mu bystro z oczu patrzy, i musi być sprytny, kiedy matka podobno jego najwięcéj kocha. Innych już puściła między ludzi, a z nim niechce się rozstać, mieszkają razem w Altajskim Ułusie.

Właśnie do Xiężny i jéj synów przystąpiło dwóch ludzi, uderzających wspaniałością i odmiennością dygnitarskiego stroju. Piérwszy miał na

piersiach szkarłatną wstęgę, a na niéj wiszącą pieczęć, ogromną, szczerozłotą, ze lwem czy tygrysem grubo wyrzeźbionym; sam gruby, o wystających policzkach, był to Czyngaj, Mongoł z rodu, Nestorjanin z wyznania, Naczelny Sekretarz, jakby Kanclerz państwa. Drugi, wysoki a chudy jak szczapa, miał kołpak owinięty żółtym turbanikiem, z pod którego ćmiła się twarz podobna do szaréj ulęgałki, zgrzybiała, pomarszczona, z nosem jak nóż wązkim. Bo téż ten człowiek pamiętał stare dzieje, był to Daniszmend, jeden z rzadkich już rówieśników Dżyngischana, i jeden ze szczęśliwców którzy najbliżéj dotykali się jego czczonéj osoby; zarządzał niegdyś Dworem a nawet namiotem samego Temuczyna, był to więc niby Wielki Marszałek, jakbyśmy dziś nazwali Mistrz Dworu.

W tym codziennym, poufnym stosunku ze zdobywcą świata, powziął dla niego cześć niemal nabożną, i chociaż Mahometanin, wierzył prawie zarówno w Dżyngischana jak w Kaabę Mekki. Ta cześć wyrobiła w nim dworactwo ślepe, nadskakujące jak u pokojowego pieska. Z tém wszystkiém niezły człowiek, uczynny gdzie się dało, kilka razy wynudził dla swoich współwyznawców ocalenie życia lub maleńkie łaski.

Daniszmend miał dzisiaj wysokie względy u synów i wnuków Dżyngischana; był dla nich jakby żyjącą xięgą; lepiéj od innych pamiętał ceremonjał zaprowadzony przez arcy-monarchę, te Azjackie formy służalstwa, które późniéj stały się

dla tylu narodów rytuałem. Z wiekiem posunął je prawie do karykatury, ale nikt się nie śmiał z przesady mającéj takie chwalebne źródło.

Kiedy Ludmiła słuchała szczegółów o tych mężach, rozpowiadanych przez Ajdara, między zgromadzonemi powstał jakiś rozruch; wszystkie głowy zwróciły się ku drzwiom zachodnim.

Behadyr rzekł:

— O! To już on idzie, niezawodnie on, bo Daniszmend poczerwieniał.

W téjże chwili surmy i kotły uderzyły ogłuszającym hukiem, Chińskie talerze i trójkąty zaczęły podzwaniać. Wszystkie buńczuki pochylono, a pod ich purpurowém sklepieniem, ukazał się we drzwiach zachodnich Kujuk.

Ubrany był jak wszyscy inni, w szkarłatny chałat i zakrzywiony kołpak, tylko rękojeść od szabli błyszczała przy jego boku jakby słońce.

W namiocie tłum zafalował, roztworzył przed wchodzącym drogę, i wszyscy oddali kilkokrotny pokłon.

Daniszmend raz tylko się pokłonił, potém ręce opuścił, i wyprostowany, osłupiały, patrzył w Kujuka z niemém zachwyceniem.

Ludmiła niesłychanie zdziwiona tém przyjęciem, zapytała po cichutku:

— Co to jest? Czy on już obrany?

Ajdar mrugnął na nią znacząco i szepnął:

— Już, — ale to jeszcze tajemnica.

Żółta szyja Daniszmenda skręciła się raptownie w ich stronę, i wzrok piorunujący zdał się zapytywać:

— Jak można szeptać w takiéj chwili?

Tymczasem trąby ucichły, tylko talerze i trójkąty jeszcze drgały śrebrzyście. Wszyscy Tolholosowie wyszli dwoma rzędami, i całą siłą szerokich piersi zaśpiéwali:

Witaj, mężny i wspaniały!
W bojach, wartkie twoje strzały,
Nigdy celu nie chybiały.

Dobra wróżba nie omyli.
Siądź wysoko! Świat się schyli.
My tymczasem będziem pili.

Będziem pili za twe zdrowie.
Niech Bóg nieba, i Duchowie,
Błogosławią twojéj głowie.

Kujuk szedł między dwoma rzędami śpiéwających, a Ludmiła dziwowała się jego uprzejmości; skłaniał grzecznie głowę to w tę to w ową stro-

nę, i to nawet z uśmiéchem, rzadkim na jego twarzy marsowatéj, skołatanéj cierpieniami wiecznych żądz i—wiecznych reumatyzmów.

Kiedy zaśpiéwano: «Siądź wysoko—świat się schyli,» wszedł po siedmiu stopniach na środkową estradę, i—usiadł; wtedy buńczuki znów się pokłoniły, trąby znów huknęły, pieśniarze ustąpili, i nastało inne widowisko.

Na środek namiotu wyskoczyły raźne, strojne chłopięta. Byli to wszyscy niedorośli cesarzewicze, przyszłe pokolenie Dżyngischanidów. Ci w koło estrady wziąwszy się za ręce, rozpoczęli taniec honorowy.

Mały Szyramun, przykrząc sobie nieruchomość obrzędową, skoczył także i stanął w kole. Szmer powstał w sali. Na szczęście, matka znajdująca się blizko, porwała go za rękę i pchnęła gniewnie między widzów, a nikt, nawet Rejentka, nie śmiał jéj tą razą przymówić, bo istotnie czyż się godziło aby kandydat spadły, tańcował na cześć współzawodnika co go pozbawiał korony?

Tymczasem narzędzia muzyczne przechodziły z rytmu tryumfalnego na cięty i podskakujący. Chłopcy kręcąc się ogromném kołem, straszliwie tupali, gromko w ręce klaskali, potém zaczęli wykonywać różne figle tancerskie, trudne i pełzające, od których późniejszy «Kozak» wiele sztuk za-

pożyczył, a przy każdym trudniejszym rzucie, wydawali krzyk dziki, pół krogulczy a pół koguci, na który Ludmiła za każdą razą się wzdrygnęła. Publiczność wcale nie podzielała jéj wstrętu; okrzyki i oklaski sypały się rzęsiście; sam Kujuk wysuwał szyję za estradę aby lepiéj widzieć cudne skoki, a gdy na *codę* wszyscy znowu wzięli się za ręce, i zatoczyli krąg zawrotny, skinął dziękczynnie głową. Chłopcy rozpromienieni, rumiani, rozbiegli się między uszczęśliwionych rodziców i winszujących gości, a siostrzyczki ich patrzyły zazdrośnie na tę zabronioną przyjemność; bo między Tatarami, tylko mężczyźni, i to niedorośli, tańcowali na publicznych zebraniach; kobiéty wyższe nad stan niewolniczy, niemogły wystawiać się na takie widowisko; jeżeli szły w pląsy, to chyba gdzieś na ustroniu, pod ojcowską lub mężowską jurtą, i to zawsze w kole samych niewiast.

Po cesarskim balecie zaczęto siadać do biesiady. Ludmiła skorzystała z rozruchu, aby raz jeszcze spytać męża:

— Powiédz mi, — jeśli wolno wiedzieć, — dla czego ten obiór ma być tajemnicą?

— Bo widzisz, tak się stało: dziś rano, Xiąże Kujuk został wybrany niezaprzeczoną większością głosów. Ale według zwyczaju przyjętego między nami, świéżo wybrany musi długo wyma-

wiać się od zaszczytu, i ustępować go kolejno wszystkim starszym lub równym sobie Xiążętom; szczerze czy nieszczerze, tak skromność nakazuje. Xiąże Kujuk wzdragał się ile trzeba, ustępował tronu różnym Xiążętom, którzy go, ma się rozumiéć, nie przyjęli; nakoniec wybąknął zapytanie, czyby nie wypadało poczekać jeszcze na Xięcia Batu? Sądzę że stawiał tę trudność jak i inne, tylko dla zwyczaju, tymczasem najniespodziewaniéj, mnóstwo głosów uznało tę uwagę za słuszną, i powiedziano: «Dobrze, poczekajmy.» Zdaje mi się że to robota Xiężny Siurkukteni i jéj przyjacioł, dla których ta zwłoka jest ostatnią strzałą w kołczanie. Oj! Czy tylko nasza Xiężna Turakina i syn jéj, nie cieszą się za wcześnie? Mądry Batu może lada chwila zjechać i wszystko przemienić. W każdym razie, jak widzisz, nic jeszcze nie zaszło stanowczego. To téż pamiętaj aby o tém nie gadać, bo tylko te sprawy dobrze idą, co chodzą na pilśniowych podeszwach, cichutko. Jeżeli trzeba wybiérać pastwisko, niech radzą pasterze, a bydłu nic do tego.

Takiém zdaniem szczero-tatarskiém Ajdar zamknął swoje zwierzenia. Już to w utrzymaniu sekretów, czy wojennych czy politycznych, nie było mistrzów nad Tatary, i trzeba przyznać że owéj to może wstrzemięźliwości języka, zawdzięczali większą część swoich powodzeń, a nasza dzisiej-

sza dyplomacja, tak chlubiąca się ze sztuki półsłówek i milczenia, powinna-by uznać swój pierwowzór w gabinecie Karakorumskim.

Tymczasem siadano. Kujuk nie będąc jeszcze uznanym, nie mógł wyraźnie zabrać piérwszego miejsca; siedział między Rejentką a Xiężną Siurkukteni. Ogul-Gajmisz, jeszcze nie ogłoszona Cesarzową, musiała siedzieć daléj, na co jéj małe serce wielce się zżymało. Przy niéj Ananda, jeszcze daléj różne starsze głowy, tak że najwyższy stół został obsadzony samemi brylantami piérwszéj wody. Jednakże na estradzie kręciło się jeszcze wiele postaci dodatkowych;—za Kujukiem stali różni dostojnicy, służący mu na wyskoki;—u kolan Turakiny, siedziała na błękitnéj poduszce Fatma, wiotka, światło-oka jak Peri, w złotym kaftaniku, rozprutym na przodzie, pokazującym różową gazową koszulkę, ze sznurami różowych pereł zaplecionemi w czarne włosy; co chwila całowała Rejentkę po spiczastych rękach i patrzyła w nią z pokornem przymileniem, a na tłumy siedzące pod jéj stopami, spoglądała z urągającą dumą.

Za Rejentką stał—oparty o jéj sofkę—Abdurraman, niby uśmiéchnięty ale zamyślony; do ucha często szeptał jéj pochlebstwa, ale jeszcze się częściéj zwracał w stronę Kujuka, i kadząc mu naj-

korniejszemi słowami, usiłował wyczytać swoją przyszłość z oczu przyszłego Chaana; a Kujuk uśmiéchał się tak dwuznacznie, że ministra ognie przechodziły.

Przy drugorzędnych stołach siedziały także same xiążęce głowy, ale już rozmaitéj wartości; to téż tutaj Daniszmend gospodarzył, wskazując miejsca, stopniowane według jego doświadczonéj nauki.

Najniżéj, wszyscy siadali pomieszani, gdzie kto chciał i jak mógł, ze swobodą Kuryłtajową.

Ajdar chcąc żonie zrobić przyjemność, upatrzył dla niéj miejsce obok małéj siedmioletniéj dziewczynki, która kiwała nóżkami siedząc na porcelanowéj baryłce.

— Tu—rzekł—będzie ci miło, koło Xiężniczki Cyryny, gdyż ona ma na szyi krzyżyk. To jest córka Xięcia Mangu, a wnuczka Xiężny Siurkukteni.

— Ach! Zkąd-że ten krzyżyk na jéj szyi?

— Bo jéj matka także modli się do krzyża. O patrz, to ta piękna niewiasta co tam wyżéj siedzi. Xiąże Mangu niezmiernie ją kocha, tak jak ja ciebie. Widać że krzyż daje miłość.

Branka uśmiéchnęła się do męża za te wyrazy, w których niechcący zamknął taką wielką prawdę, potém zwróciła oczy na swoją sąsiadeczkę. Cyryna miała chałacik biały wyszywany zielono, i mnóstwo drobnych warkoczyków, przy których wisiały srebrne i złote bąbelki.

Ludmiła badała ją nieznacznie, łagodnie, czy téż choć cośkolwiek zna z religji, czy wié o dobrym Jezusie co kochał małe dzieci?

Cyryna milczała i wytrzészczała na nią skośne oczka. Nakoniec rzekła:

— Dajże mi pokój, — mnie się tak okropnie chce jeść. A! Przecie wnoszą!

I klasnęła w rączki.

Rzeczywiście wnoszono misy, a na nich końskie mięso pokrajane w cieniuchne taśmy. I żadnego innego, tylko samo końskie. Była to wielka radość a razem wielki zbytek, za który więcéj podziwiano Xiężnę Turakinę niż za namioty axamitne i szkarłatne ubiory. Tamto wszystko pochodziło z łupów, z danin, — to nie sztuka. Tu, wypadło poświęcić całą niemal stadninę, rzecz dla Tatara najdroższą. Ileż musiano zarznąć koni, aby obdzielić takie zgromadzenie!

Prawda że według naszych pojęć, jadło wypadało bardzo skąpo; stawiano jedną misę na kilkadziesiąt osób, z których każda brała tylko jedną

taśmę, i spożywając powoli, smakowicie, była najzupełniéj zadowoloną.

Co dziwniejsze: na tém jedném, jedyném daniu, skończyła się cała *jedzalna* część biesiady. Ludmiła wspominając niesłychaną mnogość potraw zastawianych w jéj kraju dla gości, niemogła wyjść z podziwienia.

Wstrzemięźliwość plemion Mongolskich w pokarmach, była, i do dziś dnia jest jeszcze, podziwem a zarazem i męczarnią podróżnych, którzy tam czują się wiecznie głodni, i jacyś upokorzeni, bo gorszą krajowców swoim nigdy niedokarmionym apetytem. Kiedy już Tatar jest zupełnie syty, cudzoziemcowi się wydaje że połknął dopiéro przedwstępną przekąskę. A i połknąć ją niezawsze łatwo, bo jakaż bywa nieponętna!

Ludmiła nie ściągnęła ręki do misy; nie smakowało jéj to mięso mdłe, ledwie trochę podpieczone i nie dość osolone. A przytém, jakżeż tu jeść bez noża ani serwety, siedząc w pięknem ubraniu?

Wprawdzie przy najwyższym stole, były małe, złote szpikulczyki, któremi głowy koronne przeszpilały mięsiwo, i dopiéro tak nadzianą wstęgę powoli do ust wpuszczały. Ale przy stołach ogólnych nie bawiono się w podobne sztuki. Tam wszyscy na wyścigi chwytali taśmy rękami, cią-

gnęli je, rwali w zębach, a ręce obciérali gdzie się dało, czy o szkarłatną suknię, czy o złotą sofę. Cóż to? Czy nie są panami świata? Czy nie mogą codzień miéć nowéj sofy i sukni?

Wykwintna Europejka niemogła patrzéć na tę wilczą biesiadę. Przymrużyła oczy i myślą odbiegła daleko. Nie trudno jéj to przyszło; już od samego początku spoglądała na wszystko z roztargnieniem, z przymusem, a duszą była przy Elżbiecie i Posłach od Papieża. Wiadomość o ich przyjeździe, myśl że ich niedługo zobaczy, napełniała ją tak wielkiém szczęściem, że wyraz tego szczęścia mimowiednie promieniował z jéj twarzy, ruchów, i całéj osoby. Od opuszczenia kraju, nigdy jeszcze nie wyglądała równie wesoło i swobodnie.

Ajdar inaczéj sobie wytłumaczył tę radość. Siedział on po drugiéj stronie Ludmiły, jedząc jak mógł najprzyzwoiciéj, a nie spuszczał jéj z oka.

— Cieszy mię to — mówił — że ty się tak cieszysz naszym Kuryłtajem, i cenisz łaskę Chatun co cię tu przypuściły. No, przyznaj sama: wszak nigdy nie widziałaś, nawet sobie nie wystawiałaś nic podobnego? Nieprawdaż?

— Mylisz się Ajdarze. — Odrzekła draśnięta branka.—Ja w téj chwili wcale nie myślałam ani o Kuryłtaju, ani o Chatunach. Inny jest powód mojéj wesołości. Wystaw sobie, dowiedziałam się że przyjechali Posłowie z naszych stron, a między

niemi jest kapłan z mojego kraju, dawny mój znajomy, co widział drogie mi osoby.

Ajdar zmarszczył brwi, spojrzał na nią ze zdumieniem i niezadowoleniem. Nie pojmował, jak istota co ma szczęście znajdować się między panami świata, i to w najuroczystszéj chwili, może jeszcze myśléć o czém inném? Jak istota, co ma zaszczyt być jego małżonką, może jeszcze tęsknić za czém albo za kim?

Zachmurzył się i zobojętniał.

W innéj porze, Ludmiła nie byłaby zważała na tę chmurę, pewna że jak tylko zechce, przywróci pogodę. Ale dziś trwożył ją najmniejszy obłoczek. O! Bo ona właśnie dziś, właśnie w téj chwili, usnuła wielki zamiar: przyszło jéj na myśl, czy Braciszek Benedykt nie zdoła nakoniec nawrócić Ajdara? Ona biédna, nieświadoma kobiéta, nie umiała wziąć się do rzeczy, to widoczne; ale Xiądz, to przecie człowiek na xięgach uczony, boskich sekretów świadomy, to więcéj prawie niż człowiek,—on wszystko wié, wszystko potrafi, kilkoma słowami przekona Ajdara.

Tak,—lecz aby przyszła owieczka nie uciekła, trzeba ją utrzymać na różowéj wstążce.

Nastroiła więc najróżowszy wyraz twarzy.

— No, jednak — rzekła — muszę przyznać że Kuryłtaj przepyszny, byłabym chyba ślepa gdybym nie widziała jakie tu wszystko piękne i bogate. Ale gdybyś mi się spytał, co ja tu znaj-

duję najpiękniejszém, tobym ci może nie odpowiedziała.

— Co? Co takiego? — Podchwycił zaciekawiony.—Dla czego niémasz powiedzieć? Co takiego? No, powiédz.....

— Chcesz koniecznie? Więc powiem: Behadyr Ajdar.

— Doprawdy? Doprawdy?—Zawołał z radością nieśmiałą, niedowierzającą.

Ona sama zapłonęła rumieńcem, wstydząc się już słów zakrawających na obłudę. Jednak te słowa nie były zupełnym fałszem; zapewne, w Europie, wpośród Chrześcjan, Ajdar wydał-by jéj się ostatnim; tutaj, w *tém* towarzystwie, niezaprzeczenie był dla niéj najpierwszym.

Z kłopotliwego milczenia jakie między niemi nastało, wybawiła ją zaczepka sąsiadki. Cyryna długo nadgryzała z rozkoszą swój beefstyczek stepowy, a ten widocznie przywrócił jéj wesołość, bo ledwie skończyła, trochę wytarłszy rączki o jedwabny obrus, chwyciła suknie Ludmiły, i zaczęła pytać szczebiotliwie:

— A z czego to zrobione? A gdzie to kupione? A to, czy kupne czy z wojny? A kto to przywiózł?

Nie było końca natrętnym badaniom.

Nagle umilkła, zdziwiona ogólną ciszą. W całym namiocie ustały rozmowy, wszyscy nadsłuchiwali. Zdaleka brzmiał śpiéw religijny, chóralny, który Ludmile przypomniał się, jakby już gdzieś słyszany. Gościom zabłyszczały oczy, cieszyli się i szeptali:

— O, już idą! Już idą!

Kilku Podczaszych rozsunęło w namiocie zapony, za któremi ukazał się rodzaj ogromnéj alkowy; tam na pułkach amfiteatralnie spiętrzonych, stały stągwie, kociołki i konwie, wszystkie napełnione kumysem.

Wschodniemi drzwiami weszli z wielką pompą xięża Nestorjańscy, w złocistych, okrągło wiéwających ubiorach, z xięgami niesionemi przez djakonów. Ci, stanąwszy przed alkową, roztworzyli xięgi; kapłanie z nich śpiéwali po Syryjsku, przyczém wyciągnąwszy ręce, błogosławili stągwie, kociołki i konwie.

Przez ten czas, wszyscy widzowie wyznający Nestorjanizm, poupadali na ziemię. Xiężna Siurkukteni, uwięziona w swojéj ciasnéj sofie, o stół tylko uderzała czołem, ale z wielką skruchą, a Cyryna główką biła o kobierzec tak zawzięcie, że aż wszystkie jéj bąbelki grały.

Prześpiéwawszy, kapłanie rozpierzchli się, i pousiadali przy stołach.

Za chwilę, weszło grono duchownych Mahometańskich, z xięgami na głowie, z pantoflami w ręku. Ci się najkrócéj sprawili. Podczas ich węzłowatego błogosławieństwa, Muzułmanie wszyscy stali złamani we dwoje, z rękami na piersiach złożonemi,—poczém Abdurraman zeszedł z estrady i zaprosił Imamów do uczty.

Jeszcze nie zdążyli usiąść, już do namiotu wchodzi długi, jasny szereg Lamów. Na wielki podziw Ludmiły, sznury z węzełkami, podobne do różańców, snują się w ich ręku, mitry podobne do biskupich złocą się na ich głowie. Pomyślała sobie:

— Pewnie ich Nestorjanie nauczyli niektórych naszych tajemnic, ale po cudacku, bo i sami, jak to kacerze, wszystko robią opacznie.

Lamowie siadłszy na ziemi przed alkową, z małych xiążeczek przeczytali w niezrozumiałym języku wpół szeptaną modlitwę, a tymczasem wszyscy Buddyści w namiocie klękli, powtarzając bardzo nabożnie jakieś dziwne wyrazy.

Kiedy Lamowie skończyli, na ich twarzach, dotąd pełnych namaszczenia, zakwitł miły, towarzyski uśmiéch, z którym bardzo uprzejmie zasiedli za stołami.

Tymczasem u progów namiotu, wielka wrzawa i łoskot. Wchodzą Szamanie w swoich ogromnych kołpakach przewiązanych pąsowemi wstęgami, w swoich ogromnych włosach rozwichrzonych jak czarne grzywy. Przed każdym z nich idzie tak zwany Pół-szaman, czyli uczeń kapłana; ten niesie przed mistrzem laskę okręconą rzemykami, zakończoną iskrzącym pękiem dzwonków, któremi w takt potrząsa.

Szamanie podnieśli chude ręce, krzyczą w niebogłosy, wywołują imiona stu, dwustu, trzystu Duchów, laskami skórzanemi dotykają stągwi, kociołków i konewek. Potém, ci w lewo, ci wprawo, jak słupy odwrócili się, i dalej-że za stoły.

Podczas wszystkich tych modłów, panowała w namiocie budująca powaga. Niektórzy tylko Chińczycy uśmiéchali się scyzorykowym uśmiészkiem racjonalistów, a Muzułmanie marszczyli brwi na obcych sobie kapłanów, ale wszyscy inni, zwłaszcza rodowici Mongołowie, wzdychali żarliwie.

Sam Kujuk ani razu się nie uśmiéchnął, owszem, przy *każdém* błogosławieństwie schylał głowę z uszanowaniem.

I my się nie śmiejmy. Ta uroczystość miała mistyczne, wzruszające źródło. Prawie wszystkie narody starożytne święciły jakąś *ucztę religijną;* był to znak braterstwa, dziękczynny hołd niebu, a może i pocieszające przeczucie tajemnicy Stołu Pańskiego. Wiele już nawet z pomiędzy owych ludów, używało chleba i wina za godła podwójnego życia. Wszak i owa cześć Bachusa, późniéj tyle osławiona, tyle nadużyta, była pierwotnie wspaniałym, nabożnym obrządkiem?

Ludy północnéj Azji, nie siejące ziarna, nie hodujące winogradu, zamknęły cały symbolizm swojéj uczty w *kumysie.* Bo téż kumys był dobrodziejstwem stepu, dziwem trzykroć błogosławioném.

Kiedy braknie wody, on gasi pragnienie. Kiedy braknie mięsa, on zwycięża głód. Inne wszelkie napoje są tylko napojami, kumys jest i pokarmem; dzięki to jego cudownéj posilności, mieszkaniec pustyni może się obywać małém, prawie niczém. Piérwsze błogosławieństwo.

Co więcéj, kumys rozgrzéwa zmarzłe członki, rozpogadza zachmurzony umysł, w tajemniczéj godzinie upojenia daje przedsmak jaśniejszego życia. Drugie błogosławieństwo.

Nakoniec, kumys pomaga na rozliczne choroby, wypędza złe Duchy, boć i choroba nie jest niczém inném tylko szkodnym Duchem, który chce w człowieku gospodarzyć? Trzecie błogosławieństwo.

Więc pijmy kumys, aby ciało pokrzepić, myśli rozweselić, i od złych Duchów się opędzić, a ile razy go pić mamy, pierwéj podziękujmy wielkiemu Bogu i wszystkim dobrym Duchom, i wyprośmy sobie ich błogosławieństwo na przyszłość.

I tak téż czynili, a chcąc temu błogosławieństwu nadać jak najwięcéj mocy i skuteczności, wzywali kapłanów, nietylko swoich, ale i wszystkich innych, ilu ich tylko mogli nasprowadzać, bo jak mówi śliczne Tatarskie przysłowie:

«Dobrodziejów nigdy za wiele.»

Teraz dopiéro zaczęła się prawdziwa uczta Najstarszy Podczaszy wziął dzbanek złoty, cudownie wyrobiony, zaczerpnął weń kumysu, wszedł na wyniesienie, i napełniwszy agatową czarę, podał ją na klęczkach Kujukowi.

Kiedy Xiąże do ust ją przytykał, trąby znów zagrzmiały tryumfalną fanfarą, a podczas gdy powoli popijał, jeden z Tolholosów siadł na stopniach estrady, i zaśpiéwał pieśń hardą, twardą, porywającą dla tamtejszych słuchaczy. Opiéwał wojny w których Kujuk się odznaczył, najprzód boje

w Chinach, w Tangucie i Persji; potém przyszła koléj na Węgry, ach! przyszła strofa i dla Polski. Wprawdzie trudno było wszystko dobrze słyszéć, bo goście zelektryzowani wstawali, rzucali wykrzyki, zaglądali jedni przez ramiona drugich, a właśnie przy owéj okropnéj strofie, Ajdar, czy to przypadkiem, czy umyślnie, zaczął dziwnie głośno rozmawiać z sąsiadami; Ludmiła więc nie zrozumiała wszystkiego, jednak ją doleciało wspomnieo *kraju Polo*, doleciał ją wyraźnie wiersz opowiadający, jak

«Nędzne Krakowo stanęło w płomieniach.»

Wtedy, krew się w niéj zagotowała. Już, tracąc przytomność wpół się podniosła, już miała uciekać krzycząc: «Po co wy mię tu sprowadzacie? Po co mi każecie słuchać tych wrzasków urągania?»—Kiedy Ajdar, może ostrzeżony szelestem jéj sukni, obejrzał się i przykuł ją spojrzeniem obwijającém, tkliwém, nieledwie błagalném. Siadła znów, i tylko białą piąstką bijąc w stół gorączkowo, zataczała błędne spojrzenie; wzrok jéj zatrzymał się na górnéj estradzie, na Turakinie rozwalonéj buńczucznie, na Xiężnie Siurkukteni noszącéj głowę po cesarsku.

— Szczęśliwe!—Pomyślała.—One jak i ja poszły w jassyr, ale teraz przynajmniéj trzymają oto w ręku losy swoich panów, rzucają niemi jak piłkami. Nawet i ta Fatma szczęśliwa; ona niby słu-

ży, a wszystkim po głowach depce. Ha! Szczęśliwe bo mądre.

I przyszło jéj na myśl czyby nie było dobrze, czyby zwłaszcza nie było przyjemnie, porzucić stanowisko widza, i wdać się czynnie w ten dramat który pała przed nią, pochwycić jaką nitkę z téj sieci intryg co się snuje w koło niéj? Czyż to niemożebne? Xiężna Siurkukteni lubi ją niezmiernie, można zajść daleko w jéj łaskach. Niejeden gra w kości dla zabicia nudów, czemużby nie spróbować téj gry w żywych ludzi? Zapełniły-by się pustki wygnańczego życia, stanął-by cel jakiś dla bezbarwnéj przyszłości. O! Gdyby to można kiedyś osiągnąć czy jawną czy utajoną władzę, zawichrzyć całe państwo, szczuć jednych na drugich, i widzieć jak się pożérają!

Nieśmiertelny posąg Konrada Wallenroda jeszcze wonczas nie istniał, — nazwanie «Wallenrodyzmu» czy «Wallenrodyczności» jeszcze nie zostało ukute pod młotem Juljuszowym, ale idea już istniała, przechodziła przez niejedną niewolniczą głowę. Teraz przesunęła się i przed Ludmiłą, zostawiając wyziewy dymne, siarczyste, któremi branka napawała się z niezdrową rozkoszą.

Tymczasem pieśniarz skończył. Roznoszono dla wszystkich pieniący się kumys, i nietylko sam kumys ale i różne inne trunki, tarassun, arrakę, na-

wet zdaleka przywożone wina; wszystkie te napoje, choć nie poświęcane, znajdowały wielu zwolenników.

Przy kubkach, rozruszali się goście, porozwiązywały się usta. A rozmowy toczono nie o samych bojach albo strojach, ale i o piękniejszych, poważnych przedmiotach.

Taka właśnie rozmowa brzmiała przy stole Xięcia Mangu, stojącym prosto naprzeciw Ludmiły, a przy którym siedzieli sami prawie duchowni, z jednéj strony Lamowie, z drugiéj Nestorjanie. Mangu najwyżéj cenił te dwa wyznania, i tak równo swoje łaski pomiędzy nie rozdzielał, że każda strona uważała go już na wpół za swojego. Zadumliwy i małomowny, lubił niezmiernie dysputy religijne; sam się ze zdaniem nie odzywał, tylko zręcznemi słówkami podżegał przeciwników, i zawsze czekał przy kim «zostanie prawda?» Tymczasem, jak to zwykle bywa w namiętnéj dyspucie, prawda rozłamywała się na cząstki, spadające to z téj to z tamtéj strony. Szła rozprawa o grzechu i pokucie; mówili dobre rzeczy Nestorjanie, ale mówili bardzo dobre i Lamowie, témbardziéj że między niemi siedział Tybetańczyk Namo, człowiek niezmiernie uczony, cnotliwy,

i sławny z wymowy, słodszéj od miodu, płynniejszéj od mléka.

Na dźwięk jego głosu, obrócił się w tę stronę, niedaleko siedzący Xiąże Kubilaj, przy którego stole wszystkie miejsca zajmowali sami prawie Chińczycy, bo Kubilaj był na zabój rozkochany w cywilizacji Chińskiéj, wstydził się ciemnoty Mongołów, i marzył tylko o ich oświeceniu. Tatarzy nawet oskarżali go po cichu, że jest całą duszą Chińczykiem. Za to Mandarynowie garnęli się do niego jak do gwiazdy zbawienia. On, zawsze otoczony uczonemi, kształcił swój umysł na ich xięgach i rozmowach, a swoje obyczaje na ich wytwornem obejściu. Teraz oto, siedział nie na sofie, ale na krzesełku, pod które co chwila mimowoli podwijał nogi. Stół téż jego wyróżniał się jeszcze pewnym szczegółem nadzwyczajnym: przy tym jednym stole roznoszono śliczne malowane miseczki, pełne ziarenek białych, podługowatych, które Chińczycy z niepojętą zręcznością wyławiali kościanemi patyczkami.

W téj chwili Kubilaj, wysłuchawszy uważnie długiéj przemowy Nama brzmiącéj przy drugim stole, zwrócił się do Mandaryna Yao-Szu, najmilszego sobie mędrca, i rzekł z uniesieniem:

— Wielki człowiek, ten blady Namo! Kiedy mówi, to jakbyś pił kumys, w piersiach się uspakaja, a w głowie się aż kręci. Niéma co gadać, wielki człowiek!

— Jakto, wielki człowiek? — Odparł z kwaskowatym uśmiéchem Yao-Szu, który między swojemi uchodził za jeszcze większego człowieka.

— Jakże być może wielkim, ten co nie wypełnia żadnych obowiązków? Bo przecież monarchja buduje się na wzajemnych obowiązkach? Ten człowiek, urodzony gdzieś w obczyźnie, opuścił swój dom, i tułając się z kraju do kraju, żyjąc z jałmużny, niemoże spełniać najważniejszéj powinności, nie wyżywia ojca ani matki. Od małżeństwa się uwolnił, to bardzo wygodnie, ale cóż? Nie zna obowiązków męża ani ojca. A jak on wygląda? Łeb zgolony, suknia rozmamana, — czy to porządny człowiek tak się przedstawia głowom koronowanym? A jak siedzi? Na piętach przykucnął, i to w obec tylu głów siwych! Ten człowiek nie ma pojęcia o czci należnéj starości.

Kubilaj wpatrywał się w Yao-szu jak w tęczę; całą duszą chciał pochwycić głębokie rozumowania mistrza, a przytém z pod oka spoglądał, jak téż to ów mistrz wyławia patyczkiem ziarenka, bo dotąd w téj sztuce niemógł nabyć wprawy.

— Co to oni tam jedzą? — Ludmiła zapytała męża.

— Ryż.

— Co to jest ryż? Czy to dobre?

— Tak sobie, trochę lepsze od piasku. Może chcesz skosztować? Ty jak ptaszek ani jész

ani pijesz, może jak ptaszkowi trzeba ci ziareczek?

— Ach, nie rób-że sobie kłopotu!—Zawołała, ale on już stał przy stole Kubilaja, zkąd zaraz jeden z Mandarynów powstał, uradowany że komuś może służyć narodową potrawą, — posunął się ku Ludmile krokiem wymierzonym, z pięcioma ukłonami, i wypaliwszy okrągły komplement, ofiarował miseczkę i patyczki. Z tych ostatnich nie mogła korzystać, nie była wprawniejszą od Xięcia Kubilaja. Na szczęście miała pod chałatem złotą Europejską łyżeczkę, znalezioną między łupami Ajdara, którą przezornie nosiła zawsze na Tatarskie uczty.

Ryż jéj się wydał wybornym, témbardziéj że był dobrze okraszony tłuszczem baranim i mocno posolony. Miała ochotę poczęstować swoją sąsiadeczkę, ale obejrzawszy się, już jéj nie znalazła; dziecko znużone przydługiém siedzeniem, wyruszyło na wędrówkę po namiocie, i jakby czółnko tkackie biegało nieustannie od matki do babki, zsuwając się ze śmiéchem po wyniosłych stopniach.

Tymczasem czary krążyły coraz gęściéj, a ile razy Kujuk wypijał nowy puhar, tyle razy trąby się odzywały i nowy śpiéwak występował z pie-

śnią. Treść tych pieśni coraz nowe przybiérała kształty; był hymn gromowy na cześć boskiego Dżyngischana; ktoś inny wysławiał wspaniałość i hojność Turakiny, jeszcze inny wspomniał zasługi Ogotaja, aż zaczęto nucić i stare pieśni Mongolskie, coraz dziksze, coraz osobliwsze.

Ludmiła nie mogła dobrze dosłyszéć ani dopatrzéć śpiéwających; tłum zasłaniał jéj głąb' sali, pokrywał dźwięki piorunami oklasków i okrzyków; patryjotyzm Tatarski wybuchał zawrotnie. Ach, i jakże się dziwić? Któryżby naród nie uległ zawrotowi, podesławszy prawie cały świat pod swoje nogi?

Branka dokończała właśnie ostatnich ziarnek ryżu, kiedy jeden z Tolholosów, przechodząc, pozdrowił Ajdara:

— A! Wszelkiego szczęścia Behadyrze!

— I tobie także ojcze. A cóż się to znaczy, że jeszcze dziś nam nie śpiéwałeś? Chyba nie chcesz drugich zawstydzać, boś ty przecie między niemi piérwszy, ludzie o tém wiedzą od Amuru do Wołgi.

— O czém tu śpiéwać?—Odrzekł poeta, który miał twarz myślącą, a przytém niezmiernie ruchliwą i wrażliwą, jakby mu żywe srebro biło w żyłach.

— O czém tu śpiéwać? Już wszystko wyśpiéwane. Step, wojna, zwycięztwo, i znowu zwycięztwo i wojna i step, zawsze to samo jak w modlitwie Lamów. O! Gdyby można polować na piosenki, jak na łosie lub na łabędzie! Ale myśliwy chodzi i chodzi, a zwierzyna ucieka. Czasem słyszę..... lecą wysoko — piosenki cudowne, jakich nikt nie słyszał..... Ale kiedy chcę je ująć, ubić jakby łukiem, pochwycić, oho! już ich niéma..... za wysoko..... za wysoko.....

Tolholos należał widocznie do szkoły nowatorów, którym przeszłość już nie wystarcza, którzy chcieliby nieznany dotąd kierunek nadać swemu wiekowi, i męczą się tęskniąc za owém *nieznanem*, co dla ich genjuszu już na wpół się odsłania.

Ajdar zdziwiony tą skargą, dość dla niego ciemną, łamał sobie głowę nad jaką piękną odpowiedzią, kiedy przyskoczył do niego stary jenerał Czebe, ogromne ręce położył mu na ramionach i krzyczał:

— A przecie jesteś, zaczarowany Terchanie! Ty tu siedzisz między niewiastami jakby jaki młodzik, a my cię szukamy i szukamy. Chodź-że do stołu wodzów, jest nas tam z piędziesięciu, samych Behadyrów i Nojanów. Już Subutaj rozesłał niewolników za tobą, i zapowiedział że każe im oczy wyłupić jeśli cię nie dojrzą.

— Dobrze, idę, idę. — Rzekł śmiejąc się Ajdar, i szepnąwszy Ludmile:

— Baw się tu, ja wrócę.

Zginął wśród natłoku.

Niełatwo było «bawić się» Ludmile, pozbawionéj z obu stron sąsiedztwa. Przecież, bardzo prędko znalazła towarzystwo. Tolholos przyjrzał jéj się uważniéj, a zobaczywszy że piękna, i to pięknością niezwyczajną, — lubił zaś jak wiemy wszystko co niezwyczajne, — siadł na miejscu opuszczoném przez Ajdara, i spytał:

— Chatuna nie tutejsza?

Chatuną ją nazywał na wszelki wypadek, albo może uznając xiążęcość jéj wdzięków.

— Mój mąż, to Behadyr Ajdar, ten co odszedł, a ja sama jestem ze stron bardzo dalekich, jak wy mówicie «z pod nieba zachodniego.»

— A! Doprawdy? I jakżeż to tam jest, pod tém niebem?

Pytającemu oczy się zaiskrzyły. Poeci są zawsze ciekawi nowości, zwłaszcza owych rzeczy dalekich, tajemniczych, w których wyobraźnia znajduje świeżą pastwę.

Branka zaczęła opowiadać o cudach nieba zachodniego, o katedrach z tęczowemi oknami, gdzie modlą się jasnowłose królowe, o zamkach z wieżami, gdzie świécą rycerze okuci w srebrną

łuskę, o cudownych Processjach i pysznych Turniejach, a choć jeszcze z niejaką trudnością wyrażała się po Mongolsku, przecież tą razą słowa same do ust jéj płynęły, tak ją porywał zapał drogich wspomnień, tak się cieszyła że może je komuś rozpowiadać.

Na twarzy słuchacza malował się czasem podziw, a czasem niedowierzanie.

— Ale już co Tolholosów to pewno nie macie?

— A jakże,—i jakich!

— Doprawdy? I także chodzą z bałabajką?

— Nie, u nas noszą narzędzie które zwiemy lutnią. Bałabajka ma tylko trzy struny, lutnia daleko więcéj, i dźwięk daleko milszy.

— I o czém-że u was śpiéwają?

— Prawie zawsze o piękności i cnotach niewiast, lub o stałości rycerzy, którzy ślubują wiarę jednéj, tylko jednéj.

Tolholos się zadumał. Potém podniósł głowę, zapytując:

— Ale jednak tu piękniéj?

— O nie! Przynajmniéj nie dla mnie. Wszystko najpiękniejsze dla człowieka tam gdzie się urodził. Wy tego nie rozumiécie.....

— Owszem, rozumiém. I mnie byłoby smutno, gdyby mi kazano żyć w tych waszych kamiennych miastach. Tu się oddycha całemi piersiami. I Chatuna to kiedyś zrozumié, tylko jeszcze nie przywykła.

— Trudno będzie przywyknąć, tu wszystko takie inne! A najprzód, po co to ciągłe koczowanie? Powiédzcie mi..... ja już nieraz chciałam się kogo spytać, dla czego ludzie tutejsi nigdy nie mogą na miejscu usiedzieć, tylko wiecznie się kołaczą jakby czegoś szukali?

— A no, bo na miejscu nudno. Jakże tu codzień patrzéć na to samo? Przytém trzody..... trzeba świéżéj paszy.

— Ale czyż to człowiekowi Bóg dał tylko trzody? Przecież może uprawiać ziemię? To taka piękna i wdzięczna robota! A jeżeli nie, to już lepiéj choćby towary karawanami wozić, albo po morzach żeglować. A wy nic, — od urodzenia do śmierci tułacie się bez celu, jakby jacy wygnańcy. Dla czego to?

— Prawda Chatuno, mnie jeszcze nigdy na myśl nie przyszło: dla czego? A to jednak pytanie, i ciekawe. Nad tém warto podumać. Możnaby nawet o tém piosenkę ułożyć. To byłoby nowe.

Tu znowu głowę spuścił i zamyślił się mocno.

W téj chwili milczenia, zdyszana Cyrynka stanęła przed Ludmiłą wołając:

— Chodź, chodź, babka cię woła.

— Gdzie? Kto taki?

— Chodź-że, moja babunia kazała cię przyprowadzić do siebie, tam wysoko.

I ciągnęła ją za suknię. Po chwili wahania, Ludmiła musiała wstać i pójść za dzieckiem, które ją wiodło przez tłok, między stołami; potém zaczęły wstępować na wyniesienia; rozkosznie się szło po tych stopniach, które już nie były wysłane białą pilśnią, ale błamami gronostajów.

Stanęła nakoniec na szczycie, przed Xiężną Siurkukteni. Ta, zwróciwszy do niéj uśmiéchnięte oblicze, i własną ręką podając kubeczek pełen tarassunu, rzekła:

— A! Jesteś moja śliczna. Weź to i wypij dla miłości mojéj.

Ludmiła wziąwszy kubek skłoniła się głęboko, i chciała zejść napowrót, ale Xiężna ją ujęła za ramię.

— Postój tu przy mnie; ja tak lubię z tobą rozmawiać.

I zaczęła się wypytywać o biesiady królów Chrześcjańskich. Ludmiła w treściwych słowach podała jéj obrazek uczty widzianéj w Krakowie, ze stu potrawami o różnokolorowych sosach, ze słodyczami złotych wetów, i przysięgą na pawia.

Ale Kujuk nie długo przwolił im się cieszyć powiastkami Zachodu. Kujuk chciał sam jeden zagarnąć uwagę «mądréj Xiężny»; niecierpliwił się, ile razy do kogo innego przemówiła. W tém zajęciu było niezawodnie dużo polityczněj rachuby, ale było téż i wiele nieudanego rozkochania

Chwilami, gniéwał się na swoją słabość. Dobrze on pamiętał że Siurkukteni już go raz odmówiła; przekonany był że dziś w Kurytaju, ona przeciw niemu porusza niebo i ziemię, a jednak ulegał jéj czarowi, i wciąż jeszcze pieścił się nadzieją tryumfu. Wszystkie inne kobiéty go nudziły, bo wiedział że na piérwsze jego skinienie staną rozpromienione i posłuszne; ta jedna, taka trudna, a może niepodobna do zdobycia, miała dla niego prawdziwą wartość i ponętę. Patrząc na nią, słuchając jéj, zapominał nawet o kumysie, którego czasze stały przed nim długo niewypróżnione.

Te cesarskie zaloty były tak widoczne, że Xiężna Ogul-Gajmisz gryzła wargi, i trącając siedzącą obok siebie Anandę, mówiła:

— Patrz, jak go zawojowała! A jednak to tylko branka, wzięta na wojnie razem z pięknemi końmi i kobiercami. I ta dzisiaj zabiéra piérwsze miejsce, moje miejsce!

— A tamta?—Odparła Ananda wskazując Rejentkę.—Jego miła matunia, czy lepsza? Jeszcze mniéj warta. Ona nie wyszła nawet z królewskiego domu, a teraz wszystkich dusi, podczas kiedy my, wolne, czystéj krwi Mongołki, musimy połykać łzy upokorzenia. O! Gdyby władza była w mojém ręku, wszystko by się zmieniło. Wydała-bym prawo, że nie wolno branki wojennéj brać za żonę

ani sadzać na tronie. Wszystkie mają być niewolnicami, nam służyć, i nic więcéj.

Gajmisz uśmiéchnęła się z zadowoleniem, a po chwili spytała:

— Ale cóż-byś zrobiła z temi co już są wysoko?

— Co? Krótka sprawa. Wyrzucić. Potopić.

— Dobrze mówisz Anando, potopić. Zaszyć w worek albo zawinąć w czarny wojłok, i chlust do Orchonu. A my na brzegu stoimy i śmiejemy się, nieprawdaż?

Tak te dwie niewiasty, nienawidzące się, i nie bez powodu, bo Gajmisz wydarła berło Anandzie, chwilowo się zgadzały w jeszcze ogólniejszéj nienawiści. A zapalczywość uniosła je tak daleko, że gadały i śmiały się coraz głośniéj.

Ludmiła odsunęła się z bojaźnią, i spojrzała na Xiężnę Siurkukteni, chcąc wyczytać z jéj twarzy, czy téż i ona to wszystko słyszała? Ale z téj twarzy zagadkowéj niemożna było nic wyczytać. Xiężna jak zawsze, uśmiéchała się istném słońcem łaski. Za to Xiąże Mangu, który przed chwilą przyszedł do niéj z jakiémś zwierzeniem, pobladł i szepnął:

— Słyszysz matko? Jeśli kiedy dojdę do władzy, popamiętam im tę rozmowę.

Matka spojrzała w niego bystro, palec oparła na ustach, potém zwróciła się do stołu, i obiegłszy wszystkich czarownem spojrzeniem, zapytała:

— O czém to tak wesoło mówiłyście Chatuny?

Tamte dwie zamilkły, a na drugim końcu, Xiężna Muga, jedna ze wdów po Ogotaju, zawołała:

— Ja tu właśnie opowiadam, jakie szalone szczęście miał we wszystkiém nasz nieboszczyk Chaan. Kiedyś, wracaliśmy z łowów, konno, licznie, ale już obdarto, bo po drodze ciągle nas napastowali rozmaici nędzarze. Już co tego to u nas nie zabraknie, a każdy piszczy że głodny, że mu wszystko zabrano, zawsze ta sama piosnka. Niektórzy, mędrsi, niby o nic nie proszą, ale składają nędzne jakieś podarki, na które aż śmiéch bierze. I łaszą się, byle cóś wydrwić. Chaan ze swojém złotém sercem, nie umiał odprawić nikogo bez upominku, więc i wtedy rozdał już wszystkie bałysze z worków jakie za nim wożono, rozdał nawet klejnoty jakie miał na sobie. Już byliśmy blizko domu, kiedy zjawia się jeszcze jeden obdartus, i ofiaruje nam co? Trzy melony! Chaan spojrzał po workach, po dworzanach, po sobie, nigdzie już nic niéma. Więc obraca się do mnie i mówi: «Proszę cię, daj mu te perły co masz w uszach.» —Jeśli mam prawdę wyznać, żal mi się zrobiło tych pereł. Tłumaczę, że taki biédak nie pozna się na ich wartości. Przekładam, czyby nie było lepiéj aby przyszedł jutro do pałacu, gdzie będzie można dać mu jadła, odzienia

i pieniędzy? Mój pan ani chce słuchać. «Czy ty myślisz,» mówi, «że człowiek w nędzy może czekać do jutra?» I wciąż nalega: «Dawaj. Te perły są takie piękne, że zobaczysz, one się jeszcze do mnie wrócą.» — W końcu dałam, no, i cóż powiécie? Rzeczywiście, wróciły się. Ów obszarpaniec sprzedał je za bezcen jednemu ze dworzan, który nie miał nic pilniejszego, jak przylecić i ofiarować je Chaanowi. Dostały mi się znowu, i dzisiaj oto mam je w uszach, patrzcie jakie grubulki.

Opowieść xiężny Mugi bardzo się podobała. Daniszmend, pochylony za jéj sofą, wtrącił:

— Kiedy mowa o perłach, czy pamiętacie Chatuny, ową ucztę dla Posłów Perskich?

— Co to było takiego?—Zapytał Kujuk.

— A prawda, Xiąże nie widziałeś téj uczty, bo wtedy właśnie jeździłeś na twoją piérwszą, wojenną wyprawę. Rzecz się tak miała: przyjechało poselstwo z Farsistanu, zanoszące jakąś tam prośbę, a przy niéj, ma się rozumiéć, i dary. Między temi darami były i dwie czarki chryzolitowe, pełne pereł. Perły niezłe, ale znów nie żadne zjawisko, a przytém niewiele, możnaby wszystko ująć we dwie Tatarskie dłonie. Ledwie było na co spojrzéć, a Posłowie myśleli że przywożą cud cudów, bo w Persji perły są rzadkie; to téż schowali je na koniec, odwijali ostrożnie z dziesięciu obsłonek,

a kiedy pokazali, to z taką miną jakby mówili: «Patrzcie-no! Wyście biédacy jeszcze nic równego nie widzieli.» — My wszyscy dworzanie, mieliśmy ochotę za tę minę przepędzić ich przez rózgi, ale Chaan, który miał boski dowcip, inaczéj postąpił. Uśmiéchnął się, i zaprosił ich na wieczerzę.— Pod wieczór, wracają Posły, a raczéj osły, nadęte łaską co ich spotyka, pewne że ich dar stał się największą ozdobą cesarskiego Skarbca.—Przy puharach, niezrównany nasz Chaan każe sobie podać skrzynkę ze *swemi* perłami, temi które już posiadał dawniéj. Była sobie spora, możnaby w niéj roczne dziecko wygodnie ułożyć, a pełna, pełniusieńka pereł rozmaitéj wielkości, jedne jakby groch, inne jak cedrowe orzechy, niektóre doprawdy nieledwie jak Samarkandzkie gruszeczki. Chaan uchyla wieko, i mówi do Podczaszego; «Rozsyp to w puhary dla gości.» Ten téż jak wziął, tak rozsypał wszystko, wszyściutko, aż skrzynkę do góry dnem przewrócił. Posłowie podudzieli, a my patrzymy po sobie, i zaciéramy ręce uwielbiając Chaana. To sztuka, słowa nie powiedziéć, i dać taką nauczkę.

— Prawda. Prawda. — Powtórzyli słuchacze Daniszmenda.

Xiężna Ogul-Gajmisz klasnęła w ręce, krzycząc:

— A to mi potrawa! Czemuż mnie tam nie było? Już nasza Xiężna Turakina nie potrafiła-by nas tak poczęstować, chociaż Tolholosy wychwalają jéj hojność.

— Co to, nie potrafiła? — Odkrzyknie zapérzona Rejentka. —Co to? Czy ja sknéra? Czy dwa dni Kuryłtaju miałyby mię zubożyć?

Tu schyliwszy się, uszczypnęła Fatmę w policzek, i rzekła:

— Pójdź moja kotko, przynieś ten jaspisowy dzbanek, wiész?

Fatma zerwała się, i wionąwszy po schodach, znikła.

Niedługo ujrzano ją wracającą. Niosła na ramieniu rodzaj amfory z jaspisu, nie zbyt wielkiéj, ale po brzegi napełnionéj perłami. Na znak Rejentki, zaczęła w około stołu chodzić, i nalévać a raczéj wsypywać w czary zdrój magiczny.

Xiąże Kujuk wziął tylko jedną perłę, mówiąc:

— Syn nie powinien obdziérać rodzonéj matki.

Xiężna Siurkukteni także wzięła tylko jedną perełkę.

— Ja się nie przymawiałam, — rzekła — biorę jedynie na pamiątkę dnia tego.

Ale inne Xiężne, nie wzdragały się tak wspaniałomyślnie.

Xiężna Gajmisz kazała sobie napełnić czarę nietylko po brzegi, ale jeszcze i z czubem. Perły rozsypując się, spadały ku niższym stołom, gdzie goście łapali je na wyścigi. Powstały śmiéchy, bieganina i wrzawa.

Kujuk rozochocony, wyciągnął swój puhar, Podczaszy przyklęknął i nalał kumysu. Xiąże zwrócił się do Siurkukteni, mówiąc półgłosem:

— Piję za naszą..... zgodę.

I pił. Trąby zabrzmiały. Wszyscy ucichli, czekając jaka nowa pieśń zabrzmi?

Ludmiła spojrzała na dół. Cudownie wyglądał okrąg namiotu, widziany z téj wysokości. Zdawało się że istotnie wszystkie skarby i blaski świata leżą tam zwinięte w jeden pierścień, pod stopami najpotężniejszego z władców. Przebiegając okiem zgromadzenie, dostrzegła i stół wodzów, a przy nim i Ajdara, który właśnie spoglądał na nią, uradowany że ją widzi stojącą tak wysoko.

Szmer nagły zwrócił jéj oczy gdzieindziéj. Z tłumu wychodził, — kto? Niedawna znajomość, ten sam Tolholos, który przed chwilą z nią rozmawiał. Wszedł na kilka stopni, siadł na gronostajach, promienie gasnącego słońca padając przez drzwi zachodnie, otoczyły go czerwoném światłem. Śpiéwak się namyślał, naciągał czarne, długie trzy struny swojego narzędzia, nakoniec zaśpiéwał głosem, którego tony wydały się Ludmile dziwne, bo skaczące po Azjatyckiéj gammie, ale w którym słowa, jako słyszane zbliska, wypukliły się wszystkie jasno i zrozumiale:

Pieśń o Czarnym Chanie i Zaklętéj Szamance.

Pytała mię branka jaśniejsza od słońca,
Zrodzona w krainach gdzie słońce zachodzi,
Dla czego to Mongoł koczuje bez końca?
Dla czego, jak drudzy, nie kupczy na łodzi?
Nie kopie się w ziemi co daje kłos cienki?
I dzieci przed zimnem nie kryje w lepiance?
A ja jéj odrzekłem: Posłuchaj piosenki,
O Chanie nad Chany i pięknéj Szamance.

* * *

Czarny Chan, mocny pan,
Ręce miał krzepkie jak łapy niedźwiedzie—
Głos łomocący jak wóz —
Jak wóz Tatarski co jedzie
Przez miast popalonych gruz.

Gdy łuk napiął z całych sił,
To z Karakorumskich gór,
Trafiał prosto w Chiński Mur.
A jednak,—posępnym był.

Branki mu sprowadzano ze czterech stron ziemi.
Przerażone, kraśniejsze od Bagdadzkich róż,
Czarę mu podawały rękami drżącemi.
On spojrzał raz na każdą—i nie patrzył już.

Złoto się w jego jurcie walało jak pył.
Z czaszki wrogów kumys pił.
A jednak,—ponurym był.

Miał sto królestw—miał sto żon—
Szczero-turkusowy tron—
Ludzie przed nim bili czołem—
Był Chaanem—był Mongołem—
A jednak był smutnym.—On?

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Przyszli do niego potężni Wróżbici.
—«Co ci jest Chanie? Co cię smuci Chanie?
«Mów, a spełnimy każde twe żądanie.»

—«Ach, niewiem co mi się stało?
«Kosztowałem wszystkiego czém się człowiek szczyci,
«Czém się człowiek lubuje, a zawsze mi mało!
«Dajcie mi cóś takiego co mię raz nasyci.

«Cóż ztąd, że łupy same idą mi do ręku?
«Że u stołu mojego stu lenników gości?

«Ni w biesiadnym kubków brzęku,
«Ni w zarżniętych wrogów jęku,
«Ni w prześlicznym branek lęku,
«Nie znalazłem szczęśliwości!

«Cóż ztąd, że mię narody zwą i Lwem, i Gromem?
«W moich piersiach zawsze chłód.
«We wnętrznościach zawsze głód.
«Marzę o czémś nieznajomém.....
«Nienazwaném..... niewiadomém.....
«*TO* mi dajcie! Zróbcie cud!»

—«Bardzo nas przeraziłeś, o potężny Chanie!
«Ciężka twoja choroba, trudne twe żądanie.
«Ale my tobie pomożem.
«Wiemy przez Duchy, że gdzieś po-za *morzem*,
«Na drugim brzegu świętego Bajkału,
«Na śpiéwającéj górze, w głębinach pieczary,
«Czystéj pieczary z kryształu,
«Mieszka Szamanka co zna dziwne czary.

«Zazwyczaj ona, samotna, daleka,
«Mignie jak widmo stepowéj mogiły,
«I nawet nie spojrzawszy, od ludzi ucieka.
«Lecz Duchy nam objawiły,
«Że jeśli komu oczy pokaże łaskawsze,
«Jeżeli umiłuje, to tak nieskończenie,
«Że jedno jéj uściśnienie,
«Uszczęśliwi raz na zawsze.»

—«Sprowadźcież mi ją lotem!»

—«A gdyby niechciała?»

—«To weźcie moje wojska, sprowadźcie przemocą.»

. . . . . .

Pojechali, — przepadli. — Mija wiosna cała,
Mija lato. — Chan czeka, — czeka dniem i nocą.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Aż pewnego poranka,
Ktoś na drobném czółenku,
Pędzi, pędzi, i wieje białą chustą w ręku.
Ach biała, wszak to dobréj nowiny posłanka?

Jest nowina! Jest goniec!
I męczarniom jest koniec!
Znaleziona Szamanka!

—«O Chanie! Ja ich wszystkich wyprzedziłem w biegu,
«By cię wcześniéj ucieszyć tą dobrą nowiną.
«Znaleźli ją, porwali, i oto już płyną!
«Zanim słońce się skryje, będą tu na brzegu.»

. . . . . .

Chan już niechce powracać do jurty, lecz chodzi,
Przez cały ranek chodzi po nadbrzeżnéj łące.
Patrzy na piany wodne z wichrem się kłócące,
Nahajką w ręku trzaska, wypatruje łodzi.

Jeszcze nic! To ten wicher opóźnia przeprawę.
Ach, ten wicher go drażni, ta piana go złości.
Przystaje, tupie nogą, i z niecierpliwości
Nahajką smaga murawę.

—«Nie poznajesz-że mnie, Chana,
«Ty wodo nieusłuchana?
«Uspokój-że się, kiedy *ja* przy tobie stoję!
«Uspokój się, i prędko przynieś szczęście moje
«Wszyscy mi służą z pokorą,
«I ty mi zaraz usłuż, ty krnąbrne *jezioro!*
«Lub cię spotka plaga taka,
«Jaka nieposłusznego spotyka rumaka.»

Tu ku falom obrócił oblicze zgniéwane,
I biczem uderzył pianę.

. . . . . .

Co-ś uczynił, o Chanie, w złéj godzinie szału?
Wyzwałeś zemstę Bajkału!

Tym policzkiem wyciętym swojéj srebrnéj twarzy,
Śmiertelnie się obraził Duch *świętego morza.*
Wstał rycząc. Łodzie wpędził na skalne bezdroża,
Roztrzaskał je, potopił wojska i wioślarzy,
Wróżbitów zalał otchłanią.

Chciał zgładzić i Szamankę,—ale spojrzał na nią.
Spojrzał raz, i zapomniał o swéj zemście przy niéj.
Porwał z wody omdlałą, uniósł do jaskini,
Do swojéj czarnéj świątyni,
Wykutéj w łomach Olchonu,
Tam ją, pośród błyskawic, jako Duchów panią,
Posadził u swego tronu,
I skały z cichym szmerem zamknęły się za nią.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Chan czeka trzy dni i noce—
Chan się zżyma i szamoce.
Sam w łódkę skacze. Od brzega do brzega,
Milczące wody przebiega.

. . . .

—«Mówcie! Gdzie mi się podziała?
«Płynę do niéj, a to skała!»

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Chan czeka rok,—i trzy lata.
Z żalu, chałat rozdziéra, i warkocz rozplata.
—«Gdzie Wróżbici? Gdzie wojska wyprawione po nią?
«Ha! Pewno im uciekła, a tamci precz gonią.
«Głupcy! Pokażę ja wam!
«Prędzéj dogonię ją sam!»

Zwołuje drugie wojsko, jakby sęp wylata,
I do dziś dnia jéj szuka w czterech stronach świata.

* * *

A teraz, o branko jaśniejsza od słońca,
Nie będziesz już mojéj piosenki pytała:
«Dla czego to Mongoł koczuje bez końca?»
On pędzi jak pogoń, on pędzi jak strzała,
I póty po świecie kołować mu trzeba,
Dopóki, czy w ludzi, czy w Duchów siedlisku,
Nie znajdzie niewiasty, po któréj uścisku,
Już człowiek niczego nie żąda od nieba.

Kiedy śpiéwak umilkł, nastała chwila ciszy. Słuchacze, zdziwieni nowością jéj zwrotu, nie byli pewni swoich wrażeń.

Piérwszy Kujuk zawołał:

— Otóż to mi śpiéw!

I nawet klasnął w ręce.

Na ten znak dany z góry, wybuchnęły oklaski, wszyscy zaczęli tłoczyć się do poety, chwaląc i podziwiając na wyścigi, choć mało kto zrozumiał prawdziwe znaczenie zawarte w pieśni.

Kujuk pochwycił z niéj tylko tyle, ile mógł przystosować do własnéj osoby. Zwróciwszy ku Xiężnie Siurkukteni spojrzenie zamglone, spytał:

— Dla czego ten smutny Chan szukał kobiéty, a napotkał skałę?

— Chcesz wiedzieć Xiąże, dla czego? Ja ci powiem: bo posłał po nią wojska.

— A jakżeż miał zrobić?

— Jak miał zrobić? Powinien był..... Ale co tu mówić? Już kiedy posłał wojska, to przepadło.

— Nie, Tolholos nie powiedział że-by przepadło. Może Duch Bajkału jeszcze się da przebłagać? Może skały się kiedyś rozstąpią?

— Może?—Powtórzyła Siurkukteni z uśmiéchem zagadkowym, tak pełnym chwiejności, przekomarzań się i ponęt, że Xiąże zaczął być lepszéj myśli. Układał już sobie nawet w głowie, jakiemi

by sidlącemi słowami wyłudzić pewniejszą obietnicę?

Szczęściem dla Xiężny, właśnie w téj chwili rozmowy przybrały inną barwę, równie jak cały namiot, który z białego stał się żółto-czerwonym.

Uczta już trwała kilka godzin. Pomimo długości dni Lipcowych, słońce już zaszło, i choć na dworze jeszcze było wpół jasno, w namiocie nagły mrok zapanował. Dla rozpędzenia ciemności, wniesiono krocie pochodni, trzymanych przez pacholęta przecudnéj urody. Za niemi weszły niewolnice, nadobne, przejrzysto ubrane jakby senne widziadła; jedne niosły miedziane misy, na których paliły się ognie pryskające z wonnych drewienek, inne dźwigały kamienne urny, w których błękitnawym płomieniem palił się arjasz, czyli wódka z ryżu. Wielkim było zbytkiem takie marnowanie trunku, co Tatarom zdawał się szacowniejszy od złota, ale Rejentka niczego nie żałowała.

Płonące misy i urny poustawiano w szeregi na stołach, pachołki z pochodniami stanęły do koła namiotu, i pod tą łuną nierówną, swawolną, jakiś nastrój odmienny, także migotliwy i swawolny, ogarnął umysły. Porządek się rozrywał, pańskość i dworskość nikły. Bo téż poezja nie trzymała już nad tłumami swoich złotych wędzideł; po śpiéwa-

ku co nucił «o Chanie i Szamance,» żaden inny Tolholos już nie chciał czy nie śmiał wystąpić.

Uczta, dotąd bohatérska i poważna, przemieniała się w orgję, bo tak niestety bywa z najpiękniejszemi obrzędami. Wszak i owe niewinne, już wyżéj wspomniane uroczystości Bachusa, bardzo prędko przeszły w gorszące Bachanalje? A jeżeli-ż tak się działo przy wykwintném winie, wśród najestetyczniejszych ludów świata, cóż musiało się dziać przy kumysie? Bachanalje Tatarskie były tém do Greckich, czém bure niebo Mongolji do lazurów Hellady.

Muzyka znów zabrzmiała, na ten raz inna, mniéj huczna ale przenikliwsza. Jakieś bębenki drące uszy bezmyślną pukaniną, jakieś piszczałki godne swojéj nazwy, świderkowo piskliwe, przygrywały na rytm lekki, podrygujący i niby nieludzki; rzekłbyś, że to kapela dla rozbrykanych zwierzątek.

Przy téj cienkiéj muzyce, grube żarty coraz gęściéj z ust do ust latały. Oczy coraz nieprzytomniéj się szkliły. Otyli wodzowie i ministrowie, zapominając zwykłéj, nadętéj powagi, wygadywali najcudaczniejsze błazeństwa. Młodzi byli mniéj gadatliwi, ale za to, pokazując białe zęby, chcieli cóś drzéć, cóś druzgotać; na początek, tłukli przynajmniéj kosztowne kubki szklanne, wazony Japoń-

skie, a po każdéj takiéj szkodzie, ze śmiéchem przepraszali Rejentkę.

Ta, zamiast ich łajać, także śmiała się na całe gardło. Stara Cesarzowa lubiła żarty rubaszne i dziką wesołość.

— No, — rzekła do Fatmy — teraz to zaczynam się bawić.

Xiężna Ananda także nie odsunęła czary, może w nadziei że «trunek dobry na frasunek.» Ale nic nie pomogło, kumys u niéj był milczący i ponury. Za to Xiężna Ogul-Gajmisz, wziąwszy się zgrabnie pod boki, dreptała z wielką sztuką drobnemi nóżkami, bo jeśli po trzeźwemu taniec nie uchodził Chatunom, w drugiéj połowie uczty wszystko uchodziło.

Ludmiła patrząc na te początki, truchlała co to będzie daléj?

Na pomnożenie jéj trwogi, coraz to więcéj bodźców przybywało hulance.

Przy wejściu do namiotu powstał rozruch, śmiéchy, skrzeczenia, tupania, i nakształt roju brzęczących bąków, rozsypało się po sali kilkudziesięciu *Zigów*.

Zig, jest-to trefniś Tatarski, stworzenie bardzo pogardzane i bardzo poszukiwane, trzymające środek pomiędzy Błaznem dawnych dworów, a *clownem* dzisiejszych cyrków. Jak wszyscy śmiészkowie świata, byli ubrani w pstrociznę i dzwonki, pomazani mąką lub sadzami. Wpadli, przewracając koziołki, wyprawiając łamane sztuki. Potém powłazili pod stoły, zkąd odzywali się pianiem, skowyczeniem i różnemi dowcipami, z których Ludmiła nic nie rozumiała, chociaż wszyscy w koło niéj aż kładli się od śmiéchu. Żartownisie, ośmieleni powodzeniem, zaczęli wskakiwać na estrady, kulać się po stopniach, samym Chatunom nie szczędzili zaczepek, a wszystko przyjmowano gromami oklasków, huraganem krzyków. Trzeba przyznać, na zawstydzenie tamtejszéj publiczności, że zapał był nierównie większy dla Zigów niż dla Tolholosów.

Za rojem śmiészków ukazał się inny zastęp, na którego widok zapłoniona branka przysłoniła oczy. Był to cały pułk szermierzy, ogromnych, barczystych, żylastych, ledwo że odzianych. Ci wszedłszy, nie rozpraszali się pomiędzy gośćmi, ale stanęli pod ścianą gromadnie, i z rękami założonemi na obnażonych piersiach, z uśmiéchem zadowolenia na twarzy, pozwalali aby ich podziwiano i oglądano, zanim trąba da hasło walki.

Tymczasem wchodzili jeszcze inni krotochwilnicy, obładowani skrzynkami i paczkami kuglarze. Ci stanąwszy na środku namiotu, długim szeregiem wykrzykiwań ogłaszali sztuki jakich mają dokonać, a na początek prosili aby pogaszono światła, gdyż będą pokazywali «Chińskie Cienie.»

Xiężna Siurkukteni, która od niejakiego czasu siedziała, zawsze uśmiéchnięta ale cicha, w téj chwili podniosła się mówiąc:

— A! Chińskie Cienie, które nieboszczyk nasz Chaan tak lubił? To śliczna zabawa, ale ztąd źle widać, muszę zejść tam bliżéj.....

Kujuk uchwycił połę jéj rękawa i przytrzymywał.

— Chatuno, nie odchodź..... już ja nie będę wiele pił, tylko nie odchodź.....

— Ależ ja schodzę aby lepiéj widziéć Chińskie Cienie?

— Tak,—i aby potém nie wrócić..... Ja wiem że ty nie lubisz końca naszych biesiad.

Siurkukteni wpatrzyła się w niego wzrokiem niby błagalnym, a na prawdę nakazującym. Urzeknięty, puścił połę, pochylił się nad stołem, i rzekł:

— Idź,—może to i lepiéj że chcesz zostać inną niż wszystkie.

Xiężna oddała pokłon Rejentce, i majestatycznie zstąpiła ze schodów, a spostrzegłszy zchodzącą za sobą Ludmiłę, szepnęła:

— Ja już wyjeżdżam,—i tobie radzę, wyjedź..... tu będą się działy okropności.....

Naszéj brance w to graj. Biła się tylko z myślami, czy można wyjechać nie opowiedziawszy się mężowi? A jeśli téż on gwałtem ją zatrzyma? Zresztą, jak go tu znaleźć? Już światła gaszono, powstawał zgiełk, zamęt nieopisany.

Ale otóż właśnie i stół wodzów.

— Ajdarze, jeżeli pozwolisz to wyjadę..... Xiężna Siurkukteni chce mię z sobą zabrać.....

Ajdar, którego błędne oczy ledwie ją poznały, zawołał tylko:

— Już?

I więcéj nie przytrzymywał.

— Trudno, — dodał po chwili — niemożna się sprzeciwiać Xiężnie. Więc wracasz do domu?

— Nie, pojadę jeszcze do znajomych.

Ajdar figlarnie pogroził jéj palcem.

— Oj to, to, kobiéta! Że się raz ładnie ubrała, to już chce się wszystkim znajomym pokazać.

I chwiejącym krokiem odprowadził ją do wyjścia namiotu, gdzie się złączyła z orszakiem Xiężny, tłumnie wyciągającym.

Wyjeżdżało też i wiele innych niewiast, bo mylił się Kujuk, twierdząc że Siurkukteni stanowiła tu jedyny w swojéj płci wyjątek. Były i między paniami Tatarskiemi dusze wyborowe, szanujące pyłek swoich skrzydeł. Niéma tak czarnego wieku ani społeczeństwa, na którém-by nie świéciło chociaż kilka gwiazdek.

Behadyr odprowadziwszy żonę, wrócił do stołu śpiéwający, rad że się bez przymusu pozbył jéj obecności, która bądź co bądź kładła pęta na jego wesołość.

Ajdar miał wiele zalet, jednak był Tatarem.

A proszę czytać co sam wielki Dżyngischan pisze w swoich Prawach:

«Jeśli już niemożna obejść się bez picia, to «przynajmniéj byłoby dobrze nie upijać się jak trzy «razy na miesiąc, a jeszcze lepiéj raz na miesiąc; «najlepiéj zaś byłoby wcale nie pić. · Ale gdzież «jest ten co nigdy się nie upija?»

Ajdar nie marzył nawet o podobnéj doskona-

łości; upijał się zazwyczaj więcéj niż trzy razy na miesiąc. Miał jednakże tę wyższość nad większą częścią towarzyszów, że kiedy tamci pysznili się z ilości wypróżnionych konwi, kiedy nie dali sobie słowa przestrogi powiedzieć, on ubolewał nad swojém—jak nazywał—«kaléctwem», i wstydził go się mocno, szczególniéj przed Ludmiłą. A miał w niéj surowego sędzię; we wszystkich innych względach wyrozumiała i uległa, w tym jednym była niezbłagana. To téż ile razy sobie podchmielił, już jéj się nie pokazywał na oczy. Jeżeli chciał wtedy znaléźć towarzyszkę, z którą by mógł trącić w kubki i huknąć pieśń pustacką, szedł do Bigi albo do Zutty, a te, chcąc go częściéj zwabić na wieczerzę, podniecały w nim złą namiętność.

Wszystko ją podniecało, przykład z góry i z dołu. Od Wielkiego Chaana do prostego żołnierza, każdy się upijał na zabój, do zatracenia zmysłów i pamięci. Kto wié nawet, czy niepojęte okrucieństwa Tatarów, nie wypływały po części z téj wiecznéj podniety, która powoli przechodziła w «chroniczne» rozbestwienie?

Kumys, ów święty kumys, co pierwotnie przynosił wesołość i zdrowie, teraz niósł tylko chmurność i truciznę, wytworzył najstraszniejszą przywarę narodową.

Mylę się, nie najstraszniejszą. Była druga, rozwinięta w równie potwornych rozmiarach, i kto wié czy nie jeszcze straszniejsza: przedajność.

Na nią także Tatarzy patrzyli jako na złe konieczne, nieuleczalne, z którém nawet walczyć nie można. Kiedy Jeliu-Czusaj chciał wprowadzić ustawę *zabraniającą urzędnikom przyjmowania darów*, Chaan Ogotaj, który zwykle tak chętnie podpisywał wszystkie wnioski ministra, na ten raz pokręcił głową, i odsuwając kartę podaną sobie do podpisu, wyrzekł: «Nie, to już za wiele. Można nie wymagać podarków, ale ich nie przyjmować, to nad siły ludzkie.»

Już więc dwa raki śmiertelne toczyły ciało Mongolji, takie młode i na pozór takie krzepkie. To były dwa zarody upadku dla zwycięzców, a przyznajmy że zarazem i dwie deski ratunku dla podbitych, bo zawsze jeszcze pół biédy z tyranem, którego można spoić i przekupić. Gdyby Tatarzy byli od początku posiadali tę trzeźwość i rzetelność, do jakich z wiekami doszli, ach któżby im się był oparł? Dziś może cała Europa jęczałaby pod ich batogiem?

Błogosławmy więc złoto i kumys, co pokonały najniepokonańszych. Niech się święcą te dwie magiczne siły, na których przerachował się sam szatan, bo psując swoje narzędzia, popsuł razem i swoje dzieło.

Rajski wieczór.

Kiedy Ludmiła znalazła się pod otwartém niebem, kiedy pomyślała że za chwilę zobaczy drogich podróżników, odetchnęła, jakby wszystkie kajdany już z niéj opadały.

Niebo téż uśmiéchało się jakąś pogodą niewinną i sielską, jakby Polskie niebo. Na zachodzie jeszcze maleńki rumieniec urożowiał obłoki, od wschodu biały sierp xiężyca wrzynał się w błękit coraz wyżéj.

Orszak Ludmiły bardzo posmutniał widząc że pani już odjeżdża, bo w najlepsze rozpoczynał wieczerzę, która i po-za ogrodzeniem rozweselała tysiące mniéj dostojnych, ale niemniéj hucznych biesiadników.

Niechcąc im psuć zabawy, żona Terchana chętnie pozostawiła ich przy kubkach, i wybrawszy

tylko czterech niewolników Chrześcjan, dosiadła konia, którego tak niespokojnie popędzała, że piesza czwórka zaledwie mogła jéj nadążyć.

Niedługą mieli drogę. Namioty Rejentki stały najbliżéj ogrodzenia, a między temi namiotami było i mieszkanie Kuźmy. Bo nasz Kuźma dobił się bardzo prędko znacznego stanowiska, był Nadwornym Złotnikiem Cesarzowéj.

Kiedy obu Mistrzów sprowadzono do Karakorumu, Turakina zawahała sią pomiędzy niemi; krótko jednak trwało to wahanie; olśniéwające roboty Słowianina podbiły szybko jéj oczy, a już co Kujuka to w osłupienie wprawiały. Niedał matce pokoju, dopóki głównych robót nie powierzyła północnemu czarodziejowi.

Za to dzieła Wilhelma Buchier'a wydały im się jakieś wiotkie i niedość błyszczące. Ledwie pozwolili ażeby pomagał tamtemu. Czepiał się biédak przy Kuźmie, zmuszony do robót ciężkich, w innym kształcie i duchu niż umiał, pomiatany przez Tatarów, którzy twierdzili że taki cienki majstrzyk powinien robić tylko cacka dla dzieci. Przyjaźń kochanego «Maître Cosme», osładzała mu te poniżenia.

— Ba! — Mawiał Kuźma. — Niby to ja niewiem żeś ty większy odemnie? Między osłami Tatarami to ja górą, ma się rozumiéć, ale gdybyśmy wrócili między Chrześcjany, między porządne lu-

dzie, musiałbym służyć u ciebie za pachołka, i byłoby ze wszystkiém sprawiedliwie. Co daj Boże, Amen.

Tymczasem jednak, Paryżanin był u niego pachołkiem, a Kuźma opływał we wszelkie pomyślności. Miał mnóstwo namiotów i wozów, mnóstwo pomocników i służby. Wprawdzie, jako «niewolnik», niemógł rościć prawa do żadnéj stałéj płacy, ale Rejentka, zawsze rozrzutna dla swoich ulubieńców, i Kuźmę obsypywała bez miary, a inni Xiążęta cichaczem wtykali mu złoto w ręce, byle z rąk tych cudotwórnych, otrzymać jakieś wspaniałe klamrzysko ze łbem baranim lub niedźwiedzim, albo gruby djademat na opasanie kołpaka. Przybywało więc szczęśliwcowi wszystkiego, prócz jednéj rzeczy, wesołości. Téj owszem, każdy dzień mu po kropelce ujmował. Ów człowiek, niegdyś taki «trefny», teraz ciągle jęczał i utyskiwał. Powietrze było mu zawsze to za zimne, to za gorące; wszelkie jadło w gardle mu stawało. Czasem znów, brały go dziwne rozrzewnienia; jeśli w koczowaniu po stepach, natrafiono gdzie na półko zasiane, wyskakiwał z wózka, padał twarzą o ziemię, krzyczał:—«Boże! Boże! A dyć to zboże?» I płakał jak dziecko. Ale po chwili wstawał chmurny, i machnąwszy ręką, mawiał: — «E! Chude kłosiska..... To nie tak jak u nas!» —I z owém «nie tak

jak u nas», wszystko mu się przykrzyło. Istna choroba, czy co?

Inni jeńcy sarkali:

— Oj, grzeszy stary! Dziękował-by Panu Bogu że ma co jeść, nie tak jak my, którzy mrzemy głód.

Mistrz Wilhelm zaś utrzymywał, że to wszystko pochodzi ze zbytniéj samotności.

— Żeń się bracie. — Mówił. — Patrz, oto ja przy żonie i dzieciach, mam kawałek Paryża i Belgradu. Weź jaką Chrześcjańską niewolnicę za żonę — uszczęśliwisz niewiastę — i będziesz miał kuchnię wedle smaku.

Ale Kuźma odpowiadał machnąwszy ręką:

— Po co? Aby Chaanowi zostawić więcéj niewolników? Nie głupi.

Teraz jednak, przybycie Posłów Papiezkich, a zwłaszcza Brata Benedykta który przyjeżdżał «od nas», rozpogodziło go cudownie. I do swoich robót zaczął się po staremu palić, i po Bazarach latał dnie całe skupując łakocie, i gości na dzisiaj ponazpraszał więcéj niż mogły ich pomieścić jego ruchome domki.

— To tutaj, proszę pani, tutaj. — Rzekł jeden z niewolników, pokazując osobną kupkę klitek ustawionych na wozach, między któremi roiła się wielka gromada ludzi.

— A zkądże tutaj taki natłok? — Zapytała Ludmiła.

Krótkie jednak było jéj zdziwienie; wjechawszy w pośrodek ciżby, zrozumiała zaraz między kim się znajduje. Byli to wszystko niewolnicy Chrześcjanie, co się z jurt powymykali, aby choć na chwilę zobaczyć świątobliwych Posłów; nieobecność ich państwa, bawiących na uczcie u Rejentki, ułatwiała im dziś tę wycieczkę, a niejeden się nawet narażał na ciężkie kaźni, byle słówko usłyszéć z rodzinnych okolic, byle ucałować rękę *prawdziwemu* xiędzu. To téż namioty złotnika były oblężone, dziwnie rozszumiałe, nie zgiełkiem ani szturmem, ale cichém łkaniem, szmerem westchnień i zwierzeń, które tworzyły uderzającą sprzeczność z łoskotami biesiady huczącéj w oddali.

Zjawienie się Ludmiły ucieszyło wszystkich, bo Ludmiła była powszechnie kochana przez współtowarzyszów niedoli.

— Ach jak to dobrze, — wołano półgłosem — jak to szczęśliwie, że ci poganie nakoniec i ciebie

puścili, że i ty będziesz mogła zobaczyć naszych złotych xiężuniów! O biédaki, biédaki, co oni téż znieśli aby się do nas dostać! Trzeba doprawdy być świętym, aby się tu z dobréj woli wybrać!

— Ale gdzież oni są? Gdzież? — Pytała, zsiadając z konia.

Pokazano jéj spory dom na kołach. Przed wejściem, w pośrodku natłoczonego dziedzińczyka, płonęło wielkie ognisko, nad którém zwieszony kocioł wypuszczał smakowite wonie. W koło kotła kręciło się kilka niewiast, a między niemi żona Buchier'a i «Pâquette'a» wesoło rej wiodły.

— Cóż wy, tu jesteście, a nie przy nich?

— A!—Zawołała Pascha.—To nie sztuka, siedzieć i słuchać po próżniacku. My tu właśnie dla nich pracujemy. Zacny «Maître Cosme» dostarczył nam wołowego i baraniego mięsa, i kaszy, i masła, i soli, robimy dla naszych gości cóś wybornego, prawdziwe «pot-au-feu», bo to biédactwo zagłodzone jakby jakie męczenniki. Tatarzy przez drogę nic im jeść nie dawali, a przynajmniéj prawie tyle co nic. Trzeba ich trochę odkarmić, aby nam na ręku nie pomdleli.

— O mój Boże!—Mówiła pani Buchierowa, — żeby to człowiek miał tyle dobrych rzeczy co na targu w Belgradzie, białych kur, warzywa, trochę pieprzu, to byłaby Chrześcjańska «supa», no a tak, do czego to podobne?

— Będzie dobre, będzie pyszne. — Pocieszała zawsze zaradna Pascha.

Ludmiła, już nie słuchając daléj, biegła na schodki domu. We drzwiach musiała się mocno schylić, a i tak jeszcze pióropuszem trąciła o wiązanie, bo drzwi były niziutkie, i całe wnętrze domu przedstawiało izbę dużą, ale nizką, a teraz i bardzo ciemną, gdyż ludzi się tam roiło jak w mrowisku, ludzi odartych, wynędzniałych i spłakanych; całe zaś oświetlenie stanowiła jedna lampa srebrna, paląca się w głębiach izby, przed błyszczącym Świętym Obrazem.

Ciemno było, duszno i odarto, a jednak ten przysiadły daszek, wydał się Ludmile pyszniejszy niż olbrzymie sklepienie axamitnego namiotu, jedna ta lampa oświeciła jéj myśli rzęsiściéj, niż krocie tamtych pochodni. Wbiegłszy, aż musiała przystanąć, tak bicie serca zapiérało jéj piersi.

Elżbieta piérwsza spostrzegła wchodzącą; rzuciła się do niéj z wykrzykiem:

— Ach, jesteś nakoniec!

I pociągnęła ją ku dwóm Zakonnikom.

Ludmiła padła u ich kolan; szlochając z radości, całowała ich ręce i kraj szaty. Oni ją błogosławili.

Starszy, wyrażając się francuszczyzną z włoska zacinaną, mówił:

— Niechże ci Bóg da siły, moja zacna damo, w tym ciężkim twoim losie.

— Ach, jakże ci poganie cię tutaj ustroili? — Dodał z podziwieniem, patrząc na jéj olbrzymią bottę i osobliwszy chałat.

Młodszy, łzy ociérał rękawem od habitu, a wołał:

— Pani Ludmiła! Pani Ludmiła! Pamiętam ja cię panieneczką, w bielusiém ochędóztwie, jako się patrzyłaś na Jasełka. Ach, dobry Boże! Ktoby to był wówczas powiedział, że ja cię zobaczę w takim ubiorze, w takim kraju? A! Mówiła mi pani Elżbieta — opowiadała nam wszystkie twoje poświęcenia, które ci Bóg bardzo policzy kiedyś. A już i pierwéj wiedziałem dobrze o nich przez Xiędza Macieja, przez Rafała. Wiemy o nich wszyscy w kraju—to bardzo pięknie—uratowałaś niewinne dziecko—ach, czemuż i wy.....

Tu niedokończył, głos mu się zahaczył na łkaniu.

Ludmiła wstała i podniosła oczy, aby się przyjrzéć obu błogosławiącym. Siedzieli w głębi, pod samym Obrazem; światło lampy dobrze uwyraźniało ich postacie.

Starszy mógł liczyć lat piędziesiąt lub więcéj; aureola jego włosów przeświécała już srebrem, ale pierś wyprostowana, oczy południowe, pałające pod brwiami jeszcze jak węgiel czarnemi, i usta niezwiędłe, kwitnące jakąś dziecięcą niewinnością,

zdradzały człowieka w którym «nieśmiertelne» jest silniejszém od «śmiertelnego.» A musiała kiedyś w człowieku tym odbywać się gwałtowna walka; znać ją było dziś jeszcze, w dziwnéj sprze; czności tych oczów ognistych, namiętnych, mądrych, i tych ust cichych, łagodnych, dziecięcych— a dziś już uśmiéch przemagał nad wzrokiem, niewinność serafinów przemogła nad mądrością ludzką, i spokój zaległ oblicze,— tém piękniejszy, że to był spokój zdobyty zwycięztwem.

Młodszy, — ach, wszak to dawna znajomość? Ludmiła raz go już widziała, w niezapomnianéj chwili, u królowéj Kingi, ale gdyby jéj nie zapewniono że to Brat Benedykt, nigdy by go niemogła poznać, nigdy. O! To już nie ten Braciszek z uśmiéchem na ustach i sercem na dłoni, co po drewnianych nóżkach całował Betleemskie Dzieciątko, co uściskiem i krotochwilą rozbrajał grzeszników, — dziś to zakonnik smutny, zamknięty w sobie, zapatrzony w Krzyż, i nic tylko w Krzyż. Choć jeszcze nie doszedł lat trzydziestu, ma twarz bardziéj zawiędłą, mocniéj zoraną cierpieniem, niż jego towarzysz. Tak, — bo mnich Włoski, patrzył na burzę Mongolską tylko z oddalonego brzegu, a mnich Polski czuł jak przechodziła po jego własnéj piersi, widział jak szalała w jego własnéj ojczyźnie. Dziś, Italczyk jechał w te głębiny Azyjskie, jako w świat groźny, tajemniczy, ale niemający żadnego zwią-

zku z jego sercem ani przeszłością, — a Polak jechał do strasznych sąsiadów, którzy codzień jeszcze grożą jego ziemi.—Tamten, jeśli współubolewał, to tylko z czystéj miłości bliźniego,—ten, spotykał co chwila rodaków, dobrych znajomych, nawet istoty niegdyś umiłowane, dziś jęczące w pętach niewoli.

Obaj przebywali tę drogę, jakby szli za Mistrzem na wyżynę Męki, ale jeden wstępował dopiéro na górę Oliwną, drugi już na Stacje Kalwarji.

Piérwsze pytania Ludmiły, — dotyczące, ma się rozumiéć, Jasia, i nic tylko Jasia —gorączkowo z ust jéj się wyrywały:

— Jak wygląda? Czy zdrów? Czy urosł? A czy wesół? Czy matkę często wspomina? Czy téż i o niéj, Ludmile, pamięta?

Odpowiedzi Brata Benedykta były niezupełnie zadowalniające. Póki pytała się o zdrowie chłopca, ręczył że zdrów, że urosł niezmiernie, a głos jego wtedy brzmiał szczerze. Ale na zapytanie czy wesół, i czy wspomina jeszcze tych co go kochają, Braciszek plątał się, zagadywał, nakoniec ukośném spojrzeniem rzuconém w stronę Elżbiety, dał do zrozumienia Ludmile, że przy tamtéj niechce więcéj mówić.

Ludmiła sposępniała; z niedomówionych słów Braciszka, zaczęła wyciągać bolesne przypuszczenia. Wkrótce też, korzystając z chwili, w której drugi Poseł zagadnął Elżbietę o niektóre szczegóły niewolniczego życia, zapytała przyciszonym głosem:

— Teraz, kiedy matka nas nie słyszy, powiédzcie mi Ojcze, prawdę: Jaś pewno zupełnie już zapomniał o nas? Bawi się, biczykiem trzaska, podskakuje, a o nieszczęsnéj matce ani słówka nie piśnie? Z dziećmi to tak bywa.....

— O nie! — Odparł mnich z żywością. — Niestety, nie! Wolałbym aby tak było, ale owszem, to dziecko za wiele pamięta! Schnie i marnieje z utęsknienia. Podobno dawniéj to był chłopczyk miły i wesoły, teraz to dzieciak ponury, mrukliwy, siedzi po ciemnych kątach i płacze, a na nikogo patrzéć niechce. Długo niemogłem słówka z niego wyciągnąć, nakoniec wyrozumiałem że on ma żal do wszystkich, do wuja, do mnie, do całego świata.

— Za co?

— Jemu się precz widzi, że to my go matce gwałtem zabiéramy, że matka czeka gdzieś na niego. Kiedy mu gadałem: — Ty nie możesz być z matusią, bo matusia biédna jest u pogan. — On mówił szlochając: — «A to i ja chcę być u pogan. Ja tam już byłem z matusią, i było dobrze. A tutaj mi źle — bez matusi źle.» — I zawsze jedno powtarza, i nie może zrozumiéć niebożątko, co się

w jego życiu porobiło? Ach, z czasem zrozumié,— ale będzie trzeba długich lat, i długiéj nabożnéj pracy, nim się ta skołatana duszyczka uspokoi. — Przy pani Elżbiecie nieśmiem tego wszystkiego rozpowiadać... Ach, niechże już choć ona niewié, że on tam taki nieszczęśliwy!

Ludmiła w pierwszéj chwili uczuła rodzaj ulgi, na myśl że Jaś nie jest istotą pustą i samolubną. Ale zaraz potém, ogarnęło i ją niezmierne zasmucenie nad tym bólem sierocym na który niebyło lekarstwa, i zaczęła w duszy gorzko zapytywać, czemu już lepiéj Pan Bóg, odejmując Jasiowi ukochanych, nie odjął mu i kochania?

— Ależ mu tam przynajmniéj na niczém nie zbywa? — Badała z rodzajem zalęknienia. — Wuj dla niego dobry?

— Ach, i jaki dobry! Już co pieszczot, i przysmaczków, i opiekuństwa, to chyba i w Żegnańcu niemiał więcéj. Wujek tylko dla niego żyje.

— Doprawdy? No, to przynajmniéj pociecha. I ten poczciwy Xiądz Maciej zawsze taki raźny, taki uśmiéchnięty?

— O nie! I on się zmienił..... Nie poznałybyście go wcale. Te wszystkie nieszczęścia kraju zabiły jego wesołość. W oczach niektórych ludzi może stracił, ale co w Boskich to niezawodnie

zyskał. Usunął się od wszelkiéj świeckiéj roboty; kiedy Xiążęta chcą go słać na obce Dwory, odmawia pokornie. Sam do mnie tak prawił: «Teraz dopiéro widzę na co się zdadzą te wszystkie nasze mądre polityki, te mrówcze zabiegi. Długo ja myślał że jak zadzierzgniem sojusze z różnemi królestwy, to będziem i mocni i szczęśliwi. Serce mi rosło, kiedy miasta wychodziły jak z pod ziemi, gospodarstwo kwitło, świątynie Pańskie błyszczały gdyby słońca. A tu Pan Bóg roztworzył rękę, wypuścił szarańczę pogańską, i wszystko przepadło. Zostały gruzy i trupy, — a z onych królów co się do nas mizdrzyli we szczęściu, żaden nie przyciągnął na ratunek. Lepiéj służyć Bogu niż królom». — Tak on prawi, a co lepiéj: tak i czyni. Swoje powinności kapłańskie spełnia dzisiaj sto razy żarliwiéj niż ongi, a co mu zostaje czasu i myślenia, to wszystko dla Jasia, choć Bogiem a prawdą, niewielka mu pociecha z tego płaksiwego dziecka. On nic. Sam go ubiéra i rozbiéra, i chucha i dmucha, i już niewiem co z nim wyrabia. Nieraz gada: — «Ja powinien dwoiście miłować tego siérotkę, bo już i ojciec i matka pod ziemią». — A ja się pytam: — «Jakoż to pod ziemią? Wszakci siostra wasza w niewoli?» — A on mi na to: — «Moja siostra już nie jest w niewoli, ale na wolności u Boga. Jeżeli poganie od razu jéj nie zabili, to padła jako mucha na drodze. Gdzieżby téż takie mdłe stworzenie wytrzymało długo?» — I tak zacny Xiądz Maciéj płacze tam po siostrze

niby po nieboszczce, a tymczasem ja tutaj oto widzę, że kiedy słodki Jezus kładzie krzyż na kogo, to zsyła i siłę do dźwignienia krzyża.

— Ach tak! — Rzekła Ludmiła. —To wyraźna łaska samego Pana Jezusa, że ta kochana Elżbieta wytrzymała tyle. Bo trudno i wypowiedzieć ile ona zniosła..... Sto razy więcéj niż ja.

Tu, z uniesieniem zaczęła malować dolę przyjaciołki, surowość Arguny, okrucieństwa Kałgi, tysiączne szczegóły rozdziérające.

Kiedy Braciszek Benedykt jéj słuchał, twarz jego mieniła się i przemieniała; jakieś uczucie ludzkie wystąpiło rumieńcem na tę twarz zamarłą, jakiś gniéw młodzieńczy zapłonął w ukojonych zazwyczaj oczach. Nagle, podniósł te oczy do nieba, odzyskał twarz zakonnika, i tylko dwie łzy grube zawisły mu na rzęsach.

W téj chwili Elżbieta, skończywszy rozmowę z drugim Posłem, zwróciła się w tę stronę.

— Ach Ludko, — rzekła — jakże ja okropnie żałowałam, że ciebie tu tak długo nie było! Ojcowie nam opowiadali takie ciekawe rzeczy o swojéj straszliwéj podróży, powiadam ci, jakby kto czytał Żywoty Świętych. Ach, gdyby to kochany Ojciec chciał jeszcze raz opowiedzieć, choćby mały kęsik, dla biédnéj Ludmiłki! My byśmy i sto razy słuchali.

— Wszystko to dobrze, – wtrącił swoim grubym głosem Kuźma — słuchać nam ucieszno, ale my kochanym Ojczulkom każemy gadać, a trzymamy ich precz o głodzie. Trzebaż co przekąsić.

— Ależ po co? Po co? — Przeczył Brat Benedykt.—U Xięcia Jarosława tak nas dziś nakarmiono, że to nam przynajmniéj na trzy dni wystarczy. Tatarzy nas już oduczyli od gęstego jedzenia.

— A to właśnie źle! Pogański obyczaj. Nikt nie powié że u Kuźmy głodno jak u Tatara. Hej, chłopcy! Dawać mi tu zaraz ten bukłaczek, i te flachy co dzisiaj skupowałem.

Czeladź Kuźmy rzuciła się do służenia. Przysunięto stół gruby, z desek zbity, na którym złotnik zazwyczaj pracował. Filipek zgarnął w fartuch świderki, noże i obcążki, leżące tam stosami, a Kuźma tymczasem grzebiąc się w kącie izby, jakieś paczuszki ztamtąd wynosił, i powoli rozkładał je na stole.

— Oto—mówił—pewien owoc suszony, którego — jak mi się widzi — Oćce jeszcze nie jadali. Sprzedał mi go dziś jeden śmieszny Harabczyk, co siedział za kramem, cały w bieliźnie, kieby jakowa niewiasta. Okrutnie mi zachwalał te..... jak on je przezował? Datyle? Czy Dekotyle? Licho je tam wié. Kosztowałem, — słodkie to niby miód, ale włókniste, kłaczyste — nie takie jak nasze śliwki

Ach Boże, czy ja też kiedy jeszcze będę jadł nasze śliwki? A te jabłuszka, te gruszczyny, po których aż pachnie w izbie? Ha no, kiedy niéma śliwek ani gruszek, to jédzcie chociaż tę Harabską zakąskę. Będzie i cóś zawiesistszego, ale się jeszcze praży. A! Otóż i napitek, bo trzebaż przecie czémsiś popić te Datle..... Hej, bratku Paryzki! Dajno tutaj one dwa kubeczki złote, co to je Czyngaj zamówił. Już prawie skończone. Takie goście, to powinny jak Biskupy albo Króle, pijać w czystém złocie.

Mistrz Wilhelm skoczył, i przyniósł dwa wysmukłe puharki, okraszone śliczną emalją. Próżno się Posłowie wymawiali zakonną pokorą, postawiono je przed niemi uroczyście. Dla innych gości, znalazło się kilka czarek drewnianych.

Tymczasem chłopcy wnosili bukłaczek, i kilka glinianych, wązkich flaszek.

— Oto — mówił Mistrz Kuźma — najprzód wino Greckie. Kupiłem je na cześć najstarszego z Oćców, bo Gwiluś mówił mi, że Italskie ludzie nie piją nic jeno winne soki. Ma być niezłe. Pono sam Cesarz w Carogrodzie takie właśnie pija.

Starszy Poseł umaczał usta w podanym sobie puharku, i z wdzięcznym ukłonem powtarzał:

— Grazie! Mille grazie!

— A wy, Ociec Benedykus, może wolicie po naszemu, napić się razem ze mną piwka?

— Jakto? Macie i piwo?

Kuźma już nachylał jedną z wązkich flaszek, i lał do drugiego puharku płyn blado-żółty, przezroczysty.

— Ależ to także na wino wygląda?

— I nietylko wygląda,—wtrącił Wilhelm Buchier—ale i smakuje zupełnie jak to nasze winko co zwiemy «Vin d'Auxerre». Gdyby nie pachniało piwem, toby trudno i poznać.

— Wyśmienite! — Mówił Braciszek, popijając powoli.

— Hm..... wyśmienite..... — Mruknął gospodarz.—Wdzięczen za pochwalenie, ale ja tego nie powiem..... To nie takie piwko jak u nas, co to aż majaczy krwawnikiem. Woda żółta, kwaskawa, i już. No, zawsze lepsze niż to ich skotłuszone mléczysko, ten paskudny kumys.

— Oj prawda. —Potwierdził Brat Benedykt.— I Ojciec Jan, i ja, nie możemy na żaden sposób przywyknąć do kumysu. Bo to i ćmi w oczach, i dławi w gardle.....

— Ach tak! —Poparła Ludmiła z rodzajem zawzięcia w głosie. — Mąż mój sto razy mię prosił abym piła, ja nigdy nie chciałam. Niemogę mu powiedzieć dla czego, ale to pewne że nigdy, przenigdy nie będę piła kumysu.

— A nam, powiécie dla czego? — Spytał Kuźma.

— Kiedy nas brano do niewoli..... było to w Iłży—w nocy—najokropniejsza noc mojego życia!—

wtedy..... znalazł się człowiek co mię zmusił abym skosztowała kumysu —przemocą—gwałtem. — Odtąd, niemogę patrzéć na ten piekielny trunek..... sam zapach już mię przeraża..... zaraz mi się zdaje że jestem znowu w téj okropnéj czerwonéj izbie..... że czuję krew..... brr.....

— Przepraszam! — Zawołał Wilhelm Buchier.—Ja tam żadnéj krwi nie czuję, i ośmielę się powiedziéć że «kiumîs» jest wcale smaczną rzeczą.

— Oj wy Francuz, jak wy możecie chwalić «Czarne mléko»?

Tak się ozwał człowiek siedzący obok Braciszka Benedykta; był to Suzdalczyk Temer, jeden z Dworzan Xięcia Jarosława, mąż tęgi, brodaty i opiekły. Teraz, kiedy w izbie płaszcz odpiął, można było widziéć jego buty zielone z pięknéj Bulgarskiéj skóry, i jego suknię czerwoną, czyli tak zwany *buhaj*, z przodu porznięty złotemi pętlicami, u bioder opięty przezroczystym pasem «Haczykowym». A że zdjął i czapkę, więc można było podziwiać jego bujne włosy, które po dwóch stronach twarzy spadały na rzęsiste, złotem szyte naramienniki. A jak na dwóch ramionach nosił złoto, tak i na dwie strony miał domyślność, albowiem umiał i po Grecku i po Mongolsku, i nietylko znał wyrazy tych języków, ale władał ich duchem, co sprawiało, że Azjatom wydawał się Grekiem, a ludziom Zachodnim wydawał się synem Azji. Ztąd zwano

go Temerem «dwu-umnym», ztąd Xiążę Jarosław używał go do wszelkich spraw trudnych i dwulicowych. Obecnie zaś, rozmiłowawszy się wielce w naszych Braciach Zakonnych, dał im Temera za przewodnika i tłumacza, co bardzo im dogadzało, bo dragoman wyznaczony dla nich przez Tatarów, był i niechętny i ciemny.

Owóż Temer oświadczył:

— Już co nam, to niewolno pić Kumysu.

Brat Benedykt zwrócił ku niemu zaciekawione oczy, i zapytał:

— Dla czego «niewolno»?

Temer odpowiedział z namaszczeniem:

— Bo to napój nieczysty.

Braciszek miał ochotę zapytać jeszcze:

— Dla czego «nieczysty»?

Ale tymczasem Elżbieta wtrąciła inną uwagę:

— Ach tak!—Zawołała.—Po co to temi kwaszeniami zanieczyszczać taką wyborną rzecz jaką jest świéże mléko? Toć najlepszy napój na świecie. Chociaż nie..... przepraszam..... jest jeszcze cóś lepszego.

— Cóż takiego?—Spytało kilka głosów.

— To, co sam Pan Bóg stworzył: czysta, źródlana woda.

Temer, który dotąd słuchał jéj uważnie, wybuchnął ogromnym śmiéchem, i zawołał:

— Ot żeńskie gadanie! Ja powiem inaczéj: kumys, picie czartowskie, — mléko, picie dziecinne, — woda, picie bydlęce, — a dla prawdziwego Chrześcjanina, niéma jak takie oto wino Carskie, a na letnią upalność, nasz złoty Suzdalski Kwas.

Zaczęto pytać z podziwieniem, co to jest «Kwas»? Jak i z czego się robi? Powstała gwarna rozprawa nad przymiotami różno-krajowych napojów i potraw, a tymczasem Greckie wino i Tatarskie piwo szło kolejką, daktyle robiły — jak mówił Włoch — «furore», że aż ślinka szła do ust biédakom stojącym na schodkach i w dziedzińcu; ale i dla tych znalazł się przysmaczek, rozdawano im gęsto cedrowe orzechy.

Towarzystwo rozdzielało się na dwa kółka.

Francuzi, Węgrzy, i rozmaici inni, otaczali przeważnie Włocha, który porozumiéwał się z niemi trochę z Prowansalska, trochę po Łacinie. Tam głównie rej wodził Wilhelm Buchier, bo jako niedoszły Kleryk, (czegóż ten człowiek w swojém awanturniczém życiu nie próbował?) mógł i ową Łaciną sadzić, i rozumiéć nietylko świeckie lecz i duchowne rzeczy, a nakoniec, przez pośrednictwo Kuźmy i naszych branek, mógł ciekawsze słowa Posła podawać czasem i reszcie słuchaczy.

Druga gromada, oblegająca Polskiego Braciszka, była nierównie liczniejsza, bo złożona z przeróżnych Słowian, od których wówczas roiła się Mongolja. Tam stali Polacy, Morawianie, Szlązaki, Rusini, Suzdalczyki, któż ich wszystkich zliczy? Tam tuliła się i garstka Niemców, jako tako gadających z polska.

W tym natłoku, branki nie mogły tyle korzystać z towarzystwa Brata Benedykta, ile ich serce pragnęło. Kapłan musiał przecie i pomiędzy innych nieszczęśliwców rozdzielać słowa pociechy. Ledwie czasem trafiała się chwilka wolniejsza. Jedną z chwil takich Elżbieta uchwyciła w locie, ażeby zapytać:

— Ach, powiédzcież nam jeszcze, Ojcze najmilszy, pewną rzecz co nas okrutnie przez te wszystkie lata frasowała: czy Tatarzy zupełnie od nas wyszli? Czy żadnego kawałka z naszéj ziemi nie wzięli?

— Wyszli, nic nie wzięli. To doprawdy dziwna łaska Boska! I od nas i od Węgrów poszli na przepadłe, ani jeden Tatar nie został.

— I nasz Xiążę Bolesław powrócił? I znowu sobie panuje szczęśliwie?

— A już to nie zaraz. Byli tacy źli ludzie, niepoczciwi Xiążęta, co chcieli go ubiedz, i w nieszczęśliwościach narodu łowić sobie władanie. Ale

Pan Bóg na to nie pozwolił, i teraz nasz zacny Xiążę Bolesław już znowu siedzi w Krakowie.

— I nasza złota Xiężna Kinga, znów od rana chodzi po mieście, i precz ratuje nędzarzy?

— A już co ratuje, to ratuje, nietylko rano, ale i dzień cały, nietylko w mieście, ale i w kraju całym, bo teraz gdzie się ruszyć, wszystko sami nędzarze. A gdzie spojrzéć, to zgliszcza i rozwaliska.

— Ach prawda, wszakci to i Kraków się spalił! I powiédzcież nam Ojcze: spalony ze wszystkiém? I z tym prześlicznym kościołem co się wznosił na chwałę Panny Marji?

— Nie, ten kościół ledwie odróbkę ucierpiał, i nietylko ten jeden, ale i wszystkie inne zdrowo się uchowały. Tu znowu—powiadam—widna ręka Boska: domy ludzkie znikły, jakby zdmuchnął—a domy Boże stoją. Prawdać że były z kamienia, z twardéj cegły, a tamte prosto z drzewa. Przytém téż i ludzie gdzie mogli ratowali, a rąk nie opuścili. Kiedy wyjeżdżałem, to już nasi Krakowianie tak się krzątali jakby nigdy nic, a Xiążę mi mówił że jak odbuduje miasto przy Boskiéj pomocy, to będzie dwa razy cudniejsze niż piérwéj.

— O!—Zawołała Ludmiła. — Gdyby to mógł słyszéć ten niecny Tolholos, który myśli że tam już tylko pustynia, że Krakowa już niéma i nie będzie!

— Co? Co takiego? — Pytali zdziwieni słuchacze.

Ludmiła zaczęła im ze zgrozą rozpowiadać o śpiéwach jakie słyszała przy uczcie Tatarskiéj,— ale opowiadanie jéj zostało przerwane wejściem kilku Niemców i Morawców, którzy przychodzili ażeby zapytywać Brata Benedykta, czy widział ich rodziny, i jakie wieści od nich im przynosi? Tym biédnym ludziom zdawało się, że człowiek przybywający z Europy, ze świata Chrześcjańskiego, powinien doskonale wiedzieć, co się w chałupie u każdego z nich dzieje. Smutno było patrzéć na ich twarze powarzone, kiedy Braciszek musiał wyznać, że «starego stryja Godfryda niezna» — «że małéj Liny, jak żyje nie widział.»—Osładzał te wyznania ogólnikami pociechy, zaręczeniem «że wszystko tam dobrze», ale i jemu serce się krajało, i ludzie odchodzili tém smutniejsi, że zawiedzeni w ostatniéj nadziei.

— Oni biédaki,—mówiła Elżbieta — nie tacy jak my szczęśliwi. My tu podobno jedne i jedyne, mamy wieści nietylko z kraju, ale i od naszych najbliższych.

— Ach tak! — Dodała Ludmiła.—Czy to nie cud prawdziwy, Ojcze Benedykcie, że właśnie was tu przysłano, was a nie innego? I czy to nie drugi cud, żeście przed wyjazdem jeszcze mogli widzieć Jasia? Bo przecie nie mieszkacie we Wrocławiu? Jakżeż się to stało?

— O!—Rzekł Benedykt.—Kiedy Pan Bóg co zawyrokuje, to wszystko się — jakiemiś tajemnemi drogami — według Jego woli ułoży. Tak i tu. Przed jakim półrokiem, nasz Przeor w Krakowie, odebrał od Stolicy Apostolskiéj pismo, gdzie donoszono mu że Ojciec Święty wyprawia do Tatarów Posła, który ma iść przez Polskę, i nakazywano aby jeden z nas, Braci Krakowskiego Konwentu, został mu dodany za towarzysza. Na tę wieść, wszyscyśmy aż potruchleli ze szczęścia. Mówiliśmy sobie: «A toż śmierć i korona męczeńska prawie pewne! Ale kogo Starsi wybiorą? Ach kogo?»—Wieczór, Starsi radzili. Ja całą tę noc przeleżałem krzyżem w mojéj celi, modląc się niewiadomo jak i o co, bo chciałem ale i nieśmiałem—ja niegodny—prosić Pana Jezusa o taką wielką łaskę.—A jednak—mówiłem w duszy—o Panie! jeśli mogę się tam komu przydać, czy do zbawienia, czy do pocieszenia, wejrzyj na Twego sługę!.....—I myślałem o wszystkich moich znajomych zabranych w niewolę, których mógłbym jeszcze raz widzieć, i o was moje zacne niewiasty..... Może też to wasze łzy i zasługi wyprosiły mi tę wielką radość? — Nazajutrz rano zchodzimy się wszyscy, a Starsi wymieniają, kogo? Mnie! Myślałem że padnę. Wszyscy Bracia rzucili mi się na szyję, ze łzami, z uściskami, żegnając mię już jakby na wieczność, a razem i troszkę wzdychając od świętéj zazdrości.—Kazano mi natychmiast iść do Wrocławia, bo człowiek boży miał tamtędy przechodzić. We Wrocławiu—

ma się rozumieć — co prędzéj lecę do Xiędza Macieja, chcę z nim popłakać nad wami, a także i nad Jasiem, bo jeszcze byłem pewien że i on w niewoli. Aż tu Xiądz Maciej przyprowadza mi Jasia, żywiuteńkiego, zdrowiuchnego! Ażem skamieniał z radości. Ach, ja myślałem przez chwilę, że i wyście także wróciły!

Tu Braciszek zatrzymał się wzruszony.

— Ojcze szanowny, — zapytała Elżbieta — czy mówiliście Jasiowi że idziecie do jego matki?

— Nie, tego nie mówiłem. Któż mógł wiedzieć czy wy jeszcze żyjecie? I czy się spotkamy w tych obszarach? Po co mu dawać nadzieje może zawodne? A przytém.....

— Cóż przytém?

— A no, byłby chciał iść ze mną.

— Ach, kochane dziecko!..... — Wyjęknęła matka chwytając się za piersi.

Znów nastała chwila milczenia.

— Krótko bawiłem we Wrocławiu. Zaraz prawie nadszedł człowiek boży. Wielka to dla mnie chwała, że ja, najmniejszy z małych, giermkuję przy tym przedziwnym rycerzu Chrystusowym.

— Któż to taki jest? — Zapytała Ludmiła.

— Nazywa się Jan Plano, rodem z jakiegoś Carpino, co leży gdzieś we Włoszech. Trzeba

z nim tak przeżyć, jak ja, kilka miesięcy, (i to takich miesięcy twardéj próby!) aby wiedzieć jakie w mężu tym gołębie serce a lwia siła, co to za naczynie kosztowne, pełne manny bożego słowa, i wonności cnót najwdzięczniejszych. A przytém, kiedy patrzę w niego, to mi się wydaje że na téj twarzy zawsze jasnéj, widzę odblask jeszcze innéj światłości..... wystawcie sobie, on znał Świętego Frańciszka! Mieszkał z nim w Assyżu, całował jego stygmaty, był jednym z jego najbliższych, z jego najmilszych uczniów.....

— On? Znał go! Boże dobry! Co to za szczęśliwy człowiek!.....—Wykrzyknęły niewiasty, i spojrzały na Włocha innemi już oczami; od téj chwili, wydał im się opromieniony jakiémś niewidzialném słońcem, jak wiérzchołki gór co jeszcze dniem się złocą, choć dla dolin gwiazda dnia już zaszła.

Braciszek ciągnął daléj:

— Wielka téż radość była w naszéj Polsce, kiedy zobaczono tego męża świątobliwego. Naród wszędzie wylegał tłumami. Oboje Królestwo, Xiążęta wszystkie, przyjmowały go jak anioła z nieba. Nadawali nam futer drogich, abyśmy mieli co zanieść królowi Tatarskiemu, bo mówiono że niemożna się przed nim pokazać bez podarków. Ale cóż? Tatary nam wszystko po dro-

dze wyłowiły, i tu już my przyszli z pustemi rękoma.

— Oj szkoda..... — Utyskiwała Ludmiła. — Zdały by się tutaj podarki. No, ale te okropne pustynie, jakże wyście je przebyli, Ojcze? Na wózkach?

— Nie, — na koniach nas gnali. Boże miłosierny, co to była za jazda! Każdego dnia, ze świtem ruszaj na czczo, i pędź aż do zmroku, co koń wyskoczy, bez wytchnienia, bez posiłku. Czasem, tak późno w noc stawali, że przychodziło nam iść na spoczynek, nic a nic w usta nie wziąwszy. A już najgorzéj w Wielkim Poście; wtedy niemogliśmy żadnéj postnéj strawy dostać u tych ludzi, co wiecznie żyją tylko mléczywem i mięsem, chyba niekiedy garstkę jagieł, a za cały napój to się trochę śniegu rozpuściło w kociołku. Już koło Wielkiéj Nocy, to nas napadało takie mdlenie, żeśmy się ledwie mogli na koniach utrzymać. A to dopiéro był początek.....

Tu na wielkie zmartwienie naszych niewiast, opowieści Braciszka znów zostały przerwane. Wtargnęła do izby nowa gromadka Słowiańskich niewolnic, dzieci i jeńców, którzy dopiéro w téj godzinie potrafili wyrwać się z domu. Wszyscy opadli Posłów; przynoszono im dziatki do błogosławieństwa; wiele z tych dzieci rodziło się już w nie-

woli; matki błagały aby Zakonnicy, jutro, jak najprędzéj, ochrzcili te nieszczęśliwe poganiątka.

Kiedy Polski Frańciszkanin rozprawiał się z nowo-przybyłemi, Elżbieta i Ludmiła niechcąc stracić ani chwili, wszczęły rozmowę z jego towarzyszem.

— Właśnie — rzekła Elżbieta, — opowiadał nam Brat Benedykt, jak niemiłosiernie Tatarzy was tu pędzili. Dla czego to? Czy chcieli poprostu zagłodzić was i zamęczyć?

— Prawdę mówiąc — przerwał Wilhelm Buchier,—głód i szalona jazda, to u nich nie nowina. Sami tak jeżdżą, ile razy chodzi o jaką ważną sprawę, a tutaj chodziło im o pokazanie takich znakomitych gości na Sejmie. Wiem z dobrego źródła, że to Poselstwo przysłane aż z «Romy», niezmiernie im pochlebia.

— Prawda.—Potwierdził Jan de Carpino. — Ciągle nam przez drogę powtarzali, że tylko dla tego spieszą, aby nas dostawić na Elekcję.

— A ja mówię,—sarknęła Ludmiła — że oni jeszcze nietyle chcieli na Kuryłtaju pochwalić się Poselstwem, ile przed Posłami chcieli się pochwalić Kuryłtajem, bo według nich, jak świat światem, nie było równéj wspaniałości. Myśleli że was oczarują, a może i przestraszą.

— I po części dopięli swego celu. — Odrzekł

Jan de Plano.—Tak, w skrytości ducha, my jesteśmy nietylko zdumieni, ale i przerażeni.....

— Czém? Czém? – Pytano do koła.

— A no, świat Chrześcjański ani się domyśla co mu ztąd zagraża. Nasi królowie mówią: «To proste kupy rabusiów, nie ostoją się i lat dziesięciu.» A my tu przyjeżdżamy, i znajdujemy co? Rządców przemądrych, ludy usłuchane, xięgi, rachunki, ład, cesarstwo co się zowie, jakiego nie daj Boże naszym Gibellinom. I jak się tu nie przerażać?

Słowa Brata Jana pogrążyły wszystkich w zadumę.

— I co jest dziwne, — dodał Poseł, ożywiając się z Włoskim ogniem,—co jest prawdziwie cudowne, to natchnienie boskie które tu, jak zawsze, oświéciło Stolicę Apostolską. Wielki to człowiek, nasz Innocenty Czwarty! Nie był tu, nie widział, a rozumié co się w Azji dzieje. Panowie Chrześcjańscy drą się po staremu, Cesarz Fryderyk hula jak poganin, wszyscy są bez oczów, bez pamięci, tylko jeden Papież dzwoni na trwogę, zaklina by ratować waszą Polskę i Węgry, ogłasza Krucjatę przeciwko Tatarom.

— Doprawdy? —Krzyknęli jeńcy. — Krucjata ogłoszona?

Jan de Plano uśmiéchnął się gorzko.

— Ogłoszona jest, — ale na cóż się przyda, kiedy nikt nie idzie? Wszyscy się znarowili do wojen z Saracenami, wszyscy tylko chcą korony Jerozolimskiéj, a nie wiedzą i niechcą wierzyć, że tu równa potrzeba — równa chwała — i królestwa jeszcze większe do zdobycia. — Nasz Ojciec Święty widząc to zaślepienie, zmienił myśl, i powiedział do mnie: — «Janie, Janie, na królów nie rachujmy, na baronów nie rachujmy, nie zostaje nam nic innego, jak wojować na wzór Apostołów. Słyszałem» — powiada — «że między Tatarami są Chrześcjanie. Jacy to Chrześcjanie, trudno wiedzieć, ale trzeba zobaczyć. Pójdź tam, zobacz wszystko na własne oczy, i wyrozumiéj czyby się nie dało ich nawrócić? Na początek, choćby kilku znaczniejszych, a kto wié, może i samego ich Xięcia? W każdym razie, przekonaj się co to za ludzie, i czy jest co między niemi do zrobienia?» — Teraz więc rozumiécie, po co Papież nas wysłał. Z początku krzyczano że to pomysł szalony, że poganie przy piérwszéj granicy rozedrą nas i upieką. Tymczasem, jak widzicie, jeszcześmy dotąd żywi, a choćby nas i upiekli, to przyjdą po nas inni, i znów inni, bo teraz nasze Zakony tak się palą do świętéj pracy nawracania, jak piérwéj rycerstwo się paliło do bronienia Grobu Pańskiego. O! Gdyby Tatarzy chcieli przyjąć naszą wiarę, wtedy już i po Saracenach — krzyż górą na całym świecie! To téż ja chodzę, i patrzę, i słucham, i szczerze mówiąc, cieszę się że nas tu gwałtem na tę Elekcję dostawiono, bo ta

Elekcja równie ważna dla nas jak dla pogan. Wielkie to i straszne pytanie, kto będzie tym Chaanem? Czy jaki Herod co znowu pójdzie wylewać krew niewinną, czy też jaki człowiek dobréj woli, któremu by można oczy i serce otworzyć?

Tu zwracając się do Ludmiły, zapytał:

— Signora dziś byłaś między niemi, jakże ci się zdaje? Komuż tam przeznaczają koronę?

Ludmiła zapłoniła się i zająknęła, miotana między obawą męża co jéj nakazał milczenie, a stokroć większą trwogą, że obrazi Posłów i Niebo niewyznając prawdy.

Szczęściem, z kłopotu wybawił ją Kuźma. Nim zdołała usta otworzyć, wykrzyknął:

— Kto będzie Chaanem? Kujuk! Nikt inny tylko mój pan, syn Rejentki Turakiny, Kujuk. A to i dla was dobrze, cieszcie się kochane Oćce, bo ten człowiek już jest na wpół nawrócony; Xięża codzień odprawiają nabożeństwo przed jego namiotem.

— E! Co mi za Xięża!—Wtrącił Buchier ruszając ramionami.—Nestorjanie! Heretycy!

Ale Jan de Plano położył palec na ustach, i mignąwszy ku Francuzowi spojrzeniem pełném ślicznéj, Włoskiéj przebiegłości, rzekł:

— Mistrzu Wilhelmie, nie szafujmy tutaj tą nazwą, nie gorszmy pogan widokiem naszych rodzinnych niesnasek. Niech się nawet nie domyślają, że między Chrześcjanami może być niezgo-

da. Nestorjanie zbłąkani, to prawda, ale bądź co bądź wierzą w Jezusa Chrystusa, i może Pan Bóg naumyślnie ich tutaj postawił, ażeby nam torowali drogę. Zamiast ich jątrzyć, otwórzmy im ramiona miłościwie, a może wrócą, i jeszcze drugich za sobą pociągną?

Kochające słowa Jana de Plano, przejęły wszystkich zdumieniem, i dziwnie ukoiły serca. Już tylko spiérano się o Kujuka, czy naprawdę sprzyja Chrześcjanom, i czy ma stronnictwo dostatecznie silne? Niektórzy twierdzili, że synowie Xiężny Siurkukteni są daleko bliżsi nawrócenia i tronu.

Kuźma ciągle powtarzał:

— Kujuk będzie Chaanem. Już ja wiem co mówię.

— Ale dla czego? Dla czego? — Pytano ze zniecierpliwieniem.

— Dla czego? No, to powiem. Kujuk zamówił u mnie Cesarską Pieczęć i Tron, które właśnie wykończam. Te rzeczy okropnie wiele kosztują, okropnie. Gdyby nie był pewien swego wyboru, to przecie by się nie narażał na takie szalone wydatki?

— Trochę prawda.—Poparło kilka głosów.

— Ach!—Zawołał Braciszek Benedykt.—Jak jabym też chciał widzieć taką Pieczęć króla Tatarskiego!

— A i owszem, jeszcze jéj nie oddałem.—Za-

wołał ucieszony Kuźma, i otworzywszy ciężką, pstro malowaną skrzynię, co zajmowała cały narożnik izby, wyjął puzderko z pachnącego drzewa. Roztworzył: błysnęła Pieczęć ogromna, złota, na któréj była dosyć pięknie wyrobiona, głowa półlwia, pół-tygrysia. Do koła stał napis.

— Co znaczą te słowa?—Zapytał Jan Plano.

— Czekajcie, zaraz wam przetłumaczę.—Odpowiedział «dwu-umny» Temer, i wpatrując się w Pieczęć, czytał głośno, niby uroczyście, ale z głębokim, źle ukrytym przekąsem:

«Na niebie jeden Bóg — a na ziemi jeden Chaan-Kujuk — z miłosierdzia Bożego władca wszystkich ludzi.»

Posłowie się uśmiéchnęli.

— Dzięki Bogu, — rzekł Benedykt — jeszcze nie zupełnie *wszystkich*.

Włoch, spojrzawszy na niego smutnie, zauważył:

— Oj! Z tym człowiekiem, jak widzę, będzie ciężka sprawa. Z tych słów bije pycha Nemrodowa.

— Ale pieczęć trefnie wyrzezana? Nieprawdaż?—Zapytywał Kuźma troszkę niespokojny.

A gdy mu winszowano świetnego wyrobu, dodał:

— Jutro wam tron pokażę.

I siadł, chcąc słuchać dalszéj rozmowy. Ale ta rodzicielska miłość, co wiąże artystę z ostatniém jego dziełem, (ostatnie jest zawsze Benjaminkiem —) nie dała mu spokojnie siedzieć.

Wstał znowu, i rzekł nieśmiało:

— Wiécie co? Może wam zaraz tron pokażę?

— Jakto? Po nocy?--Zapytano.

A Filipek dodał:

— Źle się wyda.

— Co ty gadasz, smarkaczu, źle się wyda? — Odparł draśnięty Kuźma.—A czy wiész? Kiedyś, noc mię zaskoczyła przy robocie, musiałem kończyć prędko, zanim kość się zeschnie — kazałem przynieść pochodnie, i spostrzegłem dopiéro wtedy, że tron sto razy lepiéj wyglądał niżeli przy słońcu. Wszystko migotało, mieniło się w oczach— zupełne czary.

— A to chodźmy zobaczyć.--Zawołano.

Wszyscy wyszli z kołowego domu. Publiczność na dworzu zgromadzona, zaczęła wzdychać i żałować, w przekonaniu że Posłowie już odchodzą. Ale gospodarz przeprowadził ich tylko nie-

co na bok, do jurty ogromnéj, gdzie mieścił się główny warsztat.

Na samym środku jurty, czerniało wyniesienie podobne do mar żałobnyeh, całe pokryte ciemnemi wojłokami. Kuźma z pomocą Wilhelma, zaczął te wojłoki ściągać, i przy świetle kilkunastu pochodni, pokazało się zapowiedziane dzieło.

Na siedmiu stopniach, leżał jakby pień ścięty, zaopatrzony w tyle półkolistém oparciem, a dosyć obszerny aby mógł wygodnie podtrzymywać okrągłą poduszkę, na któréj zwykle przysiadywali Chaanowie. Wszystko to było z hebanu, ale drzewo tylko gdzie-nie-gdzie przeglądało, majacząc z pod złotych przepysznych obrzeżeń, pomiędzy któremi bielały kwadraty i plecionki ze słoniowéj kości; wzrok tam rozeznawał jakieś buńczuki, kołczany, i przeróżne bronie, wypuklające się atłaskami mlécznéj snycerszczyzny. A ten heban i ta kość, i złote brzegi, wszystko było po wiérzchu posypane i jakby wyszyte haftem ze szmaragdów i szafirów, których rozmiary zdawały się oczom nieprawdopodobne. Jeden zwłaszcza szafir, wprawiony w oparcie, był wielkości kurzego jaja.

Na kirowém tle nocy, przy krwawém oświetleniu łuczywa, ten tron wyglądał jakby stworzony dla jakiegoś Czarnego Genjusza z Azjatyckiéj bajki.

Widzowie byli olśnieni, podbici. Niektórzy przyklękali na stopniach aby się lepiéj przyjrzéć rzeźbom, inni wydawali okrzyki przy odkrywaniu coraz to nowych, coraz większych kamieni. Nawet Ludmile, oczy zaiskrzyły się po kobiécemu, na widok magicznego szafiru.

Braciszek Benedykt ciągle kiwał głową, i powtarzał:

— A to dopiéro! Niech się król Salomon ze swoim tronem schowa.

Jan de Plano, kunsztownemi słowami pochwalił robotę, ale potém zwrócił się do towarzysza, i szepnął po łacinie:

— Oto Szatan, i jego pompy.

Kuźma stał za innemi, uśmiéchając się rozkosznie do swego utworu.

Nagle, ogarnęło go niezrozumiałe rozrzewnienie. Łzy posypały się grochem po jego pulchnéj twarzy.

— Co tobie «petit père»? — Zapytał z troskliwością Buchier. — Ty płaczesz?

— A jakżeż ja niémam płakać, kiedy widzę, że temi oto Chrześcjańskiemi rękami, musiałem wykować tron dla Antychrysta? O ja nieszczęśnik!

Ale co było robić? Niewolen, to i bezgrzeszen, nieprawdaż Ojczulku?

— Prawda, prawda. — Pocieszał Braciszek Benedykt, a chcąc stroskanego jeszcze lepiéj pocieszyć, odnalazł nawet maleńki przebłysk dawniejszych żarcików.

— Gdybym to ja — dodał krotochwilnie — mógł tę okarę wam ukraść, wziąć ją pod moją sukienkę i zanieść do Rzymu, dla Ojca Świętego, a! tam, byłaby jak ulał.

— No tak, ale wtedy Ojczulku, musielibyście chyba i mnie wziąć pod sukienkę, a trochę trudno..... cały wasz habit ledwie by wystarczył na jeden rękaw dla mnie.

Powstał śmiéch ogólny. Kuźma śmiał się także, a łzy ciągle ociérał.

Temer mrugnął na Braciszka, i wtrącił:

— Oj-da! Jeśli kto ma tę rzecz zabrać, to już chyba ja, bo mnie do domu najbliżéj. U nas pierś taka szeroka, że całe Chaństwo się tam zmieści.

Mówiąc to, rozpinał pętlice, i pokazywał pierś byczą, a śmiéch do koła się podwoił.

Ale Mistrz Wilhelm zaczął co prędzéj znowu zapuszczać wojłoki, mówiąc niby z trwogą:

— Wychodźcie..... wychodźcie..... boję się rabunku.

I wszyscy tłumnie wyszli z jurty.

«Fra Giovanni» szepnął towarzyszowi:

— Żal mi porzucać tych ludzi, ale czas by nam już było powracać do naszych namiotów.

Jednak myśl powrotu okazała się niewykonalną.

Przy ognisku, niewiasty zabiegły im drogę, uwiadamiając że wieczerza już gotowa.

— Jakto? Znowu jeść?—Zawołali.

— A juści.—Odparł Kuźma.—Jeszcze my nic nie jedli. Przecie datyły się nie liczą.

I oświadczył że nie puści Posłów przed wieczerzą, choćby miał ich okuć w złote łańcuchy, — których — mówił — nie brakuje na moim warsztacie.

Już się napowrót kierowali do kołowego domu, kiedy tłum opadł Zakonników, prosząc i nalegając:

— Najdroższi Ojcowie, nie odchodźcie od nas..... My tam w izbie niemożemy wszyscy się pomieścić, a radzibyśmy ciągle na was patrzéć, nie stracić ani słówka z waszéj słodkiéj mowy. Noc ciepła—wyniesiemy tu stół—jédzcie między nami.

— Dobrze, dobrze moje dzieci. Pozwól gospodarzu—jeśli chcesz gwałtem nas częstować, to już tutaj, pod niebem. Żadnych stołów nie trzeba,

zjemy o tak, w ręku, jak przystało na żebrzące mnichy.

Goście siedli gdzie mogli; ci na przewróconym wózku, tamci na kłodzie drzewa, inni na murawie. Niewiasty rozdawały miseczki z przewyborną, kurzącą się «supą», gdzie drobnemi kawałkami pływało i mięso.

Tłum stał dokoła, patrząc chciwie na Posłów, a może i na miski, bo niewolnikom Tatarskim rzadko kiedy głód nie doskwiérał. Kuźma rozochocony, kazał i widzom rozdać po troszku séra i gałek z mąki, a nawet kazał wytoczyć i beczułkę piwa, którém wszyscy skromnie lecz smakowicie się raczyli.

Noc była prześliczna, cichuteńka. Wprawdzie z oddali dochodziły bębnienia, trąbienia i wrzaski pijanych biesiadników, odblask tysiącznych pochodni bił z nad axamitnego namiotu podrygującą łuną, ale nad naszą gromadką, świéciły tylko gwiazdy spokojne, zawieszone pod cichym namiotem niebiosów.

Pośród niewyczerpanych zwierzeń, rad i rozmów z niewolnikami, godziny niewiedziéć gdzie się podziéwały. Przy krótkości nocy Lipcowych, gwiazdy szybko blakły, i od wschodu zaczynał już majaczyć pasek perłowego brzasku. Przez po-

wietrze — dotąd nieruchome — przelatywał chłodny, przedświtowy wietrzyk.

Na te znaki zarania, ruch i niepokój zapanowały pomiędzy brańcami.

— Ach, — mówili — szkoda..... już trzeba powracać! Jak nas panowie nie zastaną przy koniach. to nas każą zasiekać.

Niewiasty jeszcze bardziéj się trwożyły.

— Gdyby téż pani wróciła trochę wcześniéj niż zwykle, a mnie tam nie było do jéj rozbiérania, no, to już i po mnie. Każe mię bić gorącą głownią, albo zaszyć w worek ze szczurami.

I spieszyli się niby, ale bardzo leniwo. A kiedy Zakonnicy — sami już znużeni — podnieśli się i chcieli wszystkich żegnać, tłumy znów ich obległy.

— Jeszcze chwilkę..... jeszcze chwilkę..... — Błagano.

— Wy, Ojcze Janie, błogosławcie nas temi rękami co się dotykały rąk Świętego Frańciszka!

Człowiek boży wzniósł ręce, i błogosławił tłumy z gorącością, którą przytomni wyraźnie uczuli na swoich skroniach i sercach.

Do Brata Benedykta, jako do swojaka, tłum garnął się jeszcze śmieléj, żądał jeszcze więcéj.

— Ojcuniu, Ojczulku, wy nam co powiédzcie na pożegnanie — jakąś naukę pobożną, którą byśmy długo mogli pamiętać i rozpamiętywać, bo może nam się już druga taka noc nie trafi?

Braciszek, chociaż jeszcze niewypoczęty z podróży, i śmiertelnie zmęczony całodzienną pracą przy duszach, otrząsnął się jak żołnierz zawołany do szturmu, odpowiedział radośnie:

— Z całego serca, moje dzieci!

I zaczął wzrokiem wodzić w koło, upatrując, gdzieby tu znaléźć jakieś miejsce, podobne do kazalnicy?

Wstąpił na schodki prowadzące do kołowego domu Kuźmy, i ztamtąd rzewnie spojrzawszy po wszystkich, zapytał:

— O czém tu mówić takiém, coby wam poszło na pożytek i słodycz? Każdy mówi o tém, co najbardziéj leży na sercu jemu i jego słuchaczom. Rycerz mówi o bojach i basztach i szańcach, pusta niewiasta o szatach i tańcach, kunsztmistrz o swojéj robocie, skąpiec o swojém złocie, — więc ja, będąc między temi którzy nic nie robią tylko cierpią, powiem:

KRÓTKĄ NAUKĘ O CIERPIENIU —

Najmilsi bracia i siostry!

No i cóż? Zaraz na piérwszym kroku, stanąłem jak oślica Balaama.....

Chcecie abym wam powiedział naukę? Wam? A toż mnie prędzéj uczyć się między wami, jak człowiek powinien sprawować to przechwalebne rzemiosło cierpienia. Kiedy byłem chłopięciem, i piérwszy raz przyszło mi słyszéć Żywoty Świętych Męczenników, których okrutny Rzymianin palił, katował, i dawał bestjom na pożarcie, nieraz wzdychałem sobie: «Boże mój! Co za szkoda żem ja wtenczas nie żył! Jakbym ja chciał widziéć takich cudownych ludzi, całować ich rany i kajdany!» — A teraz już nie mówię: «Szkoda!» Bo co chciałem widziéć, to widzę. Odnalazły się czasy pogańskich biczowań i naigrawań — starosta Rzymski odnalazł się pod krzywym Tatarskim kołpakiem — widzę rzesze męczenników i męczennic, wydanych na pastwę ludziom okrutniejszym niż Afrykańskie bestje.

O dajcież mi się napatrzéć tych pęt i poranień! Dajcie mi się wypłakać. A kiedy się po ludzku wypłaczę, to będę się nad wami cieszył i zazdrościł wam.

Niejeden tu powié sobie: «Czego ten głupi

Braciszek cieszy się z naszych męczarni? To nie po Chrześcjańsku.»

A inny sobie powié: «Czego ten szaleniec nam zazdrości?»

Ach! Jakżeż niémam cieszyć się za was ogniście, i zazdrościć wam siarczyście, kiedy widzę że jesteście kochankami Ukrzyżowanego Jezusa, który widocznie chce was do Siebie przyciągnąć? Widoczniéj, mocniéj niż nas wszystkich. Bo trzeba wam wiedzieć, że kiedy Bóg ciągnie, to boli.

Znałem ja dwóch braci, Apollonjusza i Symplicjusza. Obaj byli ludzie porządni, cnotliwi, pobożni, tak że Pan Bóg sobie powiedział. «Muszę ja ich prędko do nieba sprowadzić, bo mi się podobają ci dwaj porządni ludzie.»

Niedługo potém, zaczęto u nas mówić o Tatarach. Kiedy na wszystkich padła czarna trwoga, obaj bracia rano i wieczór modlili się bardzo gorąco, ale każdy inaczéj.

Starszy, Apollonjusz, wołał: «Boże miłosierny, ocal mnie od tych pogan, mnie i mój dom, a ja do końca życia będę Ci wiernie służył i dziękował! Ojcze kochany, nie daj mi pójść do Tatarów — już ja wszystko co zechcesz zniosę — we wszystkiém inném spełnię święcie Twoją wolę — tylko nie oddaj mię w ręce Tatarów.»

I póty nudził Pana Boga, aż Ojciec Niebieski rzekł: «Ha! Trudno, zastosujmyż się raz do woli tego człowieka.» —I zmienił swoje wyroki względem jego przyszłości.

A drugi, Symplicjusz, nie umiał gadać z Panem Bogiem tak politycznie, tylko w kółko powtarzał: «Bądź wola Twoja a nie moja — bądź wola Twoja a nie moja.....» — Ciągle to samo.

To też względem niego Bóg nie zmienił swego wyroku.

Stało się, że kiedy Tatarzy naszli Polskę, Apollonjusz ocalał jakby cudem, i żona jego i dzieci ocalały, i majętności jego nikt nie dotknął. A Symplicjusza poganie napadli, dom jego zrabowali, skarby rozszarpali, i co smutniejsze, jego samego zawlekli w niewolę.

Szósty rok już mija od czasu jak się to stało. Te pięć lat Apollonjusz przeżył szczęśliwie w Polsce, gospodarząc, i ciesząc się, i wdzięcznie służąc Bogu. Codzień powtarzał: «O jakiś Ty dobry Ojcze, żeś wysłuchał moją korną prośbę!»

A Symplicjusz przeżył te pięć lat, bity na kwaśne jabłko, nagi i głodzony, a jako ciche niebożątko, do ludzi tylko się uśmiéchał, do Pana Boga zaś w kółko mówił: «Bądź wola Twoja a nie moja.....»

W początku tego roku, obaj bracia umarli. Tamten umarł sobie spokojnie, w swoim ciepłym domu, na swojém dębowém łożu, między miłującą rodziną, wśród płaczu sąsiadów i przyjacioł.

A ten drugi, tu gdzieś niedaleko, na pustyni, skonał pod batami pogańskiemi.

I zdawało się, że Apollonjusz umiał sobie mądrzéj poradzić z Panem Bogiem niż prostak Sym-

plicjusz. Nieprawdaż, i wy tak myślicie? Ale czekajcie końca. Koniec dzieło chwali. Zobaczmy co się stało z obu braćmi po śmierci.

Ja nie święty ani prorok abym to mógł wiedzieć sam z siebie, ale pewien zacny pustelnik miał o nich senne objawienie, które mi tak opowiedział:

Kiedy Apollonjusz umarł, znalazł się na tamtym świecie w sukni szaréj, niby pielgrzymiéj, z dużym rachunkiem w ręku; był to rachunek sumienia, ściągnięty z całego życia. Zaczął iść do Nieba dosyć raźno, mówiąc sobie: «No, nieźle się przebrnęło przez Nowicjat, zdaje się że mnie tam przecie puszczą.» — Chcąc sobie dodać odwagi, zajrzał do rachunku. Zajrzał i zaczął się jakoś frasować..... Znalazł tam pełno win nieopłaconych, obietnic niedotrzymanych, dłużków na śmierć zapomnianych. Nie było nic tak bardzo strasznego, ale zawsze mniéj pięknie i czysto niżeli się spodziéwał. Szedł więc już wolniejszym krokiem, oglądając się i namyślając. Nakoniec zobaczył furtę Niebieską, co prowadzi do Klasztoru Jezusowego. Ten Klasztór ma hjacyntowe mury i rubinowe wieże, na których bez końca, bez końca, kręci się zégar Wieczności.

Apollonjusz zobaczył przed furtą swojego brata Symplicjusza, który stał w bieluteńkiéj sukni, także z rachunkiem w ręku, i pukał, ale tak nieśmiało i strachliwie, że aż aniołowie siedzący przed furtą na straży, śmieli się różowemi buziami.

Pomimo lichego pukania, Święty Piotr bardzo prędko usłyszał, otworzył furtę i zawołał: «Ach, to ty Symplicjuszku! Dobrze, chodź-że, chodź, już wszyscy cię wyglądamy.»

Tamten jednak stał ciągle wystraszony, i wyciągał pargamin, mówiąc: «Tak, ale przecież jeszcze rachunek?»

Święty Piotr machnął ręką.

«E! Co tam rachunek. Wiem żeś wszystko już odcierpiał, i trochę nawet więcéj niż trzeba. Naddatek ci się w dziesięćkroć policzy. Tylko już chodź-że prędzéj, bo inni czekają.»

I gwałtem wepchnął go do Nieba.

Apollonjusz widząc że to tak łatwo się tam dostać, nabrał niemało otuchy. Ślicznie się ukłonił Świętemu, i mówi: «To ja, właśnie brat rodzony tego kochanego Symplicjuszka.»

— «I cóż z tego?» —Spytał się Apostoł.

— «A no, chciałbym także wejść tutaj.»

— «Wierzę bardzo że chciałbyś, ale najprzód zobaczmy czy można. To bardzo rzadki wypadek aby kto wchodził tak obcesem. Pokaż-że..... gdzież rachunek?»

— «A! To ja muszę pokazywać rachunek?» — Rzekł nieco zdziwiony Apollonjusz. Jednak, podał pargamin.

Święty czytał, rachował, obliczał, potém rzekł:

— «Nie zamykam ci téj furty, bynajmniéj, — należysz do lepszych, i wrócisz tu niedługo, ale

piérwéj musisz pójść do Czyśćca na piędziesiąt lat.»

— «Na pię-dzie-siąt lat!» — Wykrzyknął przerażony człowiek. — «Ależ za co? Za co? Przecież ja nic tak wielkiego nie zbroiłem?»

— «To téż» — powiada Święty — «ja cię nie posyłam do Piekła, ale do Czyśćca, i to nie na długo.»

— «Piękne mi *nie długo!* Piędziesiąt lat! A toć ja nie wiele więcéj żyłem tam na ziemi! Mój brat cierpiał tylko pięć lat między Tatarami, i wszedł tutaj prosto.»

— «A!» — Zawołał Święty. — «Bo on cierpiał w *tamtém* życiu. A trzeba ci wiedzieć że tamten świat jest maleńki, więc i wszystko na nim króciutkie, malutkie, tak szczęście jak cierpienie. A tutaj świat okropnie duży, to i wszystko na nim duże.»

Apollonjusz, jako człowiek wymowny, sądził że jeszcze Świętego Furtjana przekona:

— «Mój złoty Apostole, opuść mi choć jeden dziesiątek lat, choć jeden roczek! Czemuż koniecznie ta nieszczęśliwa piędziesiątka?»

— «Bo widzisz tak: u nas tu wszystko liczy się dziesięciokrotnie. Twemu bratu policzyłem dziesięć razy to co nadłożył cierpienia, tobie znów liczę dziesięć razy to czego ci brakuje do zupełnéj pokuty. Trudno abym ci ten rachunek tłumaczył, bo się na tém nie znasz. Niechby mi przyszło gadać naprzykład z jakim kupcem Or-

mjańskim albo Włoskim, a! taki zaraz by mię zrozumiał. To jednak musisz pamiętać, bo przecie i u ludzi tak się dzieje, że dług niezapłacony w swoim czasie, narasta coraz grubiéj, coraz prędzéj. Gdybyś na ziemi był poszedł do niewoli Tatarskiéj, to byłoby się skończyło na pięciu latach pokuty i wszystko dobrze. A tak teraz, kiedy przetrzymałeś termin śmierci, muszę ci policzyć i dług, i karę za spóźnienie, i koszta rozmaite, słowem okrągłe piędziesiąt lat wypada.»

Apollonjusz porwał się za głowę, jęcząc:

— «A to czemuż i mnie, Pan Bóg nie posłał do niewoli Tatarskiéj?»

— «Czemu? Czemu?»—Powtarzał, już trochę oburzony Apostoł. — «Człowieku, gdzie ty masz pamięć? Przecież Pan Bóg chciał, a tyś go dniem i nocą błagał, nachodził, dręczył, ażeby to zmienić. Aż postawiłeś na swojém, a teraz się dziwisz.»

— «Ale bo któż wiedział? Święty Piotrze, sam przyznaj, my na ziemi o tém wszystkiém niewiemy.»

Święty Piotr zmarszczył siwe brwi.

— «A już tego nie gadaj, człowiecze! Wiedziałeś o tém doskonale. Ojciec i matka w dzieciństwie ci to już gadali, potém co Niedziela słyszałeś to z ambony, a przez całe życie, sumienie ci o tém wszystkiém szeptało do serca, doświadczenie trąbiło w głowie. Dobrze wy to wiécie,

tylko udajecie głuchych. Otóż i ja teraz tak zrobię.»

I bojąc się mądrości człowieka, co raz potrafił samego Pana Boga namówić na swoją wolę, Święty Piotr pręciuchno zamknął furtę, i na palcach odszedł.

A spłakany Apollonjusz skierował się ku Czyśćcowi, i łamiąc ręce, wołał:

— «Ach, czemużem ja w tamtém życiu więcéj nie wycierpiał?»

Widzicie więc z téj przypowiastki, najmilsi bracia i siostry, jacy to są szczęśliwi, jak zazdrości godni ci ludzie, którym Pan Jezus pozwoli już w tém życiu odsiedzieć swój Czyściec. Tanim kosztem się zbędą, i na całą wieczność spokojnie.

Widzę że was pocieszyłem. Głowy podnoszą się, jak zeschła trawa po dészczu. A i owszem, nabiérajcie odwagi, ale jednak za bardzo nie podnoście głowy, nie myślcie czasem, że wy wszyscy już jesteście Świętemi? Może tak jest, — a może i nie? Ja na wylot waszych serc nie widzę. Powiadam wam: u Pana Boga nie to się liczy *co* człowiek wycierpi, ale *jak* wycierpi. Wszak i między dawnemi Męczennikami, nie wszyscy odnieśli pal-

mę? Niektórzy skarżyli się i bluźnili, ach, niektórzy wstali z ławy tortur, i poszli rzucić ziarnko kadzidła dla fałszywych bogów! Cierpiéć i zły potrafi, bo musi. Wszak i potępieńcy w Piekle cierpią, a nic im to nie pomaga? Bo cierpienie źle użyte, na złe duszy wychodzi. Więc nie mówcie sobie, że dość jest być w niewoli pogańskiéj, aby pójść do Nieba. Jeżeli człowiek sam z siebie nie trafi, to i Tatar go tam nie wepchnie.

Zapomniałem wam podobno powiedzieć, że Apollonjusz i Symplicjusz mieli jeszcze trzeciego brata, co zwał się Tyburcjuszem. Ten był ich bratem przyrodnim, to téż nic a nic do nich niepodobnym. Wszyscy wiedzieli że to człek niedobry, chciwy na cudze mienie, okrutny dla sług. I nic dziwnego; ten człowiek wcale się nie modlił. Pan Bóg jednakże koniecznie chciał mu napędzić zasługi. Najprzód go nawracał dobrocią, pomyślnością; coraz gorzéj szło. Więc zmienił sposób: tak wszystko urządził, że kiedy Tatarzy do nas przyszli, wzięli i Tyburcjusza w jassyr. Poszedł razem z bratem, ale sprawiał się zupełnie inaczéj. Dzień i noc złorzeczył nieprzyjaciołom co go dręczą, i przyjaciołom co go nie umieli obronić, towarzyszów niedoli nietylko że nie wspiérał, ale skarżył i oszukiwał gdzie się dało, wszystkich przeklinał na czém świat stoi, a z brata codzień się naśmié-

wał: «Ślicznie wyszedłeś na twojéj nabożności! Bądź-tu potém cnotliwym. Znosisz wszystko z głupim uśmiéchem jak cielę, a twój Bóg bardzo się o ciebie troszczy! Ja przynajmniéj kiedy klnę, to mi lżéj na sercu.» —I różne takie wygadywał plugastwa.

Nakoniec umarł, i to także niedawno, jakoś w tydzień po Symplicjuszu. Jak tylko umarł, obudził się w sukni zbrukanéj, czarniusieńkiéj; wstał ponury, i zaczął iść do Nieba. (Iść tam wolno każdemu, tylko wejść nie każdemu.) Kiedy stanął przed furtą, zdziwił się jéj blaskiem, i zaraz obliczał wartość rubinów użytych na wieżę. A że w tém życiu lubił wieczne plotki, więc i tam zaczął się dopytywać Aniołów stojących na warcie, co się téż stało z jego bratem Symplicjuszem? Kiedy mu odpowiedzieli że wszedł od razu do Rajskiego Klasztoru, zapytał znów z przekąsem:

— «Za co to cielę weszło?»

Jeden z Aniołów spojrzał na niego trochę krzywo, i rzekł:

— «A przecież on wracał z niewoli pogańskiéj?»

Ta odpowiedź niezmiernie ucieszyła Tyburcjusza. Skoczył do furty, i walił w nią pięściami, jakby do swego domu. Święty Piotr aż się przeżegnał, przybiegł, ostrożnie uchylił wrótek, i zapytał surowo:

— «Coś ty za jeden? Czego się tak dobijasz?»

Tyburcjusz wziąwszy się pod boki, szumnie odpowiedział:

— «Wracam z niewoli Tatarskiéj.»

Apostoł pokręcił głową.

— «Jakoś»—powiada—«ci Tatarzy nie potrafili ci dobrze wyprać sukni. Ha, zobaczymy. Pokaż twoją cedułę.»

— «Jaką cedułę?» —

— «A no, rachunek sumienia z całego twego życia.»

— «Ja nigdy nie prowadziłem z życia żadnego rachunku.»

— «Oj, to bratku będzie źle z tobą.»

— «Czego ma być źle?» — Wrzasnął zapérzony Tyburcjusz.—«Niéma tygodnia jak tu przyszedł mój brat Symplicjusz, który przecież nie więcéj cierpiał odemnie, bośmy razem byli w téj niewoli? Jego, to wpuściłeś tu od razu. Jeżeliż jest jaka sprawiedliwość na świecie, wpuść-że i mnie tak samo!»

— «Ciszéj, trochę ciszéj.....» — Odezwał się Apostoł.—«Twego brata wpuściliśmy bez odwłoki, nie za to *że* cierpiał, ale że *dobrze* cierpiał. A ty.....»

Pustelnik mi nie powiedział, co się daléj stało. Czy Święty Piotr wysłał Tyburcjusza do Piekła, czy tylko na pięćset lat do Czyśćca? Ułajmy w miłosierdzie boskie, że się na tym drugim wyroku skończyło.

A teraz, widzicie znowu, najmilsi bracia i siostry, jakiém to łatwém, ale razem i trudném rzemiosłem jest owo cudowne «Cierpienie», którego człowiek podobno nigdzie lepiéj się nie uczy jak w niewoli. Więc klęknijmy, podziękujmy Bogu, i prośmy o serce Symplicjusza.

Wielcy przodownicy.

Postacie dwóch Braci zakonnych, Jana Włocha i Benedykta Polaka, wyglądają w dziejach — kolosalnie.

Otwórzcie jaką chcecie *Historję Missji*, a zobaczycie że od chwili, kiedy z Wieczernika, z pod «Ognistych języków», Uczniowie Najwyższego Mistrza rozeszli się po świecie, aby na wszystkie jego krańce roznieść posiew boży, następuje przerwa przeszło tysiąc-letnia.

Przez ten czas, Chrześcjaństwo urządza się u siebie, przygarnia coraz to nowe ludy i królestwa, ale zawsze w granicach Państwa Rzymskiego, dokładniéj mówiąc, w granicach świata *znanego*. Ów świat był już tak wielki, że cyklus tysiąca lat jeszcze nie wystarczył, na zupełne jego przyswojenie nowym pojęciom i nowéj oświacie.

Dopiéro w dwunastym wieku, pierś ludzkości zaczyna szerzéj oddychać, chce się rozprężyć ku dalszym widnokręgom. Pod płomiennem tchnieniem dwóch ludzi, (którzy—już nie bacząc na ich świętość—byli w każdym razie wielkiemi genjuszami,) pod płomiennem tchnieniem Świętego Frańciszka i Świętego Dominika, powstają dwie armje dziwne, bezbronne; te idą na zdobycie nowych krajów dla Krzyża, i zaprawdę zdobywają ich więcéj, niżeli współczesne, po ludzku wojujące Krucjaty. Widzimy nagle mnóstwo cichych bohatérów, rozsypujących się po ziemiach Marokku, Egiptu, Palestyny i Syrji, poświęcających dziełom nawracania życie całe, zwykle męczeńską palmą zakończone. Harce tych pierwotnych czat Missjonarskich, są już bardzo śmiałe i ciekawe, ciągle jednakże krążą jeszcze w granicach dobrze znanych, na wązkim skraju Azjatyckich i Afrykańskich brzegów morza Śródziemnego;—ich usiłowania zwrócone są przeważnie przeciw Izlamowi.

Nagle, podnoszą się dwaj bohatérowie dziwniejsi, Jan i Benedykt. Piérwsi to Missjonarze od czasu Apostołów, co przekraczają zaklęte owo koło i puszczają się w strefy tajemnicze, jeśli tak rzec można, w «ciemności zewnętrzne».

Na tle téj tysiąco-letniéj próżni, postacie ich rysują się niebotycznie, wysokie i wpół-przejrzyste

jak dwie gotyckie wieże, koronujące pierwotną budowę Chrześcjaństwa.

Tak wyglądają, widziane ze stanowiska Wiary.

A teraz, jeśli spojrzymy na nie ze stanowiska Nauki, spostrzeżemy z podziwem, że nic nie tracą na wielkości.

Otwórzcie jaką chcecie, *Historję Odkryć i Podróży*, tu znów, od czasów Piteasza i Strabona, ciemnieje wielka przerwa na drodze postępu. Całe piérwsze tysiąc lat naszéj ery, nie przynosi prawie żadnych nowych pojęć w dziedzinie Jeografji. Ludzie nie poznali lepiéj kształtów ani granic swojego doczesnego mieszkania, owszem, do starych bajek dodali mnóstwo nowych, nierównie cudaczniejszych. W ruchu mieszającym plemiona, osiada się długi zastój, narody i szczepy odgradzają się od siebie coraz mocniéj, to téż jedne o drugich już coraz mniéj wiedzą. Czasem wprawdzie wyjrzy z domowego zakątka jakiś Pielgrzym, wędrujący do Jeruzalem lub do Mekki, jakiś rycerz szukający przygód, lub jakiś Arab drobnostkowo ciekawy, jednakże wszyscy oni kręcą się niezmiennie w obrębie starożytnym, klassycznym, nowemi farbami wykończają lub zamazują obrazy Herodotów i Cezarów, ale sami nowych obrazów nie

tworzą, nie mogą rozszerzyć zaczarowanéj «tarczy» świata.

Nagle, zrywają się dwaj wielcy podróżnicy, Jan i Benedykt. Pierwsi to Badacze co śmieją pójść w kraje nieznane Grekom ni Rzymianom, nieznane nikomu na Zachodzie, nie wytknięte na żadnéj mappie.

Podziwiamy takich Franklinów, Humboldtów i Livingstonów,—ach, ileż więcéj powinniśmy podziwiać tamtych!

Każdy na świecie podróżnik, przed wyjazdem zaopatruje się we wszelkie możebne ułatwienia. Dowódcy wypraw żeglarskich, mają zbrojną załogę, sprzęty i wygody. Uczeni, nawet pieszo wędrujący, nie puszczają się bez broni, zapasów, xiążek i narzędzi. Nasi dwaj Zakonnicy, nie posiadali nic na świecie, oprócz swoich Brewiarzy, habitów i sandałów. Bez oręża, bez pieniędzy, (bo czy w domu czy w podróży, niewolno im było inaczéj żyć, jak tylko z jałmużny,) szli, niewiedząc gdzie dojdą, niewiedząc nawet właściwie o jakie kraje, i o jakich władców mają zapytywać? A jednak doszli, i stali się Odkrywcami owego drugiego, bezgłębnego Wschodu, który po-za znanym, Saraceńskim Wschodem, rozwidnił się niespodzianie przed niemi, jak nowy świat — i nowa jutrznia.

Wprawdzie niemożna twierdzić, ażeby przed niemi żaden Europejczyk tam niepostał. Owszem,— jak widzieliśmy—tysiące niewolników Zachodnich zaléwały Mongolję. Tak,—ale niewolnicy wówczas nie wracali. Dla Nauki, byli oni równie straceni jak i dla swoich rodzin, niby topielcy, którzy sami widzieli dno morza, lecz cóż po ich świadomości, kiedy nikomu z żyjących nie opowiedzą, jak to tam jest na tém dnie rozpaczy?

Bywalić tam i kupcy Zachodni, i ci najczęściéj powracali. Ale i z nich Nauka nie odnosiła korzyści; przeciwnie, oni najwięcéj przyczyniali jéj szkody; oni to byli najzręczniéjszemi fałszerzami Jeografji ówczesnéj, oni to rozsiéwali najdziwaczniejsze baśni, ażeby współzawodników odstraszyć od krain, gdzie chcieli posiadać «monopol» rzadkich płodów i wyrobów. Podobni do podstępnych nurków, co dobrze grunt wody znają, ale naumyślnie wskazują mylne wiry i prądy, ażeby nikt oprócz nich jednych, nie umiał trafić do upatrzonych pereł i bisiorów.

Jan i Benedykt, — nie związani żadną niewolą, — nie goniący za żadnym zyskiem, — patrzyli na wszystko bezstronnie, a wróciwszy, pierwsi opowiedzieli prawdę, i niedość że ją opowiedzieli, ale i *opisali.*

Tak, opisali — i tu leży największa świecka zasługa naszych podróżników.

Gdyby się ich zapał był ograniczył do wiernego spełnienia Poselstwa, byliby zawsze pozostali jednemi z najwaleczniejszych Missjonarzy i polityków swego czasu, ale skarbiec nowych widoków i spostrzeżeń jakie uszczknęli po drodze, byłby niepowrotnie przepadł, a co gorzéj, byłby się w ustnéj tradycji przekrzywił, i pomnożył tylko liczbę Wschodnich bajek.

Wyborny, a wówczas nieczęsty, pomysł opisania podróży, pozwolił im przechować, i ochronić od zepsucia, owoce zdobyte nadludzkiemi trudami.

Ale zkąd Mnichom wędrownym przyszła ta myśl autorstwa?

Natchnął im ją pewnie widok straszliwéj potęgi Chaanów. Spostrzegając tyle rzeczy nowych i dziwnych, przerażających i wspaniałych, mówili codzień jeden do drugiego:

— Ktoby się to był spodziéwał? Ach, i kto nam uwierzy, kiedy za powrotem opowiemy? A jeżeli uwierzą ci, których potrafimy żywém słowem przekonać, wieluż takich będzie? Kilkuset, choćby kilka tysięcy, czyż to dosyć? Tu trzeba koniecznie aby całe Chrześcjaństwo wiedziało ja-

ka Moc i Przemoc mu grozi. Co robić? Z dachów ogłaszać? Z ambon opowiadać? I to przebrzmi. Trzeba przemówić nietylko do tych co dzisiaj żyją, ale i do tych co po nas przyjdą, bo pewno jeszcze niejedno pokolenie będzie musiało porać się z tym potwornym nieprzyjacielem. Wiész co? A gdybyśmy to wszystko spisali?

— Dobrze, piszmy.

I zaraz — jeszcze na miejscu — zaczęli się krzątać, zbiérać wiadomości i notatki, każdy na swoją rękę, — i nim z powrotem stanęli w Polsce, już były gotowe piérwsze szkice, które późniéj wielokrotnie rozszerzali i wykończali.

Opis ten jest arcydziełem prostoty, trzeźwości i dokładności, których nikt by się nie spodziéwał po xiędze z trzynastego wieku. Żadnych tam baśniowych dziwolągów, żadnych scholastycznych szermierek, żadnego popisywania się z niewczesną erudycją. Wszystko przedstawione wiernie i przejrzysto.

Jednak pomimo téj prostoty, a może właśnie z jéj powodu, opowiadanie ich rozbudziło wiele powątpiewań. Ma się rozumiéć że nie w Polsce ni Węgrzech, które dobrze znały już Tatarów, — ale w krajach dalszych gdzie nigdy ich nie widziano, niejeden czytelnik mówił, ruszając ramionami:

— «Cóż mi to za podróżnicy po Lewancie, co niewidzieli ani Mandragory, ani ludzi z psiemi głowami, ani Gryffonów pilnujących złota? Ej, cóś mi się zdaje że oni tam chyba nie byli..... Musieli się Xiężulkowie zlęknąć, i wrócić z pół drogi, a teraz chcą nam oczy zamydlić, prawiąc nam o jakichś potęgach i cesarstwach jakich świat nie widział.»

Owa też to «potęga» wroga, była główną przyczyną wątpliwości. Niewierzono, bo *nie chciano* wierzyć w blizkość i rozmiar niebezpieczeństwa. Narody Zachodnie, poczytujące się za jedyne porządnie ukształtowane «państwa», patrzące na cały Wschód przez ramię, obrażały się gdy im opowiadano, że tam właśnie jest państwo największe pod słońcem, prowadzone z najsurowszym ładem. Bodła je zwłaszcza pochwała karności, wyglądająca na skrytą nauczkę, a którą nasi pisarze zamknęli w tém prawdziwie genjalném orzeczeniu:

«Tatarzy są to ludzie najposłuszniejsi w świe-«cie. Niewielu Zakonników tak słucha swoich «Przełożonych, jak oni słuchają swoich panów.»

Czyż można lapidarniéj, a zarazem i zrozumialéj dla ówczesnych umysłów, określić tajemnicę potęgi Mongolskiéj?

Podejrzywano więc Mnichów, że w tym obrazie jakiegoś zmyślonego cesarstwa, chcieli przedstawić po prostu satyrę Europy.

Zatroskani Bracia niewiedzieli już jak ludzi przekonać o swojéj rzetelności. W tym celu, dopisali do Pamiętnika *Prolog*, w którym, wyjaśniwszy posłannictwo powierzone sobie przez Stolicę Apostolską, mówią:

«Nie oszczędzaliśmy się na usługi Chrześcjań-
«stwa, a to w nadziei, że wybadawszy wolę i za-
«miary Tatarów, zdołamy Chrześcjan ostrzedz, i na
«czas uchronić od napadu tak niespodzianego, ja-
«ki się przytrafił niedawno..... Powinnniście za-
«tém wierzyć we wszystko co tutaj piszemy dla
«waszego pożytku i przestrogi, témbardziéj że my
«bawiąc tam rok i cztery miesiące, widzieliśmy to
«wszystko na własne oczy, albo przynajmniéj sły-
«szeliśmy o tém od Chrześcjan niewolników, a lu-
«dzi wiarogodnych. To téż choćbyśmy tu i napi-
«sali rzeczy, coby wam się wydały dziwnemi z po-
«wodu żeście nigdy o nich nie słyszeli, jeszcze
«i wtedy nie nazywajcie nas kłamcami, albowiem
«niéma nic boleśniejszego, jak być spotwarzonemi
»przez tych właśnie, którym się chciało wyświad-
«czyć przysługę.»

Niedość na tém. W końcu xiążki, dodali jeszcze, solennie ułożony *Epilog;* tam powołują się na świadectwo różnych osób Chrześcjańskich jakie spotkali, czy to po drodze, czy w saméj Mongolji. Wymieniają Xiążąt i Sekretarzy, ludzi wolnych i jeńców, a nakoniec «kilku jeszcze kupców «z Wrocławia, Polski i Austrji, którzy wiedząc «o naszéj podróży do Tartarji, wybrali się razem «z nami. Również nas tam widzieli kupcy ż Kon«stantynopola, Genui, Wenecji, Pizy, Akry, i t. d.»

Między *Prologiem* a *Epilogiem*, stoi właściwe *Opowiadanie*, zawiérające najprzód sam opis podróży, potém obraz kraju, mieszkańców, obyczajów, a nakoniec rozprawę nad sposobami, jakiemiby na przyszłość można odwrócić od Chrześcjaństwa, grożące mu ztamtąd klęski.

Cała xiążka niewielkich jest rozmiarów, ale niezmierzone są przysługi, jakie przez ciąg wieków oddała.

Jéj to rozgłos, po niedługim czasie, zachęcił nowego Missjonarza Rubruka, do spisania także wspomnień swojéj wędrówki. — Ona to, w pacholęcéj głowie Marco-Pola, rozbudziła piérwsze marzenia o zaklętém państwie Chaanów.—Jéj kartami Krzysztof Kolumb zapalał sobie serce, zanim na opisie Wenecjanina rozpłomienił swoją wyobraźnię.—Ona i dla nas dziś jeszcze, przedstawia naj-

dawniejsze, a może i najszacowniejsze, źródło wiadomości o staréj Mongolji.

Włochy dawno już oddały hołd należny swemu Janowi de Carpino, dawno już otrębują sławę jego po nabożnym i uczonym świecie.

I my więc, wdzięczniéj niźli dotąd, zapiszmy — tak w sercu jak w myśli naszéj — podwójnie wielkie imię Brata Benedykta.

Złote miesiące.

Nakoniec, Kujuk zasiadł na owym tronie, przesławném dziele Mistrza Kuźmy.

Batu przeciągnął strunę. Gdy czas mijał a mijał, urażeni wyborcy zaczęli sarkać:

— Cóż to? Czy my jego niewolnicy? Czy on sobie z nas drwi? Nie, to nie. Obejdziemy się bez marudy.

I naznaczyli koronację na dzień 15-go Sierpnia. (Zawsze w 1246-m roku.)

Losy jednak ciągle sprzeciwiały się Kujukowi.

W ów dzień tyle oczekiwany, już nie ludzie lecz żywioły wybuchnęły gniéwem; nadciągnął huragan z gradem, jakiego za pamięci ludzkiéj niewidziano. Całe pole Elekcyjne przemieniło się w morze; wielka liczba ofiar utonęła, jeszcze więcéj domostw i sprzętów zostało uniesionych przez

wodę. (Atłasowy pokoik Ludmiły ocalał, ale można sobie wyobrazić jak wyglądał po téj przygodzie!)

Popłoch padł na tłumy, a zwłaszcza na stronników Kujuka, przerażonych już nietylko po ludzku ale i zabobonnie, bo Szamanie zaczęli głosić «że niebo wyraźnie oświadcza się przeciw synowi Turakiny, i że Kujuk powinien odstąpić od wszelkiéj myśli panowania, jeżeli niechce źle skończyć.»

Ale Kujuk odpowiedział:

— Otóż na złość ludziom i Duchom, będę panował—i sławnie.

I w dziesięć dni późniéj, wstąpił po siedmiu hebanowych stopniach, i oparł głowę na bajecznym szafirze—a wszyscy jego poddani, rozwiązawszy pasy, i zarzuciwszy je sobie niby stryczki na szyję, dziewięć razy przed nim czołem uderzyli.

Nazajutrz, wykonał czyn zapowiedny, symboliczny: wziął we własne ręce wielką chorągiew bojową, i zatknął ją na Majdanie, *od strony Zachodu.*

Cały Wschód zrozumiał co to znaczy.

Ale Zachód niepowinien był wiedzieć o téj groźbie; to téż Posłowie Papiezcy zostali na ten jeden dzień przeprowadzeni do innéj części obozu,

do namiotów Rejentki, zkąd niemogli widzieć czynności Cesarza. Później dopiéro, dowiedzieli się przez jeńców o tym znaku, co zwiastował Chrześcjaństwu nową burzę.

Tymczasem, na trzeci dzień, do stóp młodego monarchy zaczęły płynąć wszystkie owe skarby Azji, Afryki i Europy, z któremi przyjechały tysiączne Poselstwa. Nasi Zakonnicy zamieszczają w swoim *Pamiętniku*, ciekawe szczegóły o téj chwili:

«Posłowie ci» — piszą oni — «znieśli nieskończone «mnóstwo darów, złotogłowy, szkarłaty, jedwabie, «pasy lite, futra bardzo kosztowne, i różne tym «podobne rzeczy. Wielkorządca jakiéjś krainy «przyprowadził wielbłądy o purpurowych czapra«kach, na których stały izdebki, gdzie ludzie mo«gą się pomieścić. Przywiedziono téż niezmier«ną ilość mułów i koni, o bogatych rzędach, «o rynsztunkach żelaznych i skórzanych, a niektó«re z nich miały siodła tak zrobione z pomocą «pewnych sprężyn, aby wygodnie było na nich »siedzieć.» (Nic nowego pod słońcem! Oto nasze meble na sprężynach, wynalezione przed sześciuset laty — i to gdzie? I dla kogo?)

Wszystkich tych ofiarodawców, Kujuk nawzajem poobdarzał. Pisarze Wschodni uspokoić się niemogą nad jego szczodrotą. Wprawdzie tym razem, nie oddano Skarbców Cesarskich na rabunek, ale rozdawano szaty honorowe, bronie i klejnoty z tak niesłychaną wspaniałością, że jak mówi tamtejsza Kronika: «nawet żadne dziecko nie odeszło bez jakiéjś pamiątki.»

A było z czego rozdawać. Oprócz nieobliczonych łupów jakie świéżo zagarnięto na Węgrzech i Polsce, były jeszcze i reszty dawniejszych zdobyczy. I tak, Posłowie nasi piszą: «Tamże, «niedaleko od obozu, na wzgórzu, stało więcéj niż «pięćset wozów pełnych złota, srebra i jedwa«bnych ubiorów. Temi się Cesarz z Xiążętami «podzielił, a Xiążęta nawzajem swoim ludziom nie«mało rozdali.» Wiemy zkądinąd że wozy te stały tam jeszcze od czasów Ogotaja, zapomniane przez lata całe na wichrze i słocie, a zapomnienie to najlepiéj dowodzi jaki musiał być przesyt bogactw, kiedy nawet szeroka ręka Turakiny, jeszcze nie potrafiła ich roztrwonić.

Ach, dla owéj szerokiéj ręki, zamykały się już teraz nagle wszelkie źródła szafunku; ten syn,

którego tak usilnie popychała na wyżyny władzy, ledwie tam stanął, wnet zepchnął z nich matkę, zepchnął twardo i bezpowrotnie.

Raz już tylko widzimy przebłysk jéj potęgi; przebłysk to podobny śmignięciu pierzchającego węża.

W kilka dni po koronacji syna, (i po wspólnéj pewnie z nim naradzie,) ex-Rejentka zaprosiła do siebie Wielkiego Xięcia Jarosława. Mówiono powszechnie, że on to, jako powiernik i wykonawca tajnych zleceń Batego, najgorliwiéj popiérał zamiary Xiężny Siurkukteni. Zamiary te co prawda chybiły, jednak w oczach zwycięzkiéj Turakiny, sama porażka była jeszcze niedostatecznem dla niego skaraniem,—przytém dręczyła ją obawa, czy ów niewygodny świadek Sejmu, nie podpatrzył tam i nie wyrozumiał rzeczy, których Batu nigdy nie powinien wiedzieć?

Dla tych czy innych powodów, przyjęła Jarosława uprzejmiéj niż kiedykolwiek, zaprosiła go do swego stołu, i z uśmiéchem rzadko widzianym na jéj twarzy, nietylko podała mu pełną czarę, ale własną ręką wybrała dla niego najlepszą cząstkę mięsiwa. Gość zdumiały, spożywał tę ucztę z przeczuciową niechęcią, jednak spożyć musiał, a gdy powrócił do swoich namiotów, nagle zachorzał, i po kilku dniach umarł w okropnych męczarniach.

Z czego? Dla czego?

Niedługo pytano! Ledwie skonał, już na ciało wystąpiły wymowne ślady otrucia.

Tak ostatnim czynem Turakiny była zdrada czarna, którą niedaleka przyszłość miała sowicie oddać i matce i synowi.

Głuchy postrach ogarnął Chrześcjan, ogarnął i wszystkich Lenników, i wszystkich cudzoziemców przybyłych w gościnę. Jeżeli taki los przypadł Xięciu osłonionemu opieką najstarszego z Dżyngischanidów, to czegóż mogli się spodziéwać inni?

Zrozpaczony Temer i jego towarzysze, uwieźli szczątki swego pana, płacząc głośno, złorzecząc po cichu. Ach tak, tylko po cichu, bo któż w owym czasie i miejscu, byłby śmiał jawnie oskarżać matkę samego Wielkiego Chaana?

Ale nie wszyscy, i nie zawsze, mieli zachować milczenie. Posłowie Papiezcy szeptali między sobą:

— I to trzeba opisać — prawdzie na świadectwo — naszym na przestrogę!

A pole Kuryłtajowe brzmiało wciąż od radosnych uroczystości, biesiadowań i hołdów.

Gdy się nakoniec wyczerpały przedwieczne wymiany danin i wynagrodzeń, nastało przesłuchiwanie owych czterech tysięcy Ambassadorów. Między temi, Papiezkich zaszczytnie wyróżniono. Tatarzy, ze zwykłym sobie sprytem, poznali się na ważności tego Poselstwa, co głosiło że przychodzi «od Ojca wszystkich ludów Chrześcjańskich.» Pomimo więc początkowych śmiéchów z ich żebraczéj szaty i niewidzianéj chudości, pomimo zdziwienia że śmieją się przedstawiać z pustemi rękoma, pomimo nawet słów karcących jakie przynosili w odezwie Stolicy Apostolskiéj, spotkała ich łaska bardzo rzadka: podczas kiedy inni Posłowie byli po większéj części przyjmowani tylko przez wielkich Dygnitarzy, Bracia Jan i Benedykt zostali przypuszczeni przed oblicze samego Chaana. Ten, pozbywszy się nieco zwykłéj swojéj pychy i sztywności, przyjął ich wielce łaskawie, i w końcu posłuchania kazał im oświadczyć, że na listy Innocentego IV-go dostaną wkrótce odpowiedź piśmienną.

Ale długie czasy minęły, zanim w Kancellarjach Cesarskich odpowiedź tę wyszykowano, tak, że Zakonnicy, przybywszy na pole Elekcyjne w ostatnich dniach Lipca, dopiéro z końcem Listopada mogli pomyśléć o powrocie.

Te cztery miesiące były dla naszych branek miesiącami prawdziwie złotemi, oazą szmaragdową na szarych pustkach życia, epoką podobną do lata podbiegunowego, co trwa krótko, bardzo krótko, ale za to bucha słońcem jakby podwojoném, zasypuje świat gradem kwiatów i motyli, i zostawia oślepiające wspomnienie na przedwieczną zimową noc.

Jakby dla dopełnienia miary wszelkich radości, przybyli nakoniec i owi kupcy z nad Wisły. Odry i Dunaju, o których tak ciekawą wzmiankę widzieliśmy w *Epilogu* Frańciszkańskiéj xięgi. Przybywali dużo późniéj niżeli Posłowie, bo ich nie dostawiano Cesarskiemi końmi,—jeszcze jednak zdążyli na główne uroczystości.

Trudno nie podziwiać tych ludzi, co w takim czasie, z dobréj woli, puszczali się aż pod Mur Chiński; wprawdzie, szli tam dla czysto-ziemskich, osobistych celów, zawsze jednak, było to także swego rodzaju bohaterstwo. A nie działali na oślep; nosili oni w głowie zamiar szeroko przemyślany: chcieli na północy otworzyć wielką drogę lądową dla handlu z najgłębszym Wschodem, tak jak Włoscy i Greccy południowcy mieli już od dawna swoją drogę wodną.

Na wieść że Legat Papiezki jedzie w tamte strony, przyłączyli się co prędzéj do Poselstwa, dla korzystania z jego duchowno-politycznéj opieki. Z początku podróż wiła się jak z kłębka; w Chrześcjańskich krajach wszędzie ich przyjmowano i przeprowadzano z największemi względami. Ale na granicy pogańskiéj wszystko się odmieniło; Tatarzy zaraz im porwali najdroższych Ojczulków. Karawana pozostawiona własnemu przemysłowi, musiała bez żadnéj wskazówki przebywać jakieś kraje nieznane, prawie nienazwane, niedawno jeszcze co prawda ludne i dość zamożne, ale dzisiaj stojące niezmierzoną pustką; a tym krajom nie było i nie było końca. Musiała z ogromnym swoim ładunkiem, przeprawiać się przez rzeki bezbrzeżne i góry bezdrożne. A nigdzie ni miast, ni wiosek, ni żywego ducha, tylko gdzie-nie-gdzie oddział dzikich koczowników, który nikogo nie przepuszczał, chyba że go zasypano podarkami; na te haracze rozeszła się kupcom prawie trzecia część ich towarów. Niektórzy chcieli raz i drugi wracać; inni przedstawiali że teraz już powrót będzie równie trudnym jak dotarcie do celu. Ciągnęli więc daléj, ale coraz śmiertelniéj znużeni, coraz mocniéj rozczarowani co do téj drogi lądowéj, przy któréj tamta druga wodna, mimo swoich burz i korsarzy, jeszcze mogła zwać się «różanym gościńcem.»

Czego zaś nierozumieli, albo niechcieli sobie przyznać, to że ich własne usposobienie, przedsta-

wiało tu może największą przeszkodę. Z handlarzy Niemieckich byli sumienni pracownicy i dobrzy rachmistrze, ale w myśleniu trochę ciężcy, w drodze zbyt nawykli do mieszczańskich wygód. Polscy kupcy posiadali wiele odwagi, nieraz aż do zawadjactwa posuniętéj, ale mieli umysł krotochwilny i serce jak na dłoni. To wszystko nie usposabiało ni jednych ni drugich do grania o lepsze z chytrością Tatarską. To téż ich się nie zlękli ni Grecy ni Włosi. Widząc karawanę co nadciągała już tylko wpół-żywa, pokazywali ją sobie szyderczo, i mówili:

— Także się téż te barany wybrały między stado wilków! No, już ci nas tu nie podkopią.

Dla tém-pewniejszego jednak zniechęcenia rzekomych współzawodników, nie omieszkali płatać im rozmaitych psikusów, przy których naszym kupcom niełatwo poszło roztasowanie się na polach Kuryłtajowych, i wejście w stosunki z władzami, niechętnie przeciw nim uprzedzonemi.

Ale jeżeli sami niemieli czego sobie winszować, za to sprawili niesłychaną radość między niewolnikami, z których wielu w nich odnajdywało ziomków, czasem krewnych albo przyjaciół.

Nasze branki nie odnalazły tam żadnéj dawnéj znajomości; niemniéj wszakże ucieszyły się serdecznie do kilku rodowitych Krakowian, zwła-

szcza do jednego, wąsatego płatnerza, który—jak się pokazało—przed kilku laty robił zbroję Turniejową dla Przedwojowica. Większa jeszcze nierównie była ich uciecha, gdy odkryły że pomiędzy Wrocławianami jest pewien gruby, poczciwy sukiennik, imieniem Hans, co zna trochę Xiędza Macieja. Prałat nieraz wybiérał u niego cieniuchne Flandryjskie tkanki na sutanny, a teraz jeszcze niedawno, kupował czerwone sukienko na przyodziéwek dla ślicznego złotowłosego chłopięcia, które z sobą do kramu przyprowadził. Mój Boże, toż był niezawodnie Jaś! I ten szczęśliwiec Hans go widział! W oczach swoich przywoził jeszcze jakoby odbłysk owych słonecznych włosków!

Przywoził on także i dwa Krzyżyki poświęcone, które Xiądz Maciéj dał mu dla Elżbiety i Ludmiły «na wszelki przypadek.» Więcéj dać mu nieśmiał, bo kupcy, obładowani już aż nadto, i niechcący narażać się Tatarom, nie brali żadnych przesyłek dla jeńców. Przytém — prawdę mówiąc — Xiądz Maciéj bardzo wątpił, czy jego siostra i jéj towarzyszka jeszcze żyją? A choćby i żyły, niemniéj wątpił, czy na tych niezmierzonych obszarach Azyjskich, uda się Hansowi którą z nich napotkać?

Bo i nie trzebaż było prawdziwie Opatrznego wypadku, aby cała niemal Mongolja zebrała się teraz właśnie na tém jedném polu, jakby umyślnie

dla ułatwienia owych szczęśliwych spotkań między jeńcami a gośćmi z Europy?

Jednak i tutaj, nie wszyscy jeszcze mogli się odnaléźć.

I tak, tenże Hans pytał naszych niewiast, czy w swoich długich wędrówkach, nie spotkały kiedy pewnéj Szlązaczki Marty, co służyła niegdyś w klasztorze Trzebnickim?

— Wiem o niéj — mówił — takowym sposobem: już miałem dnia tego wyjeżdżać z Wrocławia, kiedy rano wchodzi do mnie stare jakieś chłopisko, ze starą żoną chłopką, i z kilkorgiem obdartych dzieci. Wszyscy mię łapią za nogi, a on tak powiada, że skoro już jadę pomiędzy Tatary, to niechże tam pozdrowię i Martę ich córkę, która pewno musi być w niewoli, bo jak raz wyszła z Trzebnicy, tak i przepadła bez śladu.

Elżbieta i Ludmiła zaczęły pamięcią przebiegać spotykane postacie, i wnet stanęła im na oczach owa posępna Marta, co to całą noc bezsenną przesiedziała z niemi przy nad-Dniestrzańskiém ognisku, owa Marta co się tak śmiertelnie troskała o swoich.

— Tak, tak, — mówiły — pamiętamy dobrze. Ale cóż? Spotkałyśmy ją tylko raz jeden, jedyny, a potém, co się z nią stało, ani wiemy. I dla nas ona przepadła bez śladu. Musiano ją gdzieś daleko zagnać. Jednak teraz, kiedy takie tłumy tu ściągnęły, może i ona się odnajdzie? O jakże się ucieszy! Trzeba ją koniecznie, koniecznie odnaléźć.

I wnet obie rozpoczęły gorliwe poszukiwania; Elżbieta sama wypytywała się znajomych, Ludmiła posyłała służbę na wywiady. Biegano, badano, przetrząsano obozy. Wszystko napróżno! Znalazła się niejedna Marta niewolnica, nawet niejedna Marta z Polski, ale to nigdy nie była owa «Marta z pod Sobotniéj góry.»

Nasze niewiasty jednak nie traciły jeszcze nadziei. Ach, one teraz o niczém już niechciały wątpić! Mogłoż im się co nieudać w tych błogosławionych miesiącach, w których los, jakby przebłagany, karmił je samemi pociechami?

Wprawdzie twarde warunki niewoli, nie pozwoliły nigdy brankom zaspokoić do syta niezmier-

nego głodu ich duszy; one byłyby chciały wszystek czas pędzić przy gościach Zachodnich, a ten czas nieoceniony marniał im okrutnie. Elżbieta, niemogła ciągle odrywać się od roboty, wymierzanéj niewolnicom surowo, jakby kara; Arguna nie darowała jéj ani jednego ściegu; nieraz przyszło po nocach odrabiać godziny ze dnia odkradzione. Ludmiła, na pozór wolniejsza, niewiele więcéj mogła sobą rozporządzać; musiała nieustannie jeździć z mężem na uczty i łowy, odwiedzać i przyjmować panie Mongolskie, które widząc ją w łaskach u Dworu, garnęły się do niéj tłumnie.

Kupcy także niełatwo mogli opuszczać swoje targowisko, a już co Zakonnicy, to byli najmniéj pochwytni; czas mieli wiecznie wyliczony, umysł rozdarty między zajęcia urzędowe i stosunki z tysiącami niewolników, którzy jakby z pod ziemi ciągle wyrastali, wołając o wieści z ojczyzny i ratunek dla duszy.

Rzadkim jednak był dzień, w którym-by choć jedna z naszych niewiast nie docisnęła się do drogich Ojców, nie przyniosła im jakiegoś przysmaczku, lub zapomnianego polecenia.

Elżbieta zwłaszcza, nigdy niemogła się dosyć napowtarzać tysiącznych rad i błogosławieństw, jakie mieli zawieźć Jasiowi. Po namyśle nawet, nie rachując na ich przeciążoną pamięć, postano-

wiła te lotne słowa zamknąć w liście. Pamiętamy, że za młodu posiadła sztukę pisania, co jéj wśród ówczesnych niewiast zjednało sławę uczoności. Wprawdzie Posłowie nie zabiérali żadnych listów oprócz Chańskich. Grzecznie ale czujnie pilnowani przez Tatarstwo, które wszędzie dopatrywało szpiegów, niechcieli wzbudzać podejrzeń, ani—dla pojedynczych osób—narażać sprawy całego Chrześcjaństwa. Jednak Braciszek Benedykt niemógł patrzéć długo na łzy macierzyńskie; obiecał że od jednéj Elżbiety weźmie mały liścik, i że przewiezie go w tajemnicy, do któréj tylko «Fra Giovanni» został przypuszczony, bo już co między sobą, to świątobliwi Bracia niemieli tajemnic.

Ludmiła wystarała się z Kancellarji Cesarskich o kilka «chusteczek» jedwabnego Chińskiego papiéru, przyniosła atrament i pędzelki. Elżbieta siadła do dzieła. Z początku szło jéj ciężko. Nieumiała się obchodzić z Chińskiemi przyrządami, przez lat kilka odwykła od pisania, a przytém..... tyle było do powiedzenia! Przewidując że to pewno już ostatnia sposobność, chciała Jasiowi dać rady na całe, całe życie. Parę kartek zmarnowało się od łez ciągle kapiących, od pomyłek zbyt gęstych. Braciszek Benedykt ofiarowywał się za sekretarza, ale matka chciała koniecznie aby syn miał jéj własnoręczne pismo. Nakoniec, po miesiącu pracy, powstał list, a raczéj testament, cudowny bezłamde, wzruszający stokrotném powtarzaniem

tych samych wykrzykników i pieszczotliwych nazwań.

«Moy Jasiu, Jasineczku, moy ty radunku, ia-«ko ty się tam zabawiasz? Nie popłakuy za mną «bardzoy, bo mnie tu nie tako źle iako ludzie ga-«dayą, a twoye łzy matce kamień. Służ uniżenie «Wuyowi Myłościwemu tobie Dobrodzieyowi, «moye ty Jasiątko, a modl się co dnia za panią Lu-«dmiłę, która tobie odratowała duszę y żywot, a dla «nas postradała wolnościey. Naymileysze dzie-«cko, niech cię Nayświętsza Panna ubłogosławia. «Pamiętay tyż iak będziesz duższy, abych w Że-«gnańcze nie ciemiężył ludzi po chałupiech, bo to «wielgi grzych. A kiedy będziesz iak nieboszczyk «sławny ociec woyował, to nie leń się ochfiaro-«wać wszystkiey krwie na usługi Krześcyań-«stwa y naszych Xiądzów. A kiedy—co day Bo-«że—ochfiaruyesz się cały temu Panu Bogu iako «Wuy alboli iako Braciszek Benedykt, odprawuy «co Piątku Mszą Przenayswiętszą za ludzie w nie-«woley. A pamiętay abych rano nie trzymał «w uściech dzbana, ni tyż chadzał ze psiarnią w po-«le, póka się nie sprawisz z pacierzamy. A iak «miniesz lat dziesięcioro, nie wdzieway miętkich «szatek, bo to chłopcu nieprzystoyno y źle będzie «rósł. A ieśliż masz naprawować nowy kasztel «w Żegnańcze, niech Kaplica stanie ućciwa, a w niey

«trzy Kamienie czarne, dla Oćca, dla paniey Lu-«dmiły, y dla mnie iako to matki. A żyy ze wszy-«tkiem sprawiedliwo, bychmy się na pewno u Pa-«na Boga natknęli. A czy ci tyż kto wystrużył «nowego konika, moye ty miłowanie, moye ty «słodkie miody?»

W tym stylu, (który jednak, razem z jego pisownią, staraliśmy się nieco «przystrużyć» do dzisiejszych pojęć, aby rzecz uczynić zrozumialszą,) snuło się całe pięć kartek.

Po wykończeniu listu, niewiasty wpadły na pomysł aby mu nadać pozór Talizmanu; w ten sposób mogły być pewne, że już go nie tkną Tatarzy, szanujący wszelki zabobon. Ze pstréj, mięsistéj kitajki, Elżbieta wycięła woreczek, cóś nakształt Szkaplerza, tylko że w kształcie serduszka; wewnątrz zaszyła pismo wielokrotnie złożone, po wierzchu wyhaftowała najdziwniejsze znaki, nakoniec—przeżegnawszy robotę—nawlokła ją na czarny sznurek.

Tymczasem Ludmiła pracowała nad spełnieniem swego wielkiego zamiaru względem duszy Ajdara. Już zaraz po przybyciu Posłów, zaczęła mężowi o nich rozpowiadać cuda.

— Sokoleńku mój—zapytała—nie chciałżebyś ty kiedy ich zobaczyć? Wszak sam nieraz mówiłeś, że kapłanie przynoszą domowi szczęście?

— Czemu nie? Przyprowadź ich do mnie kiedy zechcesz, a posłucham co też oni gadają? Ludzie z takich dalekich krajów, muszą ciekawe rzeczy wiedzieć.

Branka uszczęśliwiona, zawinęła się około wyszukania Posłów, i zaraz nazajutrz przyprowadziła ich do jurty mężowskiéj.

Terchan powitał wchodzących z wielkiém uszanowaniem; zdaje się nawet że już naprzód myślał o ich przyjęciu, bo u wejścia do namiotu, na nizkim stole, a raczéj na ławie, było przygotowanych kilka czar, z kumysem, tarassunem i arjaszem, zwykły znak że gospodarz oczekuje gości.

Po piérwszych słowach przywitania, Zakonnicy—uprzedzeni przez Ludmiłę—nastawili rozmowę na przedmiot najważniejszy. Łatwo im to przyszło. Wspomnieli tylko, że przybywają do Mongolji, tak dla przyniesienia słów pokoju od Ojca Chrześcjan, jak i dla opowiadania religji Krzyża,—«bez któréj nikt nie może być zbawionym.» — I w krótkim obrazie naszkicowali zarys téj religji,

a słowa ich przechodząc przez usta nadobnéj tłumaczki, musiały być Ajdarowi przyjemne, bo ciągle się uśmiéchał, niekiedy nawet przytakiwał głową. Wkrótce jednak, jakby znużony, przerwał opowiadanie i zapytał:

— Czyby Dziaduniowie nie zechcieli napić się kumysu?

Zakonnicy—jak wiemy — niemogli znosić téj Tatarskiéj delicji; kumysu więc odmówili, tłumacząc się słabą głową; za to przyjęli po małym kubeczku tarassunu, i umaczawszy usta w tym lekkim napoju, zaczęli znów rozwijać szereg swoich wymownych przekładań.

Ale Ajdar nagle sposępniał. Czy skąpe użycie poczęstunku zraniło jego stepową gościnność? Czy go dotknęło jakie słówko niebaczne? Trudno to było zrozumiéć. Napróżno już jednak żona i Posłowie ponawiali szturm do jego serca. Zwróciwszy rozmowę na odmienne tory, zaczął się dopytywać o kraje Zachodnie, o tamtejsze wojska, bogactwa i konie, a czynił to z ironją i przekąsem, jakich Ludmiła nigdy jeszcze u niego nie dostrzegła.

W końcu, pożegnawszy gości lodowato, nie przymówił się ani słówkiem o powtórzenie ich odwiedzin.

Kiedy pozostali we dwoje, Ludmiła zapytała z najczarowniejszym uśmiéchem:

— No cóż tedy, mój sokoleńku? Cóż myślisz o naszéj wierze?

— Myślę że jest bardzo piękna — że może przynosić wiele błogosławieństw — ale.....

— Ale co?

— Jest w téj wierze jedna rzecz okropna, niemożebna, która sprawia, że ja naprzykład nigdybym się na nią nie zgodził.

— Cóż takiego?

— A! Jakaś ty ciekawa. Próżno się pytasz, nie powiem.

Ludmiła jednak nie przestała się pytać, i łamać sobie głowy, jaka to rzecz «okropna», «niemożebna», odstrasza Ajdara od téj wiary?

Czy zabronienie wielożeństwa?

— Ależ mój najdroższy, tylko raz się ochrzcij, a pomówimy i o tém z kapłanami. Już jabym się na wiele zgodziła..... Może nie wymagałabym koniecznie abyś odpędzał piérwsze żony..... Cóż one winny żeś je dawniéj zaślubił?

Terchan ruszył ramionami, i rzekł:

— E..... nie o to chodzi.

— A więc o cóż? Może o posty?

Nie chodziło mu i o posty.

Próżno Ludmiła rozwijała strategję próśb, żarcików i najpieściwszych zaczepek. Ajdar pozostał niezbadanym. Kilka razy już się zachwiał, już miał wyrzec tajemnicze słowo — i znów je powstrzymał.

Nakoniec, pewnego dnia, powiedział z przydławionym gniéwem:

— Daj mi pokój. Ty wiész doskonale, że jak Mongoł czego niechce powiedzieć, to nie powié.

I od téj chwili, nie dał już sobie wspominać o «religji Krzyża», czém żona dosyć się zasmuciła.

— «Jakto? — Zawoła zdziwiony czytelnik.— «Tylko *dosyć?* Przecież ona z całéj duszy, namię«tnie, pragnęła nawrócenia męża? Wszak to był «jedyny już cel jéj życia, jedyny bodziec który pod«trzymywał jéj odwagę?»

Tak, w każdym innym czasie, była-by się gryzła śmiertelnie. I ona, i Elżbieta, byłyby się zapłakały nad zgubioną duszą Ajdara.

Ale teraz..... póki Posłowie tu bawili, niemogły płakać..... chyba ze zbytku szczęścia. Poprostu, niczém niemogły się martwić. Od rana do

nocy śmiały się i dokazywały, jak dzieci, które nie myślą ani o tém co było, ani o tém co będzie. Żyły nawpół bezwiednie, jak człowiek pijany, co zachował dość przytomności aby używać rozkoszy swego stanu, a nie zachował jéj dosyć aby pamiętać że kiedyś musi przyjść wytrzeźwienie.

Pożegnania i wspomnienia.

A jednak..... przyszło!

Oto już wichry Listopadowe piérwszym szronem sypią. Słońce złotych miesięcy gaśnie. Posłom doręczono listy Wielkiego Chaana. Zbliża się dzień ich wyjazdu—straszny dzień dla wszystkich niewolników co zostają—może najstraszniejszy dla naszych dwóch niewiast.

I jakby smętna przegrywka do téj trąby sądnéj, od kilku tygodni brzmią w koło nich same rozstania. Rzekłbyś, że los chce je po troszku przyzwyczaić do trudnéj sztuki pożegnań.

A najprzód, wyjechał Beppo.

Cóż się działo z Beppem do téj chwili?

Serdecznie objaśniony przez Elżbietę, struchlał na myśl, aby obecność jego miała zamącić spokoj-

ność Ludmiły, albo — co broń Boże! — ściągnąć na nią gniew Tatarskiego małżonka. Trzymał się więc w ostrożném oddaleniu. Ile razy wyjeżdżała, ukryty w tłumie albo za jakim wozem, patrzył na nią ze złożonemi rękami, ale nigdy nie przystąpił bliżéj, nie pokazywał się koło jéj namiotów. Za to, do Elżbiety przybiegał prawie codzień, spowiadał się i wyżalał przed nią.

Takie zacne postępowanie wzruszyło w końcu Ludmiłę. Wzruszał ją téż niezmiernie obraz cierpień Beppa, kréślony jéj żywo przez Elżbietę. Biédny młodzieniec ulegał ciągle prześladowczéj zawziętości stryja, który stracił do niego wszelkie zaufanie od nieszczęsnéj przygody zaszłéj nad Limanem. Przykład Bartolommea działał złośliwie na innych kupców i kupczyków; spiknęli się aby dokuczać nieszczęsnemu chłopcu; Beppo stał się ofiarą całéj karawany, rodzajem niewolnika, i to bez żadnéj lepszéj nadziei na przyszłość, bo stryj go wyzyskiwał dla siebie i wszystkich, a nigdy mu nie pozwalał popracować na własną rękę.

Ludmiła oburzona, łamała sobie głowę jakby tu poratować swego pokornego wielbiciela, i los usłużył jéj poczciwym chęciom.

Xiężna Siurkukteni coraz mocniéj lubiła żonę Ajdara. Niemogła się już prawie bez niéj obejść, zasięgała jéj rady w ubraniu, w urządzeniu domowém, nawet w niektórych i ważniejszych sprawach.

Ludmiła, dzień w dzień do niéj wołana, byłaby nieraz wolała pozostać z przyjaciołką, ach! i nie tracić ani godziny z krótkiego pobytu Posłów. Szła jednak na każde zawezwanie, trochę z obawy, trochę i w nadziei że może jéj się uda u Xiężny co wyprosić, do czego ją mocno zachęcała Elżbieta; zachęcali również i Zakonnicy, dowodzący że powinna okupywać swoje wyniesienie między poganami, haraczem dobrych uczynków.

Właśnie téż Mądra Xiężna, rozporządzała w owéj chwili władzą prawie magiczną, dzięki któréj mogła urzeczywistniać najśmielsze ludzkie marzenia. Cesarz Kujuk siadłszy na tronie, chciał upamiętnić początki swego panowania, deszczem łask obfitszych niż za któregokolwiek Chaana, i rozdawnictwo tych dobrodziejstw powierzył, nie matce, nie żadnéj z małżonek, ale swojéj ubóstwianéj Xiężnie Siurkukteni. Tysiące ludzi rzuciło się z prośbami do wszechwładnéj szafarki.

Wtedy i Signor Bartolommeo powiedział sobie, że przyszła nakoniec chwila spełnienia téj ukochanéj myśli z którą się od lat wielu nosił, i rachując na znaną życzliwość Xiężny dla Europejczyków, podał «petycję» mądrze wypisaną, gdzie prosił o kawał ziemi na przylądku Chersońskim; dowodził w owém piśmie, ile szkody przynoszą Tatarom, istniejące tam jeszcze kolonje Greków i Wenecjan «znanych z przewrotności», a jak wiele korzyści przyniosłaby kolonja Genueńczy-

ków, którzy zawsze byli życzliwi i wierni państwu Mongolskiemu.

Xiężna zdziwiła się mocno prośbą niepodobną do innych, i niewiedząc jeszcze co z nią zrobić, pokazała ją swojéj nieodstępnéj Ludmile.

Ta, mocno poparła prośbę, ale tajemnemi środkami dyplomacji niewieściéj, potrafiła jéj nadać zwrot odmienny, całkiem niespodziany dla proszącego, tak, że kiedy Bartolommeo wrócił po uzyskanie odpowiedzi, Siurkukteni przyjęła go bardzo łaskawie, i rzekła z uśmiéchem przebiegłym, prawdziwie Tatarskim:

— A i owszem, dobry człowiecze, Wielki Chaan w litości swojéj przystaje na twoją prośbę, udziela ci nawet więcéj niżeli sam chciałeś. Kto rodzicom pragnie zrobić przyjemność, ten obdarza ich dzieci. Ty niémasz dzieci, ale wiem że masz synowca, którego kochasz i w opiece trzymasz jak syna. Otóż te grunta o które prosisz, Cesarz daje nie tobie ale twojemu synowcowi. Tobie, co po tém? Już jesteś bogaty, oto ja sama wzięłam od ciebie towarów za trzy tysiące bałyszów. Przytém jesteś już stary, spracowany. Po co ci terać ostatnie lata na robocie do któréj nie przywykłeś? Lepiéj siedź na worach ze złotem, jédz, pij, używaj — a młody niech pracuje, niech zakłada tę jakąś osadę, na którą patrząc, będzie ci serce rosło. Twój synowiec zaraz tu przyjdzie, posłałam po niego.

Bartolomeo skamieniał. Zkąd Xiężna wiedziała o jego synowcu? Zkąd jéj przyszło dzikie wyobrażenie że ten chłopiec mu jest «ukochany jak syn»? Czy to szyderstwo? Czy jaka ukryta zemsta? Jakto? On całe życie pielęgnował myśl téj kolonji, on miał być jéj twórcą i panem, a teraz ten znienawidzony chłopiec miałby mu z ręki wydrzéć cały zaszczyt i korzyść? A cóż tu odpowiedzieć? Z władcami Tatarskiemi się certować? Odbiorą łaskę, i wszystko przepadnie.

Już się namyślał, czy nie lepiéj aby wszystko przepadło, kiedy wszedł Beppo, zdumiały, struchlały niespodzianém wezwaniem. Xiężna, powtórzywszy mu słowa cesarskiéj woli, do których i sama dodała wiele słów pochwalnych, doręczyła mu dyplom na założenie kolonji nad morzem Czarném, około zwalisk Teodozji.

— A ponieważ wiem, — rzekła — że dotąd pracując dla stryja po synowsku, nic nie odkładałeś dla siebie, więc na podróż i piérwsze wydatki, masz tu pięćset bałyszów złotych.

I dała mu je w pięknym worze z fjoletowéj purpury.

Nikt się nigdy nie dowiedział, ani mógł wyrozumiéć, za co łaska cesarska spadła na głowę Beppa? On jeden zrozumiał, a raczéj odgadnął sercem. Pobiegł zaraz do Elżbiety, dla upewnie-

nia się w domysłach. Elżbieta, proszona przez Ludmiłę o zachowanie tajemnicy, niemogła mu nic powiedzieć, ale się uśmiéchała, a te uśmiéchy i samo jéj milczenie, wydały się Beppowi wymowniejsze niż słowa. Odtąd już nie pytał, zkąd mu szczęście przyszło?

Signor Bartolommeo z rozpaczy gryzł pięści, łamał sobie głowę, kto mu wypłatał tego piekielnego figla? Ostatecznie powiedział sobie, że chyba sam synowiec podszedł go u Cesarza, i mimo gorących zapierań się Beppa, do śmierci zachował to przekonanie, — a jeśli z jednéj strony znienawidził jeszcze bardziéj synowca, z drugiéj przecież uczuł rodzaj uwielbienia dla téj dziwnéj mądrości, któréj się nigdy po nim nie spodziéwał, i zaczął mu okazywać mimowolnie pochmurny szacunek.

Inni kupcy prześcignęli go stokrotnie w objawach podziwu graniczącego z cześcią. Nie zadawali sobie nawet żadnéj pracy, aby stopniować albo upozorować swoją nagłą życzliwość; z dnia na dzień stali się nadskakujący, podchlebni, nosili szczęśliwca na rękach, wychwalając zacnego Chaana Kujuka, co się poznał na ich «kochanym» Beppie.

Nasze branki przewidziały tę zmianę. Elżbieta wybrała się tam umyślnie nazajutrz, aby ją na własne oczy sprawdzić, i znalazła wszystko wedle swojéj myśli. Beppo dziś był królem karawany Tanaidzkiéj, wszyscy mu się kłaniali, wszyscy go potrzebowali. Teraz on w nowéj osadzie, on jeden,

mógł rozdawać grunta, urzęda i przywileje. Wyjechał tryumfalnie, powtarzając tak samo jak przy wyjeździe z nad Limanu, że — «obraz Ludmiły nigdy nie wyjdzie z jego serca, nigdy!»

Zachęcona tém piérwszém powodzeniem, Ludmiła pomyślała i o większych niedolach.

Najbardziéj nasze branki bolały nad «Pâquettą», któréj los był ciągle przerażający. Kupiona przez ludzi okrutnych, skąpych i złośliwych, cierpiała męki czyśćcowe, a cierpiała je z pogodą, z Francuską junakierją, która za wzór mogła służyć nawet mniéj nieszczęśliwym.

Ludmiła w barwnéj wymowie, odmalowała Xiężnie Siurkukteni portrecik miłéj Paschy, mało wspominając o jéj cierpieniach—które-by niewiele przemówiły do serca Xiężny Mongolskiéj — ale chwaląc jéj zgrabność w upinaniu strojów, pomysłowość w urządzaniu rozrywek, nadewszystko jéj humor wiecznie złoty. Xiężna, posiadająca już Dwór kilkotysięczny, niemiała zamiaru go przymnażać, ale naraiła cenną niewolnicę swojéj synowéj, owéj Xiężnie Chrześcjańskiéj, którą to Xiąże Mangu tak bardzo miłował, a która była matką znanéj nam już Cyryny. «Pâquetta», przywołana do młodszych Xięztwa, podobała im się od razu; kupili ją, a raczéj zamienili za rosłego konia, poczém została przeznaczona do usług małéj Xiężniczki. I tak Cyrynka, chociaż w trzynastym wie-

ku, i w najprzepaścistszych głębiach Azji, dostała «bonę» Francuzkę.

Potém przyszła koléj na Irę. Ludmiła już dawno myślała o jéj uwolnieniu; rzecz sama z siebie nie była trudną; Ajdar lubił dogadzać fantazjom ukochanéj żony, choćby tak dziwacznym jak dobrowolne zrzekanie się żywéj własności. Ale uwolnić, to jeszcze nie dosyć. Cóż wyswobodzona zrobi z tém dobrodziejstwem? Umrze z głodu i opuszczenia, zanim przejdzie pustynie odgradzające ją od reszty świata. U pani ma przynajmniéj dach, strawę i pieczę. Te obawy dotąd wstrzymywały Ludmiłę. Teraz, dowiedziawszy się że Xiężna Siurkukteni posyła dwa razy na rok pieniądze i rozkazy do Kollegjum swego w Bucharze, podsunęła myśl, czyby Ira nie mogła zabrać się z tą małą karawaną?—

— Z Buchary, — mówiła — już łatwo jéj będzie dostać się do Merwu albo Persji, gdzie może odnajdzie brata? I tak, małym kosztem narobimy szczęśliwych.

Xiężnę bardzo zabawił oryginalny pomysł uszczęśliwiania obcych ludzi; przystała ze śmiéchem, i nawet sama uwolniła pewnego starego Persa, przykazując mu surowo, aby nie opuszczał Iry, dopóki jéj nie wynajdzie brata. — W ten spo-

sób, jeden dobry uczynek, nieznacznie pociągał za sobą inne.

Ludmiła chciała też uwolnić i The-ę. Tu nawet okoliczności nierównie bardziéj sprzyjały; przy nieustannych stosunkach z Chinami, łatwo było wyzwoloną odesłać do jéj stron rodzinnych. Ale Chinka, usłyszawszy wielką wiadomość, dygnęła i rzekła:

— Przepraszam panią. Jeśli mi wolno rozporządzać moją osobą, to wolę tutaj zostać. W moim kraju niéma już ani jednéj osoby, z którą by mnie jaka powinność wiązała. Rodziców straciłam w dzieciństwie. Moi dawni państwo zabili się chwalebnie. Już mam tylko dla pani obowiązki. Zostanę póki jedna z nas nie umrze, pani albo ja.

Tak, w zimnych słowach wypowiedziawszy postanowienie pełne serca, najspokojniéj odeszła, i daléj pełniła niewolnicze posługi, jakby nigdy nie było mowy o wyswobodzeniu.

Tymczasem Ira tarzała się po ziemi, i krzyczała z radości podobnéj w objawach do rozpaczy, całując kolana Ludmiły, któréj przyszło na myśl, czyby za takie dobrodziejstwo, niemożna wytargować od téj gorącéj duszy, przejścia na wiarę Chrze-

ścjańską? Ale Mahometanka, przy piérwszych wyrazach zbladła, zatrzęsła się i wykrzyknęła, że pójdzie raczéj w kajdany i na stosy.

Musiano jéj dać pokój. Okoliczność ta, ochłodziła nieco rozstanie.

Za to «Pâquetta» żegnała branki wesoło i serdecznie, ucieszona że przechodzi do Chrześcjańskiéj pani.

Pole Kuryłtajowe coraz bardziéj się wyludniało. Tabory Xiążąt i Poselstw ciągnęły z powrotem we wszystkie strony świata. Najtłumniéj wyjeżdżał Dwór Xiężny Siurkukteni, która z synami wracała do Ułusu w górach Altajskich. Cesarz Kujuk żegnał ją smętnie, jakby ze złém przeczuciem. Ona była równie uśmiéchnięta jak zawsze, chociaż Sejm nie spełnił jéj nadziei. Córka Ong-Chana miała serce hartowne, i wiarę w Szamanów niezachwianą; niepowodzenie przy piérwszéj Elekcji, utwierdziło jeszcze tę wiarę, bo przecież oni od razu powiedzieli: — «Z początku się nie uda, ale za to potém.....»

Oprócz Iry i Paschy, wyjechała za Xiężną jeszcze inna znajomość branek, wyjechał Mistrz Wilhelm. Już za tym, nikt niepotrzebował wstawiać się ani zabiegać; Siurkukteni, zachwycona

wytwornością Paryzkich pieścidełek, sama się u Cesarza naparła ich twórcy, a Kujuk odstąpił go jéj z chęcią, rad, że może tak łatwym sposobem sprawić jéj przyjemność.

W każdym innym czasie, Ludmiła i Elżbieta byłyby silnie odczuły ubytek tylu przyjacioł. Teraz, póki bawili Zakonnicy, wszystko to przechodziło dla nich prawie niepostrzeżenie. Kiedy kometa świéci, nikt nie zważa na codzienne gwiazdki.

Przygotowywał się wszakże już i teraz pewien tłumny odjazd, który nieco ściskał im serce: karawana Polsko-Niemiecka wybiérała się nie na żarty, z pośpiechem podobnym nieledwie do ucieczki.

Wprawdzie nasi kupcy, raz urządzeni na miejscu, niemieli już wielkich powodów do skargi; pomimo różnych Włoskich figlów, towary Zachodnie łatwo im się rozeszły, i dość grubo zostały zapłacone, a rzadkości Orjentu jakie w zamian z sobą zabiérali, obiecywały im zyski jeszcze grubsze w domu. Jednak już nie myśleli o zawiązywaniu tu stałych stosunków. Ujeżdżali, przerażeni grozą Mongolszczyzny, i wybiegami swoich współzawodników,—bledniący na myśl owéj drogi powrotnéj, co miała ich prowadzić przez całe pół świata zamienionego na pustynie, gdzie Azjatom było tak łatwo napaść ich, zrabować, i zgładzić bez śladu.

Niemało też trwogi napędzała im nadchodząca zima; to też powiedzieli sobie, że niemożna już nawet czekać na Zakonników, (którzy zresztą pocztami rządowemi łatwo ich dopędzą,) i z gorączkowym niepokojem ładowali, tu na konie, tam na wielbłądy, swoje paki pełne Indyjskich szalów, Chińskich cacek, piór strusich, i tych wonnych korzeni Wschodu, których łaknąca Europa tak skąpo wówczas dostawała. Pakując zaś, mówili między sobą zcicha:

— Już nas nieprędko kto złapie na djabelskim tym pokonie świata!

Zanim jednakże wyruszyli, udało się jeszcze naszym brankom uczynić odkrycie, dawno pożądane, choć niestety smutniejsze niż się spodziéwały.

Ludmiła przejeżdżając kiedyś koło nieznanego sobie namiotu, posłyszała przeszywające krzyki, w których można było rozeznać słowa Polskie:

— O ja nieszczęśliwa! O Jezu, Jezu, co ja im zawiniła?

Na nic nie bacząc, wpadła do namiotu, spostrzegła niewolnicę wijącą się pod batogami kilku rosrożonych Tatarów, a w niewolnicy poznała, ach kogo? ową tyle szukaną Martę! Wtedy zaczęła prosić, nalegać, nakoniec i grozić, (co w ustach żony potężnego Terchana, nie było bez wagi—) po-

tém wszystkie swoje naszyjniki zrywała i rozdawała w koléj, aż właściciele niewolnicy, pół zmiękczeni, pół wystraszeni, darowali nieszczęśliwéj ostatnią część kary, wymierzanéj za jakieś niewiadome, pewnie bardzo drobne przewinienie. Ale już było zapóźno. Nim odwiązano ją od słupa, już ofiara weszła w konanie. Ludmiła posłała co prędzéj po zioła i maści, a jednocześnie i po Hansa, który posiadał – droższy nad wszystko – balsam duchowéj pomocy dla Marty. Maści już niepomogły — ale Hans przybył jeszcze dosyć w porę, aby zapewnić umiérającą, że Wawrzona i jego żonę i wnuki widział zdrowiuteńkich w chałupie, a nawet pod wpływem wzruszenia, obiecał że na przyszłość zajmie się ich losem.

Natenczas Marta zwróciła ku swoim pocieszycielom oczy rozszerzone cierpieniem, i wyszepnęła:

— Dobre ludzie, niechoj Pan Bóg wam płaci, za ratowanie naprzód, a potym za dobrom nowinę wedle starych i dzieciów, chocia to nowina nienowa..... ja już z dawności wiem co uni som zdrowe, i jako te ptaszki wolniuchne pod Sobotniom górom.....

— A zkąd wy matko to wiécie? — Pytał zdziwiony kupiec.

— Mnie to już dawno godała nasza Xiężna Jadwiga. Una czasamy tu do mnie przychadza. I tera oto przyszła..... o, widzita? Stoi, tamój, wedle słupka..... Pokazowa mi roztworzyste niebo, i kiwa

na mnie abych ja tam szła..... Idę, idę, moja święta paniusiu.....

Mówiąc to, Marta—może po-raz piérwszy od swego wzięcia do niewoli — uśmiéchnęła się niewymownie błogo, i z tym uśmiéchem przeszła w inne życie.

Hans, który wziął jéj słowa za proste przedśmiertne majaczenie, cały potruchlały wyleciał z namiotu, aby jeszcze żywiéj przynaglać towarzyszy, i raz już opuścić te wyklęte kraje.

Ludmiła pozostała dłużéj, przejęta wielkim żalem, ale i niejaką pociechą, bo w ostatniém przemówieniu męczennicy, domyśliła się czegóś nadziemskiego.

Oddając téż hołd ostatni owéj męce, (prawie nikomu nieznanéj na ziemi, ale — jak się zdaje — rozgłośnéj na niebie,) wykupiła posiekane zwłoki, którym przy pomocy Brata Benedykta, sprawiono Chrześcjański, bardzo rzewny pogrzeb.

Wkrótce po tych rozstaniach nastąpił jeszcze inny wyjazd, który branek wcale nie zmartwił, owszem, niósł im niesłychaną ulgę, — ale w ich otoczeniu wywołał dużo łez i lamentu. Kałgę wyprawiano do Szkół Jeliu-Czusaja. Pewien dygnitarz, obdarzony przez Cesarza Wielkorządztwem jednéj z prowincji Chińskich, wyjeżdżał na objęcie swego urzędu, a zażyle z nim żyjący Ajdar, korzy-

stał z téj sposobności, aby synowca wysłać pod surową i poważną pieczą. Kałga wyjechał trochę wystraszony, trochę cieszący się ze zmiany, uwożąc dużą skrzynię, pełną sukienek naszytych przez Elżbietę, i to na różne rozmiary, na wyrost.—Wyjechał, pożegnawszy się dosyć obojętnie z matką, która za to rwała włosy i oddawała się dzikiéj żałości. Ludmiła patrząc na nią z uśmiéchem nieco szyderczym, rzekła:

— A widzisz, Arguno? Ty łamiesz ręce, choć wiész doskonale że syna za kilka lat zobaczysz, a zawsze się niecierpliwisz, kiedy biédna Elżbieta płacze za swojém dzieckiem którego nigdy już nie spotka?

— No, Terchanowa chyba żartujesz..... — Odparła urażona Tatarka. — Jakżeż można porównywać mnie z moją niewolnicą?

Tak się ofuknęła. Jednak te słowa zostawiły w jéj duszy ziarno niepokoju. Nieraz odtąd zaczęła przemyśliwać, czy-by istotnie jéj niewolnicy mieli czuć tak samo jak i ona? Ta myśl była jéj nieznośną, rozbudzała w niéj cały szereg niewyraźnych wyrzutów sumienia i popędów litości. Broniła się od nich ile mogła, jednak powoli miękła dla całéj swojéj służby, i nieraz nawet raczyła spytać się Elżbiety o jéj dziecko.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Przyszedł nakoniec dzień, o którym branki nasze niechciały dotąd myśléć. Posłowie, wróciwszy z ostatniego posłuchania u Dworu, niemogli znaléźć już pozorów do dłuższego pobytu, i musieli wyznaczyć dzień wyjazdu, chociaż wnętrzności im się rwały na widok nieszczęśliwych jakich zostawiali.

Przez te ostatnie dni, oblężeni więcéj niż kiedykolwiek, dzielili między wszystkich pociechy, przestrogi, zwłaszcza rady, bardzo potrzebne w tak niezwykłych warunkach życia. Jak mają postąpić w razie, gdyby kto z pogan Chrztu zażądał? Jak mają, w nieobecności kapłanów, modlitwami uświęcać śluby i pogrzeby? Tysiące takich trudności musieli rozwikływać, bo co chwila nowy braniec przybiegał z pytaniem: «A gdyby téż to lub owo zaszło?» —Potém, kogo tylko mogli, wyspowiadali i obdzielili Chlebem Anielskim, który dla przystępujących miał być pewnie już Wijatykiem.

Dzień wyjazdu zapowiedział się chmurnym porankiem; zamieć śnieżysta przesłoniła powietrze.

Już Braciszek Benedykt włożył na piersi «macierzyński szkaplerz.» Już Tatarzy prowadzą rą-

cze konie. Zakonnicy jednak nie zaraz ich dosiądą; piérwszy kawał drogi chcą przebywać pieszo, aby jeszcze się nagadać z tłumem niewolników i niewolnic, który ich odprowadza jak może najdaléj. Długa wstęga płaczących czerni się na białém polu. Idą i nasze niewiasty.....

Piérwsza to chwila w życiu Elżbiety i Ludmiły, na którą wolimy zapuścić zasłonę. Chwila może straszniejsza niż dostanie się w niewolę, niż piérwsze lata prób. Straszniejsza choćby tylko dla tego, że nadeszła po tamtych.

Kiedy człowiek jest pędzony przez rózgi, dalsze uderzenia, — choćby nawet i słabsze — coraz więcéj go bolą, bo padają na rany piérwszych.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Nazajutrz po wyjeździe Posłów, o zmroku, branki siedziały w otulonym namiocie, przy gasnącém ognisku, słuchając wycia wichru, i mimowolnie nadsłuchując ku stronie zachodu, jakby ztamtąd, znane głosy mogły jeszcze dolecić.

— Powiédz mi, — zapytała Ludmiła — kto to jest naprawdę Braciszek Benedykt? Nigdy mi dłużéj nie mówiłaś o nim, kilka razy tylko wspomnia-

łaś, żeście się razem wychowali. Jakim-że się to stało sposobem?

— Najprostszym w świecie. Moja matka była niezmiernie miłosierna. Przygarniała ile mogła ubogich, zwłaszcza biédnych dzieci. Władek, (bo na świecie zwano go Władysławem—) Władek był sierotą z ojca i matki, przytuliła go także, czuléj nawet niż innych, bo z jego matką serdecznie się miłowała, coś tak jak my dwie teraz. Biédny Władyś nietylko został samiuteńki, ale i bez pieczy i bez dachu, bo jego rodzice w końcu dni swoich okrutnie zubożeli, dla jakowychś wojen czy inakszych nieszczęść. Moja matka wzięła tedy Władzia, i kazała go chować ze swemi synami. Bracia moi wiecznie harcowali na koniach, bawili się z psiarnią, albo w kuchni słuchali bajek. Władyś był zupełnie inny, jakby druga panienka. Najlepiéj lubił siadywać przy mojéj matce, i bawić się ze mną. Cośmy się to kwiatków narwali, wianuszków naplotli! Cośmy nabudowali szańców i kasztelów z piasku! Kiedy nasz Kapelan wziął się do nauczania chłopców, to najlepiéj uczył się Władek. A nietylko sam siedział w tych mądrościach, ale i mnie przynosił xięgi. Najprzód, oglądaliśmy w nich malowania, szczególniéj w jednym prześlicznym Psałterzu; tam, naokół każdéj paginy, były jakby wstążki z rozmaitych listków i zwierzątek; więc on mi rozpowiadał co to są palmy, co smoki, co mandragory, i tak ja dziéwka, dowiedziałam się o tysiącznych dziwach świata. Były też

i większe obrazki z osóbkami, na złotych i błękitnych denkach, więc on znów opowiadał mi niesłychanie ciekawe historje, o królach Izraelskich, o Patryjarchach, a już najciekawsze o różnych Świętych, o których nawet moja matka nie wszystko wiedziała. Potém, żal mu się zrobiło, że ja nierozumiem co tam w tych xięgach piszą; zaczął mi pokazywać, to jedną literę, to drugą, i tak—sama niewiem kiedy—nauczyłam się czytać. O! Wtedy już Władziuś był niezmiernie dumny; powiedział mi, że muszę koniecznie i pisać. I niedługo téż, pisałam. Ach, sam naonczas niewiedział, jakie mi wyświadcza dobrodziejstwo. Czy ja wtedy przewidywałam, gdzie i do kogo będę kiedyś pisywała? Krwią moją do ciebie..... pamiętasz? A teraz..... do Jasia, pod oczami tego samego Władzia. Późniéj, kiedy my trochę podrośli, przynosił inne xięgi, bardzo dziwne, o wielkich rycerzach co jadali przy jednym, okrągłym stole — o zaklętych królewnach. Te pisania były w cudzoziemskich mowach, ale on je opowiadał tak gładko, jakby wszystko tam stało po naszemu. Ja — przyznam się — niewiele rozumiałam, a Władzio to byłby dzień i noc czytał takie zamorskie przygody. Mawiał nieraz, że pojedzie w świat jak ci rycerze, i będzie łamał kopje na cześć swojéj siostrzyczki. (Bo my się zwali «siostrzyczką» i «braciszkiem.») Mój ojciec, słuchając go, mówił: «Jakże chcesz zostać rycerzem, kiedy siedzisz ciągle w szpargałach? Tobie podobniéj wyjść na Benedyktyna.»—I dobrze to jeszcze było

kiedy ojciec prawił tak wesoło, bo zazwyczaj krzywił się i fukał, że Władek ni to do miecza ni do konia, i że przesiaduje w białogłowskiéj świetlicy. Moja matka ujmowała się za nim jako mogła, ach ona tak lubiła patrzéć na Władzia, co jéj przypominał tę nieboszczkę! Kto wié nawet czy nie pragnęła..... ale niewiem..... nigdy nic nie powiedziała, i ja téż o nic się nie pytałam. Po co się miałam pytać? Ja byłam taka szczęśliwa! Nie przeszło mi przez głowę, aby mogło być kiedykolwiek inaczéj. Mnie się wydawało, że my do śmierci zostaniemy braciszkiem i siostrzyczką, że będziemy wiecznie plotli kwiaty, czytali w xięgach, i że nigdy nie odjedziemy od moich rodziców. Niewiem czy kiedy na świecie, brat i siostra tak się nabożnie i mocno miłowali.

— Ej, moja Elżuniu..... Czy on ciebie miłował tylko jak siostrzyczkę? A ty jego jak braciszka? Nic więcéj? Mnie się widzi.....

— Cóż się tobie widzi?

— Że to było umiłowanie inne. Takie, o jakiém to we Francji tyle mówią na «Dworach miłości», o jakiém się to śpiéwa przy lutni.

— Może być.....—Odrzekła zamyślona Elżbieta.—Może być,—ale myśmy naonczas o tém niewiedzieli. Późniéj, kiedy stałam się trochę rozumniejsza, przychodziło mi czasem do głowy takowe pomyślenie. Ale to dopiéro późniéj, po wyjeździe Władka. Póki razem, to zawsze: «Kochany

braciszek!» — «Najmilsza siostrzyczko!» — I dość nam było szczęścia.

— I nie kłóciliście się nigdy?

— Nigdy.

— A! To już nic nierozumiem. I cóż to takiego zaszło, żeście się rozstali?

— Co zaszło? Pewnego dnia, przyjechał bardzo huczno i strojnie Sulisław z Żegnańca. Po kilku dniach, ojciec i matka powiedzieli mi że mam zostać żoną tego Sulisława.

— I cóż? Bardzo się zmartwiłaś?

— Nie,—jeszcze niebardzo. Żal mi było rzucać rodziców, ale co do Władzia, ach, ani wątpiłam, że pojedzie także do Żegnańca, i będzie znów czytał w xięgach i plótł kwiatki ze mną. Prosiłam go najwyraźniéj aby to uczynił. Dziś widzę jak moje proszenie było śmiészne, wtedy mi się zdawało rzeczą zupełnie prostą. Władyś mi odmówił, smutno a nawet sucho. Zdziwiłam się, nigdy go nie widziałam takim. Wieczorem, zamknął się z memi rodzicami, długo cóś radzili. Rano, padł im do nóg, dziękując za Chrześcjańskie odchowanie, wszystkich pożegnał, i powiedział mi że jedzie w świat aby sobie szukać powołania. Wtedy struchlałam. Wielkie było wtedy ze mnie dziecko, precz mi się zdawało że to ja musiałam go czém obrazić. Prosiłam aby przynajmniéj został na mój ślub, aby się zemną jeszcze przetańcował na go-

dach weselnych. Odpowiedział mi tylko,—to dobrze pamiętam—: «Ja już nigdy nie będę tańcował.»—Wsiadł na konia i pojechał. To było piérwsze w mojém życiu prawdziwe zmartwienie. Przy ślubie téż niemogłam się rozweselić, i taniec mi nie szedł, tak że mąż zapytał: «Co mi jest?» — Ja mu w niewinności serca powiedziałam, że mi żal wyjazdu mego braciszka Władzia.

— A cóż mąż, rozgniéwał się?

— Nie, tylko się roześmiał, i powiedział: — «Trudno moja panno, Władko musiał pojechać w świat za chlebem, bo to chłopczysko dobre, ale bez butów.»—Piérwszy to raz ktoś mówił o Władziu tak pogardliwie, to téż mię te słowa zabolały, i nigdy już przed mężem nie wspomniałam o nim. Nie było téż i sposobności, przepadł jakby kamień w wodę. Już i Jaś przyszedł na świat, i ja nawykłam do nowego życia w Żegnańcu, i kilka lat minęło, a Władek nie dawał o sobie najmniejszéj wiadomości. Trochę mię dziwiło to milczenie. Powtarzałam sobie: — Pewno został dopiéro giermkiem, pewno niechce dać znaku życia póki nie będzie pasowanym rycerzem, i nie wsławi się wielkiemi czynami.—A on tymczasem zaciągał się do innego wojska. I nie zobaczyłam go, aż tam w Krakowie, u królowéj.

— Jakto? Więc wyście się wtedy widzieli piérwszy raz od owego rozstania?

— A tak, piérwszy raz. I dopiéro wtedy się

dowiedziałam że został Zakonnikiem. A po tém jedném spotkaniu, przyszły—jak wiész—lata naszych nieszczęść, i znów go nie widziałam aż teraz, tu, już pewno po raz ostatni w życiu.

— I cóż, moja Elżuniu, czy bardzo żałujesz?

— Czego?

— A no..... że Pan Bóg was bliżéj nie połączył? Żeście się rozeszli na dwie strony świata?

— Widzisz Ludko, tak: gdyby Władek był się został pomiędzy świeckiemi, gdyby po rycersku służył jakiéj niewieście coby nie znała się na jego cnotach, tobym się martwiła. Ale kiedy wszedł do Zakonu, to się owszem raduję. Sam Pan Bóg tak ułożył, aby Władziowi pokazać jego powołanie. Bo niewiem czy ty kiedy pomyślałaś nad tém Ludko, co to jest powołanie? To jest głos który na nas woła. Ale w zgiełku ludzkim, niełatwo ten głos wyrozumiéć, bo on przychodzi z niezmiernéj dalekości, aż z tamtego świata. Musi w koło duszy nastać wielkie uciszenie, dopiéro wtedy człowiek dobrze go dosłyszy. Dla tego to Pan Bóg od nas wszystkich odciągnął go gwałtem. Kiedy Władzio przestał słyszéć głos mojéj matki, i głos mój, wonczas dopiéro usłyszał wołanie z nieba. I ja miałabym się martwić? A toż największe dla niego szczęście? I największa chwała! Sto razy większa, niż gdyby został niewiem jakim rycerzem, niewiem jakim królem. A i na mnie,

biédną niewolnicę, spada niemała chluba. Serce mi rośnie, kiedy pomyślę że ten mąż boży, co dzisiaj nosi listy Papiezkie, co jest Posłem od całego Chrześcjaństwa, co idzie po krwawych śladach Apostołów, ten sam, kiedyś ze mną sypał szańce z piasku, i litery pokazywał mi w Psałterzu. A cóż to za szczęście było dla mnie, spowiadać się przed starym przyjacielem!

— No, już wybacz Elżuniu, ale tego szczęścia niebardzo rozumiem..... jabym się wstydziła dawnego znajomego. Widać że masz duszę czystą jak u anioła.

— Nie gadajże Ludko, ze mnie wielka grzesznica, — no, ale wstydzić się przed Władziem..... to jest przed Brątem Benedyktem, niéma znowu czego. Przecie on wié że my wszyscy grzeszni. A któryżby inny Xiądz na świecie, mógł tak dobrze widziéć wszystko w mojéj głowie i duszy, jak on co je znał od maleńkości, prawie lepiéj niżeli ja sama? A jaki téż on tu ciągle był dobry i wyrozumiały! Czasem nawet, jeszcze po dawnemu odnalazł jaki żarcik. Naprzykład kiedyś, mówił mi że dla tego z pomiędzy wszystkich Zakonów obrał sobie Frańciszkański, aby do śmierci nazywać się «Braciszkiem». Tylko teraz, już nie braciszek Władzio, ale Braciszek Benedykt. A czy uważałaś jak Brat Jan wdzięcznie go nazywał po Włosku: «Fra Benedetto»? Mówił mi że «Benedetto» znaczy *Błogosławiony*. O rzeczywiście, błogosławiony dla nas posłaniec pociechy! Kto wié nawet, czy on

kiedyś nie zostanie naprawdę Błogosławionym? Ach, może Świętym? Cóżby to było za szczęście, gdyby naprzykład Jaś mógł kiedyś modlić się przed ołtarzem, na którym by świécił wizerunek naszego Braciszka, ze złotém kółkiem nad głową? A dla nas już wtedy zbawienie prawie zapewnione; bo przecie taki przyjaciel, wymodlił-by nam jakiś kącik w niebie?—Benedetto..... jak się to ślicznie wymawia!.....

Koniec Części Czwartéj.



PRZYPISY.

PRZYPISY

do Czwartego tomu Branek w Jassyrze.

Część Czwarta.

Rozdział: **Święte morze.**

Str. 4. Europejscy uczeni zwą Bajkał prostém «jeziorem»..... Ale dawny Mongoł, i..... dzisiejszy Burjat, nigdy nie ubliży «Świętej wodzie» taką niegodną nazwą..... Bajkał mści się za podobną obrazę.

«Buryaci nazywają Bajkał morzem świętém..... broń Boże, jeżeli go kto zamiast morza — jeziora tytułem obdarzy! Jest-to obraza, za którą Bajkał mści się burzą, falowaniem, kołysaniem, a czasem zatopieniem statku. Opowiadają wiele wypadków zemsty jeziora..... Jeżeli płynący po Bajkale podróżny, nie wiedząc o zabobonnéj wierze ludu, nazwie go jeziorem, cała osada statku oczekuje burzy, robi wymówki podróżnemu, które w razie rzeczywistéj burzy, mogą się skończyć wyrzuceniem grzesznika ze statku.» *Bajkał—Szamanizm* p. AGAT. GILLERA—w *Bibljotece Warszawskiéj*—1859—Wrzesień—Str. 554.

Str. 11. Za temi Wrotami, na środku Angary, leży Święty Kamień.

Str. 13. Najcudowniejszą, najsłynniejszą, jest wyspa Olchon, rzucona w samym środku jeziora.

«Wysp na Bajkale bardzo jest dużo..... Największa z wysp Bajkału jest Olchon; ma 10 mil długości, szerokości $3^1/_2$ mili; wschodni brzeg Olchonu jest piaszczysty, północno-wschodni górzysty i okryty roślinnością; w téj okolicy wyspy sterczy szamańska skała, nazywana przez Buryatów *Aechu-czołan*, to jest, straszna skała. Buryaci wyznający szamaństwo, czczą i ubóstwiają tę skałę. Cześć ich dla niéj jest tak rzeczywistą, iż w obec niéj Buryat nigdy nie skłamie; przysięgają w jéj imię! Wśrodku skały ma być wielka pieczara; duchy, jak mi mówił pewien Buryat, same sobie zrobiły tę świątynię i w niéj przebywają. Z nad brzegów wielu Buryatów na łodziach pielgrzymuje do niéj, i pod przewodnictwem szamanów odprawiają tu obrządki dziwnéj swéj wiary. Z powodu téj skały, Olchon można-by nazwać stolicą nadbajkalskiego szamanizmu. Uroczysko zwane Czasza Czyngis-chana, jest również przedmiotem czci i pielgrzymek na Olchon. Wiele skał i kamieni nad jeziorem są także jak i Aechu-Czołan ubóstwione i uświęcone. Kamień znajdujący się wśrodku Angary przy jéj wypływie z Bajkału, w imię którego także przysięgi się odbywają, i skała szamańska wychylająca się z wód jeziora przy wsi Kułtuku, należą do téj liczby. Buryaci wierzą, iż na tych skałach i w ich łonie mieszkają duchy *Ongony*. Nie umiem wymienić wszystkich miejsc świętych nad Bajkałem, lecz wiadomo mi, że liczba ich jest dosyć znaczna. Może dla tych to miejsc, Bajkał nazwany został «świętém morzem.» — ***Tamże***—Str. 565.

«Skała Olchońska i kamień przy ujściu Angary z Bajkału, taką bojaźnią przejmują każdego Buryata, że na pierwszą wiadomość przysięgi w imię groźnego kamienia, ze skruchą wyznaje dawne i nikomu nieznane grzechy i występki» — ***Tamże***—Str. 586.

Rozdział: Dla Spirytystów i Magnetyzerów.

Str. 16. Mówimy o tém potężném stowarzyszeniu..... Arcy-spirytystów..... któremi byli Szamanie.

»On peut affirmer que le spiritisme a pour origine la religion Chamane. L'évocation des esprits en est le dogme par excellence..... Le Sibérien russe appelle le Chamanisme la religion noire ou la religion des ténèbres. Chrétiens, juifs, mahométans et lamaïtes la considèrent avec un effroi superstitieux..... Entre le ciel et le hommes, il n'y a pas d'autres intermediaires que les esprits. Tous, depuis le premier jusqu'au dernier, se mêlent des affaires de l'éspèce humaine, soit en bien, soit en mal.» — ***La Russie Historique, Monumentale, et Pittoresque*** par PIERRE ARTAMOF—Paris—chez Lahure—1862—Tome II—p. 140.

«Les *Cames* (Chamanes) ministres de leur culte..... étaient à la fois magiciens, interprêtes des songes, augures, aruspices, astrologues et médecins. Chacun de ces devins prétendait avoir des esprits familiers, qui venaient lui découvrir les secrets du passé, du présent et de l'avenir. Ils les évoquaient par des mots magiques au son du tambourin, s'exaltaient par degrés, éprouvaient de violents transports, et lorsqu'ils étaient animés par les démons (?), ils rendaient leurs oracles en faisant des gambades et d'horribles contorsions. On les consultait dans tous les cas de la vie, car on avait en eux une confiance aveugle:» ***Histoire des Mongols*** par C. D'OHSSON—Amsterdam—1852—T. I. p. 17.

Str. 16. Szamanie..... znają własności pewnych grzybów, po których zjedzeniu wyśniwa się przyszłość.

Tych cudownych grzybów Jenerał Kopeć kosztował, i daje wyraźne świadectwo, że w snach następnéj nocy widział roz-

maite osoby i wypadki, które później rzeczywiście odnalazły się w jego życiu, tylko—rzecz dziwna—odnalazły się w innym, zmienionym porządku, co zupełnie tak wygląda, jakby jakaś tajemnica ręka *na traf* dlań wyciągała te obrazki, jeszcze zmieszane w urnie jego przyszłości.

Str. 16. Wirujących deszczułek, pukających lasek, używali już od całych wieków..... do wróżenia.

«Stoliki wirujące, które niedawno tyle hałasu w Europie narobiły, opowiadają Szamanom przyszłość, i wskazują ukryte przez złodziei rzeczy.»—***Bajkał-Szamanizm*** przez ACAT. GILLERA—Bibl. Warsz.—1859—Wrześ.—Str. 583.

Str. 16. A już w niczém nie są bieglejsi, jak w znajomości magnetyzmu.

Rubruk, Missjonarz Francuzki, który w trzynastym wieku zwiedzał Mongolję i spędził dosyć długi czas na Dworze Wielkich Chaanów, podaje w tym przedmiocie szczegóły bardzo ciekawe. Chwilami, czytelnik mógłby sądzić, że ma przed sobą, nie odwieczne dzieje Szamanizmu, ale dzisiejsze Sprawozdanie z posiedzeń Spirytystycznych.

«Peu avant mon départ d'ici, (de Caracouroum,) une des femmes du Khân était malade et souffrait beaucoup. Les devins prononcèrent quelques mots mystérieux sur une esclave d'origine teutonique, et celle-ci s'endormit pendant trois jours. Lorsqu'elle se réveilla, ils lui demandèrent ce qu'elle avait vu. Elle avait vu nombre de personnes; il leur parut qu'elles devaient bientôt mouvir toutes, et parce qu'elle n'avait pas vu parmi elles leur maîtresse, ils en conclurent qu'elle ne mourrait pas de cette maladie. J'ai vu cette jeune fille, elle avait la tête encore très-fatiguée de ce long sommeil.

«Quelques'-uns de ces devins évoquent aussi les démons.» (Rubruk je poczytuje za wysłańców piekła, Szamanie mianowali je tylko «Duchami».) «Ils réunissent, la nuit, dans leur maison, ceux qui veulent avoir réponse du démon; ils placent de la viande cuite au milieu du cénacle, (tego zaklęcia «przez poczęstunek», nasi Spirytyści jeszcze nie próbowali,) et le khân qui invoque, commence par dire des paroles mystérieuses, et, tenant un tambourin à la main, le frappe fortement contre terre. Enfin il entre en furie, et on le lie. Alors arrive le démon au milieu des ténèbres; le khân lui donne cette viande à manger, et lui, (le démon) dicte ses réponses.

«Une fois, ainsi que me l'apprit maître Guillaume (Wilhelm Buchier złotnik, o którym w następnych Rozdziałach szeroko piszemy,) un Hongrois se cacha dans la maison des devins, et le démon qui se tenait sur le toit, se plaignit de ce qu'il ne pouvait entrer, parce qu'il y avait un chrétien chez eux. A ce bruit, celui-ci se sauva, parce qu'on commençait à le rechercher. Ils ont fait cela, et beaucoup d'autres choses, trop longues à rapporter.»—GUILLAUME DE RUBROUCK, ambassadeur de S. Louis en Orient—*Récit de son voyage,* trad. par. L. Backer—Paris—chez Leroux—1877—p. 252.

Str. 18. Od niepamiętnych czasów aż do dni dzisiejszych, odprawia się u nich coroczna ofiara dla «Duchów Południa».

Obecnie, odprawia się ona w sposób następujący, pewnie mało różny od obrządków jakie święcono przed sześciuset laty:

«Ofiary publiczne nazywają *taiłgan*..... odbywają się trzy razy do roku. Pierwszy taiłgan bywa na cześć «królów południa»; drugi na cześć «królów (zapewne duchów) wód»; trzeci, niewiadomo na cześć jakich duchów, odbywa się w jesieni. Na świętéj górze, przeznaczonéj na miejsce ofiarne, stawiają ołtarz, a o dwadzieścia sążni od niego, rzędami stawiają naczynia z mlékiem i *tarasunem* (wódka z mléka); cokolwiek daléj stoją zwierzęta przeznaczone na ofiarę. Gdy się publiczność zbierze, sza-

man bierze *żodo* (pałeczkę brzozową), pali jego koniec i macza go w płynach zawartych w naczyniach..... postępuje ku ołtarzowi, i zwróciwszy twarz w stronę południa, odmawia głośno modlitwę, krzycząc jak najgłośniéj. Wówczas przystępują do niego jeden po drugim siedmiu pomocników wybranych między publicznością. Każden z nich w prawém ręku trzyma miskę z tarasunem, a w lewéj warząchew z mlékiem. Gdy już zbliżą się do szamana, powtarzają za nim: «cok, cok, cok!» Szaman umoczywszy *żodo* w misce każdego z nich, pryska płynem w stronę południa. Potém, podnosząc żodo do góry, wskazuje na niebo, a Buryaci rzucają miski na ziemię, krzycząc: «niechaj się poszczęści!» Jeżeli miska spadnie do góry dnem, oznacza to nieszczęście, jeżeli zaś dnem na ziemię, oznacza szczęście. Ceremonia rzucania misek trzykroć się powtarza. Następnie szaman zwierzęta ofiarne oblewa tarasunem..... daléj gotują mięso ofiarne..... Po tych wszystkich obrzędach rozpoczynają się wyścigi konne i zapasy szermierskie, i t. d.»—***Bajkał-Szamanizm*** p. A. GILLERA — Bibl. Warsz. 1859—Wrzes.—Str. 584.

Str. 20. Hierarchji..... w Szamanizmie ani śladu.

«Szamanizm..... nikt nie umiał nam jeszcze wytłumaczyć jego zasad i dobrze objaśnić jego obrządków. Bez duchownéj centralizacji i uorganizowanéj hierarchii, nie zachował cech jedności; bez kontroli, podlegał w różnych miejscowościach wpływom miejscowym.....

«Niektóre Szamańskie ludy do dziś dnia nie mają bałwanów..... Religia ich zasadza się na dociekaniu woli duchów, i odwróceniu ich złych względem ludzi zamiarów.....

«Obrządki..... mają na celu przywoływanie duchów rozlicznemi sposobami w obec zgromadzonego ludu, na rozmowie z niemi i wróżbie. Duchy zaklęte i przywołane zstępują w szamana, dają mu światło i odkrywają tajemnice przyszłości. Podczas czynności zakliinania, lud stoi pogrążony w pobożnéj trwodze i milczeniu, lub też składa ręce i pada na kolana.

«O moralnosci szamańskiéj jeszcze mniéj jest wiadomo niżeli o jego treści i dogmatach..... można raczéj wywnioskować, że moralności szamanizm nie zna i nie posiada; że dobre i złe cechy, jakie w charakterze tych ludów spostrzegamy, są rezultatem innych przyczyn, i nie mogą być uznane za wpływ..... ich wiary, któréj nikt się nie uczy—wiary obowiązującéj tylko do słuchania wieszczb szamana i wykonywania jego rozkazów, a która nie posiada ani hierarchii, ani stałych obrządków, ani świątyń, ani téż xiąg religijnych.....

«Szamana obowiązkiem jest wróżyć, i przepowiadać przyszłość, badać wolę duchów, i opowiadać ją ludom. Sposoby jakiemi to robią, są wielorakie i dziwne.» — *Tamże* — Str. 568 i nast.

Str. 20. Poczuwszy bodziec powołania, wybrana istota idzie w najgłębsze lasy.....

«Le chaman novice..... devient un étranger pour les siens. Il les quitte et s'en va dans les bois mener une existence vagabonde, se nourrissant de racines et d'écorce d'arbre, jusqu'au jour où il trouve une loutre. Cette trouvaille faite, il tue la bête, lui coupe la langue, et cache cette langue dans un endroit bien reculé. De sa fourrure il se confectionne un sac, et ce sac une fois pendu à son côté, le novice a reçu l'ordination, il est prêtre chaman.»— *La Russie Historique, Monum. ect.* par P. Artamof — T. II.—p. 142.

Opis ten wygląda na fałszowany, a w każdym razie jest bardzo niezupełny, bo zawiéra tylko parę takich małoznacznych szczegółów, z któremi Szamanie przyznają się może umyślnie, dla omylenia ciekawych. Ale prawdziwe prawidła «wychowywania się na Szamana», prawdziwe sposoby «szamanienia», są tu zamilczane, i pewnie pozostaną na zawsze tajemnicą niedocieczoną dla ogółu.

Str. 21. Bogu nieśmiano stawiać świątyń..... ani nawet nadawać Mu imienia, oprócz allego-

rycznej nazwy «Tangri», która dosłownie oznaczała «niebo». Duchy, nosiły ogólną nazwę «Ongonów».

«Ils reconnaissaient un Être suprême, qu'ils désignaient ainsi que le ciel par le nom de *Tangri*. Leurs divinités (wyraz tu niewłaściwy, powinno by raczéj stać: leur *génies tutélaires*) étaient representées par de petites figures de bois ou de feutre, nommées *Ongon*, qu'ils suspendaient aux parois de leurs huttes.» ***Hist. des Mongols*** par D'Ohsson—T. I. p. 16.

Str. 22. Powoli, wszystko przeszło w ręce Szamanów. Zawładnęli, nietylko rządzonemi, ale i rządzącemi.

«Or, les devins sont leurs prêtres, et tout ce qu'ils ordonnent de faire est executé à l'instant..... Ils sont nombreux, et ils ont un supérieur, qui est comme un Pontife et qui a toujours sa maison en face de la demeure principale de Mangou-Khân..... Ces devins sont consultés des diverses parties du monde.» — Guil. Rubrouck, Amb. de S. Louis — ***Récit de son Voyage*** —Paris—1877—p. 247.

Rozdział: **Królestwo Xiędza Jana.**

Str. 30. Temi sąsiadami były pokolenia które w Azji nosiły nazwę «Ludzi leśnych.»

«Les *Ourianguites silvestres*, dit l'historien Raschid, ap«pelés ainsi parce qu'ils habitent d'immenses forêts..... ne demeu«rent pas sous des tentes; ils se vêtissent de peaux d'animeaux «et mangent la chair des boeufs et des moutons sauvages; car ils «n'ont point de bétail, et professent même un grand mépris pour «les peuples pasteurs. Aussi, la plus terrible menace qu'un pére

«ou une mère puisse faire à sa fille, est de lui dire qu'il la don-«nera à quelqu'un qui l'obligera de garder les moutons; on a vu «des filles se pendre alors de désespoir..... Jamais ils ne sortent «de leurs forêts, et ils n'ont pour abris que des cabanes faites de «branches, couvertes d'écorce de bouleau. Des incisions dans «cet arbre, leur procurent une boisson douce et agréable. Ils «s'imaginent qu'il n'y a pas de plus heureuse existence que la «leur, et pensent que les habitants des villes, et même que les «peuples pasteurs, mènent la vie la plus misérable. Leur pays..... «étant très froid, ils chassent beaucoup l'hiver sur la neige. Ils «s'attachent alors aux pieds des planches qu'il appellent *thana*, «et tenant à la main un bâton, qu'ils enfoncent dans la neige, «comme un batelier enfonce sa perche dans l'eau pour faire mou-«voir sa barque, ils parcourent les plaines, gravissent et descen-«dent les montagnes, avec une telle vitesse qu'ils atteignent les «boeufs et les autres animaux..... C'est une chose qu'il faut voir «pour la croire.....»—Ces détails sont entièrement conformes à ce que rapporte, sur le genre de vie actuel des Tougouses, Joh. Gotti.. Georgi, dans son ouvrage intitulé: ***Bemerkungen einer Reise im Russischen Reiche.....*** Les vastes régions habitées par les Tougouses, dans la partie orientale de la Sibérie, sont appelées par eux Ouriangkhai, nom semblable à celui que les Mongols donnaient à ce peuple dans le treizième siècle.» ***Histoire des Mongols*** par D'Ohsson—W Dodatkach do Tomu I-go, patrz Note I. p. 421.

Str. 39—40. Tam Kara-Chan, współczesny Abrahama, czcił wielu bogów..... a główne obozowisko nazywało się «Karakum».

«S'il faut s'en rapporter à l'une des premières traditions turques, dont on retrouve des traces dans les commentaires d'Hérodote sur l'origine des Scythes *), Oghouz-Khan, fils de Kara-

*) Hérod.—t. IV, p. 5. Les trois fils de Targitaos sont: Leipoxaïn, Arpoxaïn et Koloxaïn. La terminaison *oxaïn*, commune à ces trois noms, paraît n'être autre chose que le mot *Ogouz* ou *Oghuz-Khan*. Hammer—tamże.

Khan, fut, par ses conquêtes et par ses lois, le fondateur de la puissance et de la civilisation turques. Il doit avoir vécu du temps d'Abraham. Comme fondateur d'un empire, il a beaucoup de rapports avec le *Déjocès* des Mèdes, c'est-à-dire le *Djemschid* des histoires orientales. Oghouz-Khan abandonna l'idolâtrie pour embrasser un culte plus pur, et soutint contre son frère une guerre civile et religieuse qui dura soixante-dix ans. De Karakoum, où Kara-Khan passait l'hiver..... Oghouz se porta vers le sud, et alla se fixer a Yassy, une des villes les plus célèbres du Turkestan..... Les noms de ses six fils, suivant la tradition, sont Khans *du jour*, *de la lune*, *de l'étoile*, *du ciel*, *de la montagne* et *de la mer*, titres que prenaient les souverains de ces contrées. Oghouz, aussi passioné pour la chasse que Nemrod, y envoya un jour ses fils, espérant qu'ils en rapporteraient quelque présage de leur sort. A leur retour, ils lui présentèrent un arc et trois flèches qu'ils avaient trouvés. Oghouz donna les flèches aux khans du ciel, de la montagne et de la mer, et l'arc aux trois autres qui le brisèrent pour se le partager. Oghouz les nomma pour cela *Outschok* (*les trois flèches*), et *Bozouk* (*les destructeurs*). Il confia le commandement de l'aile gauche de son armée aux premiers, et celui de l'aile droite aux seconds. (La division en aile droite et aile gauche est un principe admis dans l'organisation des armées turques, mogoles et tatares.) Après la mort d'Oghouz, ses fils se partagèrent son empire..... La tradition donne quatre fils à chacun de ces princes, qui sont les pères des vingt-quatre principales tribus turques. Nous ferons remarquer ici que ce nombre quatre a toujours été affectioné par les Ottomans, et qu'il a présidé à l'organisation de toutes leurs institutions fondamentales. C'est ainsi que les vingt-quatre patriarches, ou *pères* des Turcs, se sont continués dans les vingt-quatre begs des Mamelouks beharits et tcherkesses, en Egypte, jusqu'à leur extermination qui a eu lieu dans ces derniers temps.» — ***Histoire de l'Empire Ottoman*** par J. DE HAMMER — trad. de l'al. par Hellert — Paris — 1835 — T. I. p. 6.

Str. 43. Przy obiorze takiego Chaana przechowywał się wiernie obrządek..... ustanowiony podobno jeszcze za Oguza: Nowo-obranego, sadzano i podnoszono nie na tronie, ale na płachcie z czarnej pilśni, w jaką tamte ludy zwykle owijają umarłych.

Haiton, albo Hetum, Xiąże Armeński, który w trzynastym wieku zwiedzał Dwór Mongolski, opisuje ten obrzęd jako naoczny świadek:

«Après ce que les Tartars establirent un siége au milieu d'eulx, et ilz estendirent un feustre noir sur terre, et firent seoir dessus Canguis (Dżyngischana), et les VII chevetaines (capitaines) des VII nacions le levèrent et le nommèrent Kaan, en agenouillant eulx li faisant tout honneur et révérence comme à leur seigneur. De celle solempnité que les Tartars firent à leur seigneur en cellui temps nulz ne se doit merveillier, car par aventure ne savaient ilz mieux faire, ou ilz n'avaient plus beau drap sur quoy ilz le feissent seoir. Mais de ce qu'ilz n'ont voulu changier leur premier usaige se pourroit-on bien merveillier qui ont conquises tantes terres et royaumes. Et encore tiennent-ilz leur premier usaige quant ilz veullent eslire leur seigneur. Et j'ay esté deux fois à l'eslection de l'empereur des Tartars. Ils s'assembloient en un grant champ, et cellui qui devait estre leur seigneur, ilz le faisoient asseoir sur un feustre noir, et mettoient un riche siége ou milieu d'eulx. Après, venoient les hauhx hommes et ceulx du lignage et le levoient en hault et mettoient asseoir sur le siége. Et puis lui faisoient toute révérence et honneur comme à leur seigneur naturel, ne pour seigneurie, ne pour richesce qu'ilz aient, n'ont volu changier leur usaige.» — ***Relation de Jehan Hayton Prince d'Arménie,*** wydrukowana w zbiorze p. t. ***L'Extrême Orient au Moyen-Âge*** par L. DE BACKER — Paris — chez Leroux—1877—patrz Str. 163.

Str. 44. Znienacka, widownia rozjaśnia się nowym porankiem, powstaje państwo Ujgurów.

«Les Ouïgours, ou Turcs de l'est, qui habitaient la contrée qui s'étend entre Karakouroum et Tourfan, ont été confondus par les historiens et les géographes anciens avec les *Ougres sibériens* des Byzantins, de même que les *Hounnious*, premier nom dont les Chinois se sont servis pour désigner les Turcs, ont été pris pour les Huns. La langue des Ouïgours est le turc le plus pur et le plus ancien; dans la suite, elle a été appelée *djagataï*, de Djagataï, fils du conquérant Djenghiz-Khan, souverain de ce pays..... Les Ouïgours furent plus tard nommés Ouzbeks, du nom d'un de leurs chefs, Ouzbek, qui régna après Djenghiz-Khan.» — ***Hist. de l'Empire Ottoman*** par J. DE HAMMER — trad. de Hellert—Paris—1835—T. I. p. 5.

Obszerną wiadomość o kolejnych losach Ujgurów można znaléźć w ***Historji Mongołów*** D'OHSSONA, w Tomie I, na Str. 107 i następnych. W DODATKACH zaś do tegoż Tomu, w Nocie V-téj, Str. 429, zamieszczone są w całéj rozciągłości wszystkie owe legendy, tak Perskie jak Chińskie, o *Dwóch cudownych sosnach i pięciu Tekinach*, o *Górze szczęścia* i o *Stepowéj Egerji*, z których wyjątki zostały przytoczone w powieści.

Str. 51. Tymczasem na północy..... w opuszczoném gnieździe Ujgurów, spokojnie koczował Tatarski naród Cheraitów.

«*Keraïtes*, nation nombreuse, qui habitait les rives de l'Orcoun et de la Toula, ainsi que le voisinage des monts Caracouroum. Elle se composait des tribus Tchirkir, Toungcaïte, Toumaoute, Sakiate, Eliate et Keraïte, auxquelles ce dernier nom était devenu commun depuis leur réunion sous le sceptre de princes issus de la tribu Keraïte. Leurs moeurs, leurs usages, leur idiome se rapprochaient beaucoup de ceux des Mongols. Cette

nation était chrétienne; elle avait été convertie au commencement du onzième siècle par des prêtres Nestoriens.»—*Hist. des Mongols* par D'Ohsson—T. I. p. 48.

Str. 51—52. Król Cheraitów został Chrześcjaninem. Opowieść tego wypadku zapisana jest..... najszerzéj w dziele Abulfaradżego.

Całe ten ustęp wyjęty ze Wschodniego pisarza, patrz tamże u D'Ohssona, w Tomie I-ym, w Przypisku, na Str. 48 i nast.

Str. 53. Odgłos o tym narodzie szerzy się daleko, i nawet w Europie zaczyna słynąć jako pół-bajeczne «Królestwo Xiędza Jana».

«Le *prestre Jehan*, la grande merveille qui occupait l'Europe..... qui, avec le célèbre oiseau Roc et la pêche des diamants dans les montagnes, appelait, sollicitait toutes les recherches des voyageurs; qui créa, pour ainsi dire..... une mode de littérature, et qu'on finit par découvrir dans tous les pays du monde; car il sembla convenu pendant quelque temps, d'appeler *prêtre Jean* toute chose qu'on ne connaissait pas.»—*L'Extrême Orient au Moyen-Age* par Louis de Backer — Paris — chez Leroux — 1877—p. 25.

Pierwsi jednak Missjonarze trzynastego wieku, patrzyli na ten przedmiot bardzo trzeźwo. Rubruk, (poseł od Ś-go Ludwika do Chaana Mangu,) pochwycił wybornie łączność zachodzącą między Cheraickim Ong-Chanem a postacią «Xiędza Jana», i jeżeli nie posunął się do zlania ich w jedną osobę, to przynajmniéj czyni z nich rodzonych braci. Oto ciekawy ów ustęp:

«Au temps où les Français prirent Antioche..... dans une plaine située au milieu de ces montagnes, il y avait un certain pasteur nestorien, qui régnait en maître souverain sur un peuple.....

qui était chrétien nestorien..... Ce nestorien se proclama roi, et les nestoriens le nommaient «le roi Jean», racontant de lui des merveilles au delà de toute vraisemblance. Les nestoriens qui viennent de ces contrées exagèrent tout, faisant grand bruit de rien..... C'est ainsi que s'est répandue la grande renommée du roi Jean, et cependant j'ai traversé ses pâturages, et personne ne le connaissait, excepté quelques nestoriens..... Ce Jean avait un frère, un pasteur puissant, nommé Unc..... seigneur d'une petite ville nommée *Caracorum*, et régnant sur un peuple..... aussi chrétien nestorien..... Au delà de ses pâturages, a une distance de dix ou quinze journées, étaient ceux des Moals (Mongols), tous gens misérables, sans chef ni loi, adonnés seulement aux sortilèges et aux devins, comme le sont tous ceux qui habitent ces contrées..... Le roi Jean mourut sans héritiers; son frère Unc lui succéda et se fit appeler Khân, et on lui envoya des troupeaux jusqu'aux confins des Moals. — En ce temps Cyngis (Thinguiz-khan) était un ouvrier (?) du peuple moal, et enlevait tout ce qu'il pouvait du bétail de Unc-Khân, à tel point que les bergers de celui-ci s'en plaignirent à leur maître. Alors, celui-ci assembla une armée et se rendit avec elle dans le pays des Moals pour s'emparer de ce Cyngis; mais Cyngis s'enfuit chez les Tartares et s'y cacha. Unc s'empara du butin des Moals et des Tartares, puis s'en retourna. Alors, Cyngis s'adressant à eux leur dit: «Pourquoi sommes-nous sans chef? Nos voisins nous oppriment.»—Et les Tartares et les Moals le firent leur chef et se soumirent à lui. Ayant aussitôt réuni une armée, il se jeta sur cet Unc et le vainquit; Unc-Khân s'enfuit au Cathay. Sa fille fut faite prisonnière et Cyngis la donna pour épouse à un de ses fils, dont elle conçut celui qui règne maintenant, Mangou-Khâu. Alors Cyngis envoya ses Tartares guerroyer de tous côtés..... La terre d'où ils sont sortis, et où se trouve encore la cour de Cyngis-Khân, est nommée Onankerule (słusznie, bo między rzekami Honanem i Kerulanem). Mais parceque Caracorum est le pays de leurs premiers exploits, ils tiennent cette ville pour leur résidence royale, et c'est là qu'ils procèdent à l'élection de leur Khân.» —

Guillaume de Rubrouck — *Récit de son voyage* — Paris — 1877—p. 75 et suiv.

Pogląd ten, jasny i bardzo do rzeczywistości dziejowéj zbliżony, szybko się jednak zmąca w Europejskich głowach. Z jednéj strony, olbrzymia postać Dżyngischana zupełnie im zasłania zwalczonego przezeń Ong-chana, z drugiéj strony wyobraźnia podróżników nie zadawalnia się tak prostém wytłumaczeniem rzeczy. Więc stroją swego ulubieńca w coraz nowe dziwy, a prawda pierwotna tak mocno się zaciéra, że już w kilkadziesiąt lat późniéj piszący Brat Oderyk z Friulu, (jeden co prawda z najhojniejszych rozsiewców bajek wschodnich,) mianuje Xiędza Jana królem narodu Pigmejczyków, «des *Pumeaux* gens du *prestre Jehan*, qui sont petite gent, et n'ont que trois espens de lonc..... bel et gracieux selon leur grandeur..... tous hommes et femmes..... vivent six ans de tout le plus», (patrz w ***Extrême Orient*** Str. 118), a których razem z ich żórawiami przeniesiono teraz do Azji, bo nikt niemógł ich znaléźć nad Nilem, chociaż Arystoteles tam wskazywał ich pierwotne siedlisko.

Zupełnie przeciwnie dzieje się z Xiędzem Janem. Podróżnicy niemogąc żadnym sposobem odnaléźć go w Azji, wyznają że musiała zajść omyłka, i przenoszą go w końcu na ląd Afrykański, z czego powstaje drugi *Prestre Jehan*, tak zwany Etjopski, «czarny», który znów przez długie a długie czasy pokazuje się jakby «miraż», to w Abissynji, to gdzieś po za Libją, zawsze dostrzegany, i zawsze ginący.

Str. 57. A miał Ong-chan córkę..... Lennik..... ośmielił się zażądać córki królewskiéj dla swojego syna. To żądanie wydało się Ong-chanowi zanadto wybujałém. Odmówił..... aż przyszło między niemi do wojny.

«Et quand le prêtre Jean entendit ce que lui mandait Cinghis-khan demandant sa fille, il en fut moult courroucé, et dit:

«Comment Cinghis-khan a-t-il l'audace de demander ma fille?..... «Ne sait-il donc qu'il est mon homme et mon esclave?..... «Dites-lui que j'aimerais mieux brûler ma fille que la lui donner..... «et ajoutez de ma part que je devrais le mettre à mort comme «traître et déloyal à son seigneur.» Puis il commanda aux messagers de partir aussitôt de devant lui, et de ne jamais y revenir..... Quand Cinghis-Khan entendit la manière dont le prêtre Jean l'avait traité, il eut le coeur si gonflé de rage, que peu s'en fallut qu'il ne crêvat dans sa poitrine; car c'était un homme qui savait sa valeur. Il parle enfin, et s'écrie..... qu'il veut cesser d'être seigneur si le prêtre Jean ne vend plus cher l'affront qu'il vient de lui faire que jamais affront ne fut vendu par personne, et il ajoute que bientôt il lui montrera s'il est son esclave..... Il fait savoir au prêtre Jean qu'il ait à se défendre comme il pourra, qu'il marche contre lui avec toutes ses forces..... Les deux armées prirent les armes et..... ce fut la plus grande bataille qu'on eut jamais vue..... Cinghis-Khan fut vainqueur. En cette bataille le prêtre Jean fut occis, et de ce jour Cinghis-Khan alla conquérant la terre.» MARCO POLO — dans les ***Voyageurs Anciens et Modernes***—rédigés par ED. CHARTON—Paris—1855—T. II —, pp. 304 et 306.

Str. 62. Ten mur tam po to zbudowano, aby Goga i Magoga zamknąć..... Ale któż to zbudował? A któż, jeżeli nie Alexander Wielki?

«Senduc est une province vers le levant..... elle relève du grand Khan..... En cette province se trouvent les pierres dont on fait l'azur..... En cette province était la capitale du prêtre Jean..... Ce lieu est celui que nous appelons en notre langue Gogo et Magogo; mais ils l'appellent Ung et Mungul.»—MARCO-POLO dans les ***Voy. Anc. et Mod.*** T. II. p. 313.

Uczony i wytworny wydawca tych Podróży, Edward Charton, dodaje do tego miejsca następujący przypisek:

«D'Anville a écrit un Mémoire sur le *Rempart de Gog et Magog*, où il a voulu prouver l'existence de ce rempart. Dans

la carte annexée à ce Mémoire, il place le pays de Gog entre le 45-e et le 50-e degré de latitude nord.—M. de Sacy pense que ce rempart n'était autre que la Muraille de la Chine, et il renvoie à ce qu'en a dit d' Herbelot.—Depuis le neuviéme et le dixième siècle, le rempart de Gog (*Castrum Gog* de Sanuto) occupe invariablement sur les cartes la même place, au nord de la Tartarie. Les Arabes et les Persans désignent sous le nom de *Yajuj* et *Majuj* les habitants des régions montagneuses au nord-ouest de la mer Caspienne.—Selon Strahlenberg, les noms *Jagougi* et *Mongougi* sont usités parmi les Tartares ou Scythes modernes, et ils peuvent avoir un rapport avec ceux de *Gog* et *Magog* employés par la Genèse.»

Z tego ustępu widzimy jak mocno wszystkie narody zajmowały się tą przepowiednią, i jak wielu pisarzy kolejno ją obrabiało. Wyżéj przytoczone słowa Backera o «Xiędzu Janie», możnaby jeszcze słuszniéj przystosować do «Goga i Magoga»; przedmiot ten wytworzył całą niemal osobną «literaturę». A wszędzie w niéj pojawia się bohatér Macedoński, bo jak nasz lud przypisuje Szwedom wszystkie wały, a królowéj Bonie wszystkie zamki, tak Średnie wieki przypisywały Alexandrowi wszystko co wielkie, trudne i tajemnicze. Najczęściéj, występuje on tam bardzo przykładnie i pobożnie, jako prawdziwy robotnik Opatrzności. I tak, Metodjusz Biskup Patarski (w Licji), słynny przeciwnik Orygenesa, jeszcze w początkach czwartego wieku napisał rozprawę p. t. ***O narodach co mają panować w ostatnich czasach świata***, a w dziele tém powiada:

«I poszedł Alexander na Wschód, zabił Darjusza Medyjskiego, i zawładnął grodami i krajami mnogiemi, i obszedł całą ziemię, i zaszedł do morza zwanego: *Słoneczną stroną*. Tam zaś ujrzał nieczyste narody, ohydne; synowie zaś synów Jafetowych i wnukowie jego brzydzą się niemi; a nieczystość ich ujrzał Alexander, albowiem jadali wszelką rzecz nieczystą, i różne stworzenia plugawe, komary i muchy, i żmije i padlinę..... Umarłych zaś nie grzebią, ale i tych zjadają. Wszystko to ujrzawszy Ale-

xander, pomodlił się do Boga gorliwie, zebrał ich wszystkich, i żony ich, i wyprowadził ich ze Wschodu, i pognał aż na krańce Północy. I niemają już wyjścia ni na Wschód ni na Zachód, albowiem kiedy Alexander modlił się do Boga, usłyszał go Bóg, i rozkazał dwóm górom którym na imię: *Mazy* i *Wora*, aby się przybliżyły do siebie, jakoby na łokci dwanaście. I uczynił wrota miedziane, i pomazał je *Afinkitem* (?). Jeśli chcą je otworzyć żelazem, niemogą; jeśli chcą je roztopić w ogniu, takoż niemogą, dla przyrodzonéj własności Afinkitu, który się nie lęka ni rozsieczenia przez żelazo, ni roztopienia przez ogień. Albowiem daje się słyszéć proroctwo Ezechjelowe, które mówi: W ostatnie dni i czasy, zejdą na ziemię Izraela od stron północnych, Gog i Magog.» Patrz *w Hist.* KARAMZINA—w Tomie II-im Przypis 64-ty.

Najlepszą «illustracją» do tych legend, są mappy Średniowieczne, zwłaszcza sławna *Mappa Katalońska* z XIV-go wieku, istne pieścidło, pełne miniaturowych osóbek i obrazków. Polski czytelnik może ją łatwo znaléźć, bo została odwzorowana, z całym przepychem farb i złota, w *Albumie Rytownika Polskiego*— Poznań—1854.—Tablica *Siódma* zawiéra tę część Mappy co ściąga się do naszego przedmiotu, a którą Lelewel w *Wykazie treści*, opatrzył następującém objaśnieniem:

«Asji połowa wschodnia..... wyobraża karawanę do Chin ciągnącą..... Trzech Królów do Bethleem jadących, bój pygmeów z żurawiami, sirenę, połów pereł..... tudzież historję króla Alexandra..... co wałem otoczył Goga i Magoga, którzy z Anti-Christem wystąpią na końcu świata, a Christus sobie wiernym błogosławi.»

Rzeczywiście, można tam widzieć odmalowany ów Mur czy Wał tajemniczy, tabaczkowego koloru, i Alexandra w koronie, co z po-za wału wychylony, czuwa jakby warta przy wejściu, i dobrze robi że czuwa, bo oto już jeden djablik wyskoczył po-za szaniec, i podwójną trąbą daje hasło, a z głębi obwarowania wyrywa się pędem *Gogimagog*, ubrany w zieloną szubę, jadący na

pstrym koniu, pod chińskim parasolem; chciałby wyjechać razem z całą swoją czeredą, ale dotąd nie może, bo drogę mu zastąpił sam Pan Jezus, otoczony prześlicznem gronem Błogosławionych, którym rozdaje złote różczki zwycięztwa, zapewne te jakiemi mają walczyć przeciw piekielnéj broni Antychrysta.

Str. 65. Te sypialnie Mongołów bywają takie wielkie.....

Cały ten opis «domów kołowych» u Tatarów, jest wyjęty z Rubrouck'a — ***Récit de son voyage***—trad. Backer—Paris—1877—p. 11.

Rozdział: Kara-Korum.

Str. 71. Ogotaj..... odpowiadał pamiętne słowa: «I po cóż mam to wszystko chować? Najlepiéj złożyć skarby w sercu swoich poddanych.»

«Il aimait (Ogotaï) à entendre citer des traits de princes célèbres dans l'histoire; mais lorsqu'on parlait des trésors que quelqu'un de ces souverains avait amassés: «Il était donc, disait-il, bien denué de bon sens; puisque les richesses ne nous préservent pas de la mort, et que nous ne pouvons pas revenir de l'autre monde, nous devons déposer nos trésors dans le coeur de nos sujets.» ***Hist. des Mongols*** par D'Ohsson—T. II p. 88.

Str. 71—72. Objąwszy dziedzictwo stukoronne..... Ogotaj..... postanowił założyć stolicę..... chciał jéj świéżą datę podeprzéć gruzami jakiéjś wielkiéj przeszłości; w téj myśli wybrał ziemię Cheraicką.

«L'empereur tint en 1234 une assemblée générale dans un lieu de la Mongolie appelé Talan-tépé. L'année suivante il con-

voqua un couriltaï dans sa nouvelle ville de *Caracouroum*, sur la rive de l'Orcon, où il avait fixé sa principale résidence..... Nous ne connaissons pas la position précise de *Caracouroum*. L'indication la plus positive du sîte de cette ville, qui ait été découverte jusqu'ici, se trouve dans l'histoire de la dynastie des Thangs en chinois, (Tang-chou). Elle en a été extraite par M. Abel Remusat et citée dans ses ***Recherches sur la ville de Kara-koroum.*** (Voyez ***Mémoires sur plusieurs questions relatives à la géographie de l'Asie centrale***—Paris — 1825.) Voici la traduction qu'il donne de cet article: «A l'orient de la «ville (de Kara-koroum) sont des plaines incultes; à l'occident elle «*repose* sur le mont Ou-te-kian; au midi *elle s'appuye* sur la «rivière Wen-kouen (Orkhon). Au nord, a 6 ou 700 lieues on «trouve la rivière Sian-o (Selinga).» ***Hist. des Mong.*** par D'Ohsson—T. II. p. 60.

«Karakorum, la célèbre capitale..... dont le nom seul effrayait l'Asie....» mówi Malte-Brun w swoim ***Abrégé de Géographie universelle,*** na Str. 13, w trzeciém wyd. Paris — 1842.

«Karakorum, sławne, lecz dziś całkiem zniszczone miasto mongolskie w Azji północnéj, założone przez starszego syna Dżyngis-Chana; według niektórych, jest-to dzisiejsze miasto *Holin.*» ***Encyklopedja Powsz.*** Orgelbranda—Tom XIV Str. 58.

«Caracorum, Karakhorum, ou Kara-kûm (sable noir) des cartes modernes, dans la vallée du haut Orchon, et appelée *Khorin*, *Korin* par les Tartares, *Holin* par les Chinois, était l'antique résidence des princes mongols. Fondée en 755 par Pi-tchia, khan des Oei-u, Cara-corum devint, après la décadence de ces derniers, la capitale de la tribu des Karaïtes ou Cheraïtes. Ayant été conquise sur eux par Gengis-Khan, elle fut en 1235, entourée de murailles par Octaï (Ogotai) qui en fit sa résidence. C'est là que se tinrent les assemblées générales dans lesquelles Cuyuc et Mangou furent élevés au trône; c'est de là que Coubilaï

partit pour conquérir la Chine; c'est là qu'Houlagou commença vers l'occident sa marche victorieuse, qu'il termina par la destruction du califat de Bagdad..... André de Lonjumel la visita en 1249, Guillaume de Rubruquis en 1254.» — ***Voyageurs Anciens et Modernes,*** w Tomie II-m, w Przypisach do ***Podróży Marco-Pola,*** Str. 303.

Na zwyczajnych mappach, Karakorum rzadko jest oznaczone, ale można je znaléźć na mappach przyłączonych do różnych dzieł naukowych, np.

W dziele ***Voyageurs Anciens et Modernes***—Paris—aux Bureaux du Magasin Pittoresque—1855—w Tomie II-m na str. 224, przy ***Podróży Jana de Plano-Carpini.***

W dziele D'Ohssona ***Histoire de Mongols***—Amsterdam—1852—na początku I-go Tomu.

W dziele Xiędza Huc'a: ***Souvenirs d'un Voyage dans la Tartarie et le Thibet***—Paris—5-me ed. 1868—przy końcu I-go Tomu.

W ogromnym Atlasie należącym do dzieła Rohrbachera: ***Histoire universelle de l'Église Catholique,*** na 18-téj Tablicy.

I w wielu a wielu inych dziełach, poświęconych badaniom Wschodu.

Str. 73. Przy zakładaniu podwalin, znaleziono..... pomnik marmurowy, z napisem we trzech językach..... pod tym niejako nagrobkiem Kitajskiéj chwały, dokopano się jeszcze starszéj pamiątki. W głębokim lochu spoczywała ogromna tablica kamienna, ponasiekiwana w tajemnicze znaki.

O znalezieniu obu tych pomników, patrz w ***Histoire des Mongols*** D'Ohsson, w Tomie II-m, Str. 64-ta, i w Dodatkach do Tomu I-go Str. 429.

Str. 75. Pałac był olśniewający.

A son retour de la Chine, d'où il avait emmené un grand nombre d'habiles artistes et artisans, Ogotaï se fit bâtir un vaste palais dans son nouveau yourte de Caracouroum, sur la rive de l'Orcoun. Il y avait là d'anciennes ruines..... Le nouveau palais d'Ogotaï, richement décoré par des sculpteurs et des peintres chinois, était entouré d'un parc..... Autour de ce palais furent bâtis des hôtels pour les princes et les grands; il s'éléva bientôt une ville, que l'empereur nomma *Ordou-Balik*, ou la ville de l'*Ordou*, mais qui fut plus connue sous le nom de *Caracouroum*, par lequel on désignait une chaîne de montagnes où la rivière Orcoun prend naissance. Cette nouvelle cité fut entourée en 1235 d'un mur qui avait une demi lieue de circuit. De là, jusqu'à la Chine, furent établis des relais particuliers, au nombre de trente-sept, tous gardés par des détachements de cavalerie. Chaque jour il arrivait dans cette résidence, des differentes parties de l'empire, cinq cents chariots remplis de vivres et de boissons, que l'on déposait dans les magasins, pour la consommation de la cour, et les distributions au peuple.» *Tamże*—T. II. p. 64.

«Mangou a à Caracorum une grande cour sous les murs de la ville, close d'un mur de briques comme sont fermés chez nous les prieurés des moines. Là est un palais, où il donne un grand festin deux fois l'an..... Il y là aussi beaucoup de maisons, longues comme des granges, dans lesquelles sont enfermés ses vivres et ses trésors..... Ce palais est comme une église, ayant une nef au milieu et deux bas côtés séparés de la nef par deux rangs de colonnes. Trois portes sont au midi..... Le khân a son siège au nord, sur une estrade, de manière à être vu par tous, et on y monte par deux escaliers; par l'un, on lui apporte sa nourriture et l'on descend par l'autre..... et lui, il est assis

tout en haut, comme un dieu. A sa droite, c'est-à-dire a l'ouest, sont les hommes, à sa gauche les femmes; car le palais s'étend en longueur du nord au sud. A droite, près des colonnes, s'élèvent des gradins, en forme d'amfitheâtre, où se placent les fils et les fréres du khân, et à gauche ses femmes et ses filles. Une seule femme est assise à ses côtés, mais sur un siège moins élévé que le sien.» ***Guillaume Rubrouck—Récit de son Voyage***—pp. 203 et 205.

Str. 79. Poniżéj..... rozlegało się właściwe «miasto».

Quant à la ville de Caracorum..... il y a là deux quartiers l'un des Sarrazins, où se trouvent les marchés et où abondent les marchands, à cause de la cour qui en est peu éloignée, et aussi à cause de la multitude des ambassadeurs. L'autre quartier est celui des Cathayens qui sont tous des artisans. En dehors de ce palais, on voit de grands palais qui sont habités par les secretaires de la cour. Il y a là douze temples consacrés à des idoles de diverses nations, deux mosquées où l'on observe la loi de Mahomet, et une église de chrétiens à l'extrémité de la ville. — La ville est entourée d'une muraille de terre, et elle a quatre portes. A l'est, on vend le mil et d'autres grains, du reste trés-rares; à l'ouest, on vend les moutons et les chèvres; au midi, les boeufs et les chariots; au nord, les chevaux.» ***Tamże***—p. 221.

Str. 88. Szklanne szyby..... tu świéciły nietylko w oknach ale i we drzwiach wielu domów.

W dziele Abla Remusata, ***Nouveaux Mélanges Asiatiques***, w Tomie I-m, w ustępie tłumaczonym z języka Chińskiego, p. t. ***Relation de l'expédition d'Houlagou à travers la Tartarie***, znajduje się na Str. 174-téj wzmianka następująca:

«La route passe par la ville de *Phou-lo*..... (W bliskości Bisz-Bałyku.) Les murailles sont hautes. On y voit des bouti-

ques fermées, des enclos pour exposer les marchandises, des maisons de terre, dont les portes et les fenêtres sont garnies de verre.»

Sprawozdanie to było pisane przez pewnego oficera Chińskiego z armji Xięcia Hulagu, w dziesięć lat po przybyciu naszych branek do Mongolji. Jeżeli więc w mieście tak podrzędném jak *Fu-lo*, mogły być drzwi i okna szklanne, témbardziéj godzi się przypuścić, że nie musiało ich brakować w owém Karakorumie, gdzie wysilano się na zgromadzenie wszelkich zbytków, jakie tylko znała wówczas Azja.

Str. 89. Ogotaj..... kazał otworzyć bramy i ogłosić..... że «każdemu wolno wejść do Skarbców cesarskich, i brać z nich tyle ile tylko mu się podoba.»

«Lorsqu'on bâtissait Caracouroum, il (Ogotaï) entra un jour dans son trésor, et le trouva plein de balischs. «A quoi me sert, dit-il, tout cet argent, qu'il faut encore avoir la peine de garder?» Il fit publier que ceux qui voulaient des balischs, n'avaient qu'à se présenter. Aussitôt les habitants de la nouvelle ville accoururent au trésor, et chacun prit autant d'argent qu'il en put emporter.» ***Hist. des Mongols*** par D'Ohsson—T. II. p. 89.

Str. 91. Głównym doradcą i ulubieńcem Ogotaja..... był..... wielki człowiek. Zwał się Jeliu-Czusaj.

Piękny «Żywot» Jeliu-Czusaja znajdzie czytelnik u Abla Remusata, w jego ***Nouveaux Mélanges Asiatiques***, w Tomie II-m str. 64-ta. Żywot ów tém jest ciekawszy, że pisarz francuzki przełożył go prawie dosłownie z Annalisty Chińskiego, przez którego ciepłe pióro przemawia miłość całych miljonów ludzi, za-

wdzięczających Jeliu-Czusajowi ocalenie życia i wszystkiego co jest najdroższém.

Str. 97. Przywołał wtedy Jeliu-Czusaja na swoją estradę, i pełną czarę podając mu własną ręką..... wyrzekł.....» Jeśli spokojnie rządzę» i t. d.

«Ogotaï inaugura, en 1236, son nouveau palais par un grand festin, et donna en cette occasion, à son ministre Yeliuï-Tchoutsaï une marque signalée de sa faveur..... Ogotaï qui savait apprécier sa haute capacité, son amour de la justice, son zèle pour les intêrets du gouvernement, comme pour le bien des peuples, lui fit l'honneur, dans ce festin, de lui présenter la coupe, et de lui adresser ces paroles: «Si j'ai employé vos talents, si je me suis réglé sur vos lumières, je n'ai fait que suivre les ordres du défunt empereur..... Si je dors maintenant sans inquiétude, c'est à vos veilles que j'en suis redevable.» Puis, se tournant vers les ambassadeurs de l'Occident et du Midi, qui se trouvaient en grand nombre à sa cour, il leur demanda, en leur montrant Yeliuï-Tchoutsaï. si leurs pays possédaient un homme qui, pour l'habileté et la sagesse, put lui être comparé.» *Hist. des Mong.* par D'Ohsson—T. II. p. 65.

Rozdział: Roczniki niewoli.

Str. 100. Tatarski obyczaj nakazywał, ażeby brat pozostały, wziął pod swoją opiekę wszystkie żony po bracie zmarłym.

«Chaque femme avait sa hutte et son ménage séparé. Le fils devait pourvoir à l'entretien des veuves de son père; souvent il les épousait, hormis celle qui lui avait donné le jour. Le frère était également tenu de prendre soin de ses belles-soeurs devenues veuves.» *Tamże*—T. I. p. 14.

Str. 102. Największa zażyłość łączyła je z pewną damą Frankską, zwaną Pascha.

«Une femme de Metz en Lorraine, nommée Pascha, et qui avait été faite prisonnière en Hongrie, vint nous trouver et nous prépara un festin du mieux qu'elle put..... elle nous raconta les privations inouïes qu'elle eut à supporter.....» Rubrouck—*Récit de son Voyage*—p. 155.

Str. 104. Był to czysty Paryżanin, «Maître Guillaume Buchier.»

«Il y avait à Caracorum un orfèvre nommé Guillaume et originaire de Paris; son nom de famille est Buchier, et celui de son père Laurent Buchier..... il a un frère qui demeure sur le grand Pont et qui se nomme Roger Buchier.» *Tamże*—p. 157.

Str. 105. Mistrz Wilhelm zapoznał znów nasze niewiasty z innym złotnikiem, starym Kuźmą.

«*Kóźma*..... żyjący w XIII wieku; wiadomość o nim dochował podróżnik Plano Carpini, który użalając się na niegodziwe utrzymanie w Hordzie, powiada: «Na szczęście nasze, dobry Rusin, imieniem Kożma, złotnik i ulubieniec chana Gajuka, zaopatrywał nas we wszelkie potrzeby.» *Encyklopedja Powsz.* Orgelbranda—T. XIV. Str. 807.

Str. 109. Kuźma codzień gadał o tym «pasie Trackim»..... który był taki przepyszny, że Xiąże niewiedząc już czém tę rzecz nagrodzić, zaprosił go na biesiadę, i pozwolił mu siedzieć przy stole Pasynków.

O *pasach Trackich* wspominają pomniki dziejowe. I tak, Wielki Xiąże Jan Kaleta w swoim Testamencie, przekazując żonie i dzieciom rozmaite klejnoty, mówi: «Andrzejowi ze złota łańcuchów cztery, *pas tracki* perłowy, i t. d.» KARAMZINA *Historja*—przekł. Buczyńskiego—Warsz. 1825—Tom IV. Str. 221.

«Każde miasto miało oddzielnych ludzi wojskowych, *Pasynków*..... Ażeby odróżnić młodzieńców Boiarskich od urzędników Xiążęcych tego nazwiska, nazywano ich pierwéj *Pasynkami*, późniéj *Dziećmi Boiarskiemi*..... Imię *Pasynków* jest bardzo starożytne..... za czasów Nestora jedno miejsce w Kijowie nazywało się *Biesiadą Pasynków*.» *Tamże* — Tom III. Str. 187 — oraz Przypisy 46-sty i 227-my.

Str. 110. Ach, i jak tu nie wzdychać za tym grzecznym Paryżem, gdzie złotnikom jest jakby w raju?

«Le centre de l'Orfévrerie laïque était d'abord dans la Cité, auprés de la maison même de Saint Eloy..... Un violent incendie détruisit tout le quartier des orfèvres..... Plus tard, une partie des orfèvres revint dans la Cité, mais ils s'arretèrent sur le Grand-Pont et ne rentrèrent pas dans les rues, où les savetiers leur avaient succédé..... Les orfèvres proprement dits..... avaient, en général, leurs *ouvroirs* et *fenestres* sur le Grand-Pont ou Pont-au-Change, en concurrence avec les changeurs, la plupart Lombards ou Italiens..... La corporation des orfèvres de Paris avait ses privilèges..... et son existence organisée.....» ils étaient «exempts du guet et de toutes autres redevances féodales..... ils remplissaient parfois des charges d'honneur. Ainsi, à Paris, c'étaient eux qui avaient la garde de la vaisselle d'or et d'argent, quand la *bonne Ville* donnait un grand festin à quelque hôte illustre; c'étaient eux qui portaient le dais sur la tête du roi à son o yeux avènement; c'étaient eux qui, couronnés de roses, promenaient sur leurs épaules la châsse de Sainte Geneviève.» *Le*

Moyen-Age et la Renaissance—Tome III—*Orfèvrerie*—Fol. XXXI et XXXV.

Str. 119. Zausznice nie były rzadkością u mężczyzn Tatarskich:

Jako dowód, można przytoczyć następne opowiadanie:

«Deux ambassadeurs du souverain kin..... arrivèrent à Lioupan, avec des propositions de paix. Parmi les présents que ce souverain lui faisait offrir, était un plat rempli de superbes perles. Tchinguiz-khan en fit distribuer à ceux de ses officiers qui portaient des pendants d'oreilles; les autres se. firent percer les oreilles pour en obtenir; ce qui restait après ces largesses, fut répandu à terre et livré au pillage.» ***Hist. des Mongols*** par D'Ohsson—T. I. p. 375.

Str. 125. Snuli się kapłanie Alanów, przedstawiający osobny odcień Azjatyckiego Chrystjanizmu.

«La veille de la Pentecôte vinrent à nous quelques Alains, qu'on nomme *Aas* ou *Acias*, chrétiens selon le rite grec, ayant des prêtres grecs et faisant usage de l'écriture grecque. Toutefois, ils ne sont pas schismatiques comme les Grecs, mais ont de la vénération pour tout chrétien sans acception de personne, et ils nous apportèrent de la viande cuite, nous priant d'en manger et de prier pour un de leurs morts. Je dis alors que c'était la veille d'une grande solennité, et qu'en ce jour il ne nous était pas permis de manger de la viande. Puis je leur expliquai cette solennité. Ils en furent très-étonnés parce qu'ils ignoraient tout ce qui a rapport au rite chrétien; ils n'en connaissaient que le seul nom du Christ.» Rubrouck — ***Récit de son Voyage*** — trad. par Backer—Paris—1877——p. 49.

Str. 126. Nestorjanie są gorsi od bałwochwalców.

Obraz Nestorjanów odmalowany w niniejszéj powieści, jest jeszcze nieco złagodzonym; zdania naocznych świadków brzmią nierównie jaskrawiéj. Rubruk, Missjonarz, który (jak jest opowiedziane w dalszych Tomach) zwiedzał Mongolję właśnie za czasu naszych branek, i który najdokładniéj mógł ich poznać, tak się odzywa w tym przedmiocie:

«Dans quinze villes du Cathay on voit des Nestoriens, et dans celle qu'on appelle Segin, (czyli Pekin, u Mongołów Chambałyk,) est leur evêque..... Les Nestoriens sont très-ignorants. Cependant ils disent leur office et ont des livres sacrés en syriaque, qu'ils ne comprennent pas; ce qui fait qu'ils chantent comme, chez nous, les moines qui ne savent rien de la grammaire; d'où une grande corruption. Ils sont surtout usuriers, ivrognes, et quelques'uns qui vivent avec les Tartares ont, comme eux, plusieurs femmes..... Ils mangent de la viande le vendredi..... L'évêque visite rarement ces pays, peut-être une seule fois en cinquante ans. Alors on fait ordonner prêtres tous les petits enfants mâles, même ceux qui sont encore au berceau, ce qui explique comment presque tous les hommes sont prêtres. Ensuite ils se marient, ce qui est tout-à-fait contraire à l'enseignement des Pères..... Ils sont aussi tous simoniaques, n'administrant aucun sacrement gratuitement. Ils sont très attentifs pour leurs femmes et leurs enfants, ce qui fait qu'ils sont plus occupés de gagner de l'argent que de propager la foi. Il arrive de là que ceux d'entre eux qui élèvent les enfants des Moals (Mongols) nobles, tout en leur enseignant l'Evangile et la foi, les éloignent cependant de la pratique des vertus chrétiennes par le mauvais exemple de leurs moeurs, et surtout par leur cupidité, parce que la vie des Moals eux-mêmes et des Tuinans (Buddystów) qui sont des idolâtres, est plus pure que celle des ces prêtres.» GUILLAUME RUBROUCK — ***Récit de son Voyage***—p. 129.

«Nous ne mangions qu'une fois par jour et dans la plus grande tristesse; car lorsqu'ils apprenaient que Mangou-Khân nous avait donné du vin, ils se ruaient sur nous impudemment et comme des chiens, ces prêtres nestoriens qui chaque jour s'énivraient à la cour.» *Tamże*—p. 201.

Podobnych przytoczeń możnaby namnożyć bez liku.

Str. 127. Na ścianach wisiały tylko zapony jedwabne, bardzo suto przetykane złotem, a w głębi stał ołtarz..... pokryty nie obrusem, ale skórą błyszczącą.

«L'église est assez grande et belle, étant toute tendue de draps de soie brodés d'or..... Leur patriarche leur avait envoyé de Bagdad un cuir, quadrangulaire comme un autel portatif, oint de chrême, dont ils se servent au lieu de pierre consacrée.» *Tamże*—pp. 209 et 214.

Str. 127. Na ołtarzu..... srebrzył się kielich ogromny jak roztruchan, ze swoją pateną także ogromną, podobną do misy.

«Je célébrai donc la messe..... avec leur calice d'argent et leur patène, qui sont deux grands vases.» *Tamże*—p. 214.

Str. 127. Nad wszystkiém jaśniał Krzyż wspaniały..... ale gładki, bez Figury Pana Jezusa.

«Les Nestoriens et les Arméniens ne placent jamais sur leur croix l'image du Christ, d'où on pourrait conclure qu'ils ne croient pas à la Passion, ou qu'ils en rougissent.» *Tamże*—p. 68.

Str. 128. Na co wam to rozpowiadanie grzeszków, moja pani?

«La confession..... n'est pas en usage chez eux.» ***Tamże***— p. 216.

Str. 128. My mamy lepsze pomoce duchowne, oto..... te święte Chlébki..... tak samo robimy i z Wonnościami Świętéj Magdaleny.

«Ils prétendent qu'ils ont de cet onguent dont Marie Madeleine oignit les pieds du Seigneur, et ils y versent de l'huile en quantité égale à celle enlevée, et ils y trempent leur pain..... Ils disent aussi qu'ils ont de la farine dont fut fait le pain consacré par Notre-Seigneur, et ils en remettent autant qu'ils en enlèvent. Ils ont une chambre à côté du choeur de l'église et un four où ils font le pain, ect.» ***Tamże***—p. 212.

Str. 131. Tam przemieszkują Cesarzowe i Cesarzówny Chińskie..... jak tylko która dorośnie, zaraz Dwór jéj wyszukuje męża, zwykle z miernego stanu, ażeby powoli zapominała o swojéj wielkości.

Taka przyszłość czekała u Mongołów nietylko cesarzowe Chińskie, ale i wszelkie inne monarchinie, a brano ich całemi kopami. I tak, za czasów Dżyngischana, gdy wzięto do niewoli matkę, żony i dzieci Mohammeda Sultana Korazmijskiego, przypadł im los następujący:

«Turcan-Khatoune (Chatuna) fut conduite avec les femmes et les enfants de son fils au camp du souverain mongol..... Elle y resta captive; on tua les fils de Mohammed, quoiqu'ils fussent en bas âge, deux des filles du sultan furent données au prince

Tchagataï, qui mit l'une au nombre de ses «esclaves», et donna l'autre à son intendant Habesch-Amid, musulman; une troisième fut mariée à Danischmend, chambellan de Tchinguiz-khan. La princesse Khan-sultane, veuve d'Osman souverain de Samarcand, tomba au pouvoir d'un teinturier (!) établi dant la ville d'Imil, qui l'épousa.» ***Histoire des Mongols*** — par C. D'Ohsson—T. I. p. 260.

Str. 134. Znalazł się na Dworze finansista innego pokroju, Muzułmanin, Abdurraman.

«Un Mahométan, nommé Abd-our-Rahman, qui était arrivé jadis en Mongolie avec des marchandises, possédait toute la confiance de Tourakina..... La Régente mit Abd-our-Rahman à la tête du département des finances de l'empire. Yeliuï-Tchoutsaï voyant que les moyens oppressifs employés par ce ministre, pour procurer à l'impératrice l'argent dont elle avait besoin, détruisaient le fruit de ses longs travaux, en conçut un profond chagrin. Il mourut à Caracouroum en juin 1244, âgé de cinquante-cinq ans. On insinua à la régente que celui qui avait si longtemps administré les finances de la Chine, devait avoir amassé une immense fortune. L'ordre fut donné de visiter sa maison. On n'y trouva que des instruments de musique, des livres, des cartes géographiques, des médailles et des pierres chargées d'anciennes inscriptions..... Un des successeurs d'Ogotaï honora sa mémoire en lui donnant le titre de roi de Kouang-ning..... Le tombeau d'Yeliuï-Tchoutsaï est au pied du mont Ouan-Scheou, à trois lieues et demi de Pékin. Le gouvernement lui fit bâtir, en 1751, un nouveau temple près de son tombeau; on lui érigea aussi un monument en pierre, avec une inscription. L'ancien temple était depuis longtemps ruiné; cependant il existait encore en 1628. On y voyait sa statue et celle de sa femme, l'un et l'autre représentés assis; la barbe et les moustaches d'Yeliuï-Tchoutsaï dépassaient ses genoux.» ***Tamże***—p. 189 et suiv.

Str. 135. Abdurraman rzucał się na wszystko, byle w ręku przytrzymać władzę, którą dzielił

z niewolnicą Fatmą..... rządzącą zupełnie umysłem Cesarzowéj.

«L'impératrice se laissait guider par les conseils d'une de ses femmes, nommée Fathma, qui avait été prise par les Mongols au sac de Thouss, en Perse. On attribuait à l'influence de cette mahométane la disgrâce que venaient d'éprouver plusieurs des personnages les plus marquants sous le règne d'Ogotaï.» *Tamże*—T. II. p. 194.

Rozdział: **Na Bajkale.**

Str. 149. Jedzie Ludmiła, pilnowana przez dwie Szamanki, rosłe, śniade niewiasty, z czerwonemi przepaskami na roztarganych włosach.

«Ubiór Szamanów codzienny niczém się nie różni od ubioru wszystkich Buryatów; czerwona tasiemka którą czapki oszywają, jest jedyną oznaką ich godności.» *Bajkał — Szamanizm* przez Ag. Gillera--*Biblioteka Warszawska*—1859—Wrzesień—Str. 583.

Str. 162. A jakichże Szamanów chcecie się radzić? Czarnych czy Białych?

«Les chamans sont de deux espèces. Il y a les chamans blancs, qui n'ont de commerce qu'avec les bons esprits, et les chamans noirs qui disposent des mauvais. Ceux-ci sont l'objet de la terreur universelle.» *La Russie Historique, Monumentale et Pittoresque* par P. Artamof — à Paris—chez Lahure—1862—T. II. p. 142.

Str. 162—163. Byłoby najlepiéj gdyby można wybrać takiego co wié wszystko.—Oho! Małéj wam

się rzeczy zachciało. Musiałby chyba przyjść sam Chan Szamanów.

«Nie każdy Szaman zna wszystkie sposoby zaklinania i wróżenia; wszystko-wiedzących nie jest wielu; ci mają szczególniejszą sławę i powagę.» ***Bajkał-Szamanizm*** przez A. GILLERA—Str. 570.

Str. 164. Usłyszano niezwykłe podzwaniania i brzęki. Z pieczarowéj szczeliny wystąpił Chan Szamanów..... w pełném ubraniu wróżbiarskiém.

«Szaman ubrany w płaszcz (tatyło) ze skóry rena, ozdobiony blaszkami i różnemi znakami, bijąc w bęben który trzyma przed sobą, przeskakuje przez ognisko... .» ***Tamże*** — Str. 579.

«Jenisejscy szamani chodzą z rogami długiemi na ćwierć arszyna, a na płaszcz swój wkładają żelazne łańcuchy, których waga dochodzi do trzech pudów.» ***Tamże***—Str. 580.

«Il trouva au milieu de la jurta un schamane..... près d'un grand feu. De longs cheveux noirs retombaient sur sa figure brune, d'où brillaient deux yeux vifs et tachés de sang..... il avait une espèce de soutane de peau de bêtes qui lui tombait jusqu'aux pieds, et à laquelle pendaient, depuis le haut jusqu'en bas, des bandelettes, des amulettes, des chaines, des cloches et de petits morceaux de cuivre et de fer. Il avait à la main droite un tambour magique orné de clochettes, et à la gauche un arc détendu..... etc.» ***La Mystique*** divine, naturelle et diabolique par GÖRRES, trad. par. C. Sainte-Foi. — Paris — chez Poussielgue - Rusand — 1854—T. IV. p. 39.

Str. 166. Dwóch Szamanów podbiegło..... dosypują dzikiego rumianku.

«Na ogień rzuca on (Szaman) pełnemi garściami rumianek dziko na stepach rosnący, które to ziółko uważaném jest powszechnie jako posiadające własności tajemne, związane ze wszystkiemi prawie praktykami czarnoxięztwa.» *Obrazki Syberji* przez Ludw. Niemojowskiego—Warszawa—1875—Str. 93.

Str. 167. Dwóch Szamanów skoczyło z nożami w ręku. Przyklękli po dwóch stronach, i nóż jeden o drugi ostrzyli na głowie leżącego. Pod tym żelaznym zgrzytem ocknął się, wstał na równe nogi,—i raz jeszcze podniósłszy Tamburyno, cisnął je po-za siebie.....

«Ils tombe alors tout-à-coup à terre, et reste raide et sans vie. Deux des assistans accourent aussitôt, et lui aiguisent sur la tête deux grands couteaux. Il semble revenir à lui, pousse de nouveau un gémissement singulier..... les deux hommes le relèvent et le placent debout. Son aspect est affrayant..... Enfin il paraît se réveiller; appuyé de la main droite sur son arc, il agite rapidement de la main gauche son tambour autour de sa tête, et le laisse ensuite tomber à terre. C'est le signe que l'inspiration est à son comble, et qu'on peut lui adresser des questions.» *La Mystique* de Görres—T. IV. p. 40.

Str. 168. Chan Szamanów jak stanął, tak stał nieruchomy..... Wyglądał jak słup kamienny, z którego ktoś ukryty mówi.

«Le témoin approche, le trouve debout, sans mouvement, les traits et les yeux sans vie. Ni les questions qu'il lui adresse ni les réponses qu'il reçoit aussitôt n'apportent le moindre changement..... Il annonce à celui qui le consulte une maladie exterieure, et dit, a propos d'une personne absente, qu'elle vient de subir une effroyable tempête sur la Lena, à trois jours de mar-

che de Bulem, ce qui se trouve vrai dans la suite..... Lorsque tous ceux qui avaient à le consulter sont satisfaits, il retombe et reste couché dans des tressaillements violents, ect.» *Tamże* — T. IV. p. 40.

Rozdział: Kuryłtaj.

Str. 182. Nakoniec na wiosnę 1246 roku, stanowczo został obwołany Kuryłtaj.

«L'assemblée générale, qui avait été convoquée dans un endroit..... nommé *Dalan-daba*, (les soixante-dix collines,)..... ne put avoir lieu qu'au printemps de l'année 1246. Ce retard fut causé par les délais de Batou qui, n'aimant ni la régente ni son fils Couyouc, prétextait un mal de pied pour ne pas se rendre au Couriltaï..... Sur les instances de l'impératrice, Batou promit enfin de venir; mais il ne parut pas, et la diète se tint malgré son absence.» *Hist. des Mong.* par C. D'Ohsson — T. II. p. 195.

Str. 183. Ród Dżyngischanidów..... «był tém do reszty Mongołów, czém jest perła do tęczowéj massy wyściełającéj muszlę.»

«Selon l'expression de Raschid, ils étaient au commun des Mongols, ce que la perle est à sa coquille, ce que le fruit est à l'arbre.» *Tamże*—T. I. p. 26.

Str. 185. Ogotaj..... wytargował od swoich wyborców przysięgę, która brzmiała..... «Dopóki z twego potomstwa zostanie jeden kawałeczek ciała, coby wrzucony między trawę, uczynił ją wstrętną dla wołu, i t. d.»

«Ils signèrent tous un acte, par lequel ils prenaient l'engagement suivant: «Jusqu'à ce qu'il n'existe plus de ta race qu'un morceau de chair tel que de la graisse ou de l'herbe qu'on y aurait frotté, répugnerait à un chien ou à un boeuf, nous ne donnerons à personne autre la dignité de khân.» ***Tamże*** — T. II. p. 199.

Str. 189. Samych ambassadorów naliczono cztery tysiące.

«Selon qu'on nous disait, il y avait plus de quatre mille de ces sortes d'ambassadeurs et députés.» ***Voyageurs Anciens et Modernes***—PLANO-CARPINI—T. II. p. 234.

Str. 190. Na środku stał olbrzymi namiot..... cały..... z białego axamitu.

Oto jak opisuje go Plano-Carpini:

«Le jour de la Madeleine nous parvînmes où était Cuyné (Couyouc) désigné empereur..... il nous envoya vers sa mère, là où se faisait l'assemblée générale et solennelle. Nous trouvâmes là une tente de pourpre blanche si grande, qu'à notre avis elle était capable de tenir plus de deux mille personnes. Et autour on avait fait élever un échafaud ou une palissade de bois, remplie de diverses figures et peintures.»

Do wyrazów zaś «tente de pourpre blanche», wydawca Ed. Charton dodaje w Przypisku następującą uwagę:

«On n'est pas d'accord sur la nature de ce tissu de pourpre. Etait-ce du coton, de la soie? La difficulté serait levée si l'on s'en rapportait au témoignage de Benoît de Pologne, qui avance, au sujet des vêtements de pourpre cités plus bas, qu'ils étaient en velours.» ***Voy. Anc. et Mod.***—T. II.—pp. 232 et 233.

Str. 193. Zadziwiającém zjawiskiem w historji Mongołów, jest potęga jaką między niemi dzierżyły kobiéty..... prawie wszystko w ich ręku się skupiało. Zachowując też w ogóle piękne obyczaje, zdobyły sobie wpływ trudny do wiary.

«Leurs femmes sont fort chastes; ou ne dit point qu'aucune se gouverne mal; elles n'usent d'aucune parole honteuse ni impudique, même quand elles se divertissent.» PLANO-CARPINI—*Tamże*—p. 248.

«Tartrez honneurent moult les dames du monde, et espécialment les leurs. Et ellez gouvernent tout l'ostel et la terre de leurs maris, et achètent et vendent comme il leur plaist, et sont toutez fortez femmes cruellez et batailleresses et chevauchent aussi bien que leurs maris..... et si sont chastez et loyalez à leurs maris, pour rien ne se mefferoient..... Les dames establissent et conferment le grant Kaan.» ***Relation du Voyage*** DE FRÈRE BIEUL RICOLD DE MONTE-CROCE (voyageur du XIII siècle) dans ***L'Extrême Orient*** par L. BACKER—Paris—1877—p. 281.

Dzisiaj, przy zupełnéj zmianie w położeniu Tatarów, i kobiéty ich nie mają już pola do występowania na sejmach, ani do rozwijania dawnéj działalności politycznéj; ale swój wpływ na społeczeństwo, i względną niezależność towarzyską, zachowują zawsze, jak to widzimy ze współczesnych nam świadectw.

«En Tartarie, les femmes mènent une vie assez indépendante. Il s'en faut bien qu'elles soient opprimées et tenues en servitude, comme chez les autres peuples Asiatiques. Elles peuvent aller et venir selon leur bon plaisir, faire des courses à cheval, et se visiter de tente en tente. Au lieu de cette physionomie molle et languissante qu'on remarque chez les Chinoises, la femme tartare au contraire a dans son port et ses manières, quelque chose de fort et de vigoureux, bien en harmonie avec sa vie pleine d'acti-

vité et ses habitudes nomades. Son costume vient encore relever cet air mâle et fier qui apparaît dans toute sa personne.» ***Souvenirs d'un Voyage en Tartarie*** par M. Huc — Paris — chez Gaume—1868—p. 302.

«Nader dziwnym jest stosunek kobiéty do mężczyzn pomiędzy Tatarami..... Żony, prawem zwyczaju, władają częstokroć wszystkiém co ich otacza, nie wyłączając męża, głowy domu, który, pomimo patryarchalnéj powagi, bywa nieraz ślepym tylko wykonawcą zachceń swojéj połowicy..... pomimo form tradycyjnych, nakazujących kobiétom okazywać cześć i uszanowanie dla dozgonnych towarzyszy, są one w gruńcie rzeczy jedynemi władczyniami i bezwarunkowemi wyroczniami śród spraw domowego ogniska.» ***Obrazki Syberji*** przez Ludw. Niemojowskiego — Str. 90.

Str. 196. Wszystkie one jednakże gasły, obok téj któréj przybycie na Kuryłtaj sprawiło tyle wrażenia.

«La princesse Siourcoucteni, veuve de Toulouï..... était la personne la plus marquante du Couriltaï.» ***Histoire des Mongols*** par D'Ohsson—T. II. p. 201.

Str. 196. Kim-że była Xiężna Siurkukteni?

Co do pochodzenia téj zajmującéj osobistości, zdania dziejopisów są podzielone. Wielu z nich, a mianowicie D'Ohsson który zagląda głównie do źródeł Muzułmańskich, czyni ją synowicą Ong-Chana, ale pisarze najdawniejsi, podający wiadomości z piérwszéj ręki, mówią wyraźnie że była jego córką. I tak Rubruk, Frańciszkanin który w osiem lat po tym Kuryłtaju posłował do Mangu-Chana, pisze w ustępie już raz powyżéj przytoczonym: — «Ung-Khân s'enfuit au Cathay. Sa fille fut faite prisonnière et Cyngis la donna pour épouse à un de ses fils, dont elle conçut celui qui règne maintenant, Mangou-Khân.»—Trudno przypuścić

aby Rubruk bawiąc na Dworze jéj syna, i znając osobiście tę Xiężnę, która umarła właśnie podczas jego pobytu w Mongolji, mógł się pomylić co do jéj rodowodu.—Zresztą, niechcemy rozsądzać ostatecznie po czyjéj tu stronie leży prawdą, zdaje nam się tylko, że kiedy przeszłość przesyła dwa głosy, *do powieści* wolno jest wybrać to zdanie, które najlepiéj odpowiada artystycznym warunkom dzieła.

Str. 199—201. Ogotaj wyprawił poselstwo do wdowy, prosząc o jéj rękę dla swego syna Kujuka..... Siurkukteni w niedawno zniszczonéj Bucharze, założyła wspaniałe Mahometańskie Kollegium.

«Cette princesse était chrétienne; néanmoins elle témognait de la bienveillance aux mahométans et leur faisait de grandes largesses. Elle donna mille balischs d'or pour fonder un collège mahométan à Bokhara, et le dota de terres considérables. Ce *Medressé*, appelé *Khani*, était fréquenté par mille étudiants. L'empereur Ogotaï lui montrait les plus grands égards; c'etait elle qu'il consultait la première dans les affaires importantes; c'étaient ses envoyés qu'il traitait avec le plus de distinction. Il la demanda en mariage pour son fils Couyouc; mais elle lui fit répondre que l'éducation de ses enfants réclamant toute sa sollicitude, elle se voyait, avec peine, obligée de lui désobéir. Elle habitait avec son quatrième fils, Aric-Bouga, un district situé près des monts Altaïs.» ***Hist. des Mongols*** par C. D'Ohsson— T. II. p. 267.

Str. 202. Dla mieszkańców nad-Bajkalskich, państwo Cezarów, królestwo Franków, a zwłaszcza Stolica Apostolska, były zaklętemi gdzieś za morzem krainami czarów i poezji, mglistą stroną «Bajek zachodnich.»

«Ils (les Mongols) nous demandèrent des nouvelles du souverain Pontife, s'il était aussi âgé qu'ils l'avaient entendu dire, car on leur avait dit qu'il avait cinq cents ans.» RUBROUCK — ***Récit de son Voyage***—p. 99.

Str. 203—204. Długo w noc..... Szamanie krążyli..... W namiotach Ogul-Gajmiszy, powiedzieli i t. d.

«Ogoul-Gaïmisch, adonnée aux pratiques de la sorcellerie, passait son temps enfermée avec des *cames.*» ***Histoire des Mongols*** par D'OHSSON—T. II. p. 251.

Rozdział: **Gołębie z domu.**

Str. 212. Przy ścianie..... stała nizka sofa..... stanowiąca wieczny i jedyny sprzęt mieszkań Tatarskich.

«Derrière le foyer, et faisant face à la porte, est une espèce de canapé, meuble le plus bizarre que nous ayons rencontré chez les Tartares. Aux deux extremités sont deux oreillers terminés à leur bout par des plaques de cuivre doré et habilement ciselé. Il n'existe peut-être pas une seule tente où l'on ne trouve ce petit lit, qui paraît être un meuble de nécessité absolue; mais, chose étrange et inexplicable! durant notre long voyage, nous n'en avons jamais vu un seul qui parût fabriqué de fraîche date. Nous avons eu occasion de visiter des familles mongoles où tout portait l'empreinte de l'aisance, de l'opulence même; mais toujours ce singulier canapé nous a paru une chose guenilleuse et d'une vetusté inexprimable. Quoique ce meuble s'en aille toujours en lambeaux, il dure pourtant toujours, et ne cesse de se transmettre de générations en générations. Dans les villes où se fait le commerce tartare, on a beau parcourir les magasins, les

friperies et les dépôts des monts-de-piété, on ne rencontre jamais de ces meubles ni vieux ni neufs.» ***Souvenirs d'un Voyage en Tartarie*** par M. Huc—T. I. p. 65.

Str. 225. Tu siedzą Izmalijczycy..... Przyjechali z Ałamutu..... to stolica królestwa Assasynów..... Patrzcie, wszystkie tabory od nich się poodsuwały, nawet nasi Tatarzy niechętnie z niemi gadają.

«Les envoyés du prince Ismailiyen..... (plus connus en Europe sous le nom d'Assassins) traités avec mépris, emportèrent une réponse très-dure.» ***Hist. des Mongols*** par D'Ohsson — T. II. p. 207.

Str. 229. To drużyna Jeroslausa, Xięcia na Suzdalu.

«Au dehors était le duc de Jeroslaus de Susdal en Russie, et plusieurs autres seigneurs Kitans et Solangues; puis deux fils du roi de Géorgie, un ambassadeur du calife de Baldac, qui était soudan, et plusieurs autres soudans et amiraux des Sarrasins; et selon qu'on nous disait, il y avait plus de quatre mille de ces sortes d'ambassadeurs et députés, tant de ceux qui portaient des tributs et des présents, que soudans, ducs et autres seigneurs qui venaient se rendre eux-mêmes aux Tartares ou leur prêter obéissance pour leurs maîtres. Ils étaient tous au dehors de la palissade et de la tente, et on leur donnait aussi à boire. Ils nous donnaient toujours le haut bout à nous et au duc Jeroslaus, quand nous étions tous ensemble en ce même lieu.» ***Voyageurs Anciens et Modernes***—Plano de Carpini—T. II. p. 234.

Ten Jeroslaus był to Jarosław II Wsewołodowicz, Xiążę Suzdalski, ojciec Aleksandra Newskiego.

W opisie ubiorów Drużyny Jarosławowéj, kierowaliśmy się przeważnie według słynnéj miniatury przechowanéj w *Sborniku*

Swiatosława, rękopiśmie z XI-go wieku, oraz wedle kilku starożytnych malowideł i chorągwi, jakie można oglądać w miejscowych cerkwiach i Muzeach.

Parę też szczegółów zaczerpnęliśmy z opowiadań naocznego świadka Rubruka, który mówi:

«Les femmes russes se coiffent de la même manière que les nôtres, mais elles ornent leurs robes de vair ou de griset, depuis les pieds jusqu'aux genoux. Les hommes portent des manteaux comme les Allemands, mais ils ont sur la tête des capuchons de feutre, droits et à longue pointe.» RUBROUCK — ***Récit de son Voyage***—trad. par Louis de Backer — Paris — chez Leroux — 1877—Page 61.

Rozdział: Gotowalnia Tatarska.

Str. 232. Dżyngischanidzi, oprócz wielu innych przywilejów, posiadali i ten że po ich śmierci..... imienia ich niewolno było wymawiać aż do trzeciego pokolenia.....

«Les princes étaient placés, après leur mort, sur un siège..... la maison du défunt était abattue, et il n'était pas permis de prononcer son nom jusqu'à la troisième génération.» ***Histoire des Mongols*** par C. D'OHSSON—T. I. p. 15 et 16.

Str. 233. Wybrano «gözguz», który po Turecku oznacza «źwierciadło»..... a «tułuj» poszedł w zapomnienie.

«Toulouï signifie *miroir* en langue mongole. Après la mort de ce prince, il ne fut plus permis de prononcer son nom,

et pour désigner un miroir, les Mongols empruntèrent de la langue turque le mot de *geuzugu*.» *Tamże*—T. II. p. 60.

Str. 233. Miała pod spodem tunikę puszczaną, długą aż do ziemi.

«Les femmes mariées portent une tunique fort large qui leur traîne jusqu'à terre, et fendue par devant.» PLANO-CARPINI — *Voyageurs Anc. et Mod.*—T. II. p. 243.

Str. 234. Na wierzch wdziała wschodni..... chałat..... z niezmiernie długim w tyle stanem..... kształt chałatu nie wypadał korzystnie dla kobiécéj piękności.

«Kobiéty Tatarskie..... nadziéwają zwierzchnie okrycie bez stanu, a właściwiéj powiedziawszy ze stanem nadzwyczajnie nizkim, tak, że pętlica wiążąca poły, znajduje się zwykle niżéj kolan. Niekształtność tego ubioru wynagrodzoną jest zupełnie oryginalném przystrojeniem głowy, i t. d.» *Obrazki Syberji* przez LUDW. NIEMOJOWSKIEGO—Str. 91.

Str. 234. Chałat był uszyty z Tarkułu, pysznéj tkaniny, którą tylko na głębokim Wschodzie umiano wyrabiać.

«Des envoyés de Tchinguiz-khan..... offrirent à Mohammed, de la part du khan mongol, des présents qui consistaient en produits de l'Asie centrale, tels que des lingots d'argent, des vessies de musc, des morceaux de jade, des robes de laine blanche d'un grand prix, appelées *tarcoul*. Ces robes, dit l'historien Novaïri, étaient de poil de chameau blanc, et coûtaient au moins cinquante *dinars*.» *Histoire des Mong.* par D'OHSSON—T. I. p. 201.

Str. 235. Ścisnęła się w stanie wstęgą niebieską.....

«Elles attachent leurs robes aux reins avec un ruban de soie couleur bleu de ciel.» RUBROUCK — ***Récit de son Voyage*** — p. 30.

Str. 235. Włosy, zaczesane po Tatarsku we dwa grube warkocze..... spadające na piersi, ale niewidzialne, bo wsunięte we dwie wązkie, bardzo długie pochewki.

«Les cheveux des femmes tartares sont divisés en deux tresses, renfermées dans deux étuis de taffetas, et pendent sur le devant de la poitrine; leur luxe consiste à orner la ceinture et les cheveux de paillettes d'or et d'argent, de perles, de corail, ect.» ***Souvenirs d'un voyage en Tartarie*** par M. HUC—T. I. p. 302.

Str. 235. Zdobiły je..... najczęściéj w korale.

«Tatarki..... przedewszystkiém zamiłowane są w koralach (*mażanach*), stanowiących najcenniejszą i najbardziéj poszukiwaną część narodowego ich ubrania.» ***Obrazki Syberji*** przez L. NIEMOJOWSKIEGO—Str. 92.

Str. 236. Co to jest «Botta»?

Cały ten opis *Botty* wyjęty jest z RUBRUKA, Str. 29.

Str. 237. Botta..... nie jest nam tak zupełnie obcą..... Ów «pieniek okrągły, kwadratowo ścięty» czyż to nie pierwowzór Ułańskiego kaszkietu? Przypuszczenie tém prawdopodobniejsze, że nazwa

i ubiór «ułanów», przyszły do nas prosto od Tatarów.

«*Ułan*, *hułan*, źródłosłów tego wyrazu wyprowadza Muchliński z tureckiego *oh'łan*, a w tatarskim *uhłan*, chłopię..... paź. Postawiony zaś po imieniu właściwém tureckiém albo mongolskiém, oznacza Xiążąt ze krwi Chanów. Uhłany składali jakby wyższą szlachtę ordyńską, mającą posiadłości ziemskie, to jest *ułusy*, udziały, i która należała do obiorów chanów i zajmowała wyższe urzędy; od tego wyrazu poszła nazwa konnicy Ułanów. Dawne prawa polskie policzały ułanów do starszyzny Tatarskiéj..... czyli jak się konstytucje wyrażają: «Tatarowie celniejsi zacnego rodu: kniaziowie, murzowie, ułanowie, i wszyscy którzy na ziemskich dobrach mieszkają.....» Pierwszą jazdę zbrojną pod tą nazwą ułanów dostrzegamy pod Stefanem Batorym, złożoną była z hufcu Tatarów lekkiéj jazdy; w wojsku Rzeczypospolitéj, regularne pułki hułanów dopiero za czasów Stanisława Augusta znajdujemy..... Ubiorem ich była kurtka po biodra granatowa..... na głowie czworograniasty kaszkiet z daszkiem i t. d.» *Ułan* przez K. Wł. Wojcickiego w *Encyklopedji Powszechnéj* Orgelbranda—T. XXVI. Str. 5.

Str. 240. Choćby mi przyszło żyć Matuzalowe lata..... niezapomnę tego dnia i téj godziny.

«Szczegółowy opis wzięcia i zniszczenia Merwu przez Tuluja w roku 1220-m, znajduje się w dziele D'Ohssona *Histoire des Mongols*, w Tomie I, na str. 279 i następnych.

Daléj autor mówi:

«Merw resta déserte jusqu'au règne du Sultan Schach-roukh, fils de Tamerlan, qui au commencement du quinzième siècle, fit rebâtir la ville et y attira des habitants.»

Str. 243. Pani pewnie słyszała o naszym sławnym Dżelaleddynie?..... kiedy go przyparli już do

samych Indji, skoczył w huczące wody Sindu, i z chorągwią w ręku przepłynął tę straszną rzekę, i t. d.

«Djelal-ud-din..... combattait en desespéré..... enfin, ne pouvant percer les lignes ennemies, après avoir sauté sur un cheval frais, il fit une dernière charge; les Mongols reculent; soudain il tourne bride, et se dépouillant de sa cuirasse, il court vers le fleuve, s'y précipite avec son cheval de la hauteur de vingt pieds, et le bouclier sur le dos, son étendard à la main, il le traverse à la nage. A cette vue, Tchinguiz-khan courut au bord du Sind; il arrêta ses troupes qui voulaient s'y jeter à la poursuite du prince, et le montrant à ses fils, il le leur proposa pour modèle.»

Śliczny też szczegół dodany jest w przypisku:

«Djelal-ud-din, dit Mohammed de Nessa, conserva ce cheval jusqu'à la prise de Tifliss (en 1226) sans jamais le monter, en reconaissance de ce qu'il lui avait sauvé la vie au passage du Sind.» *Histoire des Mong.* par D'Ohsson—T.I. p. 306—307.

Str. 246. To już pani wié, że zacny Czen-in był dowódcą w naszém śliczném mieście Si-ho-czu.

«Malgré la mort de Tchinguiz-khan, les Mongols avaient continué leurs opérations dans le midi du Schen-si..... Ils assiegèrent à la fin de 1227, Si-ho-tcheou..... Le commandant Tchen-in, bien secondé par la garnison et les habitants, défendit cette place avec valeur; mais, voyant que malgré ses efforts, elle allait tomber au pouvoir des Mongols, il invita sa femme, Lou-schi, de songer à son propre sort. Elle lui dit: «Nous avons joui ensemble des bienfaits de notre souverain, il est juste que nous mourions ensemble pour le trône»; et prit du poison. Deux de ses fils et leurs femmes suivirent son exemple. Après avoir brûlé leurs corps, Tchen-in se poignarda; avec lui moururent vingt-huit de ses clients.» *Tamże*—T. II. p. 16.

Str. 253. Dopiéro po zachodzie słońca mamy się spotkać u naszego Kuźmy. On także prosił jak o największe szczęście, aby słudzy boży wstąpili do niego.

«Nous étions demi-morts de faim et de soif. Ce que l'on nous donnait à dépenser pour quatre jours, à peine eut-il été assez pour un. Et qui pis est, nous ne trouvions rien à acheter, le marché étant trop loin. Mais Dieu eut pitié de nous; il nous fit connaître un certain Russien, nommé Côme, orfèvre, que l'empereur aimait fort; celui-là nous assista de ce qu'il put en tout ce temps-là.» PLANO-CARPINI — *Voy. Anc. et. Mod.* — T. II. p. 236.

Str. 255. Wierzchowiec zachwycającéj piękności, Argamak sprowadzony z Kokandu. Niby on biały, ale..... za najmniejszém znużeniem..... staje się różowy, i w pędzie płonie.

Raz jeden w życiu miałam przyjemność oglądania podobnych koni; było to we Florencji, podczas ostatnich dni karnawału 1862 roku. Jakiś nabab Angielski jeździł po «Cascinach» parą Turkestańskich pegazów, które wyglądały jakby prześwietlone rubinową łuną, a przytém w pędzie miały taką lotność, że brała obawa czy i powozu i Anglika nie uniosą w powietrze? Najpiękniejsze to, najpoetyczniejsze konie jakie mi się kiedykolwiek przydarzyło widzieć.

W Azji nazywano je *Niebiańskiemi*, a zaróżowianie się ich w biegu, tłumaczono przypuszczeniem że «się pocą krwią». Krążyły też o nich cudowne legendy, podobne do legend o koniach Achillesa; można je czytać u CZAPSKIEGO w *Historji powszechnéj Konia*, w Tomie II na str. 75 i nast.—Co więcéj, dla zdobycia podobnych koni, wypowiadano sobie wojny.

«Bywały przykłady że Chiny dla zdobycia sobie koni, odległe przedsiębrały expedycye. Roku 107 po Chr. wystąpiły Chiny do wojny przeciw Kokanowi w 60,000 ludzi, z obozem złożonym z 40,000 wołów, 30,000 koni, oraz 40,000 mułów i wielbłądów, w celu opanowania *niebiańskich* koni, które się krwawym pociły potem.» Czapski—T. I. Str. 364.

Nie trzeba jednak mieszać owych Niebiańskich koni z temi które dawniéj w Polsce nosiły nazwę *różowych*, a które wcale nie należały do najszlachetniejszych. «Konie *różowe* nazywały się te, które w piérwszym roku czerwono-cisawemi były, w dalszych zaś leciech siwiały..... Miano je za pośledniejsze wśród siwych.» *Tamże*—T. II. Str. 136.

Co do przydomku «Argamaka», czytamy w témże dziele:

«Kraina między morzem Kaspijskiém, Aralskiém, Syr-Darią i Amu-Darią zawarta, zowie się ogólnie Turkestanem czyli Turkomanją..... Dziś ją składają chańskwa Kokanu, Buchary i Chiwy, i t. d..... Szlachetne konie Turkomańskie są dorodne, okazałe, pochodzą jak się zdaje od Arabów, i noszą w tamtych stronach nazwę *Argamaków*..... Przymioty ich cechujące są: zwinność, lotność, wytrwałość i intelligencya. Charakter ich łagodny w obejściu z człowiekiem, i t. d.» *Tamże* — T. I. Str. 234—235.

Rozdział: **Dwór Cesarzowéj Turakiny.**

Str. 263. To *Jassa*, xięga ustaw, jakie nam Dżyngischan zostawił.

«Les statuts et les préceptes de Tchinguiz-khan furent rédigés par son ordre, en langue mongole, et écrits en caractères ouïgours, que ce prince avait eu soin de faire apprendre à des jeunes gens de sa nation. Des exemplaires de ce recueil de lois, intitulé *Ouloug-Yassa*, ou grandes ordonnances, furent précieuse-

ment conservés dans les archives de ses descendants. Dans tous les cas importants, ces princes assemblés en conseil, se faisaient apporter les rouleaux qui contenaient les commandements de Tchinguiz-khan, et les consultaient avec respect.» ***Histoire des Mongols*** par D'Ohsson—T. I. p. 414.

Str. 265. Nie były to buńczuki z ogonów bawolich, ale z wełny pięknie farbowanéj na szkarłat.

«Nous pensions bien que durant ce temps l'élection se ferait en cette assemblée, mais qu'elle n'y serait pas publiée. Il y en avait apparence sur ce que Cuyné (Couyouc) sortant de sa tente, on chantait devant lui, et quand il sortait dehors, on lui faisait la révérence avec de belles baguettes ayant au bout une touffe de laine d'écarlate, ce qui ne se faisait à autre duc ou prince quel qu'il fut.» Plano-Carpini—***Voyageurs Anciens et Modernes***—T. II. p. 234.

Str. 266. Największe ożywienie panowało w kółkach gdzie się jaki Tolholos pokazał.

«Par devant le roy (le Khân) sont en estant tuit ly barons, et autres gens sans nombre, nulz n'ose mot sonner, se le grant seigneur ne lui demande, excepté les héraux et les menestreulz pour le seigneur esjoïr.» Relation de Hayton Prince Arménien—***L'Extrême Orient*** par L. de Backer—p. 134.

«Après que ce repas homérique fut achevé..... un enfant alla détacher un violon à trois cordes, suspendu à une corne de bouc, et le présenta au chef de famille. Celui-ci le fit passer à un jeune homme qui baissait modestement la tête, mais dont les yeux s'animèrent tout-à-coup aussitôt qu'il eut entre les mains le violon mongol. «Nobles et saints voyageurs, nous dit le chef de famille, j'ai invité un *Tolholos* pour embellir cette soirée de

quelques récits.» Pendant que le vieillard nous adressait ces mots, le chanteur préludait déjà en promenant ses doigts sur les cordes de son instrument. Bientôt il se mit à chanter d'une voix forte et accentuée; quelquefois il s'arrêtait, et entremêlait son chant de récits animés et pleins de feu. On voyait toutes ces figures tartares se pencher vers le chanteur, et accompagner des mouvements de leur physionomie le sens des paroles. Le *Tolholos* chantait des sujets nationaux et dramatiques, qui excitaient vivement l'intérêt de ceux qui l'écoutaient..... On rencontre souvent dans la Tartarie de ces *Tolholos* ou chanteurs ambulants, qui s'en vont de tente en tente, célébrant partout les personnages et les évènements de leur patrie. Ils sont ordinairement pauvres, un violon et une flûte suspendus à leur ceinture sont tout leur avoir, mais ils sont toujours reçus dans la familles mongoles avec affabilité et distinction, souvent ils y demeurent plusieurs jours, et à leur départ on ne manque jamais de leur donner leur provision de voyage..... Ces poëtes chanteurs..... rappellent nos menestrels et les rapsodes de la Grèce.» ***Souvenirs d'un Voyage en Tartarie*** par M. Huc—T. I. p. 93.

Str. 267. Dziwném jest, ale niezaprzeczoném zjawiskiem, że typ Mongolski, taki brzydki w mężczyznach, u kobiét przedstawia dużo wdzięków.

«Parmi les races Asiatiques, il n'en existe aucune dont les traits soient aussi bien caractérisés que ceux des Mongols..... Les lèvres des hommes sont grosses et charnues, mais les femmes, et surtout celles d'un rang élevé, ont la bouche en coeur d'une beauté peu ordinaire.» Hommaire de Hell — ***Les Steppes de la mer Caspienne—Voyageurs Anciens et Modernes*** — T. II. p. 242.

»Tatarki niektóre są bardzo piękne. Posiadają one płeć alabastrowéj białości, któréj ani zmiany klimatu, ani gorący żar

promieni słonecznych nie są w stanie przyciemnić — mają włos gęsty, kruczy, wijący się w pierścienie—ręce i nogi drobne, a spojrzenie ich skośnych oczów jest dziwne, elektryczne.....» *Obrazki Syberji* przez L. NIEMOJOWSKIEGO —Str. 409.

Str. 272. To Kubilaj. Dżyngischan niemógł się wydziwić, zkąd mu ten wnuk jakby kruczątko?

«Au rapport de Raschid, lorsque Coubilaï vint au monde, Tchinguiz-khan s'étonna qu'il fut brun, parce que tous ses enfants étaient blonds.» *Hist. des Mongols* par D'OHSSON— T. II. p. 475.

Str. 274. To Daniszmend, jeden z rzadkich już rówieśników Dżyngischana.

D'OHSSON wspomina wielokrotnie o Daniszmendzie. Oto jeden z ciekawszych ustępów:

«Le souverain mongol..... avait pris la route de Bokhara. A son approche, les habitants du bourg de Zernouc se refugièrent dans leur château. Tchinguiz-khan leur envoya son chambellan Danischmend, pour les exhorter à se soumettre. Ce parlementaire, menacé par une troupe de forcenés, s'écria: «Je suis musulman..... je viens pour vous sauver du gouffre de la mort..... si vous vous soumettez, vous conserverez vos jours et vos biens.» Ces paroles firent une telle impression sur les habitants, qu'ils se decidèrent à envoyer une députation avec des présents au khan mongol..... Ils furent bien traités.» *Hist. des Mong.* — T. I. p. 227.

W całéj téj opowieści, nie to jest zadziwiającém że Daniszmend namówił oblężonych do poddania się, ale że u zdobywcy otrzymał dotrzymanie słowa i łaskawe obejście się ze zwyciężonemi. Podobnych przykładów łaski, ledwie parę możnaby znaléźć w całym żywocie Dżyngischana.

Str. 277. Byli to wszyscy niedorośli cesarzewicze..... Ci, wziąwszy się za ręce, rozpoczęli «taniec honorowy».

Takim tańcem bywali «honorowani» czasem i znakomici goście.

«Nous entrâmes en la Nigra-Cathaya (Kara-Kitaï), où l'empereur a bâti un palais, et là nous fûmes conviés à boire; et celui qui y commandait pour l'empereur, fit danser devant nous deux de ses fils, avec les principaux du lieu.» PLANO-CARPINI — ***Voyageurs Anc. et Mod.*** T. II. p. 231.

Str. 281. Tu..... będzie ci miło, koło Xiężniczki Cyryny, gdyż ona ma na szyi krzyżyk. To jest córka Xięcia Mangu..... Jéj matka także modli się do krzyża. Xiążę Mangu niezmiernie ją kocha.

Tę Cyrynę, już dorosłą, Missjonarz RUBRUK widział w osiem lat później, na Dworze jéj ojca, panującego już wtedy Wielkiego Chaana Mangu. Oto co pisze w swoim ***Récit de voyage***:

«Le khân était assis sur un lit..... A ses côtés était sa jeune femme, et une fille adulte, très-laide, nommée Cirina, était assise, avec d'autres petits enfants, sur un lit placé derrière celui de ses parents. Or, cette maison avait appartenu à une dame chrétienne, que le khân avait beaucoup aimée et dont il avait eu cette fille. Il épousa cependant sa jeune femme, mais la jeune fille est la dame de toute la cour qui avait été sous les ordres de sa mère.» Page 149.

Str. 283. Przy najwyższym stole, były małe złote szpikulczyki, któremi głowy koronne przeszpilały mięso.

«De la chair d'un mouton, ils nourissent cinquante à cent hommes; car ils la coupent en petits morceaux dans une ecuélle..... puis avec la pointe du couteau, ou de la fourchette qu'ils approprient à cet effet, et avec laquelle nous mangeons des poires et des pommes cuites au vin, ils en présentent une bouchée ou deux à chacun des assistants, ect.» RUBROUCK—p. 18.

Str. 283. Ale przy stołach ogólnych..... wszyscy na wyścigi chwytali taśmy rękami..... a ręce obciérali gdzie się dało, czy o szkarłatną suknię, czy o złotą sofę.

Ils ne se servent point de nappes ni de serviettes en leur manger..... Ils ont toujours les mains toutes pleines de graisse, et quand ils ont achevé de manger, ils les essuient à leurs bottes ou à de l'herbe, ou à la première chose qu'ils ont en la main. Les plus honnêtes ont seulement comme de petits mouchoirs qui leur servent à cela après avoir mangé de la viande.» PLANO-CARPINI— *Voy. Anc. es Mod.* T. II. p. 248.

Str. 287. O, już idą!

«C'est la coutume qu'en ces jours, que ses devins disent fériés, et quelques prêtres nestoriens sacrés,—le khân tienne cour plenière. Alors les prêtres chrétiens viennent les premiers en grand appareil, et prient pour lui et bénissent sa coupe. Après leur départ, les prêtres sarrazins arrivent et font de même. Ensuite se présentent les prêtres idolâtres qui font la même chose. Et le moine (Serge) me dit que le souverain croyait seulement aux chrétiens, mais qu'il veut que ltoute monde prie pour lui. Le

moine mentait, parce que le khân ne croit à personne, comme vous l'apprendrez dans la suite.» RUBROUCK—p. 166.

Str. 289. Wchodzą Szamanie..... przed każdym z nich idzie..... uczeń kapłana; ten niesie przed mistrzem laskę okręconą rzemykami, zakończoną iskrzącym pękiem dzwonków.

«Gdy Szaman po dopełnieniu inwokacyi oddala się z jurty, jeden z Tatarów niesie przed nim laskę, owo godło jego godności. Laska ta jest dość gruba, długa na parę łokci, obszyta w skórę, i opatrzona na końcu małemi dzwoneczkami. Z pogańskim kapłanem może każdy rozmawiać, wyjąwszy tego który rzeczoną laskę trzyma w ręku.» *Obrazki Syberji* przez L. NIEMOJOWSKIEGO—Str. 96.

Str. 291. Chcąc temu błogosławieństwu nadać jak najwięcéj mocy i skuteczności, wzywali kapłanów, nietylko swoich, ale i wszystkich innych, ilu ich tylko mogli nasprowadzać, bo jak mówi śliczne Tatarskie przysłowie: «Dobrodziejów nigdy za wiele.»

Dziś jeszcze ten «eklektyzm» religijny panuje między Tatarami.

«Posążki niezgrabnie z drzewa wyciosane (Ongony), zawsze ukryte w najciemniejszym kącie, przedmiot czci religijnéj wyznawców szamanizmu, jakotéż obraz jakiego świętego w najpokaźniejszém miejscu umieszczony, mają przywiléj rozdzielania naprzemian duchownych obowiązków zamieszkałéj w jurcie rodziny. Tatar, odpowiednio do swego usposobienia, albo szepce inwokacye i zaklęcia, skierowane do pogańskich bożków, albo téż żegna się przed wyobrażeniem Chrześcjańskiego męczennika, a podwójny ów kierunek jego religijnych wyobrażeń nie jest dlań by-

najmniéj przeciwnym, owszem, daje mu otuchę niezawodniejszego spełnienia wygłoszonych życzeń. *Im więcéj dobrodziejów*, mawia on, *tém pewniejszym może być człowiek swojego losu.* Co nie zrobi rodzinny bożek Tengri, to uczyni cudzoziemski święty; nie zapominając o obudwóch, nie obawia się żadnego z nich, a ztąd dwojaka wynika korzyść.» ***Tamże***—Str. 89.

Str. 294. Między niemi siedział Tybetańczyk Namo, człowiek niezmiernie uczony, cnotliwy i sławny z wymowy.

Tego Tybetańczyka Namo, Mangu tak wysoko cenił, że późniéj, zostawszy Cesarzem, wyniósł go na niewidziane szczyty.

«Ce fut le lama thibetain Namo, qu'il créa chef de la religion de Boudha dans tout l'empire, en lui donnant le titre de *Ho-schi*, ou d'*Instituteur du monarque.*» ***Hist. des Mongols*** par D'Ohsson—T. II. p. 261.

Str. 295. Kubilaj..... zwrócił się do Mandaryna Yao-szu, najmilszego sobie mędrca.

«Coubilaï s'était empressé de mander auprés de lui un savant chinois, nommé Yao-schou, qui lui avait enseigné dans sa jeunesse, les lettres chinoises, afin de s'éclairer des conseils de ce philosophe, aussi distingué par l'élévation de son caractère que par l'étendue de ses connaissances. Yao-schou composa pour le prince un traité de morale et de politique. Il y traçait les devoirs d'un souverain, et les principes d'un bon gouvernement..... Coubilaï, plein de confiance dans sa sagesse, le consultait en toute occasion.» ***Tamże*** T. II. p. 275.

Str. 296. Jakże może być wielkim, ten co nie wypełnia żadnych obowiązków?

Zdanie Chińczyków o cnotliwym Namo, które włożyliśmy w usta mądrego Yao-Szu, zostało na prawdę wypowiedziane przez innego z pomiędzy ich pisarzy. Niemożemy się powstrzymać od przytoczenia tu całego textu, témbardziéj że najciekawsze jest zakończenie, którego niéma w powieści, bo już takich rzeczy, żaden Chińczyk niemógł w obec władców Mongolskich wypowiadać głośno.

«Le commentateur chinois du *Kang-mou* fait, au sujet de l'élévation de Namo, les observations suivantes:

«L'existence d'une monarchie est fondée sur des devoirs réciproques, sur ceux de pére et de fils, de souverain et de sujet, de mari et de femme, sur les devoirs des jeunes gens envers les vieillards, sur ceux des amis entre eux. Or, Namo, étranger de basse extraction, né dans l'Occident, ayant quitté ses foyers, errant pour subsister, ne pouvait accomplir le devoir de nourrir père et mère. Il se rasait la tête, et ouvrait sa tunique; preuve qu'il ignorait ce qu'un sujet doit à son souverain. S'étant dispensé du mariage, il n'avait pas de postérité; il ne connaissait donc pas les devoirs d'un époux et d'un père. Il s'asseyait sur ses talons; il ne rendait donc pas ce qui est dû à la vieillesse. Il avait renoncé à la societé; il fuyait le monde; il ne connaissait donc pas les liens de l'amitié. Il n'avait ainsi aucune des obligations humaines qui servent de base à la monarchie. Il reçut le titre de Ho-schi (c'est-à-dire, d'instituteur impérial); mais que pouvait-il enseigner, et en quoi pouvait-il servir d'exemple? Les Mongols, étant des barbares, ne lui demandèrent certainement rien. Au reste, comme ils quittaient déjà leurs feutres, et adoptaient le chapeau et la ceinture (c'est-à-dire, le costume chinois), qu'ils dominaient sur la Chine, et donnaient à leur souverain le titre d'empereur, ils auraient dû s'abstenir d'une pareille inconvenance. Nous la faisons remarquer pour montrer l'union des brutes entre elles.» *Tamże*—T. II. p. 261.

Str. 306. Już byliśmy blisko domu, kiedy zjawia się jeszcze jeden obdartus, i ofiaruje nam co? Trzy melony, i t. d.

Str. 307. Czy pamiętacie Chatuny, ową ucztę dla Posłów Perskich?

Obie te anegdoty znajdują się w *Historji Mongołów* D'Ohssona, w Tomie II, na stronnicach 91 i 92.

Str. 311. Czarny Chan, mocny pan,
Ręce miał krzepkie jak łapy niedźwiedzie.

Porównanie to uchodziło wśród Mongołów za bardzo zaszczytne. Z podobnych rąk słynął Kubilaj, nie ten o którym w powieści jest mowa, ale dawniejszy, dziad (grand-oncle) Dżyngischana.

«Ce Coubilaï devint le héros favori des bardes mongols. Ils vantaient, dans leurs chants, la force de sa voix qui retentissait comme le tonnerre dans les montagnes, et la vigueur de ses mains, semblables à des pattes d'ours, avec lesquelles il cassait un homme en deux aussi facilement qu'une flèche.» *Hist. des Mon.* par D'Ohsson—T. I. p. 33. — Co więcéj, kiedy pewnego razu rozeszła się wieść że Kubilaj zginął w bitwie, wszyscy już go zaczęli opłakiwać.—«Yissougaï, père de Tchinguiz-khan, était allé porter des mets à sa famille, pour célébrer avec elle le repas funèbre; mais la femme de Coubilaï ne voulut pas croire qu'il eut péri. «Comment, disait-elle, un guerrier dont la voix frappe la voûte du ciel, et dont les mains ressemblent aux pattes d'un ours de trois ans, se laisserait-il prendre?» *Tamże.*—I słusznie powątpiéwała, bo mąż niedźwiedzio-ręki wrócił, i to jeszcze z ogromnym łupem.

Str. 321. Rozsypało się po sali kilkudziesięciu *Zigów.*

«Zig, etatowy trefniś auły, mający obowiązek rozweselania i zabawiania całych pokoleń..... Zig—przedstawia się zawsze jako oryginalna figura, pokryta dzwoneczkami, namazana węglem, prawiąca rozmaite koncepta, i tém nie zrozumiała, że stanowiąc niejako religijny dodatek do niektórych obrzędów, jest zarazem postacią obudzającą pogardę. Ze wspomnionym pajacem stepów, żywionym i utrzymywanym kosztem auły, nikt nie ma żadnych stosunków przyjaźni, życzliwości; nikt do niego nie zagada, nikt mu ręki nie poda, wiedząc że każde zbliżenie się do pociesznego człowieka, uważaném jest za hańbę i ujmę osobistéj godności.» *Obrazki Syberji* przez L. NIEMOJOWSKIEGO—Str. 59.

Str. 326. Od Wielkiego Chaana do prostego żołnierza, każdy się upijał na zabój.

«L'ivrognerie est honorable parmi eux, et quand à force de boire, ils sont contraints de rejeter et de vomir tout, ils ne laissent pour cela de reboire mieux qu'auparavant.» PLANO-CARPINI *Voy. Anc. et Mod.*—T. II. p. 248.

Str. 325. Proszę czytać co sam wielki Dżyngischan pisze..... «Najlepiéj byłoby wcale nie pić. Ale gdzież jest ten co nigdy się nie upija?»

Patrz u D'OHSSONA *Hist. des Mong.* T. I. p. 412.

I zaraz oto następca Dżyngischana, drugi z kolei Wielki Chaan, Ogotaj, dał uczuć ojcu jak trudno jest od Mongoła żądać wstrzemięźliwości.

«Ogotaï buvait avec excès; son père l'en avait souvent réprimandé; ce vice altéra sa santé. Tchagataï, pour lequel il avait beaucoup de déférence, chargea un officier de veiller à ce qu'il ne but

qu'un certain nombre de coupes chaque soir. Ogotaï n'osa pas désobeir ouvertement à son frère aîné; mais il éluda sa défense, en se servant de coupes plus grandes, et la personne chargée de le surveiller ne s'y opposa point. Un jour, le ministre Yeliuï-Tchoutsaï fit voir au prince un anneau de fer qui avait été exposé à l'action du vin, et lui montrant des marques de corrosion, il lui fit sentir que si cette liqueur attaquait le métal, son effet sur l'estomac devait être encore plus énergique. Ogotaï fut frappé de cette preuve, mais ne put renoncer à son habitude.» *Tamże*— T. II. p. 85.

«Couyouc (trzeci Wielki Chaan), était fortement attaqué de rhumatismes, et son goût pour les boissons spiritueuses..... avait achevé de détruire sa santé.» *Tamże*—p. 234.

Czwarty Wielki Chaan, nie odmawiał sobie téjże rozkoszy. «Selon Raschid, Mangou buvait beaucoup.»—*Tamże*—p. 332.

Piąty Wielki Chaan, Kubilaj, wolnym pozostał w dziejach od owego zarzutu, ale zaraz panujący po nim wnuk jego, Temur, szósty Chaan, przedstawia w tym względzie ciekawe zjawisko:

«Dans sa jeunesse, Temour..... buvait avec excès. L'empereur, son grand-père, l'en réprimandait sans cesse; il l'en punit même trois fois par la bastonnade. Il finit par attacher à son service des médecins chargés d'assister à ses repas; lorsqu'ils jugeaient que le prince devait quitter la table, ils l'en avertissaient en frappant ensemble deux baguettes; mais Témour trouvait le moyen de tromper leur vigilance. Un mahométan, qui prétendait connaître les secrets de l'alchimie et de la magie,et qui avait entièrement captivé l'esprit du jeune prince, imagina de conduire Temour dans une maison de bains, dont le maître faisait verser du vin au lieu d'eau dans le réservoir. Coubilaï, qui n'avait pas pu obtenir de Témour qu'il éloignât de sa personne ce dangereux favori, instruit de son stratagême, le fit enlever de l'hôtel du prince et conduire en exil avec l'ordre de le tuer secrètement. Lorsque Temour fut sur le trône, il sut vaincre cette passion pour le

vin, que tous les moyens employés par Coubilaï n'avaient pu réprimer, et il devint aussi tempérant qu'il avait été déréglé.» — *Tamże*—p. 523.

Za przykładem Tatarskich monarchów szły i monarchinie a za niemi Dwór cały, i nawet kapłanie różnych wyznań, *e tutti quanti*. Oto jeden z obrazków malujących dosadnie tamtejsze obyczaje:

«Mangou-Khân vint lui-même et entra dans cette église ou cet oratoire (kościół Nestorjański), et on lui apporta un lit d'or sur lequel il s'assit avec sa femme à l'opposite de l'autel..... Alors on nous fit chanter..... le khân se fit apporter nos livres, la Bible et le Bréviaire, et nous demanda avec curiosité quel sens en avaient les images. Les Nestoriens répondirent ce qu'ils voulaient, parce que notre interprète n'était pas entré avec nous..... Puis il se retira, mais la reine resta et distribua des présents à tous les chrétiens qui étaient là. (Sama była poganką)..... On nous apporta ensuite à boire de la cervoise faite de riz et de vin rouge, comme du vin de la Rochelle, et du cosmos. (Kumys.) Alors la reine, tenant à la main une coupe pleine, fléchit les genoux et nous demanda notre benediction, et tous les prêtres chantaient à haute voix, tandis qu'elle vidait sa coupe..... Quand tout le monde fut à peu près ivre, on apporta de la viande de mouton qui fut aussitôt devorée..... C'est ainsi que l'on passa la journée jusqu'au soir. Et lorsque l'ivresse fit chanceler la reine elle-même, elle monta dans son chariot, au milieu des chants et des hurlements des prêtres, et elle suivit son chemin.» Rubrouck — p. 171 i nast.

A daléj, po kolejnych odwiedzinach u innych żon Wielkiego Chaana, mówi:

«Là, les prêtres (Nestoriens) burent de nouveau et nous evînmes ensuite à notre oratoire qui n'en était pas éloigné, accompagnés des prêtres qui chantaient ou plutôt hurlaient, étant dans un état d'ivresse; ce qui dans ce pays n'est pas chose répréhensible, ni chez l'homme, ni chez la femme.» *Tamże*—p. 181.

Str. 237. Była druga przywara..... przedajność..... Kiedy Jeliu-Czusaj chciał wprowadzić ustawę, *zabraniającą urzędnikom przyjmowania darów*, Chaan Ogotaj wyrzekł: «Nie, to już za wiele, i t. d.»

«Yeliuï-Thoutsaï avoit fait connaître à Ogotaï les préceptes de Tcheou-kong et de Confucius pour l'administration d'un empire, et proposé à ce prince d'en adopter dix-huit, qui devaient servir de règle au gouvernement et à ses agents. L'un de ces articles défendait aux fonctionnaires publics de recevoir des présents. Ogotaï se récria contre cette sévérité, disant qu'on pouvait en recevoir, pourvu qu'on n'en demandât point.» ***Hist. des Mongols*** par D'Ohsson—T. II. p. 71.

Rozdział: **Rajski wieczór.**

Str. 344. Tymczasem chłopcy wnosili kilka glinianych wązkich flaszek.

Str. 545. Wilhelm Buchier wtrącił: «Smakuje zupełnie jak to nasze winko co zwiemy: «Vin d'Auxerre». Gdyby nie pachniało piwem, toby trudno i poznać.»

«Notre guide fut très visité, et on lui apporta de la cervoise dans de longues bouteilles, étroites par le haut. Je n'aurais pu en aucune façon distinguer cette boisson du meilleur vin d'Auxerre, excepté seulement à l'odeur qui n'était pas celle du vin.» Rubrouck—p. 137.

Str. 345. I Ojciec Jan i ja, nie możemy na żaden sposób przywyknąć do kumysu.

Obaj zaświadczają to wyraźnie w swoich opowiadaniach.

«Après, ils se mirent à boire du lait de jument, ce qui dura jusqu'au soir, nous étonnant comment ils pouvaient tant boire. Puis ils nous firent entrer au dedans (de la palissade) et nous donnèrent de la cervoise, *parce que nous ne pouvions boire de ce lait.* PLANO-CARPINI — *Voyag. Anc. et Mod.*—T. II. p. 234.

Braciszek Benedykt mówi to samo z odcieniem nawet nieakiéj pogardy:

«Dali nam piwa, bośmy *tego tam mléka* nie pili.» PODRÓŻ BRATA BENEDYKTA POLAKA w *Hist. Lit.* WISZNIEWSKIEGO — T. II. Str. 217.

Str. 346. Był to Temer, jeden z Dworzan Xięcia Jarosława.

Jan de Plano pisze o nim dosyć szeroko:

«Après tout cela l'empereur nous fit dire par son secrétaire Chingay que nous eussions à mettre par écrit ce que nous avions à lui dire, et le lui envoyer, ce que nous fîmes. Plusieurs jours après il nous fit appeler de nouveau, et nous dit par l'entremise de Kadac, intendant de tout l'empire, en présence de Bala et Chingay, ses secrétaires, et de beaucoup d'autres, de lui répéter l'objet de notre mission, ce que nous fîmes très-volontiers. Notre interprète en cette occasion, comme en beaucoup d'autres, fut Temer, soldat de Jeroslaus, et cet entretien eut lieu par le moyen d'un clerc qui était avec lui, ect.» *Voyageurs Anciens et Modernes.* T. II. p. 237.

Tu autor nazywa Temera «żołnierzem Jarosława»; jednakże daléj, w *Epilogu* Pamiętnika, powołując się na żyjących świadków swego tam pobytu, wymienia go już nie jako «soldat de

Jeroslaus», ale jako «un de ses gentilshommes, nommé Temer, qui fut notre interprète vers l'empereur Cuyné, tant pour la traduction des lettres du cham au pape, que pour tout ce qu'il nous fallait dire et répondre.»—*Tamże*—T. II. p. 250.

Str. 346. Tak zwany «buhaj»..... spięty przezroczystym pasem «haczykowym».

Nazwy te można znaléźć w przytoczonym już powyżéj Testamencie Jana Kalety. Patrz u KARAMZINA w Tomie IV-m Przypis 325-ty.

Str. 346. Rzęsiste, złotem szyte naramienniki.

Patrz *Tamże*, Tom III. Str. 199.

Str. 348—349. Francuzi, Węgrzy, i rozmaici inni, obstępowali przeważnie Włocha..... Druga gromada, oblegająca Polskiego Braciszka, była nierównie liczniejsza, bo złożona z przeróżnych Słowian, od których wówczas roiła się Mongolja.

«Nous eûmes aussi beaucoup de détails secrets de la cour par les Russes et Hongrois qui étaient venus avec les autres chefs. Ils savaient le latin et le français (to się stosuje zapewnie do Węgrów,) et il y avait des clercs Russes et autres qui suivaient la cour partout depuis dix ou vingt ans, connaissant toutes les coutumes de ces peuples, parce qu'ils savaient leur langue. Nous pouvions par eux apprendre tout ce qui concerne les Tartares, car, sachant notre désir, ils nous rapportaient ce qu'ils avaient vu, sans même que nous eussions besoin de les interroger.» PLANO-CARPINI—*Voy. Anc. et Mod.*—T. II. p. 237.

Str. 348. Wilhelm Buchier, jako niedoszły Kleryk..... mógł i ową Łaciną sadzić.

«Or, maître Guillaume..... était un peu lettré, et remplissait les fonctions de clerc à l'église.» RUBROUCK—p. 213.

Str. 352. Wszyscy Bracia rzucili mi się na szyję ze łzami, z uściskami, żegnając mię już jakby na wieczność, a razem i trochę wzdychając od świętéj zazdrości.

Podobny zapał panował wtedy między wszystkiemi Zakonnikami, których wielką liczbę Rzym w owe lata wysyłał na różne strony, a zwłaszcza na Wschód pogański.

«Quand le prieur des Dominicains de Paris annonça à ses frères que des missions allaient s'ouvrir en Tartarie, tous offrirent de s'y consacrer, et des sanglots remplirent la salle capitulaire, les uns demandant avec larmes leur obédience pour cette destination, les autres pleurant à la pensée des immenses fatigues et de la mort certaine qu'affrontaient leurs frères chéris. Les uns pleuraient de joie, parce qu'ils avaient obtenu la permission de partir, les autres de regret parce qu'ils ne pouvaient l'obtenir.» ***Histoire générale des Missions Catholiques*** par le Baron HENRION—Paris—Gaume Fr.—1846—T. I. p. 18.

Str. 355. Co to była za jazda!

«Bardzo osłabieni, zaledwie na koniu mogliśmy się utrzymać: przez cały albowiem Post, jedliśmy tylko proso z wodą i solą; podobnież i w innych dniach postnych. Przez cały czas nie mieliśmy do picia tylko śnieg w kociołku stopiony. Jechaliśmy..... kłusując mocno; bośmy na dzień pięć razy albo i więcéj konie odmieniali, wyjąwszy gdyśmy jechali przez stepy; wtenczas dawano nam lepsze i mocniejsze konie, któreby mogły iść ciągle bez wypoczynku..... Dla tego zaś w téj drodze tak bardzo spieszy-

liśmy, bo rozkazano naszym Tatarom, aby nas prędko przystawili na dwór cesarski uroczysty, to jest zebranie co już dla wyboru cesarza od kilku lat zapowiedziane było. Dla tego rano wstając jechaliśmy aż do nocy, nic nie jedząc, a często tak późno na noc stawaliśmy, żeśmy musieli brać się do spoczynku nic w usta nie wziąwszy; ale cośmy mieli jeść wieczór, to nam dawano rano. Zmienianych często koni wcale nieoszczędzali, lecz jechali prędko i bez odpoczynku, co mogły konie wyskoczyć.» Podróż Brata Benedykta Polaka w *Hist. Lit.* M. Wiszniewskiego—T. II. Stronnice 213—214 i 216.

Str. 357. Ogłasza Krucjatę przeciw Tatarom.

«Wielkość zaś i okropność owéj Tatarskiéj klęski, można pojmować z listu samego Papieża. Czytamy bowiem ogłoszenie przez Stolicę Apostolską wojny Krzyżowéj na wsparcie Polaków przeciw Tatarom, wydane w tych słowach: «Mnogie zaprawdę, ró-«żne w sobie i nader bolesne trapią nas okoliczności, jako to: na-«gląca sprawa Ziemi Świętéj, bliskie wybuchu zamieszanie w Ko-«ściele, i opłakany stan Państwa Rzymskiego. Ale rzetelnie mó-«wiąc, o tém wszystkiém i o sobie zapominamy, gdy nam na «myśl przychodzą srogie Tatarów zagony. Lękać nam się bo-«wiem, aby (Boże uchowaj) przez tych Tatarów za naszego czasu «Chrześcjaństwo nie zginęło. Sama myśl o tém trwogą kości na-«sze przeszywa, mózg suszy, ciało wyniszcza, ducha i wszystkie «władze umysłu przygnębia, i tyle nam sprawia smutku i stra-«pienia, że obłąkani prawie, nie wiemy dokąd udać się po radę.» *Dzieje Polskie* Jana Długosza — Kraków — 1868 — T. II. Str. 267.

Str. 360. Ach! — Zawołał Braciszek Benedykt.—Jak jabym téż chciał widzieć taką pieczęć króla Tatarskiego!

«Bóg zesłał nam niejakiego Rusina, nazwiskiem Kuźmę, złotnika..... Ten nam pokazał tron cesarski który sam robił.....

i jego pieczęć którą także sam zrobił..... Na pieczątce są zaś te słowa: *Bóg na niebie a Gażukhan na ziemi. Potęgi Boga, wszystkich ludzi cesarza, pieczęć.*» Podróż Brata Benedykta w *Hist. Lit.* Wiszn. T. II. Str. 219—220.

Jan de Plano zaś powiada, że nietylko im tę pieczęć pokazał, ale i dał im jéj odbicie.

«Côme..... nous fit voir..... le sceau qui était de sa façon; il nous en donna même l'empreinte.» Plano-Carpini— *Voyageurs Anc. et Mod.*—T. II. p. 237.

Str. 362. Jutro wam tron pokażę.

«Côme..... nous fit voir aussi le trône impérial qu'il avait fait..... Il y avait un lieu plus élevé et bien accomodé, où était le trône de l'empereur, tout-à-fait d'ivoire, à diverses figures, et enrichi d'or et de pierres précieuses. On y montait par degrès, et il était rond par en haut.» *Tamże*—p. 236.

Plano-Carpini zauważył przeważnie kość słoniową, Brat Benedykt zaś wspomina i o hebanie.

«Był też tam z deszczek wysoko zbudowany parasol, pod którym umieszczono tron cesarski z hebanu cudnéj roboty, a który jeśli dobrze pamiętamy, nasadzany był złotem i drogiemi kamieniami; na ten tron u wierzchu okrągły, wchodził cesarz po stopniach.» Podróż Brata Benedykta u Wiszn. T. II. Str. 220.

Rozdział: **Wielcy przodownicy.**

Str. 382. Postacie dwóch Braci zakonnych, Jana Włocha i Benedykta Polaka, wyglądają w dziejach—kolosalnie.

«Jean du Plan de Carpin naquit en Italie, à Plano-Carpino, bourg du district de Pérouse, vers l'an 1182. Engagé dans l'ordre des Franciscains que venait de créer François d'Assise, son compatriote et son ami, le frère Jean fut un des propagateurs les plus zélés et les plus éloquents de cette institution. De 1221 à 1241 tour à tour custode de Saxe, provincial d'Allemagne, d'Espagne et de Cologne, grand pénitencier du Pape, il s'était fait remarquer par une rare intelligence des affaires. Vers ce temps..... le Pape Innocent IV résolut de députer vers eux, (les Mongols) des missionaires, pour les conjurer, au nom du chef de la chrétienté, de renoncer à leur oeuvre d'extermination, et leur prêcher en même temps la foi catholique. Jean du Plan de Carpin fut un des premiers désignés par le Saint-Père pour cette périlleuse ambassade. Muni des lettres papales, il se mit en route le 16 avril 1245..... A son retour (9 octobre 1247) le frère Jean fut nommé archevêque d'Antivari en Dalmatie; il fut chargé ensuite par le Saint-Siège d'une mission près du roi Saint Louis. Il mourut, peu de temps après, vers 1251, à Rome ou à Pérouse. Plan du Carpin révéla en quelque sorte l'existence de la Tartarie à l'Europe occidentale.» *Voy. Anc. et. Mod.* — Notice sur Jean de Carpin par EDOUARD CHARTON—T. II. p. 223.

O Bracie Benedykcie Polaku, dzieje nie przechowały nam niestety równie szczegółowych wiadomości. Wprawdzie, jak pisze F. M. SOBIESZCZAŃSKI w *Encyklopedyi Powszechnéj* ORGELBRANDA: «są ślady że ci dwaj podróżni..... jeszcze raz późniéj odbywali drogę w stepy wschodnie..... jest nawet podanie że byli umęczeni», (Tom XX. Str. 802) ale o tych legendach słusznie można wątpić, kiedy się tak rażąco niezgadzają ze znanym żywotem Jana de Carpino, a względem jego towarzysza nie przedstawiają żadnych wiarogodnych dowodów.

O Bracie Benedykcie więc wiemy tylko tyle, że ze swojéj wielkiéj missji do Tatarów powrócił szczęśliwie, i że opisał ją na swoją rękę, co też i Plano-Carpini zaświadcza.

«Le souverain pontife avait commandé de tout examiner et

de tout voir avec soin; et nous avons exécuté scrupuleusement ses ordres, de concert avec frère Benoît le Polonais, du même Ordre que nous, qui nous a accompagné dans nos tribulations, et les a aussi racontées.» PLANO-CARPINI—*Voy. Anc. et Mod.* T. II. p. 225.

Opis Brata Benedykta jest krótszy niż dzieło Jana de Plano. MICHAŁ WISZNIEWSKI zamieścił jego przekład Polski w *Historji Literatury* w Tomie II-m, Str. 208 i nast.

Str. 388. Nim z powrotem stanęli w Polsce, już były gotowe piérwsze szkice, które późniéj wielokrotnie rozszerzali i wykończali.

«Plusieurs personnes de Pologne, Bohême, Allemagne, Liége, Champagne et autres lieux, par où nous avons passé, avaient pris plaisir à lire notre voyage, et l'avoir par écrit avant qu'il fût tout-à-fait achevé et corrigé, et que nous y eussions apporté la dernière main, comme nous avons fait depuis que nous nous sommes trouvé en repos et de loisir; et pour cela nous les prions tous de ne trouver pas étrange s'il y a plusieurs choses en ce dernier écrit plus correctes et autrement qu'au premier, qui n'en était qu'une simple ébauche.» PLANO-CARPINI—*Voy. Anc. et. Mod.* T. II. p. 251.

Rozdział: Złote miesiące.

Str. 394. Nazajutrz..... wielką chorągiew bojową..... zatknął od strony Zachodniéj.

«Nakoniec nasi Tatarowie zaprowadzili nas przed swego cesarza, który gdy się od nich dowiedział iż mamy przyjść, kazał nam udać się do matki; chciał bowiem nazajutrz..... podnieść chorągiew przeciw całemu zachodniemu światu, a życzył sobie aby-

śmy o tém nie wiedzieli.» Podróż Brata Benedykta w *Hist. Lit.*—Wiszniewskiego—T. II. Str. 220.

Str. 396. Tamże, niedaleko od obozu, na wzgórzu, stało więcéj niż pięćset wozów pełnych złota, i t. d.»

«Là même, un peu plus loin des tentes, on avait mis sur une colline plus de cinq cents chariots remplis d'or, d'argent et d'habits de soie, et tout cela fut partagé entre l'empereur et ses princes et ducs, qui après en firent des présents aux leurs comme il leur plut.» Plano-Carpini—*Voy. Anc. et Mod.* T. II. p. 236.

Str. 398. Któż w owym czasie i miejscu byłby śmiał jawnie oskarżać matkę samego Wielkiego Chaana? Ale nie wszyscy, i nie zawsze, mieli zachować milczenie. Posłowie Papiezcy szeptali między sobą: «I to trzeba opisać.»

I opisali. Oto co mówi Jan de Plano:

«En ce temps mourut Jeroslaus, le grand-duc de Soldal ou Susdal en Russie. Car ayant été appelé vers la mère de l'empereur, où par honneur elle le fit manger et boire de sa propre main, et sitôt qu'il fut retourné en son logement, il tomba malade au septième jour, et son corps devint tout livide et taché, ce qui fit dire tout haut qu'il avait été empoisonné, afin d'avoir plus librement tous ses Etats. Et ce qui confirme ce soupçon, c'est qu'aussitôt, sans en prévenir les Russes qui étaient près d'elle, l'impératrice envoya un messager en Russie vers Alexandre, fils de Jeroslaus, pour l'engager à venir vers elle, sous pretexte de lui remettre l'empire de son père; mais lui refusa de se rendre à cette invitation, malgré les lettres pressantes qu'on lui envoya. Et on pensait généralement que, s'il était venu, elle l'aurait fait tuer ou l'aurait gardé en captivité.» *Voy. Anc. et Mod.* T. II. p. 236.

Opowieść Brata Benedykta brzmi w te słowa:

«Około tegoż czasu umarł Jarosław W. X. Suzdalski, który to Suzdal jest tam gdzieś w Rossyi. Zawołany albowiem do matki cesarskiéj pod pozorem uczczenia, aby z rąk jéj jadł i pił, wkrótce wrócił do gospody, zachorował i umarł. Po siedmiu dniach całe ciało jego dziwnym sposobem modro-blade się zrobiło. Powiadali wszyscy iż tam był otruty, aby Tatarowie ziemię jego całkiem posiedli.» ***Historja Lit.*** M. Wiszniewskiego—T. II. Str. 220.

U Karamzina znajdujemy jeszcze parę szczegółów poprzedzających śmierć Xięcia:

«Wielki Xiąże powtórnie zmuszony wyieżdżać do Ordy z całą familią, musiał wyprawić się do brzegów rzeki Amur, na któréj Mogołowie po śmierci Oktaia (Ogotaja) zatrudniali się obraniem nowego Wielkiego Hana. Jarosław na zawsze pożegnał kochaną ojczyznę, przez stepy i pustynie przybył do obozu Hana, i z wielo innemi lennikami upokorzony przed tronem następcy Oktaia, uniewinniał się z iakichś doniesień, uczynionych Hanow. na osobę swoią przez pewnego rossyiskiego obywatela; otrzymawszy łaskawe zezwolenie udania się na powrót, w podróży zakończył życie..... Wierni Boiarowie przywieźli ciało iego do stolicy włodzimiérskiéj: mówili że on był otruty, że matka nowego Hana Haiuka (Kujuka), niby na znak szczególnego ukontentowania, ofiaruiąc Jarosławowi z własnéj ręki pokarm, podała mu truciznę, od któréj on siódmego dnia zakończył życie; znaki na ciele iego, były oney widocznym dowodem.» ***Historja Państwa Ross.*** M. Karamzina — przekł. Buczyńskiego — Warsz. 1825—T. IV. Str. 29—30.

Str. 399. Spotkała ich łaska bardzo rzadka..... zostali przypuszczeni przed oblicze samego Chaana.

«Nous eûmes ainsi accès près de l'empereur la première fois depuis son avènement au trône, et tous les autres ambassadeurs

furent aussi reçus par lui, mais il y en eut peu qui entrèrent en sa tente.» PLANO-CARPINI—p. 235.

Rozdział: **Pożegnania i Wspomnienia.**

Str. 417. Cesarz Kujuk siadłszy na tronie, chciał upamiętnić początki swego panowania deszczem łask..... i rozdawnictwo tych dobrodziejstw powierzył, nie matce, nie żadnéj z małżonek, ale swojéj ubóstwianéj Xiężnie Siurkukteni.

«Les fêtes terminées, Couiouc fit distribuer l'or, l'argent, les étoffes et les bijoux qui composaient le trésor de son père, confiant la direction de ses largesses à la princesse Siourcoucteni.». *Hist. des Mongols* par C. D'OHSSON—T. II. p. 201.

Str. 419. Xiężna..... doręczyła mu dyplom na założenie kolonji nad morzem Czarném, około zwalisk Teodozji.

«Krym miasto sąsiednie Teodozyi, pobliżu będące Kaffy teraźnieyszéy, było iuż pod ów czas ludnym, wielkim i handlownym. Lecz Teodozya, zdawna iuż od Rusinów była zniszczona. W tych okolicznościach Genueńczykowie będąc iuż panami Azofa, który nazwali *Tanq*, po wyciągnieniu ztamtąd Połowców, a prowadząc handel na morzu Czarnym, uprosili u Tatarów, aby im wolno było na mieyscu nazwanym *Caffa*, założyć sobie iaki przytułek dla składu towarów, i onych przedawania pod obowiązkiem zapłaty celney. Ta nowa osada była tylko z początku pewną ziemi cząstką, wałem i fossą oprowadzona, która w postępie lat w okazałe, warowne i bogate miasto urosła.» *Tauryka* AD. NARUSZEWICZA—Wyd. Mostows.—1805—Str. 68.

Str. 421. «Pâquetta» została przeznaczoną do usług małéj Xiężniczki. I tak Cyrynka..... dostała «bonę» Francuzkę.

I musiała ta «bona» dobrze na nią wpłynąć, bo w kilka lat późniéj, Missjonarz Rubruk znalazł Xiężniczkę pięknie wykształconą pod względem pojęć Chrześcjańskich.

«Il nous fallut aller à la chambre de cette demoiselle Cyrina, qui était derrière cette grande maison de sa mère. A la vue de la croix, elle se jeta à terre et l'adora très dévotement, parce qu'elle est très éclairée dans sa religion, et la plaça dans un endroit élevé, sur un drap de soie.» GUILLAUME RUBROUCK — *Récit de son Voyage*—p. 179.

Str. 424. Wyjechała za Xiężną jeszcze inna znajomość, wyjechał Mistrz Wilhelm..... Siurkukteni zachwycona wytwornością Paryzkich pieścidełek, sama się u Cesarza naparła ich twórcy.

«Il céda maître Guillaume à la mère de Mangou, parce qu'elle tenait beaucoup à l'avoir.» *Tamże*—p. 223.

SPIS PRZEDMIOTÓW

zawartych w Tomie Czwartym.

Część Czwarta.

	Str
Święte morze	3
Rozdział dla Spirytystów i Magnetyzerów	15
Królestwo Xiędza Jana	29
Kara-korum	69
Roczniki niewoli	99
Na Bajkale	149
Kuryłtaj	182
Gołębie z domu	210
Gotowalnia Tatarska	232
Dwór Cesarzowéj Turakiny	260
Rajski wieczór	329
Wielcy Przodownicy	382
Złote miesiące	393
Pożegnania i wspomnienia	415
Przypisy	443
Spis Przedmiotów	516

Koniec Tomu Czwartego.

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
174103

Biblioteka WSP Kielce
0121714